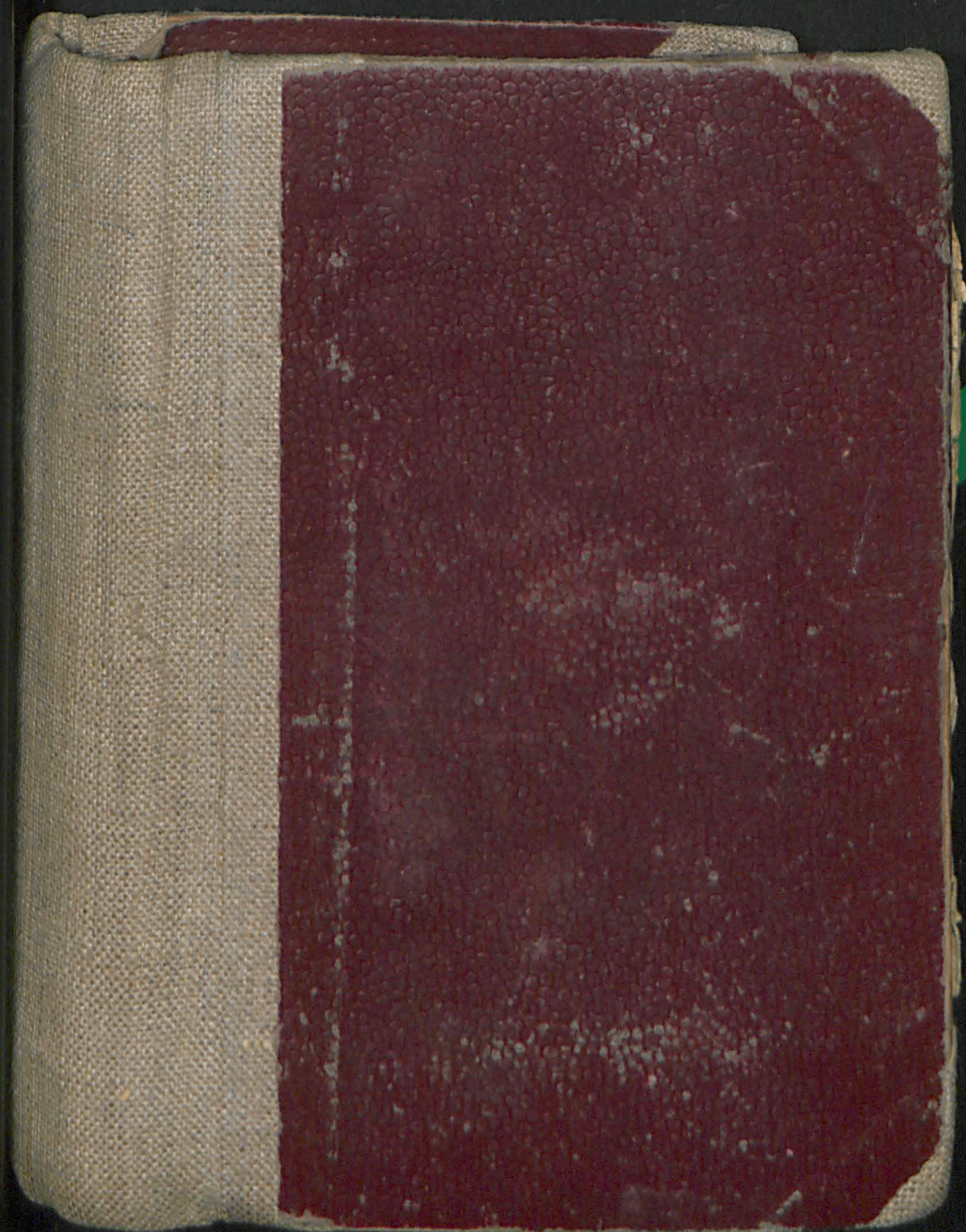
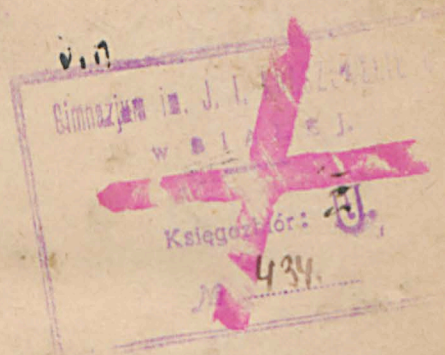




Berkowski



LUBONIE



LUBONIE

POWIEŚĆ Z X WIEKU

Księgozbiór:

PRZEZ

434

J. I. Kraszewskiego

TOM I.

DAWNICTWO M. ARCTA W WARSZ



884-3

961



10020567

Drukarnia M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3

1913



Janu

Księgozbiór

Bronisławowi Zaleskiemu

w Paryżu.

Przypominasz sobie może, kochany Bronisławie, rozmowę naszą o powieściach historycznych, któremi w roku przeszłym będąc w myślach zajęty, spowiadałem Ci się z trwogi i zapału, jaki one we mnie obudzały. Naówczas był to pomysł tylko jeszcze, który teraz, jak umiałem i mogę, przeprowadzam do skutku. Byłeś jedynym z pierwszych, z którymi, przejęty cały zadaniem tem, mówiłem; myśl sama zdała Ci się i dobrą i pojętną, przyjmijże jeden z pierwszych jej owoców. Czasy, które się tu malują, szare okrywają mroki, wrócić im cokolwiek życia, starać się je z niemnógich wskazówek i pomników odgadnąć,—zaprawdę trudnem było. Nie pochlebiam sobie, abym to dokonał tak, jak to należało, alem uczynił pobożnem ku przeszłości sercem, jakem zdołał i umiał. Przyjm maluczką ofiarę chętnie i pobbżając.

Twój wierny

J. J. Kraszewski.

D. 29 marca 1876.
Drezno.wiekiem,
ysuwały;

nieczona

go, słońce
w cie-
wieczor-
nie dopie-
a w zaro-
adko ptak
ciem. Noc
dniu, któ-
tki wilgoci

niejszył się
nie było:
astować się
nad lasami,
zpromienna,
u czarnemu

zek, podno-
jemis mimo-
zuć nie było,
skał ku zie-
to nad łąki,
lic w rozpa-

iona wiekiem,
się wysuwały;

ieczoną



I.

Wieczór był skwarne go dnia letniego, słońce zachodzić miało za lasy. Co żyło, ukryte w cieniach i zaroślach, czekało, by powiał wiatr wieczorny, spadła rosa ożywcza i palące promienie dopiekać przestały. Milezało wszystko... stada w zaroślach się chroniły, ludzie — po lasach, rzadko ptak przeleciał w powietrzu, które ziało ogniem. Noc miała przynieść ochłodę i wypoczynek po dniu, który zważył rośliny i wyszał z ziemi ostatki wilgoci po niedawnej pozostałe burzy.

Dnia tego pod wieczór nawet nie zmniejszył się upał i na niebie chmurki żadnej widać nie było: wypogodzone, rozpalone, bezbarwne, zwiastować się zdawało posuchę, bo tarcza, sklecona ponad lasami, okryła się barwą krwi, i purpurowa, bezpromienna, dziwna i straszna, zwolna kłoniła się ku czarnemu pasowi puszczy dalekich.

W powietrzu unosiły się słupy muszek, podnoszące się wysoko, wirujące obrotami jakimiś mimowolnemi, jakby je powiew jaki, którego czuć nie było, to w górę, to na bok odnosił, to przyciskał ku ziemi. Chmurą leciały muszki skrzydlate to nad łąki, to nad pola, zdając się bawić i swawolić w rozpalonych ziemi wyziewach.

Na polach cicho było i pusto...

zeczulki ciekły skryte głęboko, ucieka-
ły od spieki, co je wypijała... Czasem w dali
który nie dochodził tu i czuć się nie dawał,
na piaszczystych rozlogach chwycił kurzu tumany
i do góry je gdzieś unosił.

Na Krasnejgórze nad Wartą, we dworze Lubo-
niów tak pusto było jak wszędzie dnia tego,—ludzie
się od spieki gdzieś pochowali.

Obyczajem starym wszystko stało otworem... dom,
zagroda, wrota, — nie strzegł ich nikt, bo się nikogo
nie lękano. Dwór stary wznosił się na pagórku nad
rzeką, otoczony wysokim lasem z jednej strony, z dru-
giej do pola i łąk przytykający.

Jak wszystkie naówczas, była to budowa dREW-
niana, ale rozległa i krzepko z bierwion ogromnych
wzniesiona. Wysoki dach z dymnikami, okopcony
i czarny, panował nad nią. Dokoła opasywało ją
podniesienie na słupach rzezanych. Podwórze było
rozległe i czyste, budynki wkoło proste, ale nowe i
schłodne. Z rozmiarów dworu wnosić było można
o wielkiej zamożności rodu, co tu zamieszkiwał; ze
stajen i szop o trzodach i gospodarstwie; z ładu około
domu o pilności pana.

Już czas był, ażeby i ludzie i bydło pod dach
wracało, bo choć upał się nie zmniejszał, słońce
przynajmniej straciło siłę; patrzyło groźnie krwawem
okiem, ale nie piekło. Ale koło dworu panował
jeszcze spokój i cisza.

Od strony lasu w cieniu leżały psy stróże, na
chłodniejszej ziemi powyciągane i jak martwe. Dwór
stał otworem... drzwi i okna z poodsuwaniami okien-
nicami wpuszczały powietrze, lecz ono ziało jeszcze
gorącem. Ognisko w świetlicy było wygasłe i zarzu-
cone popiołem, komory na rozcież poodmykane...
nikogo nigdzie, żywej duszy... W podwórku kilka kur
chodziło, dziubiąc porozsypywane ziarna.

Wszystkie izby domostwa przejść tak było moż-
na, nie znalazłszy nikogo. Na tyle tylko od lasu,
na ogromnym kamieniu, który leżał pod strzechą,

siedziała bardzo stara niewiasta, zgarbiona wiekiem,
z włosy siwemi, które z pod chust się wysuwały;
siedziała i, jakby napół drzemiąc, przedła.

Twarz jej opaloną, z pomarszczoną i posieczoną
skórą, żółtą, pargaminową, mech starości pokrywał
na policzkach i brodzie; oczu, głęboko zapadłych,
dostrzedz prawie nie było można z pod nawisłych
powiek i brwi zarosłych bujno. Trzymała kądziel,
ciągnęła nic bezmyślnie, zwolna, i zatopiona w du-
mach jakichś, przedła, nie przestając. Niekiedy pal-
ce przykładła do ust, aby je zwilżyć i znowu nic
ciągnęła cienką, równą, gładką, choć bezsilne palce
opierać się pracy zdawały. Czasem wśród tego snu-
cia zatrzymała się nagle, jakby jej sił nie stało, po-
tem, przypomniawszy sobie kądziel, z pośpiechem
znowu do niej powracała.

Ubogo ubrana była starucha, nie mając na sobie
nic oprócz płótna, lipowych kurpi nowych na nogach,
które je opasywały. Zapaska wełniana była ciemnej
barwy, na szyi nawet żadnego sznurka i ozdoby wi-
dać nie było. Niewiasta długie już lata na świecie
przeżyć musiała, jednak trzymała się jeszcze i na-
słuchiwanie najmniejszego szelestu przekonywało, że
ucho miała czule.

Wśród ciszy, psy, co nieopodal od staruszki le-
żały, podnosiły głowy, i jeden z nich, rozpatrując
się, niespokojnie zamruczał, jakby drugim dawał
hasło. Wnet i reszta pozrywała się na nogi, wie-
trzyć poczęły, lecz stały niepewne... nie słysząc i nie
widząc nie było. Pokładły się znowu, ale głowy pod-
niesione czyhały na szelest najmniejszy. Stara też od
kądzieli na swych towarzyszyw oczu zwróciła, jakby
ich pytała o niepokoju przyczynę. Ten, który pierw-
szy zamruczał, odzywał się jeszcze kiedy niekiedy,
ale niebardzo śnać pewien siebie.

I długo tak nie słysząc nie było.

Słońce czerwone stoczyło się na lasy, a wnet i
mrok szybko nadchodzić zaczął. Na północnej nie-
bios stronie pokazała się pierwsza gwiazda błada.

ku zachodowi, jak złoty sierp, stał wązki księżyc na młodziku.

W dali coś tętnić się zdawało...

Staruszka wstała, zabrała kądziel i ruszyła się powoli ku dworowi, a idąc obyczajem starych, mruzczała coś sama do siebie.

Tuż i życie budzić się z zachodem zaczęło. W powietrzu przelatywały dźwięki, bydło i owce biegły z pola. Klaskały pastuchów batogi, ryczały krowy i rżały konie, coraz bliżej słysząc je było.

Starucha, stanąwszy u płota, wypatrywała w dali i potrzasała głową, jakby panią była i gniewała się na niedbałe sługi.

Wtem śmiechy i śpiewy tuż blisko doszły ucha staruszki i lice się jej poruszyło, głowa podniosła, oczy skierowały ku dworowi. Głosy to były niewieście, wesołe, młode... Uśmiechnęły się też mimowoli usta starej prądky i niespokojnie rozglądać się zaczęła, wypatrując nadchodzących.

Psy, które leżały spokojnie, skowycząc i podskakując, zerwały się, jakby i ich uradowały te ludzkie głosy po długiej ciszy.

A wtem z lasu ukazała się cała gromadka dziewcząt w bieli. Przodem szła najpiękniejsza, wysokiego wzrostu, smukła, ze śmiejącymi się oczyma, z ciemnym włosiem, w kosy zaplecionym, z podniesioną różnie główką, na której, oprócz rucianego wianuszka, niosła całą wiązkę świeżych leśnych kwiatów, aż na ramiona spadających. W białej koszuli i zapaskach, ze sznurami bursztynów i krasnych kamyków na szyi, przepasana czerwonym pasem, którego końce u boku spadały, szła tak jak leśna panna, królując widocznie tym, co za nią biegły i w oczy jej patrzyły. Przed sobą w spódnice podwiniętej miała pełno zbieranych ziół i różnej leśnej zdobyczy.

Dziewczęta idące za nią niosły też kobiałki na plecach, koszyki w rękach i postrojone były w kwia-

ty, jak ona, a lica im się wszystkim młodością śmiały i weselem.

Szły ku dworowi i śpiewały; ostatnia zwrotka piosenki skończyła się śmiechem, bo też i psy, łaszcząc się, ku dziewczętom przypadły.

Z drugiej strony, becząca i wrzawliwie odzywająca się, cisnęła do wrót trzoda. Cisza przed chwilą wielką zmieniła się w gwar życia pełny. Starucha patrzyła na dziewczynę z uśmiechem, a ta ku niej dążyła, potrzasała uwieńczoną główką.

— O! udało się w lesie, udało, — zawołała; — całyśmy dzień prześpiewały w chłodzie, za grzybami chodząc i jagodami. Wszystkiego pełno... choć garściami gnać... posucha w cieniu nic nie zwarzyła... Ptaszki nam śpiewały, a my im... i dzionek, babusiu, szedł jak błyskawica.

— A jam tu go ledwie do końca doprzedła — rzekła złamanym z zaskłęgo gardła głosem stara.

— A ojciec?... — zapytało dziewczę — niema ojca?

— Ojciec do knezia jechać musiał... ale na noc powróci z Poznania... Niewielka to droga, a nocować tam niema poco... tylko go nie widać!...

Gdy tak gwarzyły i mówiąc zwracały się do dworu, dziewczęta z kobiałkami wyprzedzać ją zaczęły, i śmiejąc się a swawoląc, do drzwi pędzić. Z drugiej strony od podwórza szli, ku nim poglądając, parobcy, którzy z pola powracali, lecz zoczywszy ich, całe to dziewcząt stadko pobiegło się ukryć po komorach i głosy tylko młode słysząc było.

Staruchę prowadziła zwolna dziewczyna, przymilając się do niej, a ta ją po twarzy ręką zmarszczoneą gładziła.

U studni po środku podwórka ruch był wielki i wiadrom nie dawano spoczynku, czerpiąc chłodną wodę czystą, napawając się nią z rozkoszą.

Bydło tymczasem samo szło do swoich szopy otwartych na spoczynek, a pastuszki i parobcy, okoryta stojąc, głośno śmieli się tak, jak to zwykle się wesoło rozkoszować, gdy pana w domu niema.

Ale na drodze tętent się dał słyszeć i wielka ta wrzawa zaraz przycichła, a psy biegły ku wrotom.

Zdała na polu widać było jadący do dworu cały orszak konnych i zbrojnych ludzi, dosyć pokaźny. Przodem na dobrym koniu jechał dorodny, niemłody już mężczyzna, pięknej postawy wojackiej, z ręką w bok, w krótkim płaszczu, a raczej sukni, zdjętej z rękawów dla gorąca i tylko na ramiona rzuconej. Miecz miał u pasa, nóż w pochwie za pasem, a u siedzenia na koniu młot wisiał, nabijany gwoźdźmi złotymi i wyrabiany misternie, w skórzanej objęty pochewce. Za nim jechało kilku młodych, jednako odzianych i zbrojnych; dobrze wyglądali wszyscy, jakby z boju albo na bój się wybrali.

Poznać było łatwo, że do domu dążyli i obcy mi tu nie byli; konie ich rżały niespokojnie i oni oczy zwracali ku dworowi. Twarz jednak tego, co przodem jechał, nie rozjaśniła się na widok jego; poważny jechał i zamyślony.

Parobcy, z pola przybywszy, postrzegłszy zbliżających się, podbiegli ku wrotom na ich przyjęcie. We drzwiach pod słupkami stało piękne dziewczę, tak jak z lasu przybyło, uśmiechając się, a starucha, rękę położywszy na jej ramieniu, drugą trzymając jeszcze swą kądziel, nie ruszyła się od jej boku.

Zdała już przybywający witał swe niewiasty, a one jego. Matka to była i córka, bo żony nie miał dawno.

Zsiadł u progu gospodarz, konia zdając na parobka i, pozdrowiwszy matkę, pogłaskawszy córkę, jak stał, do świetlicy poszedł. I one ciągnęły za nim. A gdy na ławie za stołem siadł, kołpak zdejmując, czoło ocierając, stara z komory kubelek pełny najoju wyniosła.

— Pij, synu — rzekła, — na upał to jedyne... kwas czoszkowy najlepiej gasi pragnienie... Słońce na nas takby się gniewało, piekło cały dzień bez litości.

I patrzyły mu w oczy stara i młoda, jakby myślenie jego zgadywać chciały. A on siedział posępny.

sweich ulubieniec pozbywać; kilka z nich naprzód wyswatano wojskowym, którzy je z dobrem wianem pozabierali, pozostałej reszcie kneź dozwolił szukać sobie mężów, lub odejść do rodziny.

Stara Różana, która nie miała tak wielkiego jak dawniej kłopotu z podwładnymi, stękała teraz, widząc, że się niepotrzebna stanie. Lilja płakała w kącie, inne chodziły strwożone, nie wiedząc, co począć sobą. Dwór tymczasem na nowo a wspaniale żądać kazano i rzemieślnicy w nim pracowali. Choć nie mówił nikt i nie tłumaczył, co to oznaczać miało, domyślali się wszyscy. Mówiono półgłosem o prędkim przybyciu czeskiej knieżni.

Sydbór tymczasem, z polecenia Mieszka, ludzi ściągając, zbroił i siłę gotował, jakby do wojny, choć na granicy dosyć było spokojnie. Starzy głowami potrzaskali, rozumiejąc może, iż ta siła wielka nie przeciw nieprzyjacielowi się sposobila, ale dla bezpieczeństwa w domu.

Warga też i inni wróżbici radzili pokorę i czczenie się, aby nadaremnie co lepszego z ludu nie ginęło. Po lasach nocami trwały ciągle narady; wieziono, co się na zamku działo, lecz nikt nie mógł z pewnością powiedzieć, co i kiedy tam czynić zamierzano, bo Mieszko się nikomu nie zwierzał i nie zmieniał postępowania swojego.

Tylko jednego dnia z chramu Jessego na grodzie wszystek skarb wojenny, który tam był złożony i stanice z bóstwami sam Mieszko, poszedłszy do gaju świętego, przy sobie zabrać kazał do dworu i zanieść do swojego skarbcza. W chrampie pozostał tylko stary posąg i to, co przy nim zawieszono było.

Dlaczego to uczyniono, nikt nie wiedział... Starzy stróżowie świątyni stali patrząc, mówić nie śmiali. Koszami ogromnymi wynoszono naczynia, sztaby, blachy, kruszec wszelki i oręż. Gdy na rozkaz knezia komornicy jego wzięli stojące za

no, oczy starych wróżbitów zaszyły łzami, ścigali je wzrokiem, aż póki pod dach wniesione, nie znikły.

Z tych, co byli na straży u chramu, żaden się odezwać nie śmiał, — żaden zapytać, — obawiano się Mieszka. Lecz stłumiony gniew gorszym był może od jawnego. Gdyby wybuchnął, kneź by go w pierwszej chwili poskromił, — wolałby był widzieć płomień i zalewać je, niż czuć pożar podziemny, który nie-wiedzieć gdzie i kiedy mógł nagle zaświecić luną.

Pomiędzy narodem wrzenie było wielkie; Wargę i inni uśmierzali je i czekać kazali; mówili: — Nie czas... ludzi gotowych na wszystko ma nadto, — przyjdzie godzina...

Zwolna co było potajemnie chrześcijańskiem w kraju, co się dawniej z tem kryło, teraz poczynano coraz jawniej występować. Ochrzczeni śmielej podnosili głowy; omijano ich, lecz nikt nie śmiał się przeciw nich porywać.

Wiedzieli wszyscy, że Włast na Krasnejgórce, w komorze tej, w której zmarł ojciec jego, urządził był ołtarz i rodzaj kaplicy. Była ona zamknięta i depuszczano do niej tylko tych, co już chrześcijęli, a do progu tych, co się do niego przysposabiali; lecz służba ciekawa przez szpary zbadła, że tam stał stół nakryty z krzyżem, dwoma świecznikami i kielichem w pośrodku... naczynie miedziane z wodą i rozmaite przybory, których użytku nie rozumiano. Złocistą deskę na ołtarzu pokazywano jako Boga, do którego się chrześcijanie modlili.

W pewne dni zjeżdżali się różni ludzie z daleka i odprawiało się tu coś tajemniczego, bo choć Jarmierz stał na straży i zbliżać się nie dozwalał czeladzi — podsłuchano śpiewy zdala.

Ukryci w krzakach starzy dziadowie wróżbic zapamiętywali twarze i nazwiska tych, co tu przyjeżdżali i przyjeżdżali, na przyszłą zemstę ich znając...

Nie porywano się jeszcze na nich jawnie, lecz

wszyscy ci nowi chrześcijanie na śmierć skazani byli, a dwory ich na spalenie.

Jedna z rodzin najdawniej nawróconych, Pomianów, straciła już była najstarszego, głowę domu którego w lesie niewiadoma ręka dościgała. Znaleziono go z włócznią w piersi, martwego na rozdrożu, a włócznia w piersi krzyżyk mu wbiła. Dwa razy pod dwór podłożony ogień ledwie zawczasu ugasić zdołano.

Dobrosławowi zgorzały jego stodoły i szopy, a nikt nie umiał powiedzieć, skąd w nich ogień powstał... Jarmierz nocy nie dosypiał, lękając się o Krasnogórę.

Widocznie złośliwe ręce jakieś podrzucały płomień, poily bydło wodą zatrutą, wyrządzały szkody w polach... Lecz winowajcy znaleźć było niepodobna.

Tak z jednej strony Mieszko wydawał potajemnie wojnę starej wierze, a ona z pokorą pozorną bronila się, nie podnosząc głowy.

Na grodzie nad Cybiną, w Gnieźnie i po innych zamkach lud orężny zbierano, a po uroczyskach w puszczach, na osamotnionych horodyszczach schodzili się nocami wróżbici i gęślarze na ciche narady... Nikt jawnie nikomu nie wypowiadał jeszcze wojny, a wszyscy czuli ją i sposobili się do niej.

Jednego dnia komornik wezwał Włastę do knezia... Porzuciwszy dwór swój na opiece Jarmierza pojechał posłuszny. Na wstępie powitał go Dobrosław i poprowadził do swej komory, z twarzą wesolą prawie.

— Mój ojcie — rzekł, — cieszcie się. Nadechodzą i dla nas godzina wyzwolenia! Mieszko walczy jeszcze z sobą i ze starem w sobie pogaństwem, ale nareszcie ulegnie. Dubrawka przybywa wkrótce.

Tu wskazał ręką ku gajowi świętemu i rzekł: —

— Tam, gdzie dziś balwanom jeszcze kłaniają się, tam wkrótce stanie się świątynia prawdziwa. —

ko zwleka, skłania się sercem i żal mu starego narogu, wyuzdania i swobody, w jakiej żył; jednego dnia naszym już jest, drugiego poganinem znowu. Przecie zwycięża w nim dobra wola. Reszty wpływ kniehini dokona. Nie chce on jawnie wystąpić przeciwko starym błędom, lecz daje nam swobodę nawracania. Was jednego mało... więcej duchownych nam potrzeba... skąd ich weźmiemy? Niemców naród niecierpi, choćby mu zbawienie przynosili, to z ich rąk je odepchnie. Czesi w domu mają dosyć do czynienia.

Trzeba nam męża, coby powagą, wiekiem, nauką, światobliwością i kneziowi i nam przodował a wiódł: męża doświadczenia i ducha wielkiego.

Dobrosław złożył ręce, jakby w zwątpieniu... Włast, a raczej ojciec Matja milczał pokornie.

— Byliście długo między Niemcami, którzy ze Słowiany graniczą, są tam kapłani naszego języka świadomi? Kneź, który was wezwał, nie wam nie powie, tylko byście na zwiady nad granicę jechali języka się starali dostać; — a ja mówię wam, przy- prowadźcie z sobą kapłana, któryby owczarni przy- szlej mógł być pasterzem.

— Ciężkie brzemie wkładacie na moje słabe ra- miona — odezwał się ojciec Matja. — Pocieszam się tem tylko, że nie ja, niegodny sługa Boży, ale Duch święty wybierać będzie tego, którego zechce posta- wić na świeczniku. Gdybym do ziemi łatyńskiej mógł iść, a! stamtąd z Rawenny lub Rzymu, przy- wiódłbym apostoła; lecz za długo nań czekaćby mu- sieli.

Szeptali jeszcze, gdy Dobrosława pozwano do knezia, a ten z sobą Włastą poprowadził; Mieszko się go śnać spodziewał i łaskawie mu się uśmiechnął.

— Potrzebny nam jesteś — odezwał się — od gra- niczyska się rusza... Gero czy jego następca gotuje nas. Trzeba wypatrzyć, co oni tam sposo- wismy w gotowości byli. Jedźcie, patrzcie

obaczaj ich znacze

Włast się do kolan mu sklonił.

— Miłościwy panie — rzekł — spełnię rozkazy wasze, ile sił starczy.

— A w podróż ludzi i co potrzeba Dobrosław wam dostarczy ze skarbcza mego — dodał Mieszko.

Nie dano Włastowi nawet tyle czasu, by do do- mu mógł powrócić; ludzi i konie, szaty i zapasy ka- zano wydać skarbowe. Tak niespodzianie znalazł się młody kapłan przed podróżą, która niebezpieczeń- stwy groziła, choć kilka godzin wprzód wcale o niej nie myślał. Lecz, że sprawa wiary się z nią łączy- ła, nie zawahał się na chwilę. Nazajutrz dodnia mu- siał wyruszyć.

Wieczorem Srokicha, dowiedziawszy się o jego przybyciu, pośpieszyła do swego gołąbka, chociaż od czasu, jak się w nim domyślała chrześcijanina, mniej dlań była czułą i z pewną doń przystępowała obawą. Miłość dla dziecka walczyła z odrazą do chrześci- jaństwa. Stara splotkała się, mówiąc o losach Hoży, Lubonia, a nawet Dobrogniewy, której teraz żalowa- ła, choć ta za życia niegdyś ciężką dla niej była.

Włast pytany, nie przyznał się jej, dokąd jedzie, nie mogąc zdradzić tajemnicy, — ale we dworze wie- dzieli wszyscy, iż się w jakąś podróż wybiera.

Ani zbyt liczny, ni zbyt szczupłym poczem nie mógł wyruszyć nad Łabę. Czterech ludzi, którzy z Niemcami nieraz się już widzieli i u nich byli w niewoli lub na szpiegach, dobrano mu do orszaku. Na czele ich stał Rudy Sulin, najprzebieglejszy z lu- dzi na posługach dworu, umiejący być w razie po- trzeby Niemcem, Serbem, Wilkiem, Pomorcem, Cze- chem, bo wszystkimi mowy jakby własną władał, a obyczaj wszelaki znał, jakby się w nim zrodził i chował.

Nawet postawa Sulina mieniła się jak mu było potrzeba, i jak zwierz, co na zimę wdziewa futro białe, aby go nie zdradziła, szersć w śniegu, tak o- umiał przybrać pozór, jakiego mu było potrzeb- Nie trwożyło go też nic i we a myś

choć miecz wisiał nieraz nad karkiem. U Niemców w niewoli umiał się z pęt rozplątać, z jamy wyleźć, z murów spuścić, stróżów złudzić, i z rąk im wysliznąć; z Pomorców i Wilków naigrawał się jawnie. Snu nie potrzebował, jadło mu bylejakie starczyło... drogi człowiek był na te czasy! Dobrosław mu też drogiego sobie Własta powierzył.

Rudy Sulin, zarówno jak Włast, znał ścieżki wszystkie, przejścia i przesmyki, brody na rzekach, niebezpieczne kąty, gdzie się rabusie zasiadali i chody, któremi przemknąć się było najłatwiej.

Trzej inni ludzie, mający towarzyszyć im, byli jak potrzeba: niemi, posłuszni, silni i czujni. Z innymi tak się przedzierać na pogranicze nie było podobna, bo i od Słowian i od Niemców groziło niebezpieczeństwo.

Czasu niewoli swej Włast przebywał dosyć długo u niemieckiego wojaka, który tu, z Frankonii przywędrowawszy, osiadł na zamczku nad Łabą i rycerstwem, a raczej łupiestwem na Słowianach się zabawiał. Była to prawa ręka Gerona, owego straszego Serbom i Polanom markgraфа, który tyle krwi przelał niewinnej, a zwano go Gozbertem.

Takich ludzi, jak Gero i Gozbert, potrzebowali cesarze niemieccy do tej walki zajądłej z pogany, którą wiedli, chcąc zawładnąć ich ziemią, do czego im nawracanie za pozór dobry służyło.

Starym już dziś był ów Gozbert, ale rzemiosła nie rzucił i wiódł życie, do którego nawykł, na przemiany w swoim burgu, uczując i używając lub na łowy przeciw dziczy z garścią swych ludzi wyjeżdżając. Ten to Gozbert niegdyś Własta był cesarzowi wraz z sokółem darował, a gdy później, ohrzezony i uwolniony, wracał do domu kapłanem, zajeżdżał mu się pokłonić i przypomnieć, a był jako duchowny dosyć miłościwie przyjęty. Teraz też zając się miał znowu udać się do niego, skąd łatwiejby mu było do Quedinberga jechać, szukać kapłana.

Badać go nie śmiała matka, dziewczę było odważniejsze.

— Coś bo niewesoło od knezia Mieszka wracacie! — odezwiała się. — Czyżby się co złego niesło?

— Co tam ma być! — rzekł Luboń. — Niema nic... Mieszek wojny patrzy i tęskni, gdy jej niema... Doma mu nudno...

Westchnął i popatrzył na córkę, która, nie wiedząc dlaczego, pod tem wejrzeniem ojcowskiem spłonęła. Zaciężył jej wianek leśny, zdjęła go ze skroni i poszła z nim do komory. Dopiero po odejściu jej starucha się do syna zbliżyła i w oczy mu badając spojrzała.

— Licho nadało! — zamruczał pocichu. — Zawsze mu się nasza dziewczka śni... ma żon sześć, a bez siódmej ani żyć... niechże jej szuka kędy chce, bo ja mojej nie dam... to darmo...

Pięścią o stół uderzył. Starucha w ręce plasnęła.

— Jeszczeby też! — zawołała. — Jedyne oko w głowie, kneziowi dać na zabawkę... A co jej po tem... Tam szczęścia nie zazna, gdzie ich tyle... Dziewczyne co rychlej trzeba komu dać, aby mu ta chętką odpadła...

— Tak — dodał Luboń — matko droga... Gdyby ich u mnie dwie albo trzy było i synów ze dwu do datku, łatwoby dziewczynę zaswatać, ale ona u mnie córką i synem, a kto ją weźmie, ten mi dzieckiem być musi i następcą... Luboń ojcowizny nie spuści lada komu...

Głową potrząsnął.

— Oj syna, syna mi żal! — westchnął.

— Serca sobie nie psuj — odezwiała się baba, łzę ocierając rękawem, — oplakaliśmy go... i pogrzebli...

— A gdybym ja go martwego widział i na stosie — mówił Luboń, — nie tyleby mnie serce bolało, jak myśleć, że on tam gdzieś niewolnikiem się obcym wysługuje z głową postrzyżoną... że Niemcowi wodę nosi i drwa rąbie...

Zamilkli oboje; obojgu ły się potoczyły, a słów nie stało.

— Nieszczęsna to godzina i dzień, kiedy ja go, dziecinę słabą, na nalegania i prośby z sobą na wyprawę wziął. Chciało mu się wojennej sprawy próbować zawczasu... Gdybyż padł od strzały... ale mi go z przed oczów Niemcy chwycili... Jeszcze słyszę jego wołanie, jeszcze widzę go, ręce wyciągającego ku mnie... a jam ranny, odcinając się sam trzem, w pomoc mu nie mógł pośpieszyć... i znikł mi z oczów na zawsze...

Ręką uderzył po stole i sparł się na niej Luboń, a stara go po głowie głaskać poczęła, płacząc.

Nie pierwszy to raz, ale setny może tak oplakivali dziecko stracone, choć lat upłynęło wiele, jak o niem słyhu nie było. W sercu ojca gniew i pragnienie zemsty rosły i gromadziły się z latami, a ile razy kneź Mieszko ciągnął na Niemców, prosił mu się Luboń, aby tej krwi się napić, która mu jego krew zabrała.

Stał on za Odrę i Elbę do Niemców z okupem, szukając jedynaka, a no już wszelka nadzieja była stracona, bo o dziecku wieści najmniejszej nie dostał, a lat kilkanaście od tego czasu upłynęło.

W milczeniu odstąpiła stara od syna, bo czas było myśleć, by sposobić wieczerzę, i choć dziewczęta już ją pewnie musiały nagotować, spojrzeć chciała stara gospodyni, co się tam działo. Luboń został tak sam z żalem swoim, na ręku podparty.

Wtem psy u wrót ujadać zaczęły i jeden z pacholków wszedł na próg.

— Co tam z psami? — zapytał pan.

— Podróżny, o gościnę prosząc, u wrót na koniu stoi... — rzekł pacholek.

— Co za jeden?

— Nieznajomy człek...

— A z wielu końmi?

— Sam jedzie.

Skądże się opowiada?

— Z nad czeskiej granicy.

— Prowadźcie go — odezwał się Luboń, wstając — nie juści go od wrót odeślemy...

I pochyliwszy się w okno otwarte, spojrzal.

Podróżny, niepozornie odziany, ze zmęczonego drogą konia zsiadał właśnie. Człek był młody, twarzy bladej, jakby przelekły i nieśmiały, broni przy nim żadnej widać nie było. Z odzieży trudno osądzić przyszło człowieka, bo się niczem nie odznaczał. Ciemną suknią był okryty, takiego kroju, jak ją po niektórych ziemiach noszono, włos miał przystrzyżony krótko, czapkę lekką, bez pióra.

Wyglądał ubogo, lecz wpatrzywszy mu się w lice, widać na nim było, że pod niem dusza mieszkala nieleniwa. Oczy patrzyły mu rozumnie, młode czoło świeciło jakimś myślami, a gdy do progu szedł, powagę miał jakąś i bezpieczeństwo dziwne, choć obcym tu był i nie wiedział, jak go przyjmą. I trwoga i wesele jakieś i pomieszanie razem na twarzy się malowały.

Na próg wszedłszy, ujrzawszy naprzeciw siebie Lubonia, jakby mowy zapomniał.

— Szczęście i błogosławieństwo progom waszym, panie mój! — odezwał się. — Podróżny jestem... do knezia jadę... do Poznania, w tę stronę, noc mię zaskoczyła... o gościnę proszę.

Mówił, jakając się i nieśmiało, a wciąż na starego spoglądając.

Luboń też wpatrywał się w niego bystro, sam nie wiedząc, z kim miał do czynienia, bo do wojaka rzybyły podobien nie był, i mowę miał choć swoją, ale skązoną.

— Przyjmuję was z ochotą — odparł stary, — siadcie i odpoczywajcie.

Wskazał na ławę, ale młody gość stał w progu i męchyło dopiero pod oknem zdala skromne zajął miejsce.

— Skądżeście i co was tu prowadzi? — zapytał

gospodarz, chleb podając do roz'amania na znak przyjęcia.

— Zdaleka jestem, ojcie—głosem cichym począł zwolna, ciekawie się rozglądając podróżny, — zdaleka... z za gór, z za rzek wielu, bom wędrował dużo... Choć mi się język zepsuł, tutejszy jestem...

— Tutejszy?—podchwycił Luboń—skąd?

Podróżny popatrzał się nań i zawahał się z odpowiedzią.

— Od Poznania jestem — wyjąknął głosem prawie drżącym — alem tu kilkanaście lat nie bywał... I urwał...

Te słowa dziwnie jakoś w uszach zabrzmiały Luboniowi; siedział na ławie zdala; usłyszawszy je, powstał i zbliżył się ku gościowi, wpatrując w niego pilnie.

Przybylec siedział w cieniu, okienniczka była napół zasunięta, Luboń ją otworzył, ale światła nie weszło wiele, bo na dworze mrok się robił. Klasnął w ręce o łuczywo na ludzi.

— Cóż to się z wami działo, żeście tu nie bywali tak długo, po obcych się włóczęc ziemiami—zapytał.

— Długoby to mówić było — wahając się jakoś, począł gość. — Małem dzieckiem na wojnie porwali mnie Niemcy od ojca...

Ledwie słów tych dokończył, gdy gospodarz skończył, oburącz go porywając za ramiona i głosem, który dwór cały przeraził jak piorunem, krzyknął:

— Włast! tyś Włast!

Gość padł na kolana, za nogi go obejmował i płakał...

Gdy dziewczyna weszła z łuczywem i postrzegła to, przestraszona, rzuciła ogień i wybiegła, choć sama nie wiedziała, co ją przeraziło.

W tejsze chwili na krzyk Lubonia nadbiegła stara matka i córka... obie drżące i o Lubonia strwożone. Ujrawszy nieznajomego, który jeszcze klęcząc—nogi jego ścisnął, a on głowę jego obejmował, okrywając pocałunkami, osłupiały.

— Włast—zawołała stara. I podbiegła ku niemu. Jakże tu opisać to powitanie odnalezionego po latach dwunastu... i tę radość osieroconego ogniska, u którego nagle zjawilo się dziecko stracone i oplakane oddawna.

Luboń stary szalał prawie... staruszka drżała, a siostra nieśmiało przypatrywała się z ciekawością temu młodemu mężczyźnie, który miał być jej bratem.

Sadzono go więc na ławie, a trzeba było napić go i orzeźwić, bo i jemu wzruszenie siły odebrało.

Słaby też i blady był, jakby znękany długą niewolą—a tu się pytania sypały, co się z nim działo i jak przeżył te lata.

Ojciec nastawał szczególnie—a odpowiedzi syna ciemne jakieś były, niewyraźne i poplątane. I nierzadko, jakby uspokoiwszy się i myśli zebrawszy, rozpowiadać począł o sobie, jako w niewolę od ojca wzięty, przez Niemca zrazu do najtwardszych robót zazywany, jak później go słabym uznawszy, dano niemieckiemu panu jakiemuś za pachole.

Z tym nowym panem dostał się Włast, któremu, jak mówił, imię zmieniono na Matję—na dwór niemieckiego cesarza... potem do innych ludzi, którzy tylko Bogu służyli... a ci, co go nowych rzeczy nauczyli i z sobą zabrali do innej ziemi, na południe, kędy zimy nie było nigdy, i gdzie stał największy gród panujących wszystkim krajom na zachodzie. Tam na usługach różnych i w spokoju bezoreźnie życie prowadził... i nie mówił, by mu ono bardzo ciążyło, tylko za domem i rodziną tęsknił zawsze.

Opowiadał Włast ojcu i swoim, co się cisnęło, aby go widzieć, z obawą jakąś, wiele rzeczy połykając, o których śnać wspominać im nie chciał, bo ojcu brwi się marszczyły. I nie mógł z niego dobać o wiele więcej nad to, że wojaczki całe zapomniał, obyczaju domowego zabył, języka się prawie odczył i że swoim stał się niemal obcym.

Smutno opowiadał to Włast, a smutniej jeszcze słuchać było ojcu, który, choć się cieszył z odzyska-

nia syna, widział, iż z niego będzie musiał nowego uczynić człowieka, aby do siebie przystać mogli.

Gdy niejasne to, tęskne opowiadanie się skończyło, a wszyscy milczeli — Luboń schwycił go za głowę raz jeszcze i ucałowawszy, rzekł:

— Dosyć, że cię mam — resztę sobie przypominisz, gdy będziesz z nami. Zasmakujesz w orężu i w dawnym życiu, a ja cię od boku mojego nie puszczać już więcej. I krew się w tobie odezwać musi.

Włast nie mówił nic, głowę z pokorą skłonił i zmilczał. A tu się sypały pytania, jak na tamtym świecie innym ludzi, miasta, wsie, wojna i pokój i potęgi obce wyglądały.

Włast potrosze opisywał, skąpy był jednak w o powiedziach, jakby go co za język trzymało, i lat dosirzedz było, że mu tam trochę serca zostało u dzi, do których był nawykł, bo na obyczaj ich, rę i na życie z nimi nie narzekał, a wiele rzeczy które były w ohydzie, chwalił. Potęgę zaś cesar i kneziów tamtejszych malował wielką i straszną.

Luboniowi słuchać było niemiło i tęskno, ale ust synowi zamknąć nie chciał. Wieczór tak zszedł przy luczywach, wesoło wprawdzie i dla Lubonia szczególnie, przecież nie tak, jakby był pragnął, bo syna znajdował z obcych rąk wróconego, niemal sobie obcym, i co chwila ojciec i on się nie rozumieli. Na ówczas Włast z pokorą mówić przestawał i powo dował się staremu cierpliwie.

Późną już nocą starucha przyszła oznajmić, że dla wnuka gotowe było na sianie w szopie posłanie, gdzie go Jarmierz, starszy przy Luboniu nad jego seciną, miał zaprowadzić... Rozstali się więc, jeszcze raz uściskawszy, i siostra przeprowadziła brata do proga.

Luboń został na ówczas sam, ale stanąwszy u poscieli, zadumał się, nie mogąc o śnie pomyśleć.

Radość z nim z jakimś strachem walczyła... Izy niemęskie czuł na powiekach. Włast to był, jedyne

siedzącym gdzieś daleko na stolicy, z której rozkazywał światu.

Do prawdziwych kłamliwie mieszały się wieści straszne, ciemnemu ludowi trudno było światło rzucić nowe, bo na nie gniewnie zamykał powieki.

Z pewnych cech wiedzano już, jak chrześcijan poznawać; znak krzyża i post zdradzały neofitów.

Stara Dobrogniewa, matka Lubonia, pierwszego wieczora miała przecucie, że Włast wracał nawrócony. Brak oręża, uboga szata, mowa, bojaźliwość, pokora zaniepokoiły ojca i babkę. Luboń wolał nie znać tego, nie wiedzieć o tem. Spodziewał się dziecka powrócić do starego zwyczaju; babka jątrzyła się, gniewała, a że w jej pojęciach z religią nową łączyło się czarnoksiężstwo i siła wielka, zarazem obawiała się wnuka.

Hoża, siostra Własta, patrzała nań z ciekawością niezmierną; nie widziała jeszcze nigdy takiego młodzieńca cichego i pokornego, tak niepodobnego do tych, co ją otaczali. Czula po niewieściemu, że to nie była niemoc, ale jakaś siła skryta i w sobie skupiona. I ona coś się domyślała, a dziwy, jakie prawiono o wyznawcach Chrysta, nadzwyczajne w niej obudzały pragnienie i ciekawość.

Wszyscy zarówno czekali niecierpliwie, aby się Włast zbudził i wyszedł do nich.

Jarmierz w komorze ojcowskiej wybrałszy odzież nową najlepszą i najokazalszą, czatował na przebudzenie. Lecz drogą i bezsennością, wzruszeniem samem znużony, Włast spał długo, a gdy Jarmierz, podpatrując co chwila, wszedł później do szopki, znalazł go na kolanach, ze złożonemi rękami, modlącego się już znowu.

Włast, czy go spostrzegł, czy zatopiony w modlitwie, nie posłyszał, ale nie ruszył się i nie powstał, aż modlitwę dokończył i ziemię ucałowawszy, dopiero z pogodniejszą twarzą ku niemu się obrócił.

Jarmierz, który go sobie chciał pozyskać, udał, że znaczenia tego rannego obrzędu nie zrozumiał.

poklonił się wesoło i zapowiedział, wskazując na odzież, którą we drzwiach trzymał chłopak, że życzeniem ojca było, aby się Włast odział inaczej.

Jarmierz był przebiegły chłop i rozumny, wojak zręczny, człek śmiały, serce miał dobre, ale życie swobodne, jakiego używał, najlepiej mu przypadło do smaku i wszelka odmiana była wstrętliwą. Kochał on swojego pana, Lubonia, jak ojca; — któż wie, pochlebił sobie nawet może, póki dziecko, cudownie odzyskane, nie powróciło, że on je kiedyś zastąpi, ożeniwszy się z Hożą. Patrzył na ładne dziewczę okiem gorącym, a staremu panu służył, krwi i potu nie żałując.

Pierwszy raz w życiu tej nocy goryczą i kwasem zapłonęło mu serce. Wszystkie jego nadzieje wniwecz się obróciły, wszystka służba wierna marnie poszła. — Syn powrócił.

Patrzył nań z zazdrością jakąś i żalem Jarmierz i nieledwie się ucieszył, gdy dostrzegł, że chłopak był nieśmiały, a do serca ojcu-wojakowi z trudnością mógł przypaść. Uczucia więc jego dla przybyśza nie były bardzo życzliwe; — miał doń żal, a jednak ujmującego w sobie coś takiego miał Włast, że gdy się doń odwrócił i uśmiechnął, podając rękę na powitanie, Jarmierz uczuł, sam nie wiedział — litość czy poszanowanie, a zazdrość na chwilę w nim wystygła.

— Ojciec wasz, a pan mój, junoszo Włastie — rzekł, pokazując na chłopaka, który odzież składał przed nim — życzy sobie, abyście suknie zmienili, aby się i pamięć nie została dawnej biedy. Przyniosłem wam, co było najlepszego, będzie w tem lepiej, niż w starej, podróżnej siermiędze. A i bez miecza synowi pańskiemu być nie przystoi.

To mówiąc, śmiał się do niego. Włast stał, patrząc w ziemię zmieszany jakoś i smutny.

— Ja bo, ja... — rzekł — tak do tej sukni nawykłem...

— E! niema jej co żałować — śmiejąc się ciągle,

wesoło mówił Jarmierz. — Tu u nas zobaczycie obyczaj inny, swoboda zdrowa, życie wesołe! Koniam dla was nagotował jak ogień, luk, procę i oszczepek.

Włast oczy nań podniósł bojaźliwie.

— Mój kochany Jarmierzu, ja się z tem obchodzić nie umiem! — odezwał się głosem drżącym.

— A cóżecie wy tam między Niemcami robili? Nie jużcież w spódnicyście chodzili, junoszo Włastie! E! toć trzeba tego pozbyć. Ja was pamiętam dawniej, bom mało co od was starszy, choć wy mnie może nie pamiętacie; — wyście dzieckiem rwali się do dzidy i młota, ledwie mogąc go dźwignąć. Jakże się to stało, żeście tak odmienić się mogli?

Włast zmilkł; spojrzał na wesołego soтника i uśmiechnął się smutnie.

— Kiedyś to zrozumiecie — rzekł po namyśle.

— A wy tymczasem przypomnijcie sobie młode czasy — zawołał Jarmierz. — Stary Luboń mi wam służyć kazał; zobaczycie, że wam dobrze usłuży. Będziemy się na koniach pędzali po lesie ze psy i oszczepami, aż się dusza rozraduje! Hej! hej! może się tam i inna zwierzyna nadarzy. białe dziewczę w wianuszkach, co ze śpiewką błądzi po lesie. Bez tego bo wyżyć trudno.

Włast ręce zacisnął, załamał, zapłonął i cały powiódł przestraszonymi oczyma. Przed nim leżała odzież przyniesiona, patrzył na nią z trwogą.

— Czyż koniecznie mam zrzucić moje odzienie? — spytał — czyż koniecznie?

— Stary tak kazał, a on nieposłuszeństwa nie lubi — odezwał się Jarmierz zeicha. — Tak, tak, i miecz trzeba przypasać do boku!

Włast zamilkł, zamyslił się nieco i leniwo ścigać począł odzienie stare. Gdyby w szopce nie było tak ciemno, Jarmierz ciekawymi oczyma dojrzałby był leż na jego powiekach. Mały węzełek, który Włast wioził z sobą, przytroczony do konia, a który

leżał przy pościeli, z niepokojem jakimś obejrzał, jakby się o niego zatroszczył.

— Powiedźcie mi, gdzie ja to mogę złożyć bezpiecznie? — zapytał.

— Jakto, bezpiecznie? — podchwycił Jarmierz zdziwiony. — Ja nie wiem, jak tam u Niemców jest, a no u nas drzwi wszystkie otworem, leży każda rzecz, gdzie chce, nikt jej nie ruszy. Jakem żyw, nie słyszałem, żeby sobie kto co przywłaszczył! Gdzie położyć rzeczy wasze, nikt ich nie będzie śmiał ruszyć.

Włast pomyślał chwilę.

— Prawda, tak i dawniej bywało! — odezwał się. — Ludzie u nas dobrzy.

— To wiemy, że u Niemców na kłody zamykają drzwi, wrota i skrzynie. U nas tego nie było i niema — dodał Jarmierz. — A no — rzekł, widząc, że się Włast nie śpieszy — odziewajcie się, ojciec czeka.

— Dziś — mówił dalej — dzień jeszcze przejdzie spokojnie, jutro może jechać, a potem toć uroczyscie obchodzić musimy powrót wasz i sąsiady zaprosić, i z pańskiego dworu, z Poznania pewnie starczyzna się przysunie na stare miody.

Słuchającemu Włastowi twarz pobladła, wdziawał tymczasem podane suknie opieszale i jakby ze wstrętem. Były one z cienkiego sukna i bramowane, barwy jasnej, kroju pięknego i Włast też w nich wcale się wydawał inaczej. Jarmierz sam mu mieczyk przypasał.

— Ot! teraz — zawołał — toście do ludzi podobni. Na drogę, do przekradania się, dobra była sukmana ładajaka, a dla syna władzyki Lubonia nie przystała.

Włast odziany był i mieli wychodzić; zakłopotał się jednak o swój węzelek znowu.

— Dajcie mi go, zaniosę Dobrogniewie do komory.

— Nie — nie, wezmę go sam — zawołał niespokojnie Włast, i z pewnem poszanowaniem ujawszy swój węzelek, wyszedł z Jarmierzem z szopki.

We drzwiach dworu pod słupkami stała Hoża w wianku; zobaczywszy brata idącego i niosącego ciężar na rękach, uśmiechnęła mu się wesoło, z ciekawością zaglądając w oczy.

— Dobry dzień! — zawołała — dziś wam lepiej w sukni nowej. Ale cóż niesiecie?

— A! nic — odparł Włast, — ot, różne podrózne moje rzeczy, które potrzeba w czystym gdzie miejscu złożyć bezpiecznie.

Dziewczę wyciągnęło białe ręce.

— Dawaj! — zawołała.

Zawahał się nieco Włast, lecz po chwili oddał je siostrze spokojny, a Hoża znikła z niemi.

Z za drzwi widać było Lubonia, ale jakoś zasepionego. Syn mu do kolan przypadł. Popatrzał nań i lice się rozjaśniło trochę, wdzięcznie też okiem rzucił na Jarmierza.

Weszli wszyscy do izby.

Tu stara Dobrogniewa pilnowała dziewcząt, zastawiających obiad ranny na misach glinianych. Był to piątek właśnie, ale poganie dni nie rozeznawali inaczej, tylko je licząc po księżycu zmianach.

Gdy Włast na stół spojrział, lice mu żywym zapłonęło rumieńcem. Wahać się zdawał czas jakiś, co pocznie, stał pomieszany, a ojciec, już siadłszy, ręką go do siebie i jadła wzywał.

Pierwszą próbę miał młody chrześcijanin do przebycia w domu. Był na nią przez siebie i przez duchownych przygotowanym, ale od niego samego zależało uznanie, jak sobie postąpić był powinien. Po namyśle zasiadł z westchnieniem i dla niepoznaki razem z ojcem i Jarmierzem jeść zaczął, ale skromnie i zwolna.

— Gniewaliby się na mnie sąsiedzi i mieliby prawdę po sobie, żebym im nie dał znać, iż mi syn wrócił z niewoli i jakby na nowo się narodził. Trzeba posłać po dworach z wesołą wieścią. Na ósmym poroniu po nowiu niech się druhowie zjadą, aby objąć

ze mną Bogu złożyli. Jarmierz pośle parobków, a wie, kogo prosić.

Sotnik głową skinął.

— Na dwór ja do pana a knezia sam z nim jadę — dodał Luboń, — albo dziś lub jutro.

Włast nie śmiał nic rzec.

— Ale spocząć i orzeźwiać się trzeba junoszy — wtrącił Jarmierz.

— Do łaźni go weźmijcie — dodał Luboń, — a potem się wyleży, wyśpi, i ta bladeść, którą na twarzy przyniósł, zejdzie z niego.

Mówili tak, gdy stara Dobrogniewa, u drzwi stojąc z założonemi rękami, milcząc, we wnuka się wpatrywała, jakby czekała, żeby go chwycić i sam na sam z nim rozmówić. Zaglądała i Hoża, do ojca i do niego się śmiejąc, bo jej — dotąd jedynaczce, wiele wolno było, jak hodowanej ptaszynie, co siada, kiedy chce, i szczebioce piosnkę, nie pytając.

Wnet po strawie Jarmierz na konia chciał posadzić Włastę, który mu się wyprosił; ojciec jechał na łowy, bo na przyjęcie sąsiadów dzikiego mięsa było potrzeba — ale synowi pozwolił doma zostać.

Włastowi więc dano wolność, a gdy się rozeszli, i on na przyzbie też powoli wysunął, poczuł za sobą idącą starą babkę.

— Włast — rzekła mu półgłosem, — chodź ty za mną.

I skinęła nań, wiedząc go w tę stronę domu ku kamieniowi, gdzie zwykle z kądziałą siedziała w cień. Hoża też chciała za nimi iść, lecz stara jej znacząco ukazała na drzwi i dziewczę znikło.

Kądział wzięwszy z pod ściany, bo bez tej się nie ruszała, starucha powlokła się na swe zwykle siedzenie. Włast stanął nieopodal. Przysposabiając len i próbując wrzeciona, stara spoglądała na niego, namyślając się, co mówić. Twarz miała czegoś posępna i jakby gniewna.

— Dwanaście lat — odezwiała się, — dwanaście lat, to strasznie długi czas — poczęła zwolna wpół do

siebie, wpół do niego. — Jam się do reszty skurczyła i zlamala, a z ciebie te Niemcy krew wypili! O! nie może być — westchnęła — aby długiej niewoli u obcych nie zostało śladu, nie może być!

Popatrzała nań.

— Zarazić cię musieli swojemi czarami i zrobić z ciebie Niemca. Któż to nie wie, że ptak hodowany do leśnego niepodobny. Tak i ty. A cóż? a cóż? pewnie. Nie zapieraj się. Ja stara, mam już siwy włos, wiem wiele, przez oczy patrzę w człowieka.

Poczekawszy trochę, gdy Włast nic nie odpowiadał, ciągnęła dalej.

— Teraz to dopiero potrzeba zapomnieć, a co zapomniane, odnowić — rozumiesz, Włastek? Ja ciebie na rękach nosiła, ja cię chodzić uczyłam, ja cię mówić zmusiłam, ty nasz, ty krew nasza, trzeba, co tam było, zapomnieć.

Pokiwała głową starucha.

— Niby to my nie wiemy, co od Niemców ludzie wynoszą. Swoje u nich bogi zapominają, a my tu cudzych nie cierpimy. Wiesz, Włast, tam na Pomorzu przychodził jeden z nowym bogiem do nich, to go zabili... i dobrze zrobili, dobrze! Nasza ziemia do naszych bogów należy, a cudzy tu nie będą panowali, nigdy! Posyłają przodem swojego Boga, aby im ziemię zawojował, a z nas niewolniki uczynił? Tak! my to wiemy!

Zmilkła trochę i nic poczęła wyciągać długą, a potem kręcić na kolanach wrzecionem, głową tylko potrząsając! czekała snąć, aby Włast coś jej odpowiedział, ale wnuk milczał. Myśli mu różne chodziły po głowie, nie wiedział, od czego ma rozpoczynać.

Starą to utwierdziło w przekonaniu, iż winowajcę przed sobą miała, i znowu mruczając, zaczęła:

— Słuchaj, Włast, słuchaj! — ojciec na ciebie wczoraj patrząc, smęcił się, radując, boś ty nam odmieńiony powrócił. Gdyś był dzieckiem, to cię z konia

zsadzić nie można było i do izby napędzić. Pamiętam sama, żeś tak ciskał oszczepem, że nim ptaki bileś, a teraz ty to potrafisz?

— Nie — odezwał się Włast. — Nie, babo miła, teraz oszczepu w rękę nie trzymałem dawno, lecz, wiercie mi, nauczyłem się wielu innych rzeczy, które się u nas przydadzą.

— Mówże, czego? — spytała Dobrogniewa.

— Patrzałem, jak tam około roli i ogrodów chodzą, jaki ład około domów, jakie budowania kamienne.

Starucha ręką z wrzcionem zaczęła wywijać w powietrzu.

— My nie rolnicy, to chłopska rzecz — odezwała się. — Władki syn nie potrzebuje roli patrzeć. Jemu do tego nie! — na to są parobcy i bartnicy, chleba stanie. Wasza rzecz — koń, dzida i oszczep.

Włast zmilczał znowu.

Dobrogniewa poczęła mruczeć coś niewyraźnie, podniosła na niego zaczerwienione oczy, jakby krwią zaszele i przędła.

Ze starą mówić nie było można; zmilczał wnuk, i widząc, że ona też rozmowy nie rozpoczyna na nowo, byłby odszedł, gdyby niewyraźne jej mruczenie znowu się w głośniejsze nie zmieniło.

— Zabili tego na Pomorzu! zabili! — mówiła do siebie niby. — Dobrze zrobili; zdrajcą był, na Niemców ich chciał nawracać, do niewoli. Włóczęgią mu piersi przebili. Kamieniem głowę roztraskali, dobrze zrobili. Ciało wilkom rzucili, dobrze uczynili, dobrze.

Oczy starej zwróciły się ku miejscu, gdzie stał nieruchomy Włast; sądziła, że go ustraszył, ale na bladej twarzy wnuka nie widać było najmniejszego śladu obawy. Uśmiechał się łagodnie.

Milczeli potem oboje. Włast jeszcze się wstrzymywał i po długim wahaniu przybliżył się do staruszki.

— Dziękuję wam za przestrogę — odezwał się —

u pana palił i u stóp jego łóżka sypiał. Czasem mi tarczę i oszczep nosić dawał. A coś z rok to trwało. Aż się na zamku zrobiła wrzawa wielka, że cesarz z obcej ziemi przyciągnie na wiosnę.

— A kóż to jest? — spytała Hoża.

— Jest to pan nad wszystkimi panami, kneziami i ich królami, i nad ziemiami wszystkimi, które on jednym odbiera, drugim daje, jak chce. Na rozkazy jego stawia się wszyscy i służą mu. I mój też zaraz, ludzi zebrawszy, na święta ciągnął do cesarza, gdzie mnóstwo ludu już było z dalekich ziem. Do stało mi się z nim też pojechać do noszenia tarczy i włóczę, i ze dworem razem ciągnęliśmy do grodu, gdzie cesarzowi mieli kłaniać się i dary przynosić wszyscy. A żem w domu sokoła czasem nosił, który był bardzo piękny i mądry, przystroiwszy mnie, pan mój wraz z sokołem cesarzowi ofiarował.

Poszedłem tedy z niewoli mojego małego pana w niewolę wielkiego — a raczej w niewolę niewolników jego, ale tak chciał los mój. Tu krótko pobywałem, cesarz, obdarzywszy kneziów swych i margrów i urzędników, nazad do południowej ziemi państwa swojego ciągnął, i ja z nim, z sokołem i ze dworem.

Gdy Włast mówił tak, a Hoża, sparszy twarz na rękach, z uwagą mu się przysłuchiwała — doszedłszy do tego miejsca, wstrzymał się na chwilę, jakby przypomniał, przed kim mówi. Pomiławszy dopiero i myśli zebrawszy, dodał krócej, zbywając siostrę:

— Tamem w tym kraju przebywał długo, ale mnie cesarz dał innemu panu, który nad świątynią tego kraju pewno starszym był. Więcem i u niego i przy niej służył, zapatrując się na ich obyczaje.

A potem — dodał, zrywając się i spuszczaając oczy — darowano mnie wolnością, bo starzec, u którego służył, dobry był i serca miłosiernego. Pozwolili mi iść, kędym chciałem, dawszy na drogę odzież i suknie i co było potrzeba, a polecając mnie ze dworem

serce ją macierzyńskie natchnęło, ale babuś kochana, gdym tu szedł po dobrej woli, wiedziałem, co mnie czekać może i że na gody nie idę, ale na trudne życie. Tęsknota mnie do was i miłość przyprowadziła i powinność... Więc jeszcze za przestrożę dziękuję!

Stara pogroziła mu palcem.

— My cię oplakali, myśmy cię kochali, ale Niemca z siebie zrzuć, bo choć nasza krew, my cudzego tu nie zniesiemy, nie! Taka ja, a ja co? wiedźma stara;—ale taki ojciec twój i tacy my wszyscy.

Domawiając tych słów, wrzecionem trzy razy uderzyła w ścianę, przy której siedziała. Na ten znak zaszeleściło coś i Hoża nadbiegła. Tej stara wskazała na Włastę, jakby nakazując, aby go sobie wzięła, i siostra, skinąwszy nań, poprowadziła go na pierwsze podwórze.

Od wczora ledwie słów parę przemówili do siebie. Hoża była ciekawą, skorzystała więc ze swobody i na ławie z nim usiadła na przedsieni, wpatrując się w brata z zajęciem wielkiem. Włast nieśmiało patrzył na nią.

— A Włastku ty mój—poczęła, zwolna się ośmielając,—co tu za tobą lez się wylało i przekienstw na Niemców poszło! Biedny fciec, jak on nigdy zapomnieć nie mógł, że ranny obronić nie potrafił porwanego! A któż nawet pomyślał, że ty kiedy powróć nie możesz do nas? Chyba mnie się to jednej zasem śniło. Ale mówże, mów, co się działo w tąd i gdzieś bywał i jak cię oni męczyli! a mów! Wczoraj słuchałam pode drzwami, gdy cię ojciec pytał, i małoś co mu powiedział. A przede mną możesz wszystko a wszystko.

Włast z uśmiechem dobrotliwym patrzył na nią.

— Powoli to się wszystko wypowie—począł,—odrazu trudno by się zrozumieć, Hoża moja. Było mi zrazu bardzo źle, bo mnie jak niewolnika postrzygli i do ciężkiej pracy wzięli. A żem zręczniejszy był, choć niebardzo silny, potemem w piec

ką, która chrześcijanką jest... Z nią przy pomocy Bożej, wiara Chrystusowa do nas zawita i rozkrzewi się.

Gdy Włast wyrzekł słowa—do nas,—z uwagą większą poczęli nań spoglądać wszyscy. Wigman w niego wlepił oczy.

— Kapłanów nam tylko mężnych a gorliwych potrzeba...—dodał Włast.—Szczególniej takich, aby język ludu rozumieli i przemawiać doń mogli.

— Sto lat upłynie, setki kapłanów zginie...—począł Wigman,—a wy, z waszą dziczą ślepą nie przejrzyście... Słowianin, jak szczenię, ślepo się rodzi, ale pies prędko przeziera, a on na zawsze ślepym zostaje!...

Na te uwłaczające narodowi wyrazy Włast zarumieniwszy się, zrazu odpowiedzieć nie umiał cesarskiemu powinowatemu, który z własnego porównania śmiał się sam, bo mu jakoś nie wtórowali drudzy.

— Duchowny jester. — odezwał się Włast wkońcu—nie przystoi mi nic innego, tylko obelgę znieść i przebaczyć... Miłościwy panie—dodał jakby natchniony—jako od duchownego przyjmijcie to życzenie, aby was Bóg nie pokarał i nie upokorzył, a oręza wam przed owymi ślepcami składać nie zmusił...

Słyszac tę odpowiedź dumny Wigman, z oczyma zaiskrzonymi i pięścią zaciśniętą, zwrócił się do Własta.

— Milcz ty klecho jakiś—zawołał—a dziękuj swej sukni i gościnie tej, że ci na wieki pyska wszetecznego za to życzenie zamknąć nie każe... Wigman przed cesarzem, bratem swym, nie ukorzy się nigdy... cóż dopiero przed parszywymi jak wy poganami...

Mowa ta gwałtowna, nieprzystojna, a niezasłużona śnać się nikomu z przytomnych nie podobala, bo wszyscy umilkli; duchowni zaś na Włastę spojrzeli, jakby chcąc się przekonać, co uczyni i jak nań dziać.

— Dziękuję wam, miłościwy panie—odezwał się Włast, iż mnie cierpliwości uczyć raczycie, a przypominacie naukę Zbawiciela, która uderzonemu w policzek drugi nadstawiać każe. Najnędnieszy i niegodny sługa Boży szczęśliwy jestem, gdy cierpieć mogę...

Wigman już prawie odpowiedzi tej nie słuchał, ze dzbana sobie nalał miodu i pić go zaczął, chwile, plecami się potem zwróciwszy do Własta, spał tak na rękę, by na niego nie patrzył i mógł nawet o przytomności jego zapomnieć.

Czas jakiś panowało milczenie, duchowni wszyscy z pewną ciekawością i poszanowaniem spoglądali na Włastę, który już zupełnie ochłonawszy i pobladłszy, spokojnie na swem miejscu siedział. Gozbert parę razy nań spojrzął tak, jakby też z odpowiedzi, którą za zachwałę uważał, niebardzo rad był.

Wigman zaś, unikając nowej zaczepki i przedmiot rozmowy chcąc zwrócić ku czemu innemu, począł mrucząc opowiadać, wedle powszechniej w owym czasie wiary, iż mu ojca jego duch często się nocami ukazywał, co on miał za sprawę jakąś o pokusę szatańską.

Starszy z duchownych na te słowa odezwał się:

— A dlaczegożby wistocie duch ojca nie miał przybyć do syna, żądając od niego pomocy?

— Boć—zawołał Wigman—włóczyć się duchom umarłym po ziemi, na której już nic do czynienia nie mają, pewnie Pan Bóg nie dopuszcza...

Mówił to szydersko, gdy starszy z duchownych, wysłuchawszy go, począł.

— Jest jednak rzeczą pewną i mnogimi przykładami wiarogodnych osób stwierdzoną, iż duchom zmarłych częstokroć bywa dozwolonem ukazywać się na ziemi. *) Gdy świętej pamięci król Henryk, ojciec miłościwego pana, cesarza naszego, Ottona, wielką mocą podbił Czechów, Dalemiców, Obodrytów, Wil-

do dworu dla bezpieczeństwa. I tak z panami jadącymi do Niemiec, to z jednym, to z drugim w ich orszakach, dobiełem się na Łabę; tęsknica mnie za wami wzięła i przebiełem się aż tutaj...

Umilkł Włast, a ona jeszcze słuchała.

— Jestże to inny kraj, niż nasz, ten, w którym byleś tak długo? — spytała.

Włast się uśmiechnął i westchnął.

— Niema w nim zimy — rzekł. — Cały rok zieloność trwa i kwiaty tam kwitną, a jeśli czasem nie, to się zachmurzy i z deszczem śnieżek poproszy, znika tak, że go chyba w powietrzu zobaczy. I dziwnie tam piękne niebo, i słodkie powietrze, i owoce smaczne.

— A ludzie?

— Ludzie — opowiadał Włast — czarni i opaleni i gwałtownego serca, ale rozumni i wspaniali zarazem.

— A wieś?

— Domy i grody, o jakich nam się nie śniło. — Po jakimś narodzie, co tam panował, olbrzymie mury zostały, i niema domostw, tylko kamienne a wysokie, kamieniem wykładane drogi, a rzeki górą płyną w korytach ze skał kutech.

Dziewczę niedowierzająco bratu w oczy spojrzało. Włastowi świeciły źrenice i usta się śmiały.

— A! — mówił — więcej tam daleko cudów jest, niż moje usta wypowiedzieć mogą, a twoje serce uwierzyć. W kamiennych tych domach skarby są zaczarowane, złoto i kamienie jasne i ze złota a kruszcu lane i rzezane postacie jak żywe. Jakież to język wypowie? A któż opisze tego cesarskiego dworu wielkość i potęgę, i tych wojaków w żelazo pokuwanych, całe zastępy, któreby mogły świat zawojować! I przepych ich sukni, ich wozów, koni, i mądrość ich kapłanów!

Nagle Włast zamilkł, a Hoża, milcząc, zawsze jeszcze słuchała.

— A! — zawołała pocichu. — Jakże się tobie, bracie, wydadzą teraz lasy nasze, i drewnianość...

i puste kraje. Ty będziesz śnić i tęsknić za tamtymi! A nam, gdyby złote obiecywano góry i nie wiem jakie niebo, — ach, jabym nie mieniała kraju bez zimy na nasze smutne noce burzliwe!

— I jabym nie mieniał — przerwał Włast, — i nie zatęsknię ani za dworem, ani za złotem, — ale za jedną zatęsknię rzeczą...

Głos mu cichł zwolna i ustał.

Siostra, uśmiechając się, patrzyła, a myślała, i ka ta jedna rzecz być mogła, za którą brat jej tęsknić. Rumieniec okrył twarz, serce uderzyło myślała w duchu.

— Wiem!

Ale powiedzieć nie śmiała i twarz ukryła w dłońiach.

Włast też jakby się domyślał czegoś, pokraśn i zadrżał.

— Hoża moja rzekł, — za czem ja tęsknić będ to ci kiedyś powiem, nie dzisiaj; ale to wiedz, ani za człowiekiem, ani za stworzeniem żadnem, ani za bogactwem, ani za skarbem żadnym ja tęsknić nie będę, tylko za czemś, co nad wszystkich ludzi, nad skarby wszelkie, nad życie nawet jest droższem. Ale dziś to musi dla ciebie, siostró moja, tajemnicą pozostać.

Zamilkł Włast. Hoża zbladła i nie odezwała się. Sparta na rękę, zadumała się głęboko, któż zgadnie, o czem? o kraju bez zimy, o tem, co nad skarby droższe, o tajemnicy brata, o innych ludziach i światach?

Od kilku już chwil stojący nieco opodal Jarmistrz patrzył na nich okiem ciekawem i zazdrośnem, jak ich chciał podsłuchać. Przy nim stały dwa konie kryte sukniem i do jazdy gotowe. Jeden z nich i Włast drgnął mimowolnie, posłyszawszy głos

Spojrzał, — Jarmistrz dawał mu znaki; czas po staremu na koni siąść i rękę do oszczepu wiać na nowo. Niechętnie wstał Włast, — ale być posłusznym.

III.

Naznaczonego dnia na Krasnogórę zawczasu się zaczęli zjeżdżać sąsiedzi.

Na przyjęcie ich we dworze wszystko już było gotowem, lecz że się wielu spodziewano, a dwór, acz obszerny, nie starczył dla tylu gości, dzień się czas obiecywał pogodny, bo od rana białe tylko chmury przebiegały po niebie, a wiatr chłodnawy powiewał ze wschodu, w lasku za dworem poustawiane były w cieniu drzew starych długie stoły z tarcie, łęcznikami szytymi czerwono pokrywane.

Do przyjęcia gości niewiele naówczas było potrzebne, gdy wszyscy z jednej czerpali misy i z jednego krajali sobie mięsa nożami, które każdy miał u pasa. Proste kubki do napoju służyły, a z wyłoczonej beczki nalewano do dzbanów, które po stole krążyły. Pańskie stoły tylko bogatszym kruszczem naczyń się różniły.

Zamiast w kuchni, u ognisk na podwórku piekły się całe kozły, barany i dziki.

Cała służba niewieścia od rana w wielkim była ruchu, a stara Dobrogniewa, choć nie rzucała kądzieli, niespokojna często się włókła zaglądać, co się z jej dziewczętami działo, zwłaszcza, gdy głośniejsze śmiechy od strony ognisk się rozległy. Naówczas stara wychodziła ze swego zakątka i rękę z wrzcionem, którego nigdy nie puszczała, podnosząc do góry, niemą tą groźbą zmuszała zbyt wesolą gawiedź do chwilowego milczenia.

Wkrótce jednak potem, gdy groźne widmo znikło z oczów, zaczynały się szepty i rżenia, rosły, podnosiły się, śmiech ogarniał znowu i zwyciężał strach a rodził wrzawę.

Od rana Luboń w najpiękniejszym swym stroju z sukna cienkiego, sznurami szytym i taśmami, dził, rozglądając się, dokoła domu.

Taką samą suknię, jak sobie, na znak na

kazał wdziać synowi, odziewszy go zupełnie jednako. Mieczyk mu dobrano podobny i wszystek przybór, a przykazanie było, aby się od boku ojcowskiego nie oddalał.

Jarmierz stał na czele pacholków i służby. Żłoby dla koni wcześniej pozasypywano owsem; siano świeże zapelniało drabiny; pomyślano wedle praw starej gościnności, aby i ludzie, i konie, i psy głodne nie były. Wielu bowiem, jadąc, psy z sobą zabierało, aby, przez pola i lasy jadąc, nie próżnować.

Już kilku bliższych sąsiadów w podwórku z gospodarzem rozmawiało, na syna spoglądając, a żaląc się nad nim, iż blade a mizernie powrócił do domu, gdy zatętniało i szybkim konia pędem wpadł na podwórze barczysty, zarosły, zasapany człek, wesołego oblicza, oczu wypukłych, rażny a butny, i z konia skoczył, mimo otyłości, jak młody chłopak, ale cugli jego z rąk nie puszczać, z nim razem podszedł do gospodarza.

Ten skinął, aby mu konia wzięto, ale przybyły oddać go nie chciał.

— Ja zaraz powracam — rzekł. — Słowo tylko. Szczęśliwy Luboniu, panie mój... dobrą wam zwiastuję nowinę... Mieszko, pan nasz miłościwy, zasłyszawszy, że u was gody, sposobi się też przybyć choć nieproszony. Bałem się, abyście frasunku stąd nie mieli, gdyby niespodzianie was zaskoczył... Wziąwszy więc konia, na przełajem się puścił lasami, byście w gotowości byli na przyjęcie pana miłościwego...

Lubon pobladł trochę i czoło pocierał.

— Wielka to cześć dla domu mojego — rzekł — miłościwego pana gościć... anim wart...

— Miłuje bo was nad innych — odparł zasapany pōseł.

Lubon głowę skłonił pacholcowi, który stał niedaleko; miodu kazał podać, aby się przybyły pokrzepili, a twarzą więcej widać było zakłopotania, r

Miód wnet przynieśli, a Słogniew, który był dworu knezia starszym, pił za zdrowie gospodarza syna jego.

Potem, ledwie okiem rzuciwszy po podwórzu i zebranej drużynie, rękę podał i już na konia się sadził, a tak rażno znów na grzbiet mu skoczył, iż się aż patrzący zaśmieli. Ręką ich pozdrowiwszy dookoła, do wrót nazad ruszał; ledwie za nie wyjechawszy, konia pocisnął i już tylko tuman kurzu zwił się przez półko bez drogi ku lasowi.

Lubon też zaraz znikł. Szedł do znanego kamienia, na którym stara prządka siadywała.

— Matko — rzekł — licha nasza dola, choć część wielka... Knezia będziemy mieli, Mieszek przybędzie... A nie co go tu prowadzi, ino Hoża, bo mu już świeżej trzeba... Niechże się schowa, aby jej nie było... bo kocha on mnie, kocha... miłuje i czi, ale córkę od studni schwycić każe, aby tylko mógł...

Potrząsnął głową stary. Dobrogniewa też wstała, biorąc kądziel z sobą i poszła zaraz wnuczki szukać.

Było w obyczaju, że niewiasty gościom, zwłaszcza dostojniejszym, służyły, jadło i napoje przynosiły, sługi doglądały zdaleka, chociaż do stołu z mężczyznami nie siadały nigdy. Sposobiła się więc i Hoża wystąpić jako gospodyni i przybierała właśnie w izdebce. Dwie skrzynie malowane stały otworem, a niewieście stroje porozrzucane leżały. Hoża tylko po lśniące kosy posplatawszy, wianuszek ruciany wieży miała kłaść na nie, gdy starucha z nieodstępą kądziela na progu się ukazała.

— Hej! — rzekła. — Stroju by tego dosyć było... po wam dziś rumianego leczka na gorące słońce nie wystawiać... Zaświeci nam tu takie, że spalić może twarz i wianuszek zwarzyć... Niechaj Hożę główka boli... bezpieczniej w chłodzie przesiedzieć poładnie...

Dziewczę żdziwione patrzyło, gdy stara przystąpiła, szepejąc:

— Mieszko, kneź, przybędzie tu... już o nim ojciec wie... i nie chce, byś się pokazywała.

Splonęło dziewczę i ręce jej od wianka opadły.

— Cóż ci żal? — zapytała starucha. — Ej! czego znówu? Wleż na strych a odsuń dranicę... będziesz wszystko widziała... a ojciec nie chce, aby na ciebie patrzano.

Hoża siadła na tapczanie i głowę zwiesiła.

— Wola pana a ojca, — będąc posłuszna ozwała się. — Ani mi tak bardzo żal... aleby mnie też nie zjadł oczyma!

Dobrogniewa głową kiwała.

— Co ty wiesz, przepiórko ty młoda! — poczęła mruzczyć. — Co ty znasz?... Oczy jedzą! oj! jedzą oczy! a z kneziami dziewczętom nie żartować. Już on cię, prawda, napatrzył raz, już ślali od niego, że za siódmą-by cię brał, a ojciec mu powiedział — tylko za jedną i jedyną ją dam... A no, co? wówczas syna nie było? tyś mu była córką i synem... teraz Własta ma, czemu by cię za siódmą nie miał kneziowi dać?... Choć — ciszej mówiła stara — z tego syna, z tego Własta nikomu nie będzie pociechy... Niemiec w nim siedzi...

Widząc dziewczę zasmucone, stara się do niej zbliżyła, pogłaskała ją po głowie, usta do czoła przyłożyła, westchnęła i powoli wyszła napowrót.

W podwórku i pod drzewami coraz zaczynało być ludniej i gwarniej. Przybywali z okrzykami przyjaciele, powinowaci, sąsiady zdaleka nawet. Każdy przynajmniej ludzi i koni z sobą miał dziesiątek, więc czeladzi gromada jeszcze była większa niż gości. Za szopami, gdzie się to wszystko zbierało i gdzie już stało piwo, chleb i pieczone mięsa, wesołość i ochota też większa była, niż między panami. Śmiech, kiedy z tamtej strony buchnął, jak grzmot się rozlegał.

Jaż słońce się miało ku południowi, gdy sługa, posadzony na dachu, aby zdala o kneziu znać dawał, począł wołać, że od Poznania tuman kurzu się to-

czy. Luboń tedy z synem i powinowatymi a rodem całym i przyjaciół wyszli za wrota z chlebem i powitaniem, aby pana przyjąć poczęstnie.

Kneziowie już ówcześni cale inną niż dawni mieli władzę. Sto lat wojen z Niemcami i sąsiady lubeńczami, choć jednego rodu a niezgodnymi, zwiększyły potęgę wodza i urósł mu zastęp zbrojny, co go otaczał; o wiecach dawnych, radach i swobodzie ledwie się kto śmiał odezwać. Jak czasu wojny kneź był już panem życia, śmierci i majątności, a choć zważał na to, by ludzi nie drażnić i starszyznę czcił, nikogo o to nie pytał, co chciał poczynąć, a co chciał, to poczyniał i dokonał.

Piastów ród też niesrogi był, gdy zlej woli przeciw sobie nie widział; pamięć w nim jeszcze żyła, że z ludu wyszedł i między kmieciami powinowatych miał. Ale przeciwieństwa pan znosić nie chciał, aby nieładu nie dopuścić. Lękano się więc knezia szanować musiano, i była przy nim siła wielka, a może większa, niż za onych czasów, gdy Pepelków zrzuceno za srogość i ciemięstwo.

Nim się orszak kneziowski ukazał, wszyscy goście z gospodarzem na czele u bramy już stali.

Mieszko, dojeżdżając do Krasnogóry, zwolnił koniowi kroku, i mieli mu się czas przypatrzeć, jak orzodem na siwym koniu, w bok się wzięwszy, pańską miną, głowę do góry wzniosłszy, jechał, śmiechając się wesoło.

Odziany był płaszczem lekkim, a na sobie miał odzież letnią, ale naszywaną bogato, pas cały nabity złotem ozdoby i pióro białe u czapki. Miecz też u pasa w pochwie wisiał złotej, sadzonej kamykami irogami. Na koniu siedzenie było purpurowe, lice także w rękę. Poznać w nim łatwo mógł każdy wojaka, tak na koniu bezpiecznie siedział i wiódł go, ani się nim troszcząc, choć siwy mu się rwał i żył.

Mieszko w samej był sile wieku, dorodny i urodziwy, brodę miał ciemną, postrzyżoną, włos piękny,

długi, spadający na ramiona, oko, choć ciemne, szafirowym blaskiem jaśniało, zarazem siłą wyrażając i dobroć, i radowanie się życiu a wesele. Usta podobnież rumiane, wydatne, wyraz miały męskiej dobroci i zdały się stworzone, by smakowały we wszystkim, co im świat, jako panu, podawał. Choćby na sobie nie miał oznak dostojenstwa, poznałby w nim już każdy pana i władcę, nawykłego do rozkazania, pewnego, iż mu wszyscy posłusznymi być muszą, a okraszającego swą siłę dobroduszością i miłością.

Piękna twarz Mieszka, rumiana, świeża, oko pełne, czoło białe, pociągały ku sobie, ale czuć było w nich, że gdy je oblał płomień gniewu, strasznie się mogły zmienić i stać groźnemi. W wejrzeniu też nie wszystko się wypowiadało, co było we wnętrzu, choć napozór oko patrzyło niezmrużone, wprost na ludzi, czasem błysnęło ono jakimś ogniem w głębi, jakby płomień buchnął z duszy, i wnet uśmiechało się znowu. Tak samo usta drgały czasem dziko i wracały do dobrodusznego wyrazu.

Kochali go ludzie, ale drżeli przed nim razem, a przyboczni wiedzieli, że choć się na nic patrzeć nie zdawał, widział wszystko. Co dziwniejsza, były rzeczy, które odgadł, jakby je widział, choć podpałtrzyć nie mógł. W dzień wesela, jak dziś, gdy jechał Mieszko zabawić się u ziemianina swojego, wyglądał raczej na sąsiada dobrego, niż na pana, ale gdy na wojnę konia dosiadł i do ręki miecz wziął, drżało przed nim, co żyło.

I w zamku swym, w Poznaniu, gdy ze starszyzną się rozrywał przy kubku, albo ze swojemi niewiastami żartował, zdał się miękki, a jakby do niewieścich tylko bałamuctw stworzony, bo się w nich zapalone wici i na wojnę iść nie trzeba było. Zmieniał się wówczas rozkoszny pan na surowego wojownika, który ani głodu, ani chłodu się nie zląkł. Ze swymi się zabawiając, można sądzić było, że

tajemnicy żadnej nie miał, a otwarty był do zbytku; znali go przecie blizcy, że więcej wiedział, niż powiedział, i chytrym być potrafił, gdy tego nastąpiła potrzeba.

A z Niemcami tak umiał być, iż go najbystrzejsi nie zbadali. Co w myśli miał, tego nigdy nikt odgadnąć nie mógł. Starszyzna, co koło niego chodziła, co go mówiącego słuchała, nierazby była poprzysięgła, że jutro wypocznie, że na jutro o niczem nie myśli, a o świcie pan, co wczoraj dziewczętom sobie śpiewać kazał, jakby o niczem nie myślał, konia dosiadł i na granicę biegł. Nikt nie wiedział ni dnia, ni godziny, kiedy zawoła na koń...

Ludzi miał niepozornych, odartych, co doń wchodził i wychodził dniem i nocą, na żebraków wyglądających; z tymi się zamykał i kto wie, co im za rozkazy dawał, a co od nich za poselstwa odbierał.

Więc, choć na pozór człek wesoly i pusty, Mieszko u wszystkich poważanie miał, bo nad nimi rozumem stał wysoko.

Za kneziem jechało dwóch powinowatych jego przybocznych i Stogniew, co był nad dworem jego, i wojewodów dwu starych, i garść rażnej młodzieży; wszyscy byli bogato przyodziani i zbrojni pięknie. Pan to był, co choć niewiele potrzebował dla siebie, wspaniałość lubił około dworu i ludzi.

Na widok Lubonia i orszaku jego, który stał z odkrytymi głowami, Mieszkowi twarz wesola jeszcze się pięknie rozpogodziła. Konia wstrzymał, a podczas gdy Luboń do nóg mu się skłaniał, po ramieniu go uderzył, pozdrawiając. Drugim też głową skinął, a ci się do ziemi zgiąwszy, pokłon mu oddawali. Pacholek już konia brał i Mieszko zręcznie z niego zeskoczył.

— Ojcie Luboniu — rzekł — nie prosiłście mnie na obchód wasz, a jam się wam sam zaprosił... Nie przyprowadziliście mi syna, więc sam go widzieć przybyłem.

Na te słowa Luboń, Własta przyprowadzwszy,

paść mu kazał do nóg pańskich, co gdy się stało, a Mieszko się ciekawie chłopakowi przypatrywał, rzekł gospodarz stary:

— Syn mi w niemieckiej niewoli przywiądl i zbiedniał, odżywić go chciałem nieco, nimby z nim przyszedł z powinną głową do stóp pańskich...

Mieszko, po ramieniu dłonią poklepawszy Własta, który milczący powstał, począł, wiedziony przez gospodarza, iść ku stolom w cieniu drzew ustawionym. Tu dla niego wcześniej wzniesiono stolicę, wyższą nad inne ławy, i Luboń całą ją okryć kazał suknem, a nad głowami knezia także sztukę sukna rozwieszono na gałęziach dwóch drzew tak, iż go od słońca i wszelakiego powiewu lub spadających liści chroniła.

Gdy szli, mogli postrzedz wszyscy, iż kneź się rozglądał wszędzie, jakby kogoś szukał oczyma, i gdy pod drzewami zdaleka ukazały się stojące w bieli niewiasty, które posługiwać miały, naprzód w tamtą stronę rzucił wzrokiem, i jakby zawiedziony, spuścił go prędko. Przez czoło jak pas przeszła marszczka jakaś i znikła.

Siadł tedy pan na wyższym miejscu, przed którym zaraz kubki i misy postawiono, aby wybierał, co chciał, i gospodarz sam z synem mu posługiwali. Drużyna opodal na ławach miejsca zabrała.

Ochoczo po skwarze wychyliwszy kubek, Mieszko, gdy podano misę, dzban i ręczniki, naprzód ręce umył i otarł, poczem chleb i mięso, i białe kołaczki, i wszelaką strawę przed nim ustawiono, aby pożywał jako chciał.

Ani go prosić było potrzeba, bo jadł rad i pil dobrze, a znał go Stogniew i inni, że długo się z jadem zabawiać nie lubił. Głód zaspokajał prędko, pragnienie gasił powoli; potem zaś, gdy było z kim, rad żartował i powiadać sobie kazał, co kto umiał i mógł. Był bowiem pan wszystkiego ciekawy, pamiętający, co i kiedy w życiu słyszał, i nie gardzący rozumem niczym, chociaż swojego miał dosyć.

Gdy jadł jeszcze a Luboń z Włastem przy nim stali, ozwał się zrazu do starego:

— A krasnej córki to waszej nam nie pokażecie?

— Chora mi jest od wczora — rzekł Luboń, — na głowę leży... Upał snąc jej zaszkodził.

Na to nie dał odpowiedzi żadnej. Począł się we Własta wpatrywać a pytać, co gdzie przez te czasy robił i bywał; zasłyszawszy coś od ojca, iż na dworze cesarskim bywał i do dalekich krajów na południe z nim jeździć musiał, poruszył się mocno, ciekawiej jeszcze wpatrując się w bladego młodzieńca i ciągle mu zadając pytania, na które ten krótko tylko i pomieszany odpowiadał.

Stogniew, który się też dowiedział o losach Własta, szepnął zaraz Lubonowi, iż kneź ciekaw niemieckich obrotów, pewnie syna jego na dwór zawezwie, aby mu o nich powiedział.

Nie nie odrzekł na to ojciec, bo mu się też serce ścisnęło.

Tymczasem u stołów ochota, choć poszanowaniem dla knezia hamowana, powoli coraz się żwawszą stawała.

Na onych ogromnych misach i deskach, na których pieczone mięsiwa stały, widać już tylko było resztki kości poogryzanych, a i te rzucano psom, bo ich cała gromada, domowych i gościnnych, stoły otaczała.

Chwilami powstawała między niemi pod stołami sroga walka, którą ledwie panowie mogli pohamować.

Rosły z tego śmiechy nowe a bujne. Dziewcztom też, roznoszącym przy stołach napój i strawę, dostawały się wesołe żarty, od których krasnieć i oczy sobie musiały zakrywać.

I wesoło bardzo zrobiło się pod drzewy, a kto był miał czas spojrzeć ku dworowi uważnie, dostrzegłby był może na dachu odsuniętej drancy zarnego oka, które przez mały otwór przypatrywało się wesołej biesiadzie.

Przed Mieszkim postawiono wostatku jagody leśne i mleczywo, a stary miód, Piastowe pamiętający czasy, i obstała knezia gromadka starszych, a wszczęła się zrazu pusta rozmowa o koniach i o łowach, ale wnet w inną drogę zбочyla.

Mieszko postrzegł średnich lat mężczyznę, stojącego nieco na uboczu; zrazu jakby go nie poznał, wlepił w niego oczy i dumiał, chcąc sobie go przypomnieć. Potem do Stogniewa się obrócił, i palcem na tamtego wskazując, rzekł:

— Dobrosław ci to Wiotki, albo się mylę?

— On sam, miłościwy panie... — rzekł Stogniew.

— Co go tak długo widać nie było? — pytał kneż. — Kędyż się zadział... chory był albo zdziczał w lesie?...

Stogniew podstąpił do pana tak, aby nie mógł być od innych słyszany, i szepnął mu:

— Na Czechy jeździł, gdzie sobie na dworze królowej Drahomiry pokrewną jej dziewczkę zaswatał... A no, ludzie prawią, jakoby i ona innej wiary była... i on może dla niej na inną przystał...

Kneż, nie odpowiedział Stogniewowi, na Dobrosława skinął.

Mężczyzna to był w wieku Mieszkowym, dojrzały, wyrosły jak dąb i śmiałego, otwartego oblicza. Znano go jako wojaka mężnego i otwartego słowa człowieka, który prawdę mówił i gotów ją był dłonią popierać.

Ulekli się więc wszyscy, aby się biesiada nie zamąciła gniewem pańskim, bo Dobrosław na ostatnią wyprawę nad Łabę się nie stawił. Stogniewowi przykro się zrobiło, iż do tego powód dał. A Dobrosław na skinienie szedł śmiało bardzo, do nóg się skłonił, jak należało, ale prędko głowę podniósł i spojrział w oczy kneziowi niezłękniiony wcale, oczekując, co mu rzecze.

— Gdzieżeś to samopas tak długo gościł, Dobrosławie? — zapytał Mieszko. — Wołaliśmy was do boku i nie przyszlście...

— Darujcie, miłościwy panie, domam nie był... żoným sobie szukał... — poczał otwarcie Dobrosław.

— Albo to doma jej znaleźć było trudne? — spytał kneż.

— O dziewczki u nas niema biedy — rzekł Dobrosław. — Ale do tych, które znalazem, serca nie miał... Dwie żon miałem z sąsiadów, obie mi pomarły... chciałem indziej szczęścia szukać.

— I kędyżeście bywali? — bez gniewu i spokojnie poczał pytać kneż.

— Zabiłem się aż na Czechy i na dwór króla Bolesława... tamem żonę zaswatał.

Mieszko zmilczał, popatrzył na Dobrosława i na tych, co dokoła stali, głową potrząsł.

— Cóżście tam widzieli na tym dworze? pewnie co lepszego, niż u nas? Oni tam już Niemcom służą i sami do nich stali się podobni.

Dobrosław, potarł brodę myśląc.

— Niemców tam nie widziałem żadnych, ni też niemieckiego obyczaju — odezwał się, — a dużom się przecie nauczył, miłościwy panie, bo oni na to się do Niemców zbliżają, aby lepiej wiedzieli, jak ich pożyć...

— A królaście widzieli? — zapytał Mieszko chmurno.

— Jakby nie? Na łowym z nim jeździł... i u dworów stawał niejednym razem... napatrzyłem się go dosyć.

— I co o nim trzymacie? — wtrącił kneż, mierząc oczyma Dobrosława.

Znów myślał nad odpowiedzią zapytany, a pochylił głowę i oczy w ziemię wlepił.

— Miłościwy panie — rzekł — mąż jest silny... tyle tylko wiem, mąż przebiegły wielce, a władzy chciwy... lepiej go mieć druhem niż wrogiem... tyle tylko wiem — powtórzył.

Teraz Mieszko nie rzekł nic, z kubka popił i na mówiącego popatrzył długo.

— Jutro na łowy pojedą — ozwał się po namyśle, — pojedziecie i wy ze mną, Dobrosławie.

Ten głowę pochylił i ustąpił; trwało milczenie trochę, skinął pan na Lubonia.

— Syna mi przyslijcie na zamek do Poznania... przy dworze go chce mieć.

Usłyszawszy to, stary poblady, zawahał się, mimowolnie ręce mu się splotły załamane.

— A! miłościwy panie! Jedynek on u mnie i tyle go lat nie było!...

I Luboń do nóg mu się chciał rzucić, gdy Mieszko, ręką go za ramię chwyciwszy, śmiejąc się, wstrzymał.

— Odbierać go wam nie myślę! — zawołał. — Ale opowiedzieć mi musi, co u Niemców widział. Na to mi jest potrzebnym... Oddam go wam napowrót, nie bójcie się... A po coby mi się zdał zresztą? — dodał Mieszko — blady i słaby... nie do miecza snać urósł, albo go tam tak tą niewolą wyścieczyli...

Luboń westchnął.

— Chciałem — rzekł — aby go tu odkarmiły baby moje i żeby biedę wydychał.

Kneź ruszył ramionami i nie odpowiadając już, na Stogniewa skinął, co on w lot zrozumiał, pacholkom zdala stojącym dał znak, aby po konie szli. Mieszko nazad się wybierał do domu.

A jak tu przybył wesółym i dobrej myśli, tak dostrzegli wszyscy, iż po rozmowie z Dobrosławem i Luboniem już mu na czoło sęp wystąpił i usta się krzywić poczęły.

Może też spodziewał się najrzeć tu Hożę, którą dobrze pamiętał, a tej mu nie pokazano...

Gdy z siedzenia kneź się ruszył, wnet wszyscy też poczęli wstawać z ław i cisnąć się ku niemu. On szedł, nie patrząc na nikogo, prosto do wrzodzie już konie i poczet stał w gotowości. Tuż nim kroczył Luboń z synem, Stogniew i inni, przprowadzając.

Więc gdy siwego podawano, gospodarz podsze-

dzękować i za nogę ścisnąć pana, co też Włastowi uczynić kazał. Mieszko się trochę rozchmurzył.

— Nie skapciez mi syna — odezwał się do Lubonia, przysyłajcie go jeśli nie jutro, bo na łowach będę — to trzeciego dnia... A nie obawiajcie się o niego, bo go głodem nie zamorzę i nie mu się zlego nie stanie u mnie.

Nie nie odpowiedział Luboń, a Mieszko, skinieniem głowy pozdrowiwszy otaczających, na plecy małego chłopaka, który je podstawił panu, jedną nogą się oparł i konia dosiadł raźnie. Inni też do swoich się brali, aby za nim nie pozostać i cały orszak książęcy z kopyta od wrót żywo popędził drogą, gdy ze rana przy Luboniu drużyna, czapki w górę podrzucając, okrzykiem go ścigała.

Znikł już w tumanach pyłu kneź, a gromada stała jeszcze, patrząc za nim. Luboń milezący zdawał się wolniej oddychać. Z panem oddalił się dwór cały, można było mówić swobodnie.

— Dobry pan — ozwał się Dobrosław — A no, patrząc nań, czujesz, że pan, choć to kmieca krew nasza...

— Ani być winno inaczej — dodał Luboń, — bo pocóżbyśmy go nad sobą wysadzili, gdyby panem a wodzem nie umiał być?... Niech się go ludzie boją, byle się Niemcy lękali...

Na wspomnienie Niemców uśmiechnął się Dobrosław.

— Daleko nam do tego — rzekł, — by się oni nas obawiać mieli, mnieby na tem było dość, abyśmy się ich mogli przestać lękać... Patrzałem ja na nich zbliżka...

I nie dokończył. Czekali wszyscy zaciekawieni, że Dobrosław odstąpił kroków kilka i już mówić nie miał ochoty.

Gdy przed kneziem Mieszkim Stogniew o nim powiadał pociechu, Luboń i Włast stali nieopodal. Włast usłyszał, iż go za wyznawcę nowej wi- y

miano... Zarumienił się, spojrział ciekawie na niego i radość mu w oczach zabłysła.

Teraz, gdy Luboń do miodu i piwa gości swych prosił, a Dobrosław nieco na bok ustąpił, zbliżył się ku niemu nieśmiało Włast i rzekł cicho:

— Chcę mówić z wami... chodźmy sami...

IV.

Niebardzo zważano teraz, co się z gośćmi pozo-
stałymi działo; szedł każdy, gdzie chciał: jedni na żar-
ty, gdzie biała pleć stała opodał na usługi gotowa,
drudzy do kadzi... inni do psów, z którymi się chwa-
lono, tamci do koni. Luboń starszych częstował.

Miał więc Włast sposobność między drzewa wpro-
wadzić Dobrosława, gdzie sami we dwu byli. Ten,
dawszy się wziąć, pierwszy pytać nie rozpoczynał;
czekał, wpatrując się w młodzieńca, idącego nie-
spokojnie i widocznie niepewnego, jak ma zawiazać
rozmowę.

Gdy już odeszli tak daleko od innych biesiadni-
ków, że im ich gałęzie zasłoniły, Włast poruszony,
ze łzami niemal w oczach, żywo odpiął suknię, szczer-
nie na piersiach zasłonioną, i ręką dobywszy z pod
niej zawieszony na sznurku mały krzyżyk złoty,
ukazał go Dobrosławowi.

Na widok znaku tego niespokojnie obejrzał się
Dobrosław zdumiony widocznie... chwycił to znamię,
przyłożył do ust i pocałował... Tak się dwaj bracia
w Chrystusie pośród pogan poznali.

Włast schował natychmiast to godło, i uściśnął
Dobrosława... ze wzruszenia mówić jeszcze nie mógł...

Stali oba niemi, przejęci, strwożeni, ale szczęśliwi,
że się zbliżyli i poznali.

— Skąd wiedziałeś, żeś ochrzczone? — zapytał
Dobrosław.

— Musi to być wiadomem powszechnie — rzekł

Włast, — bo Stogniew o tem półgłosem kneziowi
zwiastował...

Zamyślił się Dobrosław smutno...

— Niedarmo mnie też wezwiał jutro na łowy! —
westchnął. — Co mnie tam czeka... Bóg wie jeden...

Włast uściśnął go drżący.

— Kneź-by was miał prześladować? — zapytał.

— On, nie — odparł Dobrosław. — Ale się boi na-
rodu, który w swoje bogi wierzy i przy nich stoi.
Ciekawym jest pewnie nowej wiary, wie, że ją czes-
cy panowie przyjęli... że ona i u nas i wszędzie za-
władnąć musi, — ale nim się to stanie, wyleje się
wiele krwi, wiele krwi!...

Zadumany Dobrosław powtórzył to kilka razy,
wzdychając.

— Powiedz mi co o sobie — dodał, jakby prze-
budzony, idąc w las dalej. — Gdzie ciebie ochrzczono?

— Na dworze cesarskim... checił mnie pan i
biskup Rawenny... po chrzcie przygotowali mnie na
kapłana i — kapłanem jestem...

Gdy tych słów domawiał chłopak, z pokorą spuszc-
zając oczy, Dobrosławowi zajaśniały źrenice; zała-
mał ręce, podniósł je nad głowę i o mało wielkim
głosem nie krzyknął. Pochylił się zaraz, sięgając po
rękę Własta, którą pocałował z pokorą, a ten krzyż
mu nad schyloną zakreślił głową.

— Tak, kapłanem jestem — mówił pocichu. —
I wrocilem dlatego, aby tę wiarę szczepić między
swymi... a trwoga mnie ogarnia, jak tego, co pada
i nie ma gałęzi nad sobą, za którąby się uchwycił.
Wy mi bądźcie tą gałęzią, miły bracie w Chrystu-
sie... Radźcie mi... Dni już wiele świętej nie mo-
głem spełnić Ofiary... wszystko, co mnie otacza, od-
gaduje mnie i grozić mi się zdaje. Nie mam do
kogo rzec z duszy słowa... Ojciec groźny, babka
gniewna zmuszają mnie do życia, którego prowadzić
nie mogę, co pocznę?

Zamyślił się Dobrosław długo.

— Ojciec mój — rzekł — bo cię ojcem, chociaż

młodsze, nazwać muszę. — Ja jedno tylko wiem, iż tu między narodem naszym, który Chrystusa nie zna, wiele przebaczone tym, co przybyli nawracać... Tak było w Czechach, nim kościoły stawiać poczęto i wyznawać wiarę, za którą Wacław zginął, a bratobójca ją trzymać musi i pokutę odprawiać. Nas chrześcijan... utajonych tu jest wielu... a dla ochrony życia milczeć musimy i cierpieć.

— Jest wielu? — podchwycił Włast, składając ręce jak do modlitwy — mówicie, iż wielu nas jest?

— Ale więcej jeszcze tych, co na nasze czyhają życie — dodał Dobrosław. — Bądźmy cierpliwi, bądźmy ostrożni, a ufajmy Bogu naszemu, który cuda czyni... tak mnie w Pradze na Hradzie nauczano.

Mówili jeszcze, gdy nadbiegł szukający Własta niespokojny Jarmierz, bo się ojciec o niego dopytywał i ślał za nim; musieli się więc rozstać, aby podejrzania nie obudzać, i Dobrosław inną drogą udał się ku biesiadującym.

Jarmierz dziwnie jakoś popatrzał za odchodzącym. Między nim a Wlastem stosunek był i uczucia do określenia trudne. Dla dawnego ulubieńca pańskiego, którego się przybranem dzieckiem być spodziewał, Włast nie był miłym. Jarmierz z tego mu nie życzył, a nie mógł jednak wstrzymać się i pohamować zazdrości.

Usiłował zbliżyć się do niego od pierwszego dnia; Włast mu był przyjaznym, serdecznym, a jednak czuł Jarmierz, iż mu się całkiem nie zwierzał — i że między nimi stała jakaś zaporą, co ich dzieliła. Obawiali się jeden drugiego.

— Cóż to się stało, żeście z Wiotkim odeszli? — zapytał Jarmierz.

— Pytać mnie chciał o Niemcy, jak i inni — rzekł Włast. — A mówiąc, odeszliśmy w las, sami o tem nie wiedząc.

I na tem zakończyła się rozmowa. Syn do ojca pośpieszał, bo go po jednym już odjeżdżającym s

siedzi żegnali, a Luboń u boku swojego syna mieć chciał, aby z nim przyjaciółom dziękował.

Stary, jak poprzedzających, tak i tego dnia, na oku miał syna, niepokoił się nim. Jarmierz mu o modlitwach jego i praktykach jakichś niezrozumiałych donosił; domyślał się w nim, jak stara Dobrogniewa, skrytego chrześcijanina, i wiarę tę nową wytepić w nim co najrychlej pragnął. A zdało się starem, iż tego łatwiej niżem dokonać nie potrafi, jak dając mu żonę i nałamując go do obyczaju swojego, do łowów i wojny.

Właśnie tego dnia ze starym Słomką, powinowatym sobie, Luboń się był przy kubku rozmówił na osobności. Słomka miał córkę Mładę, dziewczynę lat piętnastu, piękną bardzo, której wdzięki słynęły już na okolicę.

Jak inni, tak i Słomka obawiał się o swoją, aby mu jej na dwór do Poznania za siódmą, czy ósmą dla Mieszka nie wzięto, bo baby latały po całym kraju, żon panu dostarczając. **404.** krasa za posag stała.

Wzdychał Luboń, przyznając się przed powinowatym, iż się o Hożę lęka, a on też wyznawał, że ma strach o Mładę.

— O tę się bać nie masz co — rzekł, rękę mu kładąc na dloni, Luboń. — Daj mi ją dla syna... Pośle swaty... jak jej czepec włożą, — nikt nie będzie śmiał dotknąć, by najpiękniejszą była. Daj mi Mładę dla Własta!

— Czemu nie? A byle więcej nie brał już nad tę jedną — rzekł Słomka.

— Niema u nas tego zwyczaju, — jeno u kneziów, u takich, których bujna krew każe zapominać o sromie... — Myśmy wszyscy po jednej mieli — mówił Luboń.

— I my z wieków — dokończył Słomka, a gdzie u ogniska dwie albo trzy, tam ni ładu, ni wstydu, ni pokoju... Dam Mładę za Własta...

Ścisnęli się za ręce.

— Ale starym obyczajem — ze swaty i obrzędem... a niech ją Włast choćby najrzy przód, bo przeciw woli dziecka nie chcę ani dać, ani narzucać. Luboń się uśmiechnął.

— Dwoje młodych, a czemu by woli ku sobie nie mieli mieć? — odparł. — Nasza tu, nie ich wola ma rządzić...

Poszeptawszy jeszcze z sobą, rozeszli się zgodni.

A gdy Włast do ojca przybył, aby z nim żegnać odjeżdżających, i Słomka przystąpił, Luboń kazał synowi do nog mu się pokłonić, choć nie mówił, dlaczego.

— Stary druh i powinowaty nasz — zamruczał. — Jak ojca go pożegnaj.

Włast posłuszny, spełnił wolę jego.

Jeden tak za drugim sąsiedzi, naprzód dalej mieszkający, potem bliżsi, rozjeżdżać się zaczęli, a ostatni już późną nocą, o młodym księżycu ruszyli.

I Hoża teraz wyszła z ukrycia swojego świeżem powietrzem odetchnąć.

Włast był znużony i na uboczu siadł spoczywać. Służba zabierała stoły, kubki po ziemi leżące, próżne kubły, dzbany i kadzie.

W dali słychać było śpiewy odjeżdżających. Wieczór cichy, spokojny, po dniu pełnym wrzawy, nastąpił.

Luboń ze starą matką szeptali coś pocichu, gdy Włast, któremu już dano wolność, po krótkiej rozmowie z siostrą, do swojej szopki wysunął się na modlitwę.

Ale tu na niego czekał Jarmierz. Miał czas się rozmyśleć, ciążyło mu to, że z Włastem szczerze się zejsz nie mógł, chciał z nim pomówić otwarcie. We drzwiach szopki się spotkali, Jarmierz zwyciężył zazdrość i niechęć, jaką miał do dawnego towarzysza młodości, i idącego za rękę ujął.

— Właście — rzekł cicho. — Siadźcie tu trochę, ja z wami chcę, jak brat, pomówić otwarcie, — powołacie.

— Owszem, bracie mój — mów... ja ci życzę dobrze.

— I ja wam, piorun niech mnie ubije, — prawdę mówię — zapalczywie dodał Jarmierz. — Będę szczerym... Dwanaście lat was nie było... stary tęsknił do ostatka i przetęsknić nie mógł. Nie było kogo kochać, polubił mnie... jam Hożę pokochał. Szło na to, że ja mu synem być miałem — teraz... powiedzcie, co teraz będzie?...

Włast go uściśnął.

— Jarmierzu mój — odezwał się. — Jeżeli cię Hoża kocha, a ojciec pragnie, czyż jabym ci stanął na przeszkodzie? Ja, wierz mi, bracie! ja... nie i nikomu nie odbiorę... nawet to, co mi po ojcu należy... ja ani pragnę mieć, anim zdolny tem władać. Wiesz mnie — słaby jestem, nie wojak...

Spuścił głowę... Jarmierzowi żal się go zrobiło i uściśnął go w milczeniu.

— Ja też wam nie myślę ojcowizny odbierać — rzekł. — anibym mógł, ni chciał; pomóżcie mi tylko do Hożej, a bądźcie mi bratem. Przysiążmy sobie braterstwo... i służmy sobie, starym obyczajem — jak pobratymcy.

— A! mój Jarmierzu, bez innej wszelkiej przysięgi — odezwał się Włast — zawierz mi, bratem ci jestem i będę.

— A ja ci dam pierwszy dowód — odezwał się Jarmierz, zniżając głos, — że ci dobrze życzę i bratem jestem... Was stara babka i ojciec, i wszyscy posądzają, żeście wy nową wiarę przyjęli.

— A gdyby tak było? — wzdychając, cicho zapytał Włast.

— Niech to zle odejdzie od nas! — zawołał Jarmierz. — Nie mówcie tak, ani się przyznawajcie do tego, ani myślcie!... Nie znacie starej Dobrogniewy: struła by was, choć wnuka... Nie znacie ojca... wy rzekłby się was, jak wroga!

Głos mu się trząsł, mówiąc, ale przestraszony, zniżył go i kończył szeptem cichym:

— Nie mówcie tak, bo to być nie powinno i nie może... Luboń-by na to nie pozwolił nigdy... Ale posądzają was... ja sam, — może ja sam winiem temu... ja nie wiem! Pytali mnie — mówiłem, że jakieś dziwne przed nocą i rano odprawujecie obrzędy — przyznaję się — możem nie powinien był mówić o tem.

Włast milczał.

— A gdyby was tam i zepsuli — ciągnął Jarmierz — trzeba, wróciwszy do domu, do swoich bogów powrócić. Zmuszą was do tego... Słyszałem dziś, Luboń się ze Słomką umawiał, dadzą wam za żonę Mładę.

Włast oczy sobie zakrył i jęknął.

— Nie mów mi tego.

— Cóż to pomoże? — kończył Jarmierz — Młada, widziałem ją raz w lesie z matką — piękna, jak bogini Dziewanna... biała, smukła, wesola, z oczyma niebieskimi... Ona was, wy ją pokochacie.

— Bracie mój — po chwili posępnie odezwał się Włast, — coście wy mnie mówili, poszło z pocziwego serca. — I ja wam wyznam wszystko — tak... ja jestem chrześcijaninem i nie przestanę nim być, choćbym za to umrzeć miał!

Nastąpiło milczenie długie... Jarmierz patrzył zdziwiony na niego i głową trząsł.

— Ojcu musicie być posłuszni!

— Tak, lecz mam w niebiosach Boga mojego, któremu winienem większe jeszcze posłuszeństwo...

Mowa ta była już dla Jarmierza niezrozumiałą, lecz pytać się nie śmiał; uściśnął Własta, który odzyskiwał powoli przytomność po krótkim wzruszeniu, co mu ją było odjęło.

— Spokojnym bądź — odezwał się do Jarmierza. — Nasz Bóg opiekunem jest i cuda czyni, ale Mu wiernym pozostać potrzeba. Bądź spokojnym. Jeśli ojciec mój ziemski Ojca mojego niebieskiego zdradzić mi każe, pójdę stąd... zostaniesz ty sam i będziesz staremu dziecięciem i pociechą.

— Jakto? porzuciłbyś wszystko? ojca? siostrę? dom? bogactwa wasze? dla...

— Tak — odparł Włast. — Nie pytaj mnie, dla czego i kogo. Ja ci więcej powiedzieć nie mogę dziś... ale ci przysięgam — porzucę wszystko, abym ocalił więcej, niżeli to wszystko!!

Zadumany, przelekleł prawie Jarmierz, stał przed nim, słuchając i uszom nie wierząc, patrząc i nie wierząc oczom, bo twarz Własta, zamiast być smutną i strwożoną, promieniała weselem i jakby dumą zwycięską.

Dokończywszy tych słów, Włast uściśnął prawie wesoło Jarmierza, i nie kryjąc się już przed nim, ukląkł wnet na modlitwę...

Ta także była dla poganina jakimś zdumiewającym zjawiskiem. Przy obrzędach pogańskich widywał szal i obłąkanie prawie, nie widział nigdy człowieka tak spokojnie, ze łzami, z męstwem rozmawiającego z niewidzialnym duchem. Czuł on, że to była rozmowa, że w ciemnościach tej nocy, dla oka niedostrzeżona potęga jakaś dzwigała tego, tak słabego napozór człowieka, dając mu siłę i męstwo dziwne. Wszystko, co mu Włast powiedział, dawało do myślenia, napępniało trwogą, jak objaw nowy świata nieznanego...

Jarmierz zamyślony stał tak, patrząc na modlącego się Własta i dreszcz go przebiegł jakiś.

Modlącemu mienila się blada twarz, oczy jaśniały blaskiem dziwnym, piękniejszym się stawał, innym. Jarmierzowi zdało się, że jakaś jasność otaczała głowę młodzieńca.

W cichości, na palcach, z trwogą cofnął się do szopki i przystanął w jej progu, nie mogąc pochwycić wątku własnych myśli. Własta mu żal było, a przytem ciekawość gorącą obudzała ta tajemnicza jakaś wiara, co taką dawała siłę, takie męstwo słabej istocie, taką pogardę wszystkiego, co człowiekowi najdroższe.

Stał wsparty u słupa, niemy, aż dopóki westchnie-

nie i ruch nie oznajmiły mu, że Włast wstał i zabierał się do spoczynku. Naówczas i Jarmierz zwał się na swe posłanie, nie mówiąc słowa, okrył opończą, i nie mogąc zmrużyć oka, pozostał tak prawie do dnia brzasku.

Następnego dnia Luboń, który nalegał ciągle na syna, aby się przyuczał do męskiej zabawy, kazał Jarmierzowi jechać z nim na łowy, w las, sam po dniu wczorajszym czując się znużony... Zbudził więc Jarmierz zawczasu Włastę, który, pomodliwszy się, posłuszny jechać z nim musiał.

Dodano im psy i kilku ludzi w pomoc, i nim rosa oschła, a we dworze żywszy się ruch rozpoczął, ruszyli z Krasnejgóry lasami wprost do ostępów, w których zwierza się znaleźć spodziewali.

Włast jechał milczący, jak gdyby jeszcze się modlił. Jarmierz za niego i za siebie łowów musiał doziarać, gdyż Luboń, sam łowiec doskonały, ścierpieć nie mógł powracających z próżnemi rękami.

Granice puszczy naówczas nie były tak ściśle oznaczone, jak później, a panującemu służyło prawo łowów wszędzie, gdzie chciał. Byli właśnie w ostępie, wskazanym przez ludzi, w którym stado kóz napewno znaleźć mieli, gdy Jarmierz, przodem ciągle podążający, zawrócił się nagle ku Włastowi i dał mu znak, aby się zatrzymał. Pacholcy, towarzyszący im, a z boku straż trzymający, cofnęli się nagle, jakby przestraszeni. Włast nie wiedział, co by to oznaczać miało, gdy Jarmierz, nadbiegłszy, szepnął mu, że Mieszko właśnie w tej puszczy polował. Musieli więc niezwłocznie uchodzić i szukać sobie gdzieindziej zwierza.

Jeszcze rozmawiali z sobą, gdy z za gęstwiny ujrzeli wychodzącego knezia, za którym kroczył Dobrosław. Oba zdawali się więcej zajęci rozmową, niż myśliwstwem. Orszak łowiecki knezia pozostał był w tyle, a Mieszko uważnie się przysłuchiwał, co mu towarzysz opowiadał. Mieli już ustąpić, gdy kneź podniósł głowę i Włastę zobaczył. Poznał go zaraz i po namyśle skinął nań.

Młodzieniec, zsiadłszy z konia i zdjawszy z głowy okrycie, pieszo się zbliżył do knezia, który stał, lekki oszczep trzymając w ręku.

Dnia tego na łowach kneź odziany bardzo prosto, bez żadnych oznak dostojności, mimo sukni szarej i czapki, jaką wszyscy nosili, Mieszko przecież tak pańsko wyglądał, że w nim władającego krajem wodza poznać było łatwo.

Dobrosław też wojacką i piękną miał postać, ale gasł przy tym silnym i rozkwitłym bujnie mężu, który samym wzrokiem wrażał posłuszeństwo.

Na zapytanie, co w tym lesie poczynął, Włast rzekł, iż z rozkazu ojcowskiego na łowy jechał.

— Wyślijcież łowców swych, gdzie chcą — rzekł Mieszko — a sami, gdy już tu jesteście, zostańcie przy mnie.

Choć niebardzo rad rozkazowi pańskiemu, Włast szepnął słów kilka Jarmierzowi, który natychmiast ustąpił ze swymi, a sam za Dobrosławem stanąwszy, nie wiedząc, gdzie się ma podziać i co czynić, pozostał, czekając dalszego rozkazania pańskiego.

Chociaż na łowach byli, nie zbierało się na żadne myśliwstwo. Dwór pozostawiwszy za sobą, Mieszko szedł, jakby przechadzki używając, rozmową z Dobrosławem zajęty. Ustała ona, gdy Włastę ostrzeżono; Mieszko stanął, jakby namyślając się, wiśszący na ramieniu róg mały do ust wziął i parę razy się ozwał.

Zaszumiały wnet gąszcze z obu stron i liczna gromada nadbiegła. Kneź zawołał do siebie Stogniewa.

Stali właśnie na malej łączce, zewsząd drzewami ocienionej. Mieszko się obejrzał dookoła; ziemia była wilgotna. Kazał z koni zdjąć sukno, postać je na trawie i leż na niem. Przyniesiono kobiałkę z pieczonem mięsivem i barylkę miodu, którą przed kneziem ustawiono. Dobrosław i Włast stanęli opodal niego.

— Stogniew — rzekł kneź. — Wy poprowadźcie

lowy, ja spoczne. Dobrosław i Włast Luboniów zostaną przy mnie. Jeśli na nas napędzicie zwierzyne, tem lepiej, a nie...

Ruszył ramieniem i skinął ręką.

Zrozumiawszy wolę knezia, Stogniew skoczył do ludzi, co się zdala byli kupą ścisnęli, i począł wydawać rozkazy. A nim krótka upłynęła chwila, kneź sam pozostał z dwoma towarzyszami.

Oczyma zmierzyszy bacznie dwór swój, który śpiesznie i wrzawliwie w las pędził, Mieszko popatrzał na Włast, jakby go okiem chciał wybadać, i zbliżyć mu się rozkazał.

— Tyś był między chrześcijanami? — zapytał. — Długo?

— Dwanaście lat, miłościwy panie — odparł Włast. Poruszył głową Mieszko.

— Znasz więc ich dobrze?

— Lepiej, niż teraz mój własny kraj — odezwał się zapytany.

Zdawało się, że jeszcze pytanie jakieś na ustach knezia krążyło. Włast z trwogą myślał o tem, co pocznie, jeśli go Mieszko spyta, azali i on chrześcijaninem nie został? Sumienie nie dozwalało mu zaprzeć się Chrystusa, a wyznając wiarę, nie miałże, jak ci, o których mu opowiadano w Rawennie, cierpieć za nią męczeństwa i śmierci? Myśl ta przeleciała błyskawicą i zrodziła w nim raczej dumę niż trwogę!

Ale kneź, którego wargę się już poruszyła, zamilkł i nie zadał mu tego pytania. Przytomny Dobrosław pobladał był, spoglądając na Włast. Nie można było odgadnąć, co myślał Mieszko o chrześcijaństwie. Obok zamku stała kontyna pogańska Jessego i kneź chadzał do niej, wyroczni pytał, wieszczków słuchał i obyczaj zachowywał stary. Wiedzano jednak od ludzi, że ilekroć trafiło się spotkać obcego i takiego, co z chrześcijanami i chrześcijaństwem obcował i mógł je lepiej poznać, kneź troskliwie się dopytywał, badał, szczegóły sobie op-

wiadać kazał, a potem zamyślał dziwnie. Lecz w naturze miał to Mieszko, że do czynu skorszy był, niż do słowa, i nie mówił, ani się zwierzał nigdy nikomu, co miał począć, wręcz rozkazy dając bez namysłu. Myśli też jego odgadnąć nie śmieli nawet najbliżsi; Stogniew przyznawał się, że ilekroć domyślać się chciał, omylił się zawsze.

Po tem pytaniu, które na wardze umarło, Mieszko pomilczał trochę, Włast kilkakroć oczyma jeszcze przemierzył z ciekawością, i obrócił się do Dobrosława.

— Mów — rzekł — jak ci się zdało!... są oni więksi i silniejsi od nas na Hradczynie, a Bolesławy te czeskie? są oni bogatsi? — są oni nam straszni?

A gdy Dobrosław z odpowiedzią się ociągał, dodał:

— Tak, jak Niemcy mają jedną stolicę i jedną głowę cesarza, tak naszej mowie trzeba jednego pana i jednej ręki, inaczej nas Niemcy zjedzą.

— Maż Bolesław tę siłę, aby zagarnął nas wszystkich i mnie? — mruknął Mieszko, ostatni wyraz prawie niedosłyszany. wymówiwszy głosem. — Mów, a nie kłam mi pochlebstwem. Tych, co mi nogi liżą, mam dosyć.

Dobrosław oczy trzymał w ziemię wlepione.

— Miłościwy panie — odezwał się, zwolna cedząc słowa, — jeżeli siłę na setki i tysiąc wojowników liczyć mam, to ich nie rachował, nie wiem; jeżeli na rozum, to mi Bolesław nie zdaje się mędrszym nad innych. Przecież on jedno wie, iż Niemców bić trzeba się u nich samych uczyć. Dlatego od nich nie stroni, często się łączy z nimi, kłania się im, ale tylko dlatego, aby ich zmógł lepiej.

— I przeto przyjął ich wiarę? — spytał Mieszko, w oczy patrząc Dobrosławowi.

Na odpowiedź nierychło się zebrał zapytany i rzekł:

— Nie wiem...

Milezeli trochę, a kneź jadł i popijał, uśmiechając się jakby sam do siebie.

— Gdyby nas dwu poszło w zapasy z Bolkiem o lepszą — zaczął, — jak ci się zda, ktoby z nas został powalony?

— Kto losy wojny może zgadnąć? — odparł Dobrosław. — Ale pocóż wojnę poczynać?

— Hm, wojna się sama począć może, niepoczynana przez nikogo... A co tam o nas trzymają?

Dobrosław zawsze z wolna zbierał się na odpowiedź.

— Wiedzą, że miłościwy pan silnym jesteś, ale oni tego, kto się do chrześcijan nie liczy, groźnym nie sądzą.

— A dawnoż oni do nich przystali? — zawołał Mieszko szydersko. — Drahomira, matka Bolkowa i on, jeszcze się oboje kłaniali swoim bogom... Alboż Bolko chrześcijaninem jest? — dodał Mieszko. — Albo brata, co nim był, za to, że nim był, nie zabił?

— O tem na dworze knezia mówić niewolno — a szepeczą różnie — rzekł Dobrosław. — Wacława zamordowali dworscy Bolkowi, sądząc, że na ich pana życie nastawał.

— A Ludmiłę? — podchwycił Mieszko szydersko.

— Spraw tych nie wiem dobrze — odezwał się Dobrosław, — ale to wiem, com na swe oczy oglądał, że Bolko do świątyni nowej na Hradeczynie chodzi i wiarę swą trzyma.

Mieszko nieco podniósł głowę i zwrócił ją ku Włastowi.

— A ty? — zapytał. — Powiedźże mi ty, co chrześcijan znasz, jaka ta wiara ich jest? ciężka? straszna?

— Niespodziewanie podchwycyony pytaniem tem, Włast oniemiał zrazu, nie wiedział, co ma rzec, modlił się w duchu o natchnienie i sam nie wiedząc jak, odezwał się z zapalem.

— Miłościwy panie, wiara to jest, co zaprawdę człowieka szczęśliwym czyni, zbroją mu jest, karmią mu jest, światłem i siłą!!

Słyszając te słowa, Dobrosław pobladł, ale spojrział z poszanowaniem i z trwogą niemal na natchnionego młodzieńca.

Kneź też, nie spodziewając się odpowiedzi tak śmiałej, oniemiał na chwilę, oczyma przeleklemi zmierzzył mówiącego i mruczał sam do siebie. Włast stał, gotów choćby na męczeństwo.

— Mówią — odezwał się, — że człowieka ona dręczy i morzy, i wzbrania mu wszystkiego, — prawda-li to jest?

Młodzieniec, który już czując się natchnionym z góry, ważył się choćby na życia utratę, nie mierzył więc słów swoich.

— Miłościwy panie — począł — gdy człowiek bierze z pola dzikiego konia, albo sokoła z gniazda, aby go nauczył i rozumu dał mu siłę, musi go morzyć głodem, bezsennością i znużeniem; tak wiara czyni z człowiekiem dzikim, aby z niego zrobiła istotę nową na obraz Boży.

Mieszko zmarszczył brwi, powtarzając dziwnym głosem:

— Na obraz Boży! na obraz Boży! Coś ty rzekł?... — Tak uczy ta wiara! — powtórzył Włast.

Kneź oczy spuścił i zadumał się. Zdawało się, że zapomniał na czas jakiś, kędy był, z kim i co go otaczało. Milezał, zatopiony sam w sobie. Włast stał przestraszony razem i dumny sobą.

— Na obraz Boży! — powtórzył raz jeszcze Mieszko — więc ta wiara daje człowiekowi siłę nadludzką?

— Tak jest, miłościwy panie — rzekł Włast.

— I zwycięstwo, i potęgę, i panowanie — mówił Mieszko.

— Daje, gdy człowiek na nie zasłuży.

— A czemu je kupić może? — pytał Mieszko.

Włast milezał nieco.

— Miłościwy kneziu — rzekł — nie w kilku słowach da się zamknąć ta wiara, pełna tajemnic i cudów. ani ją usta ludzkie wypowiedzieć zdołają łatwo. Cuda ona sprawia, lecz na nie ciężko pracować potrzeba!

— Ale je za skarby też i bez pracy kupić można? — rzekł kneź.

— Nie — odparł Włast; — złoto i skarby są tam rzeczą pogardzoną i marną.

Mieszko poprzestał pytać. Zdawało się, że się lękał zwrócić oczów na śmiałego chłopca. Wzrok skierował ku Dobrosławowi znowu.

— Zaszataliście sobie dziewczkę na dworze Bolkowym, mówią ludzie — odezwał się, nieco zniżając głos. — Musi to prawdą być? Pojedźcie do Pragi, nad Hradszyn?

— Czyżbyście miłość wasza wzbronili mi tego? — rzekł Dobrosław.

— Nie bronię — rzekł Mieszko; — owszem, posłem chęć was mieć. Jedźcie do Pragi, ale nikt o tem wiedzieć nie ma, co rzeknę.

Zwrócił się do Własta, dając mu znak, by i on milczał.

— Ani mówcie, żem ja was posłał na zwiady — kończył kneź, — ale od siebie na dworze pytajcie, a żaliby nie radzi mnie tam byli? A żaliby Bolko z Mieszkiem nie podali sobie rąk i nie połączyli się przeciw wspólnemu wrogowi? Mówcie od siebie — nie ode mnie, bo się nie godzi, abym ja prosił; mnie tylko rozkazywać przystało. Zrozumieście ich, gdybym przybył do nich, jakby mnie oni przyjęli?

Wzrokiem dokończył kneź.

— Rozum miejcie — dodał.

— Uczynię wedle rozkazania — z radością prawie odezwał się Dobrosław.

— I nikt o tem wiedzieć niema! — powtórzył kneź.

Tych słów dokończywszy, podniósł się rzeźko Mieszko, stanął, podparł w boki i uszu nadstawił.

Od kilku chwil już psów głosy na ostępie słychać było i zdało się, jakby się one zbliżały coraz. Mieszko oszczep wziął do ręki i nakazał milczenie.

Las grał zdala ogarów gonem. Z okiem zaognionem kneź pośpieszył kroków kilkanaście naprzód. Rozmowa, którą toczył przed chwilą, zdawała się

już zapomniana, cały był w łowach, nie patrzył nawet na Własta i Dobrosława, którzy za nim pozostali, czekając rozkazów.

Coraz wyraźniej słychać było pogoń za zwierzem, chrzęst gałęzi i okrzyki. Mieszko za grubym pnem dębu stał z niecierpliwością namiętnego myśliwca.

Wtem w krzakach chrapanie i łomot się dał słyszeć tuż prawie i stary dzik ze spienionym ryjem wypadł, dysząc, z gęstwiny, wprost na knezia i w tejże chwili oszczep jego tkwił już głęboko, ciśnięty silną dłonią, w zakrwawionej bestyi, która, rzuciwszy się jak wściekła, biegła na Dobrosława.

Miał i on oszczep w rękę, i uskoczywszy nieco, uderzył nim na dzika.

Włast ustąpił, nie wiedząc, co ma czynić, lecz tuż nadbiegli kneziowscy ludzie, którzy rozjuszony stworzenie chwycili i przytrzymali; psy też rzuciły się na pastwę i dzik legł zwyciężony na ziemi.

Radosny okrzyk ozwał się po lesie. Kneź, zdala patrząc obojętnie, kazał Stogniewowi sobie konie podawać, i łowy na ten dzień były skończone.

Już na konia vsiadłszy, rzekł kneź Dobrosławowi, aby do domu wracał, a Włastowi za sobą jechać polecił, i cały orszak, zebrawszy się w gromadę, milcząc, posuwał się ku grodowi do Poznania.

V.

Gród, wznoszący się na prawym brzegu Warty, nad Cybiną, nie odznaczał się na oko wspaniałością wielką, ale rozległy był i dosyć warowny, choć mógł się nie lękać napaści, bo go samo oddalenie od nieprzyjaciół broniło.

Wysoki wał opasywał go zdala, ostrokoły i tyny obejmowały drugim kołem, domostwa jednak w nim warte wszystkie były z drzewa i stółbu nawet mu-

rowanego nad nim nie było widać. Ziemny usyp obejmował razem kneziowskie dwory, świetlice, komory, stajnie, świrnie, odryny, szopy i nieopodal od rzeki odosobnioną stojącą świątynię Jessego, którą otaczał maleńki gaj prastarych drzew, tak, iż jej zdala z pośrodku zielonych gałęzi prawie widać nie było.

Zbudowana wzorem innych kontyn, opierała się na słupach rzeźbionych i malowanych, między którymi wiszące sukienne opony zastępowały ściany. Za niemi dopiero był przybytek osobny, kapłanom tylko dostępny, drewnianemi ścianami zamknięty. W pośrodku chowano stancie wojenne, noszone na wysokich tykach posążki bogów, które miasto choraży służyły: tu wróżbici i gęslarze, będący na straży, opowiadali przyszłość za pomocą ognia, wody i ziemi.

Nie rozkazywał tu nikt, okrom samego pana, który był razem władcą świątyni i zamku. Pod jego rozkazami stali wróżbici, wieszczkowie, śpiewacy i wszystka posługa przy chramie. Gaj święty, który go dokoła otaczał, stanowił granicę, której swawolnie przekroczyć nikomu się nie godziło.

Świątynia była zarazem skarbcem wojennym i książęcym. Stała przy niej straż przez dzień i noc, przemieniając się nieustannie.

Od niej na gród i na dwór Mieszków nie było daleko. Zalegały domostwa pańskie przestrzeń znaczną, a pobudowane były wszystkie na kamiennych podkładach, z drzewa grubego ciosanego, i wyrznanego misternie, malowanego w barwy krasne. Gdzieś niedługo potworna głowa jakiegoś zwierzęcia, wyrobiona dziwacznie, wznosiła się u dachu i przyczulków.

Od przodu dworu były izby i komnaty rozleglejsze, z ławy i stołami dla zgromadzeń większych przeznaczonemi; w każdej z nich na stopniu podwyższonym stało siedzenie pańskie, czyli stolica kniazowska, suknem krasnem okryta.

Wielka w niektórych sprzętach prostota ła-

W przedsieniu stał Mieszko otoczony dworem, czekając także na zapowiedzianego gościa, gdy zdala od wałów pokazał się orszak jego.

Nie był on zaprawdę świetny, a dziwnie wyglądał; stu może ludzi konnych na żwawych mierzynach prowadził z sobą Sydbór... sam on jechał przodem, — istny wódz dzikich; czerwony, czarny, zarosły, w odzieży jaskrawej i naszywanej blaszkami a świecidły, w czapce z pióropuszem, nieco oszarpanym, obwieszony bronią wszelkiego rodzaju, której miał tyle, ile się jej u pasa, na ramionach, przy koniu, w rękach mogło zmieścić. Jeden miecz wisiał u pasa, drugich dwa tkwiło za nim, młot miał pod ręką, łuk na plecach, procę na ramionach, dzidę i oszczep poczepiane misternie. Komu innemu ta mnogość narzędzi więcejby przeszkadzała, niż dogadzała, lecz Sydbór ich z taką zręcznością umiał używać, iż nie zbyt ciężkim dlań nie było. Tarczę zwykle miał uwieszoną tylko przy koniu i mało jej używał.

Ludzie jego mieli wszyscy grubo kute pancerze łuskowe i blachy, niektórzy kaftany, dzidy, szable krzywe, oszczepy, a odziani byli jednakowo, co naówczas wielki przepych stanowiło.

Jak Sydbór, tak i jego cała drużyna wyglądała strasznie; nie było ani jednego całego... twarze porabane, ciała sińcami okryte, oręże poszczerbione, na wszystkim krwi i pyłu pełno. Pomimo to szli butnie, rażno i z twarzami wesołemi, jakby w tryumfie. Tłómaczyło się to tem, że w pośrodku orszaku ich szło stado ludzi powiązanych sznurami, poczepianych z sobą, — starców, młodzieńców, kobiet i dzieci.

Sydbór napadł na osadę niemiecką pod gródkiem, nad Odrą niedawno założoną, i wszystko, co znalazł, zagarnął, wieś puściwszy z dymem. Zabrane konie i bydło pędzili osobno ludzie, którzy wolniej ciągnęli.

Wszyscy ci niewolnicy, odparci i pobici, przyrzach i ciałach pokrytych ranami ledwie p-

nemi, przedstawiali widok przerażający niemej a wścieklej rozpacz.

Jak tylko orszak ten stanął w podwórzu, kilka niewiast padło spoczywać na ziemię, a kilka, zwa-
liwszy się, nie powstało już więcej. Kupka dzieci
nagich, z włosami rozczochranymi jęczała i płakała,
a wojacy smagali je dla uspokojenia.

Z wrzawą, jękiem, śmiechem i płaczem przycią-
gnął tak Sydbór przed Mieszka, pokazując mu na zdo-
bycz swoją, i z konia jeszcze rozpoczynając opowia-
danie o wyprawie. Mowę jego jęśliwą trudno było
zrozumieć, ale to, co wiódł z sobą, wymownem było.

Na widok ten i Mieszkowi oczy się zaśmiały.
Śmiech i radość były usprawiedliwione, bo tak samo
i gorzej jeszcze w pętach prowadzono Słowian, br-
nych nad Odrą, a markgraf Gero nie tylko mieczem,
ale zdradą tępił to plemię, któremu nie mógł dać
rady.

Zbiegło się co było ludzi na grodzie, poczęści
niewolnikom, poczęści znanym wojakom Sydbora się
przypatrywać i rozpytywać, kędy bywali. Spoglą-
dano na Niemców, dopatrując w nich ludzi zdro-
wych i zdatnych do pracy i posługi; — niewolnik
wówczas był drogi i pożądanym...

Zdała patrzeć i Włast, a twarz mu pobladła na-
gle na widok siwego odartego staruszka, który za-
ledwie lachman mając na sobie, obnażony, wychud-
ły, do ran prawie skrępowany sznurami, ze spuszc-
zoną głową stał, ledwie się mogąc na nogach utrzy-
mać. Krótka ostrzyżone włosy, a na wierzchu gło-
wy wygolona korona, która pośmiewiskiem była dla
pachołków Sydbora, pozwoliły w nieszczęśliwym po-
znać chrześcijańskiego kapłana.

Włast mimowolnie załamał ręce; szczęściem, nim
postrzeżono ten ruch, zdradzający politowanie, miał
czas opamiętać się.

Po okazaniu łupów i rzuceniu przed Mieszką
wyższ. naczyń, oręża, szat pobranych na kupę
ziowska. Włast dostrzegł srebrny kielich ko-
wielka

Włast, najpokorniejsze miejsce zajmując, siedział mil-
czący. Spoglądano nań niemal z politowaniem ja-
kiemś i pogardą.

W mężczyźnie, za tych wieków wojen i sily,
pierwszą było zaletą — siła pięści i zręczność, a że
Włast słabowito wyglądał, nie budził też poszano-
wania dla siebie, choć wiedzano, że był synem moż-
nego człowieka.

Stogniew i towarzysze jego, Rosław, pański pod-
czaszy, i Mislaw, sołtnik od straży, spojrzeli nań
ze wstrętem: wiedzieli, że długo był z Niemcami i
mieli go niemal za wroga. Pziwno im było, że kneź
na dworze go chciał mieć.

— A no — ozwał się wkońcu, jakby ulitowawszy
milczącemu, Stogniew. — Jakże wam po niemieckiej
niewoli u nas się wydaje?

— Niewielem ci ja widział jeszcze, oprócz domu
pana rodzica mojego — rzekł Włast.

— Widzieliście tam u nich murowane grody ka-
mienne — odezwał się drugi szydersko, — musi wam
po nich być tęskno... Ale te gnuśniki w ciepłym ką-
cie siedzieć lubią i ryją się po norach... a my dziś
tu, jutro tam... nam drewnianej chałupy dosyć...

— Prawda, grody u nich piękne są — rzekł Włast —
dostatek wielki... ale, choć wygodę lubią, wojować
też umieją.

— Lepiej od nas? — podchwycił Mislaw prawie
gniewnie.

— Jam nie wojak — odparł Włast, — na tem się
nie znam.

— A na czymże wy się znacie? — zapytał Stog-
niew.

— Byłem w niewoli — odezwał się Włast, ośmie-
lając się i mówiąc spokojnie. — Będąc w niewoli, czy-
niłem poniewoli to, co mi kazano, służąc i sokołom,
i koniom, i ludziom.

— Jakżeście się na swobodę dostali?

— Wkońcu widząc, że im na niewiele przy-

dał, dali mi ją sami... — mówił zapytany. — Użyłem jej, aby do domu powrócić.

— A doma? — spytał Stogniew, — doma u takiego, jak Luboń, wojaka... cóż wy tam robić myślicie?

— Co mi pan rodzic każe...

Pokora ta i spokój, z jakim odpowiadał na nieco szyderskie pytania syn Lubonia, ton, do którego ci ludzie nawykli nie byli, czynił na nich dziwne wrażenie.

Rosław i Mislaw śmieli się uzuchwaleni, widząc takiego bezbronnego, słabego człeka, który się nawet zagniewać nie umiał: — Stogniew czuł nieco litości.

Półgębkiem czynione żarciki z biednego chłopaka wywoływały mu rumieniec na licu; cierpiał, ale milczał.

Posiliwszy się nieco, już chciał wstać, by odejść i uwolnić się od tych towarzyszków, gdy komornik książęcy, sługa izdebny — wszedł, pozywając go do Mieszka.

Zmieniło to nieco usposobienia dwóch butnych wojaków, a Włast żywo i z wielką ochotą, pokłoniwszy się im, z izdebnym pośpieszył.

Mieszko był jeszcze w drugim podwórzu, gdzie niewiasty jego mieszkały i gdzie sypialnię miał, w której odpoczywał.

Przeszedłszy pierwszy dziedziniec wewnętrzny, pelen psów i wrzawy, przez wrota zawsze zamykane, u których straż stała, wprowadził go komornik na drugie podwórze. W pośrodku jego był ogródek zielony i drzewa.

Zaledwie zaskrzypiały drzwi, z otwartych okien na lewo ujrzał Włast powychylane głowy młodziuchnych niewiast w białych chustach, z uśmiechem przypatrujących mu się ciekawie i dających znaki prowadzącemu go komornikowi. Chichotania stłumione dały się słyszeć; kilka strojnych dziewcząt wyrwało się z wnętrza, aby się śnać obcemu przypadającemu.

Komornik prędko wskazał mu drogę na prawo, pod słupami, które podsienie dokoła podpierały. Przez wielką sień potem weszli do obszernej izby, w której na ławach siedziało i leżało kilkunastu, tak jak ten, który Włast prowadził, przyodzianych komorników, a oprócz tego straż się znajdowała zbrojna. Izba, sparta na drewnianych słupach, które ją na dwoje dzieliły, okopcona od dymu, z ogniskiem ogromnem, wygasłem teraz, cichą była i milczącą.

Przeszedłszy ją i drugą mniejszą, pustą, w której stał oręż przy ścianach, a na nich wisiały łuki, obuchy, proce i tarcze... uchylił drzwi do komory Mieszkowej...

Kneź leżał wyciągnięty na skórach niedźwiedzych, z rękami pod głowę założonemi, nawpół uspiony. Zwrócił oczy ku wchodzącemu, i nie wstając, dał mu znak, aby się przybliżył.

Komornik, drzwi zamknawszy, zniknął.

Jakiś czas panowało milczenie. Mieszko westchnął parę razy, podniósł się zwolna, siadł na łożu i rzekł, przypatrując się Włastowi.

— Tej nowej wiary niemieckiej jestem ciekawy... Ty ją znać musisz... mów mi o niej! Wszak Bóg ich Chrystusem się zowie?

— Tak, miłościwy panie — począł Włast zwolna, a pytanie to rozradowało mu duszę. — Tak, Chrystus był Bogiem na ziemi, i powrócił do niebios, skąd zstąpił na nią. Zszedł On, by nowe prawo przynieść z sobą i zaszcześcić je krwią swoją pomiędzy ludźmi.

— Tak... wiem... był zabity... zamęczony... — rzekł Mieszko.

— I zmartwychwstał! — dodał Włast.

Kneź, usłyszawszy to, podniósł nań oczy z wyrazem niedowierzania i przestachu.

— I czynił cuda wielkie? — zapytał cicho.

— I czyni je ciągle... — dokończył Włast.

Mieszko, jakby własnego lękając się głosu, oczy zwrócił na mówiącego i odezwał się cicho bardzo:

— Tyś chrześcijanin?

Włastowi serce uderzyło silniej.

Pomimo, że głos ten nie był, a przynajmniej nie wydał mu się groźnym, nie mógł być pewien, czy przyznając się, nie wyda na siebie wyroku śmierci. W tej chwili osłabienia ducha na myśl mu przyszło, jakby dla uniewinnienia kłamstwa, trzykrotne Piotrowe zaparcie się Mistrza... drgnął, odpychając to jak pokusę nieczystą, i wnet mężnie zwyciężając niemoc i obawę, rzekł:

— Jestem nim, miłościwy panie! jestem nim! Choćbym za to cierpieć miał i życie utracić, zaprzęczę się nie mogę Boga mego...

Zdumiony Mieszko, milcząc, długo się w natężnionym młodzieńca wpatrywał.

— I... nie lękasz się śmierci? — zapytał.

— Nie, panie... bo mnie po niej czeka żywot wieczny i wieczna szczęśliwość.

— Żywot wieczny! — mruknął kneź, wstając. — Jesteśże ty pewnym?

— Miłościwy panie — zawołał Włast, nabierając coraz więcej odwagi — Bóg nam go przyrzekł.

Z dziwnym wyrazem twarzy, napół szyderskim, napół trwożliwym, rzucił się kneź na łożo i zadumał głęboko.

Milczenie przykre trwało długą chwilę.

— A umiesz ty cuda czynić? — zapytał.

— Nie, panie, bo ich żaden człowiek nie czyni — rzekł Włast, — tylko Bóg; a ten, przez kogo Bóg czyni cuda, musi być godnym Jego łaski. Jam jej niegodzien!

Tego Mieszko zdawał się nie rozumieć dobrze.

— Przecież są tacy chrześcijanie, co czynią cuda? — odezwał się.

— Są, miłościwy panie, ludzie święci, przez których Bóg nasz je czyni.

Mieszko znów się zadumał, położył na swoim posłaniu i zdawał zupełnie zapominać o Właście.

podniosła główkę z oczkami czarnymi i nóżką tupnęła... lecz postrzegłszy za nią obcego, pierzchnęła w drugi koniec podwórza.

Stara kazała się Włastowi zatrzymać, ławę mu pod ścianą pokazując, aby sobie na niej spoczął, a sama poszła do kniehini.

Z okien, na podwórze wychodzących, kilka głów wyjrzało, przypatrując się oczekującemu, i znikło... Przypatrywała mu się i hodowana sarenka, to przybliżając, to uchodząc, a nad głowami ptaszki szczebiotały.

Po dosyć długiem oczekiwaniu ukazała się wreszcie Srokicha i dała znać Włastowi, by szedł za nią.

Przeszedłszy dwie puste izby, w trzeciej izbie z oknami zwróconemi na podwórze, pełne niewieskiego sprzętu, znalazł Włast Górkę.

Stała, spodziewając się go, w pośrodku komory, całe przystrojonej w kwiaty i kobierce, z rękami na piersiach założonemi, w postawie prawie męskiej, piękna, ale surowej twarzy kniehini.

Była tak podobną do Mieszka, iżby ją za siostrę jego wszędzie poznać było można. Piękniejszą była — nie inną: ten sam rozum i zadumanie miała w twarzy i dumę tę samą.

Ubrana w suknie krasne, z wianuszkciem na głowie, którego dziewice nigdy naówczas nie zrzucały — oczyma bystreimi od wnijscia zaraz ciekawie zmierzyla Własta...

Stara sama do kolan jej przwypadłszy, jemu też paść do nóg pani kazała — dopełnić musiał. Nim on otworzył usta, Srokicha za niego mówiła już o dwunastoletniej niewoli jego, skarżąc się, że ona tak go znękała i wysuszyła.

Knihini stała długo milcząca — patrzała, i nie rychło dopiero głosem męskim rzuciła pytanie, czy go Niemcy męczyli?

— Miłościwa kniehini — odpowiedział Włast — żadna niewola rozkosza nie jest; lecz i między nimi są ludzie litościwi.

Górka potrzęsła głową.

— Daleko was pędzili?—zapytała.

Wlast tedy rozpowiadać zaczął, jako był na dworze cesarskim, a z nim w tej ziemi, która nie zna zimy i w której cuda prawie widzieć można, tak piękna jest i ludna.

Wspomnienie o cesarzu, o tych krajach oddalonych, o cudach—żywo zajmować zaczęło kniehinę i pytała już a przysłuchiwała się bacznie.

Opowiadanie, którego Srokicha słuchała też bardzo chciwie, byłoby długo może trwało, gdyby hałas w podwórzku nie zwiastował gościa nowego. Nim stara rozmyśliła, co z Wlastem uczyni, wparł się już Sydbór do siostry... otworzył drzwi i przypadłszy do niej, bił jej czołem, całując kraj szaty, śmiejąc się i ryczocząc, że ją mógł widzieć.

Górka mu rękę swą białą położyła na ramieniu i uśmiechnęła się, nie jak bratu, ale jak słudze, pytając, kędy bywał i z czem powracał.

— Miłościwa kniehini—bełkotał dziki wojak, ciągle się śmiejąc i patrząc jej w oczy—byłem daleko; wpadłem aż do niemieckich wsi w granicy, dwie ich spalilem, niewolnikom nabrał, bydła i koni, i bab i dzieci... a oto dla ciebie, kniehini—bo ja o was nigdy nie zapominam... wybrałem co najlepszego.

To mówiąc, wskazał jej, aby nastawiła ręce... Górka podniosła nieco połą sukni... a Sydbór począł wyjmować z zanadru i sypać, śmiejąc się, na nastawioną połą, pierścienie, kolce złote i ozdoby kobiece. Przy jednym z kółców trzymała się część ucha oderwanego z nim razem, ale nikt nie spojrzał na to.

Sydbór śmiał się, chwając lupem; kniehini zdawała też nim cieszyć, lecz dziękowała bratu, bez wielkiego zapалу. Po chwili wszystką tę zdobycz oddała do schowania starej Srokisze, a wojak począł opowiadać, jak palił i zabijał.

Wlast stał jeszcze, lecz nie miał już co tu robić.—nikt nań nie patrzył; pokłoniwszy się więc, dał znak starej, ażeby go wypuściła.

Wyszła ona za nim— a w komorze kniehini słychać już było tylko dzikie śmiechy Sydbora.

Wypuszczając dziecko swe, stara szepnęła mu, gdzie i jak znaleźć ją może, jeśliby czego potrzebował. Wistocie ona to go więcej widzieć i cieszyć się nim potrzebowała.

Wyszedłszy ze dworu kniehini, Wlast, któremu na pamięci stał ciągle obraz starca, niemiłosiernie skępowanego,—choć nie wiedział, gdzie go miał szuknąć, postanowił iść dowiedzieć się o niewolniku, aby mu być jaką pomocą.

Lecz na grodzie obszernym szop i budowli różnych tyle było, że w nich łatwo mógł się obłąkać. I byłby długo musiał szukać jeńców, gdyby tłum gawiedzi dworskiej, otaczający ich, nie wskazał mu, gdzie byli.

Starszyzna wojskowa zgromadziła się tu, wcześniej sobie upatrując ludzi, których zamiana, darem lub za zapłatę dostać sobie mogła do usług. Braniecy i branki leżeli na ziemi, pędzeniem długim i niełitościwem znużeni, pospiersi jedni na drugich.

Ponieważ lękano się, by z długiego nie pomarli głodu, rzucano im chleba suchego i postawiono wiadro z wodą. Niektórzy chciwie gryzli spleśniałe okruchy, inni pili;—większa część, bezmyślnym snem ujęta, nie lękając się już ani razów, ani śmierci, leżała jak martwa.

Wlast z trudnością się mógł przecisnąć przez ciżbę, szukając oczyma staruszka... On jeden siedział, nie pijąc, nie jedząc, nie mogąc usnąć, ze spokojną rezygnacją człowieka czekającego na śmierć. Mógł się jej spodziewać, bo sił do pracy nie miał, stary był, a karmić go darmo niktby nie chciał może. Wzięto go z tłumem, przy rabunku kościoła—nie ubito na drodze, ale zbliżała się chwila, gdy ich przebieierać miano.

Zwolna obchodząc jeńców, Wlast się przybliżył do starca tak, że oczy jego, błędzące bezmyślnie po tłumie, na nim się zatrzymały.

Poznał go, prawie przerażony... chciał się ruszyć, lecz więzy nie dawały. Wśród gwaru, panującego dokola, łatwo do siebie przemówić mogli.

— Ojcie Gabryelu — rzekł Włast. — Jakżeście się tu dostali?

— Ojcie Matia — odparł niewyraźnie starzec — skąd wy tu?

— Jam powrócił — musiałem.

— Jam schwycony, jam w niewoli — mówił starzec, — wola Pańska... gotówem na męczeństwo. Patrzałem na kościółek mój splugawiony, na świętokradztwo... o Boże! los własny mnie nie obchodzi!

— Ale mnie on na sercu leży, ojcie Gabryelu! — i jeśli potrafię, ja was uwolnić muszę.

— Poco? — zapytał stary. — Kościół mój spłonął i obalił się, owieczki rozbite... pasterz niepotrzebny. I głowę na piersi pochylił.

— Ojcie Gabryelu, bądźcie dobrej myśli! Idę prosić za wami.

— Proście za sobą Ojca miłosierdzia, — odezwał się staruszek, — aby wam dał wytrwać w wierze... Bóg niech was błogosławi.

Związaną ręką staruszek zrobił krzyżyk.

Nie miał już tu Włast co więcej czynić; wysunął się więc co najrychlej i śpieszył nazad do dworca książęcego. Lecz tu docisnąć się teraz ani pomyśleć było można. Jakieś kneziątko Obodrytów, z gromadą Lutyków przybyło właśnie i do Mieszka wypuszczone zostało.

Wrzawliwa narada odbyła się z nim w wielkiej izbie. Mieszko, siedząc na stolicy swej, otoczony dworem licznym i zbrojnymi ludźmi, przyjmował ich tłoczyscie. A że pokilkakroć doświadczył ich niewiary i krzywoprzysięstwa, lajał więc i bezcześcił przybyłych, którzy go na kolanach przebłagać się starali i posiłki sobie a opiekę wyprosić. Przez otwarte okna od podwórza widać było we wnętrzu klęczących starców brodatych i z siedzenia swego groźnie im odpowiadającego Mieszka.

— Siły jego nie znam, lecz wiem to — począł Dobrosław — iż go i cesarz szanuje, a ma za sprzy-nierzeńca... i Niemcy się go boją, i Ugrowie siedzą cicho...

— Rozumny jest i ja szanuję go — odezwał się Mieszko — i dlatego chcę jechać do niego, rękę mu podać, a powiedzieć: bądźmy jako dwaj bracia... a nie zapotrzebujemy cesarza ani Niemców, ni ty, ni ja... i będziemy silniejsi od nich... Ziemie to nasze, język nasz... nie damy ich... Panujmy we dwu... Zamilkł chwilę i cicho mruknął do siebie:

— Potem, gdy bezpieczni będziemy od Ugrów Niemca, zobaczymy, między nami, komu dane ma być panowanie... Ziemie nasze ciągną się szeroko... a to, co nam wydał cesarz, odbierzemy... Co on mówi? — spytał Mieszko — co myśli o mnie?

— Miłościwy panie — odparł Dobrosław — kneź Bolko Luty mógłby równie nazwać się Milczącym jak Sierdzystym... nie mówi on nic, a głosu dobędzie wówczas chyba, kiedy miecz chowa... rzekł mi tylko: Zechce przybyć Mieszko, rad mu będę. Chce, bym go czcił, jak brata, uczynię to... zapragnie, abym go wrzekomo nie znał, udam, jakoby nie wiedział, kto jest...

Kneziowi oczy zajaśniały.

— Dobrześ sprawił twe poselstwo — rzekł, — a powiedz się-lj podróż moja, do której wnet gotować się każe, otrzymasz nagrodę i łaskę moją mieć będziesz.

Nie skończyło się na tem badanie, ponieważ Dobrosław nie po raz pierwszy na dworze pragskim przebywał, a dzieje tamtejszych książąt znał; Mieszko pytał o nie i o wszystko, co zasłyszał... o krwawe przygody rodu, dziś pokutującego za krew prze-laną, o stolicę, gród, o kraj, czyli ochrzczony był cały, jak lud nową wiarę przyjmował, i jak go do porzucenia dawnej skłonić umiano?

Wreszcie, dopytując o cały ród Wratisławiczów,

Mieszko jął badać, czy dziewczki kneziowskie posłubione były i dlaczego mężów nie znalazły?

Jął tedy Dobrosław opowiadać, iż jedna z nich poświęciła swe życie Bogu, a takie dziewice zamąż nie wychodzą; druga zaś, Dubrawka, dojrzała już, wolną była.

— Widziałeś Dubrawkę tę? — zapytał kneź ciekawie.

— Obyczaj chrześcijański nie zakazuje niewiastom pokazywać się i zamykać ich nie zmusza; przychodzą one i obcują wraz z mężczyznami... Na dworze więc Bolka Lutego — mówił Dobrosław — widziałem Dubrawkę. Dziewica urodziwa, dorosła i dojrzała, wesola i śmiała, jak na kniehinę przystało... Śpiew i płasy lubi... odwagę ma męską prawie, a rozum też jak niewiele niewiast miewa...

Zamilkł Mieszko zamyślony, lecz nie odpuścił jeszcze Dobrosława; po chwili pytał znowu, jaki był na dworze porządek i dostatek, jak tam przystało jechać i okazać się, skromnie, czy pańsko?

Wielkiego pocztu z sobą prowadzić przez Łużycę i czeską ziemię nie było podobna, w kilku się przekradając dla knezia nie przystało. Dobrosław radził w kilkadziesiąt koni wyruszyć i obiecał tak prowadzić lasami, wymijając gródki łużyckie i czeskie osady, idąc za biegiem Łaby i Weltawy, iż niepostrzeżeni prawie do Pragi samej przybyć mogli, jakby na łowy się wybrałszy.

Nie chciał też Mieszko, aby u niego w domu ktokolwiek wiedział o celu podróży; ani zresztą było we zwyczaju oznajmować o tem.

Zaraz nazajutrz do drogi sposobić się miano, wybierając do orszaku zaufanych ludzi, najlepszą zbroję, najpiękniejsze konie, najświeższe szaty, a dla knezia Bolka wspaniałe dary. Stogniew, który nigdy nie odstępował Mieszka, Dobrosław i Włast, dlatego, że oba chrześcijanami byli i za tłumaczów służyć mogli, oprócz tego komornicy najulubieńsi, którym nie mówiono, dokąd kneź jechał, wyznaczeni zostali.

Włast, przypomniawszy starego ojca Gabryela, którego chciał uwolnić, odważył się prosić, by i on mógł kneziowi towarzyszyć. Zmarszczył się na to kneź, ale zezwolił, nakazując tylko, aby starego jeńca ludzie między siebie wzięli. Nie chciał, aby widocznym był i dał odgadywać drogę, którą się udać mieli... Włast zaś miał potajemną nadzieję, iż raz między chrześcijan się dostawszy, uwolnić go potrafi.

Gdy Mieszko, wydawszy Stogniewowi rozkazy, obu ich nareszcie odpuścił, Dobrosław i Włast wyszli razem. Na grodzie z sobą mówić nie mogli, lękając się, by ich nie podsłuchano, wyszli więc za waly, w pole, nad rzekę i tam sam na sam siedli.

Dobrosław nie mógł się wstrzymać, by z radości nie uściskał Własta.

— Rozradowane jest serce moje! — zawołał w uniesieniu. — Stało się, o co prosiłem Boga... Mieszko nasz jedzie do Bolka... a rozumny pan, ujrzy, że nie mu nie pozostało, ino przyjąć tę wiarę, bez której my ocaleni być nie możemy. Z nią do nas przyjdzie wszystko, i ziemia nasza zakwitnie, — a Niemcom odjęty będzie pozór prześladowania... Jeśli się nie myślę, Mieszko chce być chrześcijaninem, ale się lęka...

— On? a kogoż lub czegożby się miał trwożyć?... — zapytał Włast.

— Dwanaście lat nie byliście z nami — począł Dobrosław, — nie znacie, co się u nas dzieje... Starą wiarę, którą lud żyje i oddycha, w której się narodził, urosł, — niełatwo wytępić... Policzmy, ilu nas tu jest chrześcijan a ilu nieprzyjaciół?... W chwili, gdy pan nasz przyjmie chrzest, wszystko, co mu dziś służy, obróci się przeciwko niemu.

— Lecz siłę ma! — rzekł Włast.

— I tak siła stanie po stronie ludu... Mruczają już teraz i odgrażają się... Patrzą na nas groźnie, choć tylko posadzają...

— Nie przetoż — rzekł Włast — ulęknąć się potrzeba i w błędzie pozostać... Bóg pomoże.

— Tak—dokończył Dobrosław.—Ale krwi wiele się przeleje... — i westchnął smutnie.

Gwarzyli tak długo jeszcze, gdy wreszcie Włast, który kneziowi nazajutrz miał towarzyszyć i potrzebował na to od ojca pozwolenia i wyprawy, pożegnawszy Dobrosława, na koni siadł, aby jechać do Krasnejgóry, skąd nocą mu powrócić było potrzeba.

Droga była mu dosyć dobrze dawniej znana, a oddalenie niewielkie; sam jeden więc, konia wzięwszy, puścił się, aby przed wieczorem stanąć u ojca.

Więcej, niż on sam, koń go do domu i żłobu prowadził. W Krasnejgórze znalazł ten sam spokój, jaki zostawił; wybiegła przeciw niemu Hoża, szczeniakiem go witając, ukazała się z za węgla z nieodstępna kądziela stara prządka, twarzą dosyć pochmurną zwracając się do wnuka, naostatek wyszedł Luboń stary, ucieszony syna powrotem, i Jarmierz, który wraz z nim sądził, że kneź Własta puścił do domu.

Syn skłonił się ojcu do nóg i oznajmił, że po wyprawę tylko przybył i dla opowiedzenia się, bo kneź nazajutrz jechał w drogę (zakazano mówić, dokąd) i kazał mu być w swym orszaku. Nachmurzyła się twarz Lubonia, ale wola książęca musiała się spełnić. Jarmierzowi kazano wydać, co Włast potrzebował, aby wstydu ojcu nie uczynił.

Wszystko, co żyło w domu, zbiegło się do przybyłego, który musiał powiadać o dworze, co widział tam i słyszał.

Stara Dobrogniewa, milcząc, przysłuchiwała się także, ale z twarzą posępną. Wolałaby była mieć na oku wnuka, zwłaszcza, że podejrzania jej, co do chrześcijaństwa nabrały teraz większej jeszcze wagi. Po odjeździe Własta stara potajemnie rozwiązała zastawione przez niego sakwy i znalazła w nich kielich srebrny, patynę, ampulki, wyszywane przybory, do odprawiania mszy św. służące, co wszystko za czarodziejskie jakieś narzędzia chrześcijańskie wieszczków mając, wnuka już zgubionym sądziła. Tak ona jak i Luboń nie widzieli innego ratunku,

tylko ożenienie go i trzymanie na oku. Pobyt na dworze nie był im na rękę.

Gdy oprócz innych rzeczy, Włast i swojego zastawionego węzła zażądał, stara wydała go wprawdzie, ale zasepiła się więcej jeszcze.

Tymczasem dobywano szaty i uzbrojenie, wyprawiano innego konia i Jarmierz pilno się krzątał około wyprawy syna pańskiego.

Luboń napróżno dopytywał, dokąd jechali i na jak długo, i nie zdziwił się, gdy syn mu odpowiedzieć nie umiał, gdyż nie było w obyczaju knezia naprzedz oznajmować o sobie. Stary ojciec tem się pocieszał, że wyprawa musiała mieć wojenny cel i że syn się zaprawi do oręża.

Ściemniało już nieco, gdy się przygotowania skończyły i Włast na koniu objuczonym, pożegnawszy swoich, nazad ku Cybinie wyruszył.

W pierwszej swej jeździe z Poznania miał za przewodnika konia, teraz, choć drogę mu rozprowadziano i on sam ją sobie przypominał, gdy w las wjechał, niebardzo jednak sobie umiał poradzić. Drog wielkich nie było, gdzieniegdzie lasem i zaroślami prowadziła mało wybita ścieżka. O zmierzchu nie-dobrze ją było można rozpoznać. Puścił się więc, kierując mniej więcej w stronę, w której gród, jak mu się zdało, leżeć musiał.

Noc nadchodziła szybko, pusto było dokoła. Włast, niecierpliwie zwracając się różnie podług swojej myśli, wkońcu się zupełnie zbłąkał; las coraz był gęstszy, zarośla niedostępniejsze, a mrok we wnętrzu jego trudno rozpoznać dawał drogę i kierunek. W gęstwinie żadnego głosu i znaku życia nie było. Wreszcie z koniem się przez nią przedzierać coraz trudniej się stawało. Zsiadłszy więc z niego, dla lepszego rozpoznania ścieżek, i prowadząc go w rękę, szedł Włast, nie wiedząc dobrze, co pocnie.

Dosyć już długo błędził tak, coraz mniej mogąc zmiarkować, w którą się miał kierować stronę, gdy w głębi lasu zdala spostrzegł światelko. W miejscu

tem podnosiło się nieco wzgórze, lasem zarosłe, i ogień rozpalony był na jego wierzchołku; kłęby czerwonego dymu wily się wpośród drzew i płomienie oświecały wysokie pnie starych dębów.

Włast, zbliżając się, dostrzegł gromadę ludzi, z których jedni stali, drudzy siedzieli dokoła ogniska. Uszu jego dochodziły stłumione i zmieszane głosy.

Niepewien będąc, na kogo trafił, i lękając się, aby go, samotnie jadącego, nie odarto, przywiązawszy u dołu konia do pnia sosny, sam pieszo poszedł pocichu na zwiady. Ostrożnie się przedzierając przez krzaki, zwolna się zbliżył ku wierzchołkowi wzgórza, tak, że mógł już, ukryty za kłodą obaloną, dojrzeć i słyszeć, co się tu działo.

Płaszczynę wzgórza okrywały rzadko rozsądzone drzewa olbrzymie. W pośrodku stał najogromniejszy ze wszystkich dęb rozłożysty, którego gałęzie wielką przestrzeń ziemi osłaniały. U pnia jego widać było przy ognisku głaz mchem obrosły, napół w ziemię wpadły. Kilkunastu ludzi z brodami długimi, z dzidami i kijami w rękę, stało nieopodal, kilku siedziało. Naczynia gliniane na kamieniu rozstawione były.

Z kolei starcy ci głos zabierali. Niektórzy mówili tak cicho, że ich posłyszeć nie było można, inni podnosili głos.

Włast, który w ciągu pobytu na grodzie zbliżał się przez ciekawość nieraz do świątyni, postrzegł tu te same twarze, które tam widywał. Byli to wieszczowie i gęślarze od kontyny, a z nimi inni jacyś ludzie. Miejsce musiało być ofiarne, jak to kamień oznaczał.

Rozpoznawszy nieco ludzi i twarze, Włast przysunął się bliżej. Tu mógł już słyszeć, co mówili i wyraźniej widzieć starych, co ołtarz otaczali.

— Z Niemcami — mówił jeden — i z ludźmi, co u nich żyli, obcuje ciągle. — nami gardzi!... Pieśni posłuchać nie chce, a trafi na nią, to się śmieje i ramionami rusza. Ponawracali na swą wiarę Luty-

ków i Obotrytów wielu, wzięli Czechów... przysła kolej na nas... Biada nam... ten nas zgubi... ten, nie kto inny, z oczów mu to widać...

— U niego na dworze — rzekł drugi — najlepsi ci, co zdradę od nich czuć... Do kontyny po wróżbę nie pośle; gdy idzie na wyprawę, nas nie pyta... wieszczby żadnej nie chce... niewolnika nie zabito na ofiarę lat już wiele...

— Bojan niech powie — przerwał inny — czy kiedy on, albo siostra poszli się pokłonić do gaju, albo złożyli objatę... — nigdy...

Szemrano coś niewyraźnie.

— Czuć u nas to, co było w Czechach... kontyny obalą... drzewa wytną... — a Niemców zaprowadzą — krzyknął jeden.

— Niedoczekanie ich! — ozwał się potężny głos z ziemi — nie da się lud... obroni bogów swoich... pilne na niego mamy oko... Stogniew, który ucho jego ma i od boku nie odstępuje nigdy, pierwszy wstanie przeciw niemu... wstaną kneziowie inni, kmiecie wszyscy... uczynią mu, co zrobili z Leszkami... Znajdziem wodza innego...

— Lud zbrojny ma w rękę...

— Nie pójdzie z nim na nas... — rzekł siedzący — nie pójdzie...

Gwar powstał znowu.

— Gdy tylko zdradny zniknie, ubiją go... — mówił jeden.

— A Sydbór? — zapytał ktoś z tłumu.

— O! ten mu służy jak niewolnik i uczyni, co każe...

— Na co nam Sydbora... mamy innych...

Zaczęli po imieniu liczyć nieznanym Włastowi władków i kmieci. Niektóre tylko w pamięci utkwić mu mogły.

Na ziemi u kamienia siedzący wywoływał tych, którym ufano.

— Zawist, Nadek, Sulin, Staniec, Rodosz, Besior, Sulenta...

Wtem z boku krzyknął ktoś imię ojca jego:

— Luboń...

— Nie — zaprzeczył drugi — Luboń mu nogi liże.

Gwar i sprzeczka powstała; ktoś Stogniewa o zdradę zaczął obwiniać, inni go bronili, mówiąc, że pewni byli, iż wiary dotrzyma i swoją ręką gotów ubić pana, gdyby chciał trzymać z Niemcami i ich wiarą.

Dość długo trwała coraz gwarniejsza rozmowa, przerywana cichymi szeptami, aż pieśń jakąś starą zawodzić poczęto.

Przerwała ona radę i spory.

Włast już dłużej słuchać nie mógł i nie chciał; dosyć mu było tego, co pochwycił. Nazad więc zszedł do konia, którego znalazł z zaplątanemi cuglami u drzewa, siadł nań i na los już się puścił, nie kierując wcale. Noc była nadeszła gwiaździsta, pogodna, ale ciemna; koń instynktem szukając drogi łatwiejszej, wyprowadził go na łąkę. Zrozpaczywszy, by na noc mógł się dostać do grodu, chciał na niej obozować do dnia Włast, gdy dostrzegł cień idącego człowieka, nieopodal się przesuwający. Ozwał się doń, nawołując. Człek stanął.

Zbliżywszy się, ujrzał zbłąkany starca o kiju, snąć jednego z tych, którzy na wzgórzu byli na radzie, powracającego do chaty. Zawołał nań, o drogę do grodu pytając.

Przypatrzywszy mu się bacznie, stary wskazał ręką kierunek, dodając:

— I ja tam idę. Z boru się prędko wydostaniemy, a za borem widać gród, — traficie doń sami.

Na zapytanie, skądby jechał, odparł Włast, że z Krasnejgóry; nie znając drogi, zbłąkał się, a do grodu mu było pilno.

— Wyście tu obcy? — spytał stary, idąc powoli koło konia.

— Obcy nie jestem — rzekł Włast, — alem tu nie bywał dawno.

— Wojowaliście?

— Nie — począł spytany — w niewoli byłem u Niemców.

— Psie syny — mruknął stary. — Wszystkich nas oni pobiorą i wpręgą do pługa... pobrali już braci naszych nad Łabą i nad Odrą, poburzyli kontyny, powycinali gaje... Zdradzili nas knezie nasze i sami do nich poprzystawali... starszyzna nas sprzedawała... ale przyjdzie czas i na starszyznę, i na nich... Dosyć my się lez napili, — drudzy krew pić będą musieli...

Umilkł chwilę stary, ale idąc mruczał, jakby przeklinał, a że Włast mu nie wtórował i nie odzywał się, umilkł wkrótce.

Z tych słów i z tego, co podsłuchiwał na wzgórzu, mógł się przekonać Włast, jakie było usposobienie między Polany.

Z lasu wyjechawszy, zobaczył już zdala rozrzucone światła i ogniska nad Cybiną.

— Jedźcie — odezwał się stary, — wam pilno... ja pójdę pieszo powoli... ze starym się wlec młodemu nudno...

I spuściwszy głowę na piersi, pokazał mu ścieżkę, wiodącą do grodu. Włast konia popędził i wprędce stanął u okopów, gdzie straż przy ogniskach leżała.

Nie wstrzymał go nikt, wjechał więc do uspio-nego zamku i zabrawszy sakwy swoje, a postawiwszy konia, pośpieszył do ojca Gabryela.

VIII.

Piękny był wieczór kończącego się lata, poza którem już nieco nadchodzącą jesień czuć było. Przeszły lipcowe skwary, noce zaczynały być orzeźwiająco i chłodne, drzewa wprzód powarzone upałami, zdawały się odżywać na nowo. W blaskach południowych, w świeżej tej zieleni

drzew zwieszonych konarami nad Weltawą, jak gdyby wody jej pić chciały, cudnie wydawała się okolica Pragi, ze wzgórzem Hradszyna, którego sterczące wysoko mury widać było zdala.

Gromadka, z kilkudziesięciu złożona zbrojnych ludzi i dostatnio poprzybieranych, zatrzymywała się właśnie w gaju nad rzeką, dla spoczynku i narady o dalszym pochodzie. Miasto już stąd widać było.

Podróżni, przybyli z dalekiego snąć kraju, konie mieli zdrożone i suknie pyłem okryte. Niektórzy ocierali pot z czoła i zsiadali z wierchowców, aby się po męczącej wyprostować jeździe.

Wybrano na to ustronny, cienisty kąt nad rzeką, aby ludzie i konie przed wjazdem do obcego miasta, oczyszczone i przybrane, lepiej wydać się mogły.

Orszak, mimo, że ucierpiał w podróży, okazał się wydawał; składająca go młodzież była urodziwa i silna, konie piękne i okazałe, opony na nich z sukna cienkiego, broń jednakowa u wszystkich, doborna i droga. Sama liczba ludzi towarzyszących panu, który właśnie pod drzewem spoczywał, mówiła o jego znaczeniu. Kneziem po drodze mianowali go i ci, co go nie znali, czołem mu bijąc nisko.

Z juk na luźnych koniach zdejmowano właśnie, co było potrzeba włożyć na konie i ludzi, aby nie ladajako się pokazać u obcych. Tymczasem gromadka wojaków wesoło się rozpierzchła po okolicy, szukając cienia, pragnąc wody.

Orszak ten, stojący chwilowo obozem pod Pragą, należał do Mieszka, Ziemomysłowego syna.

Widać było wpośród niego Dobrosława, Wiotkiego, Wlasta, syna Lubonia i starego jeńca, ojca Gabryela, którzy razem na uboczu się trzymali. Oprócz nich nikt, gdy wyjeżdżali z grodu nad Cybiną, nie wiedział, dokąd jadą i po co. Domyslał się może bystrzejszy Stogniew z tego, co wieźli z sobą, że nie na wojnie się wyprawili...

Prowadzeni przez Dobrosława drogami mu znajomymi, napozór bez żadnego drogi śladu, górami i lasami gęstemi przedzierali się podróżni, idąc za biegiem Łaby i Weltawy, aż do stolicy czeskiej, do Pragi. Zręcznie musieli unikać i wymijać gródki nad rzekami, osady w parowach i kupki włóczących się za łupieżą Serbów, Niemców i różnych rabusiów zbrojnych. Ale w tem przedzieraniu się cichem, do którego wdrożeni byli, na męstwie i przebiegłości nie zbywało ludziom Mieszkowym. Dobrze zbrojni, silni, byliby się i dwakroć większej nie ulękli gromady.

Na czeską ziemię wszedłszy, już śmielej posuwać się mogli, bo Dobrosław miał słowo książęce... Bolko Luty wiedział o odwiedzinach Mieszka i rad mu był bardzo; różne rachuby wiązały się z tem zbliżeniem dwu kneziów sąsiadujących z sobą. Polański pan i czeski oba pono liczyli na siebie; obu się marzyło może, Bolkowi szczególnie, który potężniejszym się czuł i o cesarstwo opierał, że pobratyma hołdownikiem, podległym sobie uczyć potrafi.

Zwycięstwo, odniesione nad Ugami, wbijało Bolka w dumę, a czasowa podległość cesarstwu nie upokarzała: mógł się on z niej wyzwolić, kiedy chciał, a do tego wszak i Mieszko mógł mu być pomocnym.

Przodem wysłany Dobrosław, wyrozumiał dobrze, iż tu zdrady nie knują, bo z niejby nie mieli korzyści.

Mieszko jechał, w głowie coś obmyślając, przez całą podróż zadumany i chmurny. Raz z noclegu chciał zawrócić nad Cybinę, potem Dobrosława bał znowu, a gdy stanęli na ziemi już ochrzczonej, niepokój zwiększył się jeszcze. Kneź się wszystkiemu przypatrywał z ciekawością cheiwą, czasem z trwogą prawie.

Tu już panował wszędzie ten Bóg wielki, jedyny, potężny, któremu on jeden, poganin, nie kłaniał się jeszcze. Gdzieniedzie spotykali po drodze ślady świętego jeszcze nawrócenia, powycinane gaje święte.

obalone ołtarze stare; u krynic pozatykane niedawno krzyże drewniane, ściany rozwalonych kontyn, ziel-
skiem porosłe, wśród których sterczały już znaki
nowej wiary.

Na widok tego zniszczenia, wydającego mu się świę-
tokradztwem, Mieszkowi twarz płonęła gniewem, nie-
dowierzająco spoglądał na spokój, który te miejsca
otaczał, dziwiąc się, iż starzy bogowie krzywdy swej
nie mścili. Mimowolnie rodziła się wątpliwość o ich
sile? Każdy krzyż obawą go napelniał. Spoglądał
nań z zabobonną trwogą, azali nie pozna on w nim
obcego i wroga. Z temi niepokojącemi wrażeniami
w duszy Mieszko przybył aż pod Bolesławową Pragę.

Dobrosław, jakby odgadując myśli jego, dodawał
mu ducha, ręczył i zapewniał o gościnnem przyjęciu.
Kneź słuchał i milczał.

Komornicy przynosili mu właśnie bogate ubra-
nie i płaszcz czerwony, złotem szyty, który miał
wdziać na siebie, Włost podawał kołpak, drugi miecz
przypasywał, gdy zdala nadbiegł Stogniew z twarzą
dziwnie rozpromienioną i wesołą.

— Miłościwy panie! — zawołał. — Zanim na hrad
pana Bolesławowy przybędziemy, zaprawdę warto
się przyjrzeć tutejszym niewiastom — ja się im już
niepostrzeżony przypatrywałem! Krasne stworzenia!
Oto tu, nieopodal nad rzeką przybiło ich kilkanaście
czołnami, czy dla kąpieli, czy dla zabawy. Usadowiły
się na łące w gaju i śmieją się, płasają a śpiewają
i pieśni zawodzą. Muszą być chyba z pańskiego
dworu, bo pięknie strojne, wyglądają jak królowny.
To mówiąc, na zarośla ukazywał.

A chociaż mówił dosyć cicho, komornicy pańscy
coś o dziewczętach posłyszeli musieli i kilku z nich
zaraz wiedz poczęło w stronę ukazaną; — ale Sto-
gniew ogroził im, wstrzymał i cofnął, aby nie spło-
szyli pierzchliwych.

Mieszko porwał się śpiesznie i począł iść za Sto-
gniewem, który go poprzedzał, na Dobrosławę ski-
nawszy, aby mu towarzyszył.

Za łąką, na której odpoczywali, gaj się w tej
stronie poczynął podszyty, i gęstwiną można się by-
ło podkraść do miejsca, ku któremu Stogniew pro-
wadził. Dokoła osłaniały kawał zielonej murawy
u brzegu stare drzewa, z pospuszczanemi w dół
gałęzmi.

Cicho było i chłodno w tej ustroni, od oczów
ludzkich zakrytej, a Włostawa, mrucząc, myła zwie-
szone nad nią trawy i kwiaty. Na falach jej, tuż
u brzegu kołysało się kilka czołen okrytych sukniemi,
z tych właśnie reszta gromadki postrojonych, kras-
nych dziewcząt wysiadła, poskakując, wiosła rzu-
ciwszy na nie.

Temu, co znał czeskie podania, wydać się mo-
gło, że Włostwa ze swojemi towarzyszkami z grobu
wstała i jakaś Lumirowa pieśń ze słowa w widmo
się zmieniała.

Dziewczęta wszystkie prawie jednako były po-
ubierane, w wianuszkach dziewiczych na głowach,
z kosami w krasne wstęgi wplecionemi, w białych
cienkich gźlach, szytych wzorzysto i malowanych za-
paskach. Niektóre z nich były bose, inne stapały
w chodaczkach wyszywanych, z czerwonymi, około
nóg poplatanemi sznurkami. Biegały po łączce, jakby
sposobiąc się do jakiejś zabawy.

Śmieszki rozlegały się wesołe, ale tłumione jak-
by poszanowaniem i trwogą, którego pobudkę odgad-
nać było łatwo.

Wśród tego wienca dziewczątek, od lat piętnastu
do ośmnastu, dobranych jakby do wieku i miary,
stała urodziwa dziewica, w której po stroju i twarzy
poznać było można panią.

Wzrostem bujnym o głowę całą przechodziła to-
warzyszki swe, a postawą poważną i dumną wzyst-
kie je gasiła. Z wianku i kos znać w niej było
dziewicę — niedopiero rozkwitła, ale w pełnym mło-
dości kwiecie. Starszą była znacznie od swych to-
warzyszek, zdawała się też mieć zwierzchnią władzę
nad niemi.

Dziecko pańskie, krew rycerską, potomstwo jakiejś Libuszy czuć było w pięknej pani. Silna jej dłoń biała nie ulękałaby się snać miecza, ani cugli szalonego konia: na twarzy nieco smagłej, w czarnych oczach ognistych pałało nieustraszone męstwo, ale razem z nim swobodna panowała wesołość. Nie zbywało jej na wdzięku niewieścim w ruchach zręcznych, ale męska śmiałość z nim się łączyła.

Taką niewiastę-panią niełatwo było spotkać i zobaczyć, gdy one wszystkie sługami były, — i Mieszko, ujrzawszy ją, wlepił oczy ciekawie, oderwać ich nie mogąc od tego zjawiska, wydającego mu się czemś czarodziejskiem, wyższem i doskonalszem nad to, co widywał w życiu.

Wśród kilkunastu młodszych i piękniejszych ona ciągnęła oczy jak królowa.

Na pierwszy zaraz rzut oka otaczające ją dziewczęce twarzyczki gasły, — gdy po tamtych oko przebiegało, od tej wzrok oderwać się nie mógł.

Rysy twarzy znały się ostro i dobitnie, coś męskiego miały w sobie, ale niewieści urok okraszał je uśmiechem; białe zęby wśród ciemnych ust różowych jak dwa sznury pereł jaśniały.

Silą, wzrostem, urodą wśród tej gromadki nieznaną pani zajmowała pierwsze miejsce. Wszystkie dziewczęta patrzyły jej w oczy, czekały skinienia, zdawały się chcieć zgadnąć myśli.

Dziewica, mianując je po imionach: Młoda, Hodka, Swatawa, Radka, Wradka, Czastawa, jakby z pieśni pożyczonych, wyznaczała im miejsca na łące, stawiała kołem przy sobie, kazała się brać za ręce i, plasnąwszy w dłonie białe, dała znak.

Razem ze wszystkich ust odezwała się piosenka rzewna iakaś, a napół wesoła, dziewczęta w takt jej się poruszyły, i śpiewając, poczęły płaś, obracając się około pani.

Ona, stojąc w pośrodku nich, słuchała z widoczną rozkoszą, nucąc zeicha, pochylając głowę, niekiedy przyklaskując w dłonie, lubując się skokom i pie-

Widok tej zabawy dziewczęcej poruszył knezia i zajął niewymownie; oczy mu zabłysły i usta się śmiać poczęły. Ukryty w zaroślach, wpatrzył się tak, że zapomniał o wszystkim, co go otaczało i czekało, gdy Dobrosław, zlekka go potrąciwszy, szepnął mu do ucha:

— Knehini Dubrawka!

Była to wistocie córka Bolesławowa, jedyna po wnijsciu Młodej do klasztoru, Dubrawka, która dotąd nie znalazłszy sobie małżonka i nie szukając go, pędziła przy ojcu życie swobodne, niebardzo o przyszłość się troszcząc.

W jej pięknych, napół męskich rysach, widać było bujną krew tego rodu Przemysławów, który w złem i dobrem nie znał miary, córkę Drahomiry Lutyckiej, co nad miłość własnego dziecka przeniosła chęć panowania, córkę Bolka Lutego, co nad sobą starszemu nie chciał dać przewodzić, synowicę Wacława, co pobożnością stał się niemal kapłanem, cnotą doszedł świętości, pogardą życia — męczeństwa — krew rodu pańskiego, wojowniczego, stworzonego do królowania i dowództwa. Ojciec jej był jednym z kneziów czeskich — a został jedynym. Co mu nie uległo — pościął.

Takiej niewiasty mężej i silnej wśród ówczesnych pokornych i bojaźliwych, — bo ją do tego z dzieciństwa wdrażano, — Mieszko nawet nie marzył. Znal je trwożliwemi tylko, zuchwałemi w gniewie, a rozplywającemi się we łzy na skinienie, płochemi i płochliwemi. Ta niewiasta, jakby stworzona dla wojaka, zachwyciła go.

Zapomniawszy się, czy umyślnie, Mieszko gaszczył, która go zakrywała, przebił i stanął na widoku, aby się swobodnie przyjrzeć tej królewnie i pięknym jej towarzyszkom.

Lecz zaledwie się ukazał, kilka dziewcząt spotrzągło tę strojną postać mężczyzny nieznanego, obcego, nagle zjawiającą się, jakoby czarem z ziemi go rosnącą — i pieśń zmieniła się w okrzyk przestachu.

Zakrywając oczy, rzuciły się strwożone i pobiegły do czółen, szukając w nich schronienia.

Jedna Dubrawka nie uległa się, choć nie wiedziała jeszcze, co ten strach wzbudziło i odwróciła się śmiało a groźnie, spoglądając w stronę, gdzie stał Mieszko.

Zadziwił i ją zapewne człowiek nieznany, który śmiał tak podejść na zabawie i podpatrzyć. Z brwią namarszczoną spojrzała groźnie na Mieszka, który stał, uśmiechając się.

Groźna twarz dziewczicy wcale go nie przeraziła dopiero wpatrzywszy się w nią, gdy spostrzegł na szyi wiszący krzyżyk, — pochmurniał. Znak ten spotykał wszędzie, — nawet... na tej pięknej kniehinie.

— Kto wy jesteście? co tu robicie? — donośnym głosem zawołała Dubrawka.

— Piękna kniehini — rzekł, ośmielając się, Mieszko — jestem wojak podróżny... szukam służby do wojny, może wy mnie przyjmiecie?

Dubrawka popatrzyła nań długo; z dźwięku mowy, do czeskiej podobnej, a trochę różnie brzmiącej, starając się odgadnąć, skądby ten przybysz pochodził. Suknia bogata świadczyła o nieprostego stanu człowieka, płaszcz miał na sobie książęcy.

Żartobliwie jakoś zaczęły się jej uśmiechać usta.

— Hej! — rzekła, biorąc się w boki. — Nie proście wy się na służbę do mnie, — służba ciężka, spokoju nigdy niema, nie wydołalibyście u mnie! Wojak moich głodem morzę, a gdy się popsują, policzk naprawiam. Niezdrowo służyć u mnie.

— Jednak mi jakoś nie strach tej grozy — odparła swobodnie, przybliżając się ku niej Mieszko, — a cóż wy sługom płacicie, piękna pani?

— Ho! różnie! — poczęła wesoło Dubrawka. — Czasem kijami, czasem różgami, niekiedy ciemnicą o chlebie i wodzie. Jabyś was też do służby nie przyjęła, boście już musieli wielu takim panom służyć! A no, choć nie mój sługa, ukaraniaście się: ni: kto wam się tu wkraść pozwolił? Radzę

uchodźcie, bo moim dziewczynom każę na was uderzyć, a to wszystko Własty wnuczki i wojaczki z Dziewina.

Mieszko rozśmiał się głośno.

— A no, piękna kniehini — wydawajcie do wojny rozkazy! Kiedy wojna, to wojna... Gdy mi ją wy powiecie, na was pierwszą uderzę.

Słyszając to wyzywanie, dziewczęta nawpół w czółnach pochowane, ośmielone żartobliwą rozmową, poczyniły głośno śmiać się i chichotać. Niektóre groźnie wiosła podniosły.

— Jam tu też może nie sam i nie bez obrony — dodał Mieszko, — a jak klasnę w ręce i moich zawołam, weźmiemy wszystkie do niewoli.

Dubrawce żarty te podobać się musiały; patrzyła na nieznajomego z coraz większym zajęciem.

— Wieluż tam was jest na wojsko moje? Macie tam choć ze dwie sotnie? — odezwała się, śmiejąc.

Wtem wiszący na sznurku rożek wzięła w rękę pokazała go kneziowi.

— W tym rożku u mnie więcej żołnierzy na obronę, niż wy mieć możecie do napaści.

I wskazała ręką ku Hradczynowi.

— No, to zawrzyjmy pokój z sobą, piękna kniehini — odezwał się Mieszko. — Dajcie mi jeno okup, choćby wianuszek wasz, — to was puszcze całą.

— Kto? ja? wam? okup? Wianuszek się wam nie chce! Chyba wy mi się wykupicie, gdy wam się daruję.

— No, zgoda, — okup! Przyjmiecie okup ode mnie? — zapytał kneź.

Milcząc, popatrzyła Dubrawka na mówiącego, jakby odgadnąć pragnęła, kto był; uśmiechała mu się bez niewu.

Mieszko miał na palcu pierścień stary, który z dołu wiozł, żeby go komu dał, jako zapłatę lub podarek.

Siedział w nim spory kamień czerwony, grubo złotem w plecionkę okuty... Nie mówiąc nic, zdjął go z palca i podał Dubrawce.

Kniehini, spojrzawszy nań, zarumieniła się mocno, ale nie gniewnie; nie wiedziała sama, czy go ma przyjąć lub odrzucić. Mileżała.

— Chcieliście ode mnie okupu—rzekł Mieszko—oto go macie; niewielki on jest, ale i wina nie-straszna.

To mówiąc, zbliżył się o krok jeszcze do knehiny i gdy się najmniej spodziewała, w twarz ją zuchwale pocałował... Właśnie w tej chwili, jakby na próbę przez ciekawość, pierścień na palec kładła.

Z krzykiem i gniewem Dubrawka popchnęła knezia od siebie tak silnie, że Mieszko się zachwiał, i pierścień zostawując w jej rękach, natychmiast w gąszcz uszedł, śmiejąc się wesoło.

Tu czekającym nań Stogniewowi i Dobrosławowi dał znak, aby za nim śpieszyli do koni.

Stały one już w gotowości na łące i na dany znak wszyscy posiadali na nie. Naówczas Stogniew orszak podzielił i ustawił w porządku... Dobrosław samoszość jechać miał na zamek przodem z oznajmieniem i pokłonem do Bolesława, z prośbą, aby w gościnę był przyjęty nie jako pan polańskiego kraju, ale jako kneź z nad granicy. Wysłaniec miał poprzedzić orszak pański, który wolnym krokiem zwrócił na drogę ku Hradszynowi.

Jeszcze się wszyscy ustawiali na łące, w środek biorąc konie juczne i niepokązną czeladź, a Stogniew ludzi dobierał i szykował, gdy śmiała Dubrawka puściła się w pogoń za uciekającym nieznajomym i z gąszczy miała czas przypatrzeć się Mieszkowi, gdy na koni siadał z całym swoim orszakiem.

Chciała zrazu zawołać nań, aby sobie pierścień wziął nazad, nie będąc rada zuchwałemu podarkowi, lecz zobaczywszy, że Mieszek otoczony był znacznym orszakiem, zawstydziła się i zachowała pierścień na palcu, nie wątpiąc, że ktobykolwiek był owym nieznajomym, musi się zjawić na zamku, nie gdzie indziej, jak tam zmierzając. Zgadnąć, ktoby to był,

trudno jej było; jednakże z rysów twarzy szlacheckich, z butnej postawy, z wielkiej śmiałości człowieka domyślała się knehiny równego sobie stanu jakiegoś pogranicznego pana. Mowa świadczyła, że nie należał do niemieckiego plemienia.

Zadumana stała tak dosyć długo, spoglądając za odjeżdżającymi, aż dopóki jej z oczów nie znikli. Kierunek, w którym odjechali, upewnił ją, że do Pragi dążyli.

Zabawa była już przerwana i popsuta, wnet więc dziewczęta na czółna siadły i Dubrawka z niemi popłynęła do stóp wzgórza, na którym Hradszyn się wznosił.

Od wjazdu na czeską ziemię, spotykając ciągle krzyże i znaki chrześcijaństwa, Mieszko nękany była myślą, jak on, poganin, przyjęty zostanie przez pobożnych teraz i surowych Przemysławiców.

Owo podanie o Borzywoju, któremu ze psy na ziemi jeść dano, przychodziło mu na myśl nieustannie, i burzył się na przypuszczenie podobnej obelgi, którejby był nie ścierpiał, choćby tam miał życie położyć. Jadącemu więc przodem Dobrosławowi powiedział raz jeszcze:

— Oznajmicie bratu Bolkowi, że poganinem jestem, żem niechrzczony, ale przez to zniewagi sobie uczynić żadnej nie dopuszczę. Jeśli jako brata, dla pogaństwa mego znać mnie nie chce, od wrót jego precz wolę odjechać.

Ani też myślał Bolesław dać znać Mieszkowi, iż go przez to niższym od siebie czuł:—pragnął go zyskać, nie zrazić... Oba byli wzajem potrzebni sobie.

Zwolna, drapiąc się po przykłej i stromej drodze na górę, orszak Mieszków zbliżał się ku wałom, opasującym gród Bolesława.

Zdaleka już widać było inny kraj i obyczaj, większą potęgę i umiejętność, przyniesioną z zachodu. Kamienne ściany otaczały dokoła warownię, ponad niemi widać było dachy malowane, a wyżej nad nie sterczał na kościele św. Wita krzyż wielki, kt

rego widok przejął znowu Mieszka trwogą i niepokojem.

Był tu pod panowaniem krzyża. Nad głowy wszystkich, nad dwór książęcy, nad góry i lasy w obłoki wzniesiony, królował ten znak tajemniczy, który już całym prawie władał światem i jednoczył świat cały.

Wlepiwszy weń oczy, jechał Mieszko; — nie tworzyło go tu nic, oprócz tego wysoko wyniesionego krzyża, któremu królowie i kneziowie, co żyło podlegało. Krzyż ten stał już nad polańską granicą; — uznać tego Boga poganinowi zdało się przejściem ze swobody i bezkarności do niewoli i posłuszeństwa. Wydał mu się nieprzyjacielem ten znak wysoko, dumnie świecą y na niebiosach ostatnimi zachodzącego słońca promieniami.

Dobrosław, pośpieszywszy przodem, znacznie prędzej stanął na zamku w Hradzynie, opowiedział się u bramy, poznany został i wpuszczony, a starszy od dworu Bolesława poprowadził go do knezia.

Spoczywał Luty Bolko, gdy mu o gościu znać dano, ale wstał wnet, choć ociężały był i już osłabły wiekiem.

Twarz jego nasępiona, blada, od zmarszczek porwana, oczy pod nawisłemi brwiami, niespokojnie biegające, zaciśnięte usta, czyniły oblicze jego groźnem, choć lata i wspomnienia przeszłości znacznie srogość dawną złagodziły. Dzikiego coś zawsze pozostało w rysach tego władcy, na którego ramionach ciążyło niezmyte znamię Kainowskiej zbrodni i niezliczona moc krwawych zapasów, któremi się dobijać musiał panowania nad zjednoczonem państwem swoim! Długa pokuta, ofiara dwojga dzieci nie złagodziła jeszcze tego piętna bratobójczego, którego pamięć odżywiały cuda grobu Wacława. Krwawy ów poranek dnia śś. Kuźmy i Damiana, w przedsięwzięciu kościoła w Bolesławiu, stał w oczach starca do dziś dnia.

Gdy Dobrosław stanął przed nim, schylając się

do kolan i oznajmując przybycie pana swojego, starzec poruszył się żywo, z widoczną radością przyjmując nowinę.

Wnet kazał podać sobie suknię wierzchnią bogatą, kołpak książęcy, przypasał miecz i ujawszy w dłoń laskę, zawołał na dwór, komorników i na starszyznę, by mu towarzyszyła. Posłano po młodego Bolka, syna książęcego, dorodnego i dojrzałego już męża i na jego ramieniu spierając się, otoczony mnogim dworem, zszedł stary kneź w podwórzec zamkowy.

Ale tu jeszcze dobrą chwilę stać musieli, nim we wrotach ukazał się na koniu jadący Mieszko. Ujrawszy gospodarza i orszak jego, wnet z konia skoczył przybywający i stała się w nim zmiana, na którą ci, co go znali, patrzyli ze zdumieniem, nie sądząc, by do niej był zdolny.

Dumny kneź stał się na widok Bolesława niemal pokornym, z uśmiechniętą i łagodną twarzą przybliżył się ku niemu i pochylił nisko głowę, kołpak zdejmując.

— Sąsiad do sąsiada, pobratym do pobratymca! — rzekł. — Przybywam do was, miłościwy panie, z braterstwem i pokojem.

— A ja wam, jako bratu, rad jestem! — zawołał Bolko, obejmując go za szyję.

W tej chwili, podczas tego uścisku, Mieszko mimowolnie wspomniął brata Wacława i kneź sam drgnął, przypomniawszy dzień Kuźmy i Damiana. Po chwili milczenia wskazał na syna.

— Dziecko to moje, bądźcie mu też druhem — ozwał się głosem cichym.

Nie rzekłszy więcej, pod ręce się wzięwszy, weszli do obszernego gmachu murowanego, który Mieszkowi, nawykłemu do drewnianych dworów, wydał się okazałym nad miarę i prawdziwie królewskim.

Inaczej też wyglądały budowy na Hradzynie, niż u Polan na ich grodach. Tu już prawie zupełnie nie owe rzezane i kraszone słupy misterne, ozdoby

z drzewa i ciesielska robota, wedle starego Słowian obyczaju—znikły. Kamień je zastępował i tylko stropy ozdobne z drzewa przypominały dawniejsze czasy. Gruby mur z ciasnymi oknami otaczał izby niewesołe, ciemne, prawie więzienne. Wszędzie pełno było wśród tego mroku świecących, pozawieszanych zbroi, rynsztunków różnych, a na stołach naczyń kruszcowych i kunsztownych wyrobów.

Ściany gdzieniegdzie osłaniały szyte opony kwieciste i kobierce. Oznaki nowej wiary wszędzie uderzały w oczy. Duchowieństwo, które otaczało Bolesława, którego wychowawcą był syn jego, starało się o to, aby nawróceni mieli ciągle na oczach obrazy, przypominające im ich obowiązki. Nie było jednej izby bez wizerunku Zbawiciela na krzyżu, ze strasliwym realizmem wyrzeźbionego wyraziście i nieforemnie. U każdych drzwi wisiało naczynie z wodą święconą, na ścianach obrazki w tłach złocistych, których Byzancjum dostarczało.

Przedmioty te, których znaczenia Mieszko się tylko mógł domyslać, równie go niespokojnym czyniły, jak ów krzyż, który ujrzał w obłokach nad Hradszynem. Na pamięć przychodziły cuda, o których słyszał i których się lękał.

Gospodarz i gość po chwili siedli razem na ustroju, we wgłębieniu muru, którego wychodziło okno ku Pradze. Dwie ławy kamienne, okryte wezgłowiami bogatemi, jakby dla ustrojonej rozmowy przeznaczone się zdawały. Stary Bolko ręką wskazał Mieszkowi na stolicę, która u stóp jego się rozciągała.

Nigdy równie pięknego obrazu nie widziały oczy Mieszka, do równin polańskich i lasów nawykłe. Z okna tego widać było wesoło płynącą wśród zielonych drzew i zarośli rzekę; z głębin tej zieleni sterczały wybijające się do góry dachy domostw licznych, rozsypane szeroko, i krzyże kilku kościołów. Zielona wyspa, zarosła także drzewami, jak kosz

kwiatów pełny, śmiała się, zdając kołysać na srebrnych wodach Wełtawy.

W milczeniu patrzali oba czas jakiś na ten widok; — w oczach starego Bolka jakby łała się zakręciła, choć one do niej nie były nawykłe. Może przeczuwał niedaleki zgon i rozstanie z tym pięknym krajem, okupionym tak drogo.

W owych wiekach i w spotkaniu podobnem rozmowa wcale inną być musiała, niż pomiędzy panującymi późniejszych wieków. Oba ci ludzie nie umieli słowem obracać, byli mężami czynu, nie języka, oba całej myśli swej wypowiedzieć ani chcieli, ani mogli, a wybadać pragnęli. Skierowali ku sobie oczy. Instynkt uczył ich, że wejrzenie mówi jednym blaskiem więcej, niż na dnie przeciągniona rozmowa.

Mieszko w oczach starca znalazł, co przeczuwał: żelazną wolę i nieugiętą siłę. Bolko ze wzroku knezia polańskiego, o którym mało słyszał, nie dobadał się nic. Pierwszy z nich wiedział, że pokornym być musiał, aby go sobie pozyskać, drugi wcale nie był pewien tego, co gość przynosił z sobą — słabość czy siłę, ale poczuł jedno, że z przebiegłym miał do czynienia.

Patrzali tak na siebie, wzajem się uśmiechając sobie, jak dwaj zapaśnicy, co walkę rozpocząć mają.

Mieszko krótkim miał tu być gościem, nie miał czasu do trawienia na długich rozmowach. Czeski pan wiedział też o tem. Położył mu pomarszczoną dłoń na kolanie.

— Zapóźno — rzekł — przychodzisz do mnie. Bolko już nie ten, co był. Patrz, czoło mi się zmarszczyło, dłoń drży, oczy świata mało widzą, głos osłabł. Do grobu idę, o śmierci myślę.

— Będziecie długo żyli i panowali — odrzekł Mieszko. — Macie spokój w domu i siłę, syna, który wam stoi u boku, i sprzymierzeńców potężnych. Bolko ręką rzucił.

— Sprzymierzeńcy we wrogów się zmieniają —

mruknął. — A czemuż wy ich tam, gdzie ja, nie szukacie?

Mieszko spojrział bystro, ale nic nie odpowiedział.

— Niemców nam nie pożyć — dodał stary. — Trzeba mir z nimi robić, aby w domu się zagospodarzyć. Do tego miru, bracie mój, wy wiecie, co trzeba.

Mieszko zadumał się.

— Lud przy swoich bogach stoi twardo — rzekł.

— Macie waszych wojaków i siłę... zmusić trzeba...

Nic nie odpowiedział Mieszko, i Bolesław, popatrzywszy nań bacznie, przestał nalegać zrazu.

Z kolei polański pan rozmowę począł.

— Miłościwy panie — rzekł — nie darmom przybył do was; jeden u nas język, jedna krew, chcemy Niemca pożyć, — dajmy sobie ręce.

Bolko pomyślał.

— Jakże to może być, jeśli przy swoich bogach stać będziecie? — odezwał się.

— Wszakci Niemce się nieraz z Wilkami, Obodrytami i Lutykami łączyli, choć ci poganami byli jeszcze — rzekł Mieszko.

— Niemcom wszystko wolno! — westchnął kneź. — Siła przy nich. Cesarz i papież rzymski władną dziś światem. Ten, co króluje w Byzancjum, niewiele już znaczy. Uczynimy przymierze, Mieszku, uczynimy, ale chrzest przyjąć trzeba.

Spuścił głowę kneź i umilkł.

Bolko uderzył go znowu po kolanie, jakby obudzić chciał.

— Myście ino o tem, wszystko za tem pójdzie.

Wyrazów tych domawiał stary, gdy Wok, który nade dworem po kneziu miał pierwszą władzę, starzec poważny, z łańcuchem złotym na szyi, przyszedł z pokłonem, oznajmując, że chleb i sól czekały. Wieczera już oddawna była gotową, a kneź wydał rozkazy i polecił, aby wspaniała była...

Cały więc liczny dwór, cały niemal skarbiec sto-

lowy, ściągnięto do wielkiej izby, w której się już paliły pochodnie. Ogromne stoły dla panów i dworów ich ponakrywane czekały. Pod ścianami rzędem stali pacholki, jedni trzymający światło, drudzy misy, nalewki srebrne i ręczniki szyte. Dla dwu kneziów zgotowane były przy osobnym stole dwa obok siedzenia, pasowem suknem okryte.

Tu Bolko powiódł, po umyciu rąk, gościa swego i po prawej ręce go posadził. Osobne misy postawiono przed nimi.

U drugiego też stołu za ojcem siadł młody Bolesław, za nim kilku duchownych z krzyżami na piersiach. Tych oczy zwróciły się ciekawie na Mieszka, który spojrzeć na nich nie śmiał. Za nimi siedzieli dostojnicy dworu, Wok, Sławnik z Libic i wielu innych w kaftanach bogatych, łańcuchach i sukniach paradnych.

U osobnego stołu przyjmowano dwór Mieszków i starszyznę jego.

Gdy u Słowian, w pogaństwie jeszcze żyjących, niewiasty tylko jako sługi i gospodynie przy biesiadach się ukazywały, tu już obyczaj chrześcijański i rycerski zaprowadzonym był i przedniejsze niewiasty a panie wspólnie z rodziną zasiadały. Prawo to, choć nie wszędzie zaprowadzonym było, po dworach książęcych już ze czcią dla niewiast wchodziło razem.

Gdy z jednej strony Bolko wiódł polańskiego księcia do stołu, z drugiej wchodziła skromna gromadka niewiast, wśród których Mieszko znalazł tę, której szukał.

Nie myślał jednak wcale dać poznać Dubrawce, iż pamiętał o dawnym spotkaniu nad Wełtawą; udał, jakby ją pierwszy raz zobaczył. Kniehini, mniej trwożliwa, uśmiechała się, patrząc na gościa i mierząc go śmiałości oczyma, poniżej miejsce swe zajęła.

Ojciec wskazał gościowi córkę, której dwie starsze panie towarzyszyły. Oczyma tylko jednak rozmawiać mogli kneź i Dubrawka, gdyż stary Bolko zajmował się gościem mocno. Miód i wino poda-

wano obficie, pić było potrzeba, a starzec po pierwszym kubku, rozgrzany, poweselał widocznie. Cicho się plotła rozmowa otwarta i raźna, a rubaszna, oby-
czajem wieku.

Bolko spytał gościa o żonę.

Zmleczal zagadnięty.

— Mnie już wszystkie razem, ile ich jest, niewiasty zobojętniały — rzekł. — Patrzę na nie, jak kozioł na wodę, gdy się napije.

Mieszko w tej chwili spoglądał na Dubrawkę, która mu się bardzo jawnie wdzięczyła.

— Wam się ożenić potrzeba z chrześcijanką — dodał Bolko — najlepiej ona i wiary nauczy, i zachęci do niej.

Mieszko spojrzal w oczy staremu, trzymali kubki w rękę. Któż wie, może Dobrosław potajemnym był swatem.

— Dajcie mi córkę! — odezwał się Mieszko, śmiejąc się. — Wezmę ją!

Zmarszczył się trochę stary.

— Nieradbym ją dać mimo jej woli, a gdyby chciała, któż wie? Jest tam u was ich kilka, toćby trzeba precz wygnać chyba.

— Nie będzie mi ich żal — rzekł Mieszko.

Zamilkli nieco, kneź czeski nie opierał się, Mieszko otuchy nabral. Tymczasem kubki się napelniały i gwar podnosił wesół.

Młodzień mówiła o łowach i wojnie, o strzelaniu i o koniach, wyzywając się i przechwalając. Czesi Polanów na próbę jutrzejszą powoływali. Stogniew ze swymi nie wzdragał się.

Biesiada przeciągała się długo, ale już o swatach mowy nie było. Rzucone słowa zdawały się zapomniane, choć i Bolko i Mieszko dumali nad niemi...

Wkońcu, gdy misy były powypłózniane a niewiasty znikły niepostrzeżone, po ostatnich kubkach stary Bolko kazał synowi gościa do przeznaczonych mu izb odprowadzić.

Niczem było przyjęcie dnia pierwszego obok tego, co nazajutrz zgotowaniem było. Trzeciego rana Mieszko nazad się wybierał, stary więc kneź niewiele miał czasu na pochwalenie się ze swem bogactwem, mocą i gościnnością. Gościowi też niewiele godzin zostawało, by zamiar powzięty doprowadził do skutku.

Myśl zaślubienia Dubrawki, z którą z domu wyjechał, musiała być porzuconą, albo stanowczo objawioną. Dobrosław więc stanowczo został wysłany z prośbą o rękę kniehinii.

Przeczuwał ją, albo raczej wiedział o niej zawczasu Bolesław, ale zbył posła, odraczając do jutra.

Jak świt powołał kneź do siebie ojca duchownego, świętobliwego kapłana Prokopa. Nie zajmował on żadnego widocznego i wyższego w hierarchii duchownej stanowiska, bo go nie pragnął. Apostołował, modlił się i wiódł życie ascety, zamknięty w ciasnej celce na zamku. Resztki dawnej wiary po całych jeszcze Czechach, pod rozmaitemi postaciami się kryjące, trzebił niezmordowany kapłan, nauczał, nawracał, gromił, a miał tę apostołską odwagę, iż potędze ziemskiej z prawdą wiekuistą odważnie stawiał w oczy.

Sam Bolko, któremu nieraz inni ulegali duchowni, a któremu ks. Prokop śmiało nieraz mówił prawdę, musiał go szanować i upokarzać się przed nim. Grubą suknią z prostego sukna odziany, w obuwiu wieśniaczem, z twarzą wychudłą i ogorzałą, z głową przedwcześnie osiwioną i wypelzłą, bosi mąż stanął przed starym księciem ze spokojem ducha, który go nigdy nie opuszczał.

— Ojcie mój — odezwał się kneź żywo — rady twej potrzebuję.

Starzec skłonił głowę w milczeniu, mówił zwykle mało.

— Wiecie, kogo mam gościem?

— Poganina upartego i żyjącego w grzechu.

— Tak jest... azaliż nie byłoby zasługą dla mnie i rodu mojego, gdyby przezeń on i naród jego na wiarę świętą Chrystusową się nawrócił...

— Dalby to miłościwy Bóg! — zawołał Prokop, ręce podnosząc do góry i oczy wlepił w starca.

— Mieszko prosi o Dubrawkę za żonę...

— Ze chrztem razem.... — dodał ksiądz.

— Nie odmawia go on... lecz z pogany swymi musi się wprzódzy zabezpieczyć... Mam mu ją dać?

— Jeżeli przez nią światło i zbawienie wnijdzie na te kraje... a! dlaczegożbyście dziecka dla Boga poświęcić nie mieli? Daliście mu już jednego syna i córkę... dajcie drugą, a prześlągniecie gniew i pomstę Bożą...

— Dziecka nie chciałbym zmuszać — odezwał się kneź, — jedno mi pozostało! jedno tylko!... Idźcie, ojcze mój, przygotujcie ją, ośmielcie, a gdy to uczynicie, ślijcie ją do mnie.

Ksiądz Prokop wyszedł natychmiast.

Kneź pozostał sam, siedząc w oknie sypialni. Stąd widok był na obszerny podwórzec, na którym już uganiała z oszczepami się młodzież, wśród której Bolko i Mieszko też się zabawiali.

Lat niemal trzydzieści ubiegło od pamiętnego poranka dnia śś. Kuźmy i Damiana, gdy pobożny Wacław także o świecie gonitwy sprawiał przedśmiertne... Widok tej zabawy przypomniawszy Bolkowi teraz znowu brata i drgnął... Pokuta, ofiary, żal, wszystko to jeszcze zatrzeć nie mogło pamięci tego strasznego poranka. Łzy mu popłynęły z oczów i dłonie się zwarły boleśnie. Drżącymi wargami począł odmawiać modlitwę, a wlepione w podwórzec oczy nie widziały już nic...

I nie czuł ani wiedział, ile czasu upłynęło od wyjścia ks. Prokopa, gdy drzwi się otworzyły i Dubrawka, już strojna, cała we wstęgach, łańcuchach i kolecach, z twarzą rozpromienioną weszła do izby

ojcowskiej, przypadając do starego ręki, która się ku niej wyciągnęła.

Zdziwił się, widząc ją tak wesołą, a uląkł niemal, że Prokop chyba powiedzieć jej nie śmiał, z czem go posłał.

Kniehini, śmiejąc się, patrzała nań śmiało.

— Dubrawka — rzekł kneź — a widzieliście Prokopa?

— Idę od niego! miłościwy ojcze i panie.

— Mówił on z wami?

— Dubrawka pokraśniała, spuszczaając zrazu oczy, potem nagle je na ojca podniosła.

— Mówił...

— Cóż wy na to? czy chętnie pójdziecie, niosąc krzyż między pogany.

— Chętnie... z ochotą! tak! — zawołała Dubrawka. — Czuję w tem rozkaz Boży...

— I nie masz obawy?

— O, nie! — śmiejąc się, zawołała Dubrawka, — mam odwagi dosyć. Kneź Mieszko strasznym mi się nie wydaje...

Bolko, widząc, z jaką łatwością córka wybierała się go porzucić, rozstać z rodzeństwem, iść w nieznany kraj, na losy niepewne, uląkł się niemal i posmutniał.

— A nie żal ci będzie Hradszyna i Pragi? — zawołał — i mnie ojca starego, i siostry, i braci?...

— O! żal, okrutny żal!... — przerwała Dubrawka. — Ale nie mówionoż nam, iż przeznaczeniem niewiasty iść za mężem?... Jam, jak Młoda, nie stworzona do klasztoru... ja wolę inne życie... mnie ci-sza cięży...

Mówiąc to, jakby zawstydzona, spuściła trochę oczy, ale półuśmiech krążył po jej ustach.

Podeszła do ojca, w rękę go całując; stary milcząc w głowę ją pocałował i westchnął.

— Idź — rzekł — niech Bóg cię błogosławi... idź... i mnie czas do gości...

Jeszcze raz ucałowawszy rękę ojca, Dubrawka żywo z izby wybiegła.

Stary kneź klasnął na sługi

I on także szedł w podwórze przypatrywać się zapasom młodzieży.

Dzień ten rozpoczął się od igrzysk w podwórzu, przy których Mieszko mógł się popisać z niepospolitą siłą i zręcznością. Trzaskano włócznie, rzucano oszczepy, biegano pieszo i konno.

Uznojeni i gwarząc wesoło, siedli potem wszyscy do uczy, bo obiad naówczas w rannej dawano godzinie. Znowu wtedy dwaj kneziowie siedli razem, ale weselszą wiedli i poufalszą rozmowę. Bolko niemal już jak syna gościa uważał.

Dubrawka przybyła do stołu ubrana wytworniej jak wczora, z twarzą figlarnie rozweseloną. Spojrzał Mieszko na nią.

— Miłościwy panie—odezwał się pocichu—gdybym się wam naprawdę do kolan o córkę pokłonił... cobyście rzekli...

Stary pochylił mu się do ucha.

— Weźcie ją sobie... i niech Bóg wam błogosławi... Chrztęst przyjąć musicie.

— Gdy będę mógł... wiercie mi i ufajcie, zostańę chrześcijaninem.

— Mówcie z nią sami.

Zaledwie od stołu wstawać poczęto, już się Mieszko nie wahał przystąpić wprost do Dubrawki.

Wszyscy jeszcze byli w izbie i patrzali, jak się zbliżył do niej i odwiódł ją, lekko za rękę wzięwszy, ku oknu; wszystkich też oczy ciekawie zwrócone na nich były. Dubrawka szła śmiało i nie udając wstydlivosti niewieściej, która kniehinia, wedle jej przekonania, nie przystała.

— Piękna kniehinia—rzekł Mieszko—my poganie wierzymy w dolę i losy. Od wczorajszego wieczora wierzę i ja, że mnie was dola i los przeznaczyły za małżonkę... Kłaniałem się ojcu waszemu, chce-li mnie za syna... odesłał do waszej miłości. Cóż mam rzec... Chcecie mnie za męża?

Dubrawka w oczy mu spojrzała, uśmiechając się.

— Choćbym was i nie chciała, toć muszę wziąć, kiedyście mi jeszcze wczora wasz pierścień narzucili, a u nas pierścień zaślubiny znaczy... Cóż mam uczynić nieszczęśliwa? wysłabym z niesławą, gdybym, przyjąwszy pierścień, nie dała zań wianka?... A no...! czekajcie, nie dziękujcie—dodała, widząc, że kneź się zabiera znowu ją w twarz całować, nie zważając na oczów tyle. A no, czekajcie. Mówiłam wam wczoraj, że u mnie służba ciężka. Myślicie, że ja pojedę na gród, gdzie niewiast pełno, i że siódma czy dziesiąta siądę z niemi?... Jam przecie Bolesławowa córka i chrześcijanka, u nas obyczaj jedną żonę daje mężowi, jednego męża żonie...

— Nie będzie na grodzie nikogo, miłościwa kniehini... oprócz was a służby waszej.

— Pierw chrztęst... potem wesele... — dodała Dubrawka.

Mieszko się schmurzył.

— Weźcie mnie poganinem — rzekł — i nawróćcie na wiarę waszą. Nie wzdragam się jej, przyjąć ją ślubuję, ale moich ludzi i naród muszę w garść wziąć, abym i ja, i wy nie nałożyli głową... Jeżeli ufacie mi, pójdziecie za mną...

Spojrzał jej w oczy, westchnęła i kładąc rękę na jego dloni, odezwała się:

— Wierzę wam... i pójdę za wami!

Gdy tych słów domawiała, popędliwy Mieszko wpół ją pochwycił i w czoło pocałował.

Na widok tego zuchwalstwa cała izba zatrzęsła się oklaskami i okrzyki; Dubrawka wyrwała się i uciekła.

Mieszko poszedł w ramię starego ojca pocałować, a w twarz brata. Podano stary miód i wesołość się wzięła taka, że nawet smutny kneź Bolko rozruszał się i oczy mu zapalały wesoło. Na całym grodzie tejże godziny wiedziano, że Dubrawka kneziowi polańskiemu przyrzeczona. Śpiewy, uczta, okrzyki rozległy się na Hradszynie, a z niego popłynęły na miasto.

Wśród tej wesołości i zajęcia nikt nie dostrzegł.

co się działo z gromadką ludzi przybyłych z Mieszkim, nikt nie wiedział, jak wszyscy oni niemal posmutnieli i pomieszani stali na boku, jakby zawstydzeni, czy strwożeni. Stogniew, najręczniejszy z nich, najlepiej w sobie ukryć umiał, co czuł, ale w nim się poganina starego krew zburzyła cała i musiał na chwilę wynieść z izby, aby ochłonać z gniewu. Za nim pociągnął Wojsław, koniuszy książęcy, druh jego i jednej z nim myśli człek. Obaj wybiegli niepostrzeżeni w podwórcę, i spojrzawszy w oczy, ręce tylko sobie podali milczący.

— Jam się tego spodziewał — zawołał Stogniew, odwodząc Wojsława na stronę. — Jam jechał tu, wiedząc, co nas czeka... ale... wiem też, co jego czeka... — dodał, pięść ściskając.

— Gdy te Dobrosławy i Wlasty zaczęły nam się kręcić u dworu, czułem, co z nimi idzie... niewola niemiecka... bóg niemiecki...

— Rozśmiał się Stogniew.

— Niedoczekanie ich! — rzekł. — Wracajmy... nie trzeba po sobie dać znać nic... naradzim się w drodze, a w domu wiedzieć będziemy, co robić...

Wojsław i on, jak zwierz w klatce zamknięty, przeszli się w ciasnym kółku kilka razy, rzucani myślami gniewnymi; spojrzeli sobie w oczy, podali znowu ręce. Stogniew twarz ułożył i wrócili napowrót do izby, gdzie też Mieszko oczyma ich szukał.

Jak skoro zobaczył wchodzących, szepnął Stogniewowi, by przygotowane dary przyniesiono. Były one, bądź co bądź przeznaczone dla Bolesława, inne na wypadek dla Dubrawki. Posłuszny Stogniew skinął na komorników i wyszedł.

Nie upłynęło pół godziny, gdy we drzwiach gwar się zrobił; szli szeregiem Mieszkowi ludzie, ze Stogniewem na czele; każdy z nich niósł naczynie, zbroję i kosztowny klejnot jakiś.

Postrzegłszy ich, kneź wystąpił przed Bolka, pokłonił mu się nisko i przemówił, prosząc, aby miłostwie dary od niego przyjąć raczył. Szli potem

z kolei wszyscy, przyklękając i u nóg knezia składając co który niósł.

Kolem stał dwór, na którego twarzach malowało się niemale zdumienie. Nie wyobrażano sobie, ażeby w pogańskim kraju mogło się znaleźć tyle bogactw, które tylko z zachodu zwykle przychodziły.

Kupcy zwykle od wschodu przywozili naówczas do Polan wyroby, które mało nawet na zachodzie Europy były znane. Niektóre z nich, z wielkim kunstem wykonane, obudzały podziwienie, inne, nieznane wcale, osobliwością swą zastanawiały. Koblance, opony, srebrne ozdoby, brązowe sprzęty, emalje wschodnie... wszystko to na kupę u nóg Bolka złożone zostało. Ludzie, do rąk biorąc dary te, oglądali je ciekawie.

Prosił zatem Mieszko, aby mu wolno było dary złożyć Dubrawce, i powtórnie wysłał komorników ze Stogniewem po nie. Pobiegł brat po siostrę, aby ją samą do przyjęcia ich przyprowadził i przyszła Dubrawka zasiąść przy ojcu.

Ten sam obrzęd odbył się powtórnie i z tą tylko różnicą, że dla knieżni przyniesiono niewieście przybory, futra, tkaniny i ozdoby do stroju, niemniej bogate i piękne.

W ten sposób uroczyscie odbyły się zrekowiny wobec dworu całego, gdy ich inaczej i z obrzędem kościelnym nie można było odprawić z powodu, iż Mieszko ochrzczony nie był.

Ku wieczorowi uczta i śpiewy przedłużały się jeszcze, przy których już Dubrawka swobodnie z narzeczonym swym mówić mogła.

Gdybyśmy te rozmowy żartobliwe, rubaszne w duchu owych wieków powtórzyć śmieli, nadto by się one dziwnie wydały. W obcowaniu z niewiastami ten ten wesół był niemal obowiązkowym.

Mieszko zajęty tem, co się z nim działo, radośny z powodzenia, ledwie miał czas, zobaczywszy Dobrosławę, uderzyć go po ramieniu i powiedzieć, że mu daje szeroka ziemia i lasy dla niego i potomków.

Włast przez cały ten dzień się nie ukazywał, a nie był też potrzebny. Jako kapłan z wieczora zaraz zapukał do księży przy kościele św. Wita, prosząc ich o gościnę. Ze zdumieniem i radością go tu przyjęto wraz ze starym ojcem Gabryelem, który, złamany drogą, legł zaraz do spoczynku.

Włast, a raczej ojciec Matja, bo tak się tu syn Lubonia nazywał, z niecierpliwością wyglądał następnego poranka, w którym po tak długim od ołtarza oddzieleniu, miał znowu Niekrwawą odprawić ofiarę.

Wieczór cały spędził na modlitwie, wstrzymując się od pokarmu: legł spać z myślą pełną tego jutra i wcześniej, nim się igrzyska poczęły na podwórzu, on już stał przed ołtarzem drżący i zapłakany. Przy drugim mszę św. odprawiał ojciec Gabryel, dziękując Bogu za cudowne niemal ocalenie. Dobrosław klęczał zdala.

Ojciec Matja tę ofiarę tak upragnioną poświęcił w duchu za nawrócenie rodziny swej i narodu. Lecz myśląc nad trudnem dziełem tem, nad ofiarami, jakże kosztować miało, płakał. Przypomniało mu się, co słyszał nocą na wzgórzu, wracając z Krasnejgóry, co znalazł we własnym domu.

Ojciec Prokop przyniósł mu tu, spędzającemu cały dzień przy kościele i z braćmi, wiadomość o zaswataniu Dubrawki. Była to wieść wielkiej radości i nadziei. Padł na kolana ojciec Matja, modlił się i płakał znowu.

Imię Stogniewa słyszane w nocy na myśl mu przyszło. Czuł się w obowiązku stać kneziowi na straży, a w razie najmniejszej oznaki zdrady, w oczy Stogniewowi zadać ją i wyzwać, by się oczyścił, lub usunięty został.

Z Mieszkim wszakże, gwałtownym i porywczym, trudna była sprawa, a i z rodziną własną nie wiedział, co poczynić nawrócony. Wszystko jednak, co go spotkać miało, ofiarując Bogu, gotował się młody kapłan choćby na męczeństwo.

Niedość było na tych dwu zapaśnicach; drzwi się otwały głośno, — wpadła trzecia jeszcze.

Było to dziewczę równego może wieku z Lilją, ale do niej niepodobne; drobne, wątłe, białe, z włosami złotawymi i oczkami szaremi, jakby do płaczu stworzonymi. Napozór słaba i bezbronna, miała Barwina więcej może dumy i siły w obliczu, niż te dwie, co ją uprzedziły. Z jakąś powagą dziwną zbliżyła się, główkę podnosząc, do knezia.

— Ta Lilja — rzekła — kropiwa nie lilja. Ona wszystkiemu winna! Ona mnie i żadnej nie daje spokoju! Jam przecie starsza od niej i mam prawa moje! Ja jestem żupana córka, mój ród kneziowski, my Lechy, a ona kto? Ojcem jej niewolnik .. dziecko porabie... porabka jakaś i śmie...

Lilja, nie dając jej dokończyć, przyskoczyła do niej z giewem i groźbą tak straszną, że Różana, zapomniawszy własnej urazy, stanęła co żywiej między niemi, aby walki nie dopuścić.

Mieszko śmiał się jeszcze, ale twarz pańska coraz się stawała straszniejszą, brwi i czoło marszczyły się. Sparty jedną ręką na łożu, drugą wyciągał ku zwaśnionym.

— Barwina, i ty Liljo! kto wam wchodzić pozwolił? Do izby nazad, w tej chwili!

— Panie! Lilja cię zdradza! — zawołała mała Barwina.

— Kłamiesz! Ty sama masz kochanka, ty! ty! — czerwieniąc się cała, krzyknęła Lilja.

— Różana, prowadź ich do izby... Precz, natychmiast! Rozeznam sprawy wasze i ukarzę...

Stara chwyciła za rękę wyrwającą się Barwinę i podstąpiła z nią ku drzwiom. Lilja śnać pozostać chciała, aby skorzystać z ich odprawy, lecz Mieszko ręką drzwi jej wskazał także; posłuszna niewiasta, głowę spuściwszy, powoli, gniewna, zapłoniona, musiała wyjść z Różaną.

W sieni słychać jeszcze było głosy kłótlive, które się powoli oddalały i zmieniły w gwar niewyraźny.

W tej chwili Stogniew się ukazał w progu. Spojrzał na pochmurne pańskie oblicze i nie śmiał ust otworzyć.

— Na Peruna!—zawołał Mieszko. — Całe chyba to stado precz rozegnać potrzeba; zamiast pociechy i spoczynku, waśń tylko i męka z niemi.

Ręką groźnie zamachnął w powietrzu.

— Do Peruna, te białogłowy z ich językami! — powtórzył.

Stogniew zdawał się czekać na rozkazy, ale Mieszko się zadumał i zbył go posępnem wejrzeniem.

VI.

Włast pozostał na dworze Mieszka, chociaż, mimo iż mu kneź twarz okazywał łaskawą, inni nań koso patrzali. Domyślano się w nim snąć tego, czem był wistocie — chrześcijanina — a tu to znaczyło tyle, co Niemiec i wróg. Spokojna i pokorna postać młodzieńca nie przypadła zresztą do butnego i rycerskiego dworu, który ciągle oddychał wojną lub zabawiał się łowami i zapasami siłaczy.

Ściągano nieustannie i zbrojono, a przysposabiano ludzi, jakby nazajutrz wojna miała wybuchnąć, bo na granicy nigdy spokoju nie było; stamtąd przychodziły wieści dniem i nocą, szczególnie o czynnościach srogiego nieprzyjaciela Słowian, markgrafa Gerona. Mieszko, jeśli się osobiście nie mieszał do drobnych tych utarczek, podsyczał je, wywiadywał się, pomagał potajemnie.

Kneź sam i wszyscy, co go otaczali, mieli już to przekonanie, że do niego należała władza i panowanie nad wszystkimi plemionami bratnimi aż do morza, aż za Wisłę; że Śląsko też i Chrobry powinni być prędzej, później Czechom być odebrane do Polaków jedności włączone. Wszystko, co Ger-

Młody chrześcijanin z bijącym sercem stał i czekał. Nie mógł rozpoznać z twarzy pana, czy był gniewnym i miał go odepchnąć, skazać na więzienie, na śmierć, na chłostę, czy bezkarnie go puścić. Widoznem tylko było, że kneź z podbudzoną ciekawością go słuchał.

Od chrześcijan przeszedł nagle do cesarza.

— Cesarz niemiecki... silny on jest? — zapytał.

— Nie wiem, czy jest kto nad niego silniejszy na świecie — odparł Włast, — nawet ten drugi, siedzący na stolicy dalekiej nad morzem... Panowanie jego rozciąga się od kraju zimy aż do tego, w którym jej nie ma nigdy... Ma pod sobą królów i kneziów, i panów moc niezliczoną, wojska niezmożone... skarby ogromne... A! panie, potęga jego straszna...

Mieszko uśmiechnął się znowu z niedowierzaniem.

— A przecież — dotąd jego markgrafowie i książęta Serbów, Polan i Wendów zmódlili i podbić nie mogli!... — zamruczał, jakby sam do siebie. — Nas, cośmy rozbici i podzieleni, Czechy mają, ale Czesi ich zdradzą, gdy chwilę upatrzą... Poszli z niemi, bo Ungrow złamać trzeba było, co się nam wpili pod trzewa...

Zaczął potem pytać o zamki, o zbroję, oręż i szyki wojenne, i o wszystko, co w obcych ziemiach inne było.

Włast opowiadał powoli i z rozwąga, opisując, co widział: stare grody z ich murami wielkimi, zamki na gór wyżynach, żelazne uzbrojenia rycerzy, bogactwa cesarskiego skarbu, wspaniałość pałaców i świątyń.

Nie przerywając chyba nowemi pytaniami, kneź dał mu mówić tak długo, jak starczyło wieści. Dużajęciem, gdy szło o sprawy wojenne, — to z lekceważeniem, gdy mowa była o zlocie. O wojskach i wojennych szykach Włast mało co powiedzieć umiał, chyba co mu samo w oczy wpadło.

Myśli Mieszka trudno było odgadnąć, wszelako na twarzy malować się zdawała raczej nadzieja jakaś i niecierpliwość, niż zwątpienie, jak gdyby szukał środków dorównania tej sile, wcale się nią nie trwożąc.

Gdy wkońcu Włast znużony, wyczerpawszy wspomnienia, zamilkł, Mieszko, popatrzywszy w okno, rzekł z wolna, głos zniżwszy:

— Patrzaj, abyś się ze swym Bogiem nowym przed ludźmi nie chwalił! Gdyby cię obwiniono, żeś wiarę niemiecką przyjął, — ukarałbym musiał! Ojca mi żal twojego. My czcimy naszych starych bogów, innych u nas ludzie nie znają — nic wspólnego z wrogiem mieć nie będziemy, nie!

Włast chciał go żegnać, gdy kneź dorzucił:

— Od dworu cię nie puszczam, musisz tu zostać! Mnie przystało znać tych wrogów, z którymi się o każdą piędź ziemi mojej, coby ją zagarnąć pragnęli, nieustannie drzeć potrzeba. Stogniew ci da miejsce. Gdy cię puścić zechcę, — powiem. Na zawołanie mi być i milczeć!

Z tem odpuścił kneź Własta, nie okazując mu większego gniewu; a gdy ten wychodził na pierwsze podwórze, aby sobie szukać przytułku, Mieszko się położył na pościeli i zadumał jak wprzód.

Przez okna od podwórza wpadały śpiewy niewieście, krzyki a ujadania wrzawliwe i śmiechy szviderskie a złośliwe. Ustawiało to czasem jakby siłą i rozkazem stłumione, ale wnet kłótnia wracała znowu.

Wtem drzwi, osłonięte oponą, otwały się i w progu stanęła niemłoda niewiasta, wysokiego wzrostu, przybrana bogato, cała obwieszona łańcuchami i kołcami, jakby jej szło o to, aby się okazała piękną i młodą. Z pod białego rąbka, który jej głowę okrywał, dobywały się włosy ciemne, ale już posrebrzone. Z dawnej piękności zostały jej zaledwie czarne oczy iskrzące się jeszcze i usta małe, zaciśnięte, z wyrazem

niechęci.

do Pok

Groził im nawet śmiercią, ale z wolna gniew się uśmierzać zaczął i łagodniejsza zaczęła umowa. Długo jednak trwało spieranie się z ludźmi, do niesfor nego krzyku nawykłymi, którzy więcej narzekali, niż tłumaczyli się, a prostymi słowy powiedzieć nic nie umieli. Kilkakroć zrywał się ku nim kneź, jakby wpaść chciał i rozgromić, — wstawali oni i klękali, bili czołem o ziemię — wreszcie zgodą się skończyło wszystko i przyniesiono miód, a potem stół im zastawić kazano.

Nadejście Sydbora, wracającego od siostry, nie ułatwiło zgody, bo dziki kneź nastawać począł, na Lutyków zwłaszcza, i ledwie się dał ukoić.

Cały ten dzień prawie zszedł na takich sprawach; Włast musiał czekać zbliżenia się do pana, nie mogąc o nic prosić. Wieczorem dopiero pozwał go Stogniew do knezia. Składało się niespodziewanie szczęśliwie. Mieszko kazał iść Włastowi ze Stogniewem razem, dla przebrania niewolnika i rozpytania go, bo mało kto język ich dobrze rozumiał.

Mieszko, baczny we wszystkim, kazał rozbadać, czy między jeńcami niema rzemieślników, szczególniej platnerzy, kowalów i tych, co około oręża chodzić umieli.

Chwycił się tej zręczności Włast i do nóg pokłoniwszy się Mieszkowi, opowiedział mu, iż między niewolnikami znajdował się starzec mu znajomy, który niegdyś dobrze się z nim w czasie pobytu jego wśród Niemców obchodził. Prosił więc, uniżając się, aby go mógł dostać.

Zamyśliwszy się nieco kneź — skinieniem głowy zezwolił na to, i dał rozkaz Stogniewowi, aby starca Włastowi dano.

Podziękowawszy za tę łaskę, szedł weselszy już spełnić dane rozkazy.

Jeńców znaleźli leżących kupą na ziemi i powiązanych, jak przybyli. Włast sam pobiegł porozcinać sznury staremu ojcu Gabryelowi i oponeczą go przyniesioną o

Posadziwszy go pod sz

deboja

począł potem obchodzić wszystkich, pytać i rozdzielać.

Wnet część jedną dano na chaty do miasteczka, do rzemiosł różnych; innych rozebrała starszyna, dzieci też rozdzielono różnie... często osobno od matek. Zostało na placu dwa czy trzy trupy i kilku dogorywających, około których Psiajucha się kręcił, bo ci do niego należeli.

Wieczór był późny, gdy rękę podawszy osłabłemu starcowi, Włast, który sam liche miał pomieszczenie w izdebce ciasnej i ciemnej, bez okna, gdzie tylko posłanie się mieściło, poprowadził do niej ojca Gabryela, sam wybierając się do Srokichy, aby dlań dostał posiłek jaki, którymby wycieńczonego mógł pokrzepić. Ciepła noc letnia dozwalała jemu u drzwi tej ciupki na twardej ziemi położyć się na spoczynek.

Ocalony kapłan, jak posłuszne dziecko, poszedł za swym oswobodźcą, czyniąc, co mu było rozkazano. Włast sam go nakarmił, ułożył, poobwiązywał rany od sznurów, i okrywszy na noc, ucałowawszy ręce starca, cofnął się, aby na straży pozostać u progu.

VII.

Upłynęło dni kilkanaście podobnych do pierwszych, które Włast spędził na dworze księżęcym. Nie zmieniło się nic.

Kilka razy prosił, aby go kneź do Krasnejgóry do ojca raczył dopuścić, ale na to nie otrzymał zezwolenia. Razem z oswobodzonym ojcem Gabryelem, który leżał chory i ruszyć się nie mógł, pilnował go i karmił z pomocą starej Srokichy, niebarczymnej dla Niemca, Włast pozostać musiał w ponępnym dworze. Patrzano nań z niechęcią.

Kilka razy w wolniejszych godzinach kneź kazał go pozywać do siebie, zawsze zwracając rozmowę to na wiarę nową i ostrość jej, to na Niemców i ich cesarza a jego sily. Włast ośmielił się nieco i czuł się w obowiązku, jeśli nie nawracania knezia, to przynajmniej do osławiania go z chrześcijaństwem i jego potęgą. Pomagało mu do tego wiele, iż najpotężniejszy naówczas władca ziemi czeskiej, Bolesław, którego państwo rozciągało się od Wełtawy do Styru, obejmując Chorbacę, Ruś, Śląsko, kraje niezmiernie rozległe, pomimo wstępu, jaki czuł on i matka jego ku chrześcijaństwu, pomimo popełnionego na pobożnym a świętym bracie morderstwa, sam wreszcie musiał przyjąć tę wiarę i ocalił Czechy, wchodząc w przymierze z cesarstwem.

Mieszko ułomaczył to sobie grozą najazdów węgierskich, przeciw którym Czechy obronić się nie mogły; lecz nowa wiara płynęła z zachodu z siłą tak nieprzepartą, iż nie pozostawała jemu nic nad to, jak, albo ją przyjąć dla ocalenia, lub paść w walce daremnej.

Kilka razy w ciągu tych dni kneź posyłał i pytał niecierpliwie o Dobrosława, wyprawionego do Pragi; przychodziły nawet na myśl posądzenia, iż mógł go zdradzić i nie chcieć powracać, gdy jednego rana zjawił się pożądaný posel.

A chociaż dnia tego znowu wyprawiono na Pomorze ludzi, których Sydbór wiódł dla pomszczenia jakiegoś napadu, choć byli posłowie od Łużyczan i Dulebów, Mieszko natychmiast powołać do siebie kazał Dobrosława i sam na sam się z nim zamknął.

— Mów — rzekł — mów mi wszystko, co widziałeś, coś słyszał, co mi przynosisz.

Czarne oczy knezia, palające ogniem niespokojnym, nagliły Dobrosława do jak najspieszniejszej odpowiedzi. A czełek, co miał tak niecierpliwie oczekiwane przyniesie wiadomości, był powolny, rozmyślny i ważący mowę swą a wyraz każdy, niepewny siebie, jeśli niebojaźliwy, to do zbitki roz-

Zbierał więc myśli, gdy Mieszko, posadzający go, że się ociagał tak, bo nic mu dobrego nie przynosił, plonął już gniewem przedwczesnym. Pierwsza myśl, jaka mu się naszczyła, była, że Bolesław, teraz gorliwy chrześcijanin, mógł mu tak wzgardliwie odpowiedzieć, jak Świętopelk Morawski ochrzczony poganinowi Borzywojowi, przybyłemu doń w gościnę, gdy do stołu zasiąść mieli.

— Niegodzienieś się przy mnie... ze psami usiądź i jedz na ziemi...

Dobrosław, spostrzegłszy ognistą twarz pana, strwożył się wielce.

— Miłościwy panie, pozwólcie mi powiedzieć, jako umiem, to, com widział i co słyszałem. Złego nie przynoszę nic! — ani słowa wzgardy, ani niechęci, owszem, pokój, zgodę i przyjaźń od knezia Bolesława.

Twarz Mieszka się rozchmurzyła, odetchnął.

— Strasznyż ten Bolko Luty, ten zwier okrutny?... — zapytał.

— Minęły te czasy, gdy Bolko był tak okrutnym — mówił Dobrosław. — Ze śmiercią i ucieczką Drahomy zmieniło się wszystko. Bolesław zestarzał, osłabł... pokutuje dobrowolnie za przelaną krew... on i jego dzieci... Strachkwas, ten syn, co się narodził w dzień zabicia Wacława, jest duchownym chrześcijańskim; Młoda, córka jego, zamknięta w klasztorze u św. Jerzego... zabity brat za świętego jest poczytywany i po śmierci czyni cuda.

Mieszko się rzucił z dziwnym śmiechem. Dobrosław zamilkł.

— Co uczynił z bratem — rzekł kneź — wiedział dlaczego... państwo podzielone być nie mogło. Ale mógł mu kazać oczy wylupić, niechby żył... A że siężątek nieposłusznych nabił dużo... dobrze uczynił — dodał — inaczejby nie panował i nie obronił się. Młogi jest, ale rozumny... przebiegły...

Dobrosław milczał.

— Mów, silny on jest? — zapytał.

Dobrosław był daleko lepszej myśli, ufając, że Mieszko poczynąć sobie będzie tak, aby się na niebezpieczeństwo nie narażać. Lecz napróżno starał się dodawać otuchy Włastowi, który milczał zaspiony, spoglądając na radość powszechną, lękając się, aby ona za wcześnie w krew i lzy się nie zmieniła.

Twarz Stogniewa, choć ją układać się starał, miała się dziwnie i strasznie, oczy mu pobłyskiwały. Włast odgadywał a raczej przeczuwał, co się działo w jego duszy. Trwoga go ogarniała. Odwiódł nieznacznie na stronę Dobrosława i pokazał mu tych ludzi.

Mogli tu, niepostrzeżeni przez nikogo, pocichu rozmówić się z sobą, i Włast wyznał Dobrosławowi, co słyszał w lesie, jak się tam odgrażano i imię Stogniewa wymieniono. Z narady to tylko wyszło, iż należało mieć się na baczności, nie donosząc o niczem kneziowi, boć żadnych dowodów winy nie było, a z posadzeń Stogniew łatwo się oczyściwszy, na przyszłość tylko mógł się stać baczniejszym.

Jak wprzód już podczas podróży, tak i tu Wojśław, Stogniew i większa część ludzi z orszaku Mieszka okazywała dwom chrześcijanom niechęć i pogardę. Nie mówiono do nich, chyba gdy to było koniecznem, odwracano się i rzucano ich samych. Dobrosław napróżno starał się zbliżyć do Stogniewa, który go unikał milczący.

Gdy się wieczór wśród śpiewów i ucztowania zbliżał do końca, a Mieszko to przy starym księciu siadał, to z Dubrawką żartobliwie rozmawiał, dwór też częstowany, podochocił sobie. Pomimo to starszyzna Mieszkowa pozostała niewesołą i do Czechów mało się zbliżała. Zapito jeszcze zrekowiny, kneź zapowiedział, iż nazajutrz powracać musi do kraju swego i przed północą wszyscy się rozchodzić poczęli.

Młody Bolko znowu przyslego brata odprowadził do jego izby, i pocałował go w twarz, odszedł.

Mieszko pozostał sam ze Stogniewem i kilku kornikami.

Teraz dopiero spojrzawszy na twarz swojego ulubieńca, dostrzegł w niej ponury wyraz, zamiast radości, Stogniew jednak odzywać się nie śmiał.

— Kniehinie mieć będziecie! — odezwał się do niego Mieszko — wielkiego rodu i możną panią... Podaliśmy sobie z Bolkiem ręce, abyśmy obaj silniejsi byli...

Stogniew spuścił głowę.

— Nie radujecie się? — zapytał kneź.

Zamileczał zapytany. Mieszko też nie odzywał się doń więcej. Wydał rozkazy i odprawił. Po odejściu jego przywołano Dobrosława. Kneź, pacholków odprawivszy, dziękować mu znowu począł.

— Miłościwy panie — rzekł przybyły cicho, — cieszę się ja, żem panu memu mógł usłużyć, ale się drudzy pono burzą i nie wszystkim to sprawia radość.

Nie wymienił nikogo, kneź też unikał pytania.

Zmarszczyła mu się brew, błysnęły oczy, ale ze słowem nie zwykł był śpieszyć. Nierychło dopiero poszedł ku Dobrosławowi, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Ty i Włast, i co was jest chrześcijan, gotujcie mi drogę i pomagajcie — odezwał się cicho. — Wielki jest Bóg ich... ale niełatwo od swoich odstąpić i nową odziać skórę, gdy ta, z którą człek na świat przyszedł, do ciała przyrosła... Tych, co się opierać będą, zmogę... ale gromadkę wierną mieć muszę, by przy mnie stanęła... Mów — dodał — mów, Dobrosławie, jako wiesz... wielu chrześcijan naliczysz w ziemiach naszych?... Wiem, iż byli oni już za ojca i dziada mojego... ale się kryli z wiarą swoją...

— Miłościwy kneziu — odezwał się Dobrosław — jest nas rozsiąanych po wielkiej przestrzeni niewiele... Strach niejednego odwiódł już od krzyża... Kapłanów trzeba, jak Włast, aby szli między lud i nauczali... jednego oka na to, aby starszszyna, wieszczkowie

i gęślarze nie burzyli go... Co kneź Bolko uczynił u siebie, czemużby się też u nas dokonać nie miało?... Kneź się zadumał nieco i z tem Dobrosława odprawił, by Czechów nawróconych, jacy się znaleźć mogli, do Polan zaciągnął.

Nazajutrz rano konie już stały w podwórzu, gdy w izbie jeszcze obiad podawano na pożegnanie. Wyszła do narzeczonego i kniehini, aby mu dobre słowo dać na odjeździe; cały dwór Bolesławów dla uczczenia gościa był na nogach i dziesięciu jezdnych dodano do orszaku, by przeprowadzali Mieszka do granicy łżyckiej.

Tak się w drużbie i weselu z miłością wielką rozstali, i cały poczet ruszył z Hradszyna uroczyscie, przy okrzykach, które się jeszcze z murów grodu długo słyszeć dawały.

Ani Dobrosław ani Włast nie śmieli już potem rzec słowa kneziowi, aby w podróży baczny był na tych, co go otaczali. Do granicy też czeskiej, dopóki dodani Bolesławowscy ludzie im towarzyszyli, nie było niebezpieczeństwa.

Gdy ich, obdarzonych, odprawiono z pozdrowieniem do Pragi, a kneź sam z orszakiem swoim pozostał, przypadł w lesie spoczynek dla skwaru, który tego dnia panował, i wszyscy się do snu pokładli.

Włast też, szukając cienia, odszedł opodal od gwaru i w zaroślach się gęstych położył. Leżał tu już czas jakiś, nie mogąc zasnąć jeszcze, gdy w pobliżu dał się słyszeć szelest i szepty. Pomimo, iż go trudno było dostrzedz w trawie i krzakach, z miejsca swego mógł widzieć, że Stogniew z Wojławem stali, potajemnie się naradzając z sobą. Zrazu słów ich usłyszeć nie mógł, lecz natężywszy ucha i podpełznawszy ostrożnie, pochwycił wyrazy Stogniewa.

— Dziś na noclegu... czego więcej czekać mamy? Jawna rzecz, że nas Niemcom zaprzędają...

— Czekajmy do domu — mówił Wojław. — Sydbora namówim z nami.

— Aby zdradził? — rzekł Stogniew. — Nie potrzeba

nikogo. Śpiącemu oszczep w piersi wraże i nim się przebudzi, ducha wyzionie. We dwu im trzem po kolei radę damy. Dobrosław go prowadził... Lubonia syn jawnym chrześcijaninem jest, widziałem go do ich kontyny idącego i obcującego z czarnymi wróbitami.

Sprzeciali się jeszcze pocichu czas jakiś, lecz Stogniew na swem postawił i wyszli z zarośli, umówiwszy się, iż spać nie będą, a gdy wszyscy zasną, wstaną, aby ich wymordować z kolei. Stogniew miał kilku pewnych ludzi do pomocy.

Zaledwie się oddalili, Włast, zimnym potem okryty, wstał i pobiegł szukać Dobrosława, aby mu o niebezpieczeństwie oznajmić. Unikać musiał oczów i tak to dopełnić, aby żadnego nie obudził podejrzenia. Księciu też potrzeba było powiedzieć o tem, co się gotowało, aby obmyślił, co miał czynić.

Dobrosław chodził około konia swojego w miejscu, gdzie nikogo nie było, łatwo więc przyszło Włastowi natychmiast mu rozmowę, podchwyconą cudem, powtórzyć.

Mieszko pod dębem na wysłanem suknie zasypiał bezpiecznie; budzić go nie śmiał Dobrosław, ale stanął na straży, by się zbliżyć natychmiast, gdy ze snu wstanie.

Włast poszedł krażyć zdala, aby innych przed czasem nie dopuścić.

Znużony drogą, kneź spał prawie do wieczora; szczęściem, rzenie koni sen ten głęboki przerwało, a gdy oczy przecierać zaczął, znalazł się przy nim Dobrosław i nie tracąc chwili, rzekł mu:

— Miłościwy panie, Włast podsłuchał rozmowę: zmówili się Stogniew z Wojsławem, aby cię w pierwszym śnie zamordowali...

Słyszając to, Mieszko wcale nie okazał poruszenia. Kazał sobie powtórzyć prędko wszystko, co Włast usłyszał, i wstał, ręką odprowadzając przez Dobrosława, słowa więcej nie rzekłszy.

Wnet dano znak, aby na konie siadać. Stogniew

się zbliżył po rozkazy. Mieszko nie dał poznać po sobie, iżby go miał w podejrzeniu. W zwykły sposób zagadał doń i szykować ludzi rozkazawszy, sam siadł na koń z twarzą pogodną. Zdumiał się Dobrosław, sądząc, że mu chyba wiary nie dawał, lecz przystąpić już nie mogąc, trzymał się w pobliżu wraz z Włastem.

W drodze, aż do nocy przez gęste przedzierając się bory, Mieszko nie okazał najmniejszej po sobie trwogi. Późnym już wieczorem, w lesie na polanie, między skałami, które nad niemi ścianę wysoką tworzyły, na nocleg zatrzymać się kazał. Tuż z drugiej strony stromo ścięty brzeg wprost do Łaby spadał. Przez rzadko tu stojące drzewa widać było łąkami w dali płynącą rzekę i lasy piętrzące się ławami jedne nad drugimi, z pośrodku których gdzieniegdzie szare ściany kamienne wyglądały.

Kazano ognie rozpalić, zwierzyne w drodze ubita piec i konie na paszę wypuścić. Kneź pod starą sosną, na czystem miejscu posłanie sobie przygotować kazał, głośnie zapowiadając Stogniewowi, ażeby wcześniej wszyscy do snu się kładli, gdyż z pierwszym brzaskiem ruszyć miano. Dobrosław, z niepokojem przypatrujący się Mieszkowi, najmniejszej w obejściu się jego nie dostrzegł zmiany. Stogniew chodził widocznie niespokojny i chmurny.

Po rozdaniu jedzenia ludzie wprędce się pokładać zaczęli, straż opodal postawiwszy; ognisku dano wygasnąć i czarna noc z milczeniem posępnie osłoniła obozowisko. Dobrosław i Włast z miejsc swoich podpełzli bliżej, aby być panu z pomocą na skinienie. Cisza panowała długo, gdy Mieszko silnie chrapać zaczął.

W chwilę potem usłyszeli zaczajeni w krzakach, jak niedaleko śpiący Stogniew i Wojsław wstali pocichu i skradać się poczęli ku miejscu, w którym kneź spoczywał, chrapiąc coraz mocniej. Noc była tak ciemna, iż zaledwie poruszające i skradające się ich postaci dwu morderców dostrzedz było można.

Stanęli oni oba już przy Mieszku, gdy nagle stłumiony krzyk dał się słyszeć. Dobrosław, który się zerwał i nadbieżał, spostrzegł, jak kneź, uchwyciwszy się Stogniewa, gdy się ten najmniej tego spodziewał, obalił go, przygniótł, oburącz za gardło ścisnął — i zdusił. Wojsław, który zrazu stał przełękły, umknął natychmiast i biegł w las na oślep.

Nim Włast i Dobrosław przybiegli, Stogniew już ducha wyzionął w rękach knezia, który wnet krzyknął, aby ognia rozpalono. Gorzały jeszcze węgle pod popiołem, od których łatwo było suche zażędz gałęzie. Pobiegli pacholowie; Mieszko tymczasem stał spokojnie nad trupem, oglądając się, czy drugiego napastnika nie zobaczy.

Gdy ogień błysnął, a służba w pierwospy zbudzona, nadbiegła, strach ogarnął wszystkich; słowa nikt nie śmiał rzec...

Mieszko skinął na ludzi, aby trupa ściągnęli z góry rzucili go do rzeki. Stało się w jednej chwili jak przykazał; nikt nie śmiał pytać ani spojrzeć pańszczyźnie w zagniewane oczy. Posłano szukać Wojsława, lecz go nigdzie nie znaleziono... Ucieczka sama o wiarę nie świadczyła.

Gdy Stogniewa ciało z hałasem toczyło się po skałach, Mieszko, ognia kazawszy nanieść, słowa nie mówiąc, legł nazad na posłanie, sparał się na rękę i drzeć począł. Ludzie, przerażeni, wrócili na swoje miejsca. Tak doczekano ranka.

O świcie dowództwo nad ludźmi objął Dobrosław, siedli wszyscy na konie i w mileczeniu jechali w dalszą drogę ku domowi.

Z pocztu kneziowskiego nikt o Stogniewie wspomnieć nie śmiał, a wyjeżdżając na gród nad Cybiną, towarzysze pańscy na pytania odpowiadali milczeniem.

Już w podróży przez Dobrosława miał sobie oznajmionem Włast, że mógł się udać do Krasnejgóry do ojca, z tem tylko, by na każde zawołanie się stawiał. Przybywszy więc na zamek, natychmiast się wybierał, gdy stara Srokicha dowiedziała się o powrocie i do swojego dziecięcia przybiegła.

Zaledwie godzina upłynęła, jak na zamek wjechali; służba zdawała się nie mówić ni słowa, oglądając się bojaźliwie, przecież cały niemal już dwór wiedział i skąd, i z czem powracano...

Śmierć Stogniewa przeraziła wszystkich. Na twarzach widać było postrach i smutek. Jawnie nikt się do nikogo nie zbliżał, ale po kątach, za węglami szeptali ci, co wracali, z tymi, co pozostali.

W niewieściu dworze już płacz słyhać było i narzekanie; popłoch panował wszędzie. Kniehini Górka czekała, wyglądając, na brata, nie mogąc się go doczekać.

Mieszko natychmiast wysłał gońca do Sydbora do Gniezna, aby, nie tracąc chwili, do niego przybywał.

Sześć mil miał konny ubiedz tak, aby przed nocą wezwany był nad Cybiną.

Dobrosław wydawał rozkazy i nad dworem miał zwierzchnią władzę...

Srokicha, pochwyciwszy Włastą pieczęty matczyńskiemi, — wnet rozplakała się i wypytwać natarczywie zaczęła, nie dając mu odetchnąć. Po dworze chodziły już wieści straszne.

Strwożeni byli wszyscy. Włast, któremu nakazano milczenie, nie powiedział jej nie mógł. Nie było już tajem, że do Pragi jeździli, lecz nad to nie mówił nic. Srokicha niedowierzająco potrząsała głową.

— Gołąbku mój! — mówiła płacząc. — Straszne dni na nas przysły. Niedarmo wy do Pragi tej, do

Czech jeździli. Groza idzie na nas i niewola, zginemy wszyscy... Nasi starzy przyszłość wróżą krwawą...

Próżno Włast się jej wyrwał; — Srokicha ścisłała go, jakby się lękała utracić i zalewała się łzami. Chciała go zaprowadzić do swej pani, ale Włast się wyprosił. Wycalowałszy go więc i wygłaskawszy, puściła wreszcie staruszka, tem niespokojniejsza, iż nic od niego dowiedzieć się nie mogła.

Unikając pytań, Włast poszedł po konia swojego, aby za dnia jeszcze zdążyć do Krasnejgóry. Pocięgą dlań było, że z Pragi wioził dane mu do mszy święte wino i opłatki, których w domu upiec nie miał sposobu.

Wino naówczas było w kraju rzadkością, prawie nie do nabycia, a duchowieństwo chleb też do mszy świętej używany chciało mieć z nadzwyczajną pieczony troskliwością. Św. Wacław sam zżynał kłosy pszenicy, sam wybierał i wyciskał grona, z których wino i chleb do świętej Ofiary użyte być miały. Z równem poszanowaniem i inni kapłani przygotowywali się do niej.

Włast, długo pozbawiony tej kapłańskiej pociechy, sposobił się teraz, choć potajemnie, gdzieś na ustroju w lesie odprawiać mszę, aby w niej zaczerpnąć siły i znaleźć pociechę. Gorliwym był jak człowiek długim głodem zmożony, — a gdy o rodzinie swej myślał, zalewał się łzami, rozpaczając prawie, aby mógł ją nawrócić. Nie wiedział sam, jak ma to wielkie rozpocząć dzieło, lecz czuł święty obowiązek. Ze wszystkich dusz, jakie chciał ocalić, los tych najbliższych najmocniej go obchodził.

W tych myślach zbliżył się do Krasnejgóry, i już widział dwór zdaleka, a serce mu biło niespokojnie, gdy, wracając konno z pola, nadjechał Jarmierz, witając go serdecznie.

— Pan nasz ucieszy się wam wielce — rzekł — bo niecierpliwie czeka powrotu...

— Jam też śpieszył, jak mógł, ale miałem być pod rozkazami. Zdrowi wszyscy? — spytał Włast.

— Dobrogniewa zaniemogła trochę, przecie się włóczy o kiju. Luboń dla was już Mładę zaswatał, ani dnia wam nie da spocząć i jechać będziecie musieli z nim a do wesela się gotować.

Włast zbladł i zadrżał; nie odpowiadając nic, jechał dalej. Ani na chwilę nie zawahał się nad tem, co miał począć. Jeśliby go ojciec przymuszać chciał, postanowił paść mu do kolan, wyznać wszystko i znieść, cokolwiekby go spotkać mogło.

Rozmawiając, zbliżyli się ku dworowi, a tętent koni wywołał sługi, które o nadjeżdżającym wnet w domu oznajmiły.

Pierwsza wybiegła na spotkanie Hoża, za nią szedł stary Luboń z brwią namarszczoną. Na widok syna rozchmurzył się wnet. Gdy ten mu do nóg przypadł, uderzył go ręką po ramieniu i zamruczał.

— Przecie kneź się ulitował nade mną. Gdzieście byli? Jeździłem do grodu, mówiono mi, że kneź wziął was z sobą? Czy polował na wilków.

— Do Czech jeździliśmy — odparł Włast.

— Do Czech? — chmurno się odezwał stary. — A po co? lup przywieźliście?

— Myślę, że chyba lepsze od niego przymierze. Stary się trząsł i nie pytał więcej.

Wyszła i babka, chmurnem okiem, jak zawsze mierząc chłopaka.

Nie pytano go więcej. Luboń też nie oznajmił mu o niczem, tylko, że jutro bierze go z sobą, że jechać muszą.

Włast wiedział już, co zamierzał, lecz dopytywać nie było wolno, czekać musiał, aż mu ojciec oznajmił swą wolę.

Jedna Hoża swą wesołością cały dom ożywiła, krzając się, śmiejąc i śpiewając. Stara mruczała przy kadzieli. Po wieczery zwołano i inne częta do śpiewu, bo stary Luboń rad słuchając się to i do późnej nocy przesiedzieli tak u ognia. Włast

czywie. Dobrogniewa drzemała nad swą kądzielą, wrzeczono wypadło jej z rąk — ale do snu nie szła.

Późno już było, gdy Luboń, z ławy wstawszy, naprzeciw syna stanął i odezwał się:

— Jarmierz ci na jutro odzież da nową i ogarnąć się trzeba czysto, jedziemy w swaty. Dobrałem ci dziewczynę piękną, młodą i posaźną, czas życie zacząć i do gospodarstwa się nałożyć.

Włast westchnął, — zbliżył się do ręki ojca i ucałował ją, rzekł cicho, ale śmiałym głosem:

— Ojcie a panie miłościwy! nie mogę tego uczynić, abym niewiastę brał... Przyszedł czas, gdy ci całą prawdę objawić muszę; oto ślubowałem chrześcijańskiemu Bogu i przyjąłem wiarę nową, a poprzysiągłem, że nigdy niewiasty znać nie będę.

Wyznanie to, wśród głuchego milczenia wyrzeczone, przerwał krzyk starej Dobrogniewy, która, kądziel rzucając na ziemię, przypadła do wnuka z pięściami zaciśniętymi.

Luboń, zuchwalstwem syna osłupiały, jakiś czas przemówić nawet nie mógł. Z ust jego wyrwało się coś jakby ryk dziki, rękę podniósł do góry i z całej siły uderzył syna, który padł na ziemię.

Skronń jego uderzyła o twardą nogę stołu i krew z niej trysnęła. Ból, przestrasz, znużenie przyprawiły go o omdlenie.

Hoża, którą okrzyk ojca zwabił, widząc obalonego i skrwawionego brata, klękała na ziemi, chwytając bladą jego głowę i zaszła się wielkim płaczem.

Luboń stał wcale nieporuszony tem, co uczynił.

Zwolna otwarły się oczy Własta, poruszył się, usiłował powstać i z pomocą siostry, ocierając skronń, na nogi się podniósł, oparłszy o stół.

— Psie ty niewierny! — krzyknął Luboń. — Myślisz, że ja ci dam czynić, co chcesz, przeciwko mej woli? Nad dzieckiem mojem mam prawo życia i śmierci,

— i musisz i uczynić, co każe...
bo niecierpnie oczyma i ruchem rąk potwierdzała; Włast milczał.

— Kajaj mi się zaraz a bądź posłusznym. Chrześcijaninem ci nie być! Szczenię wolę przybrać za dziecko.

— Ojcie a panie — odezwał się Włast. — Usłucham rozkazu twego we wszystkim, lecz wiary się nie wyrzekę, a co mi mój Bóg każe, uczynię, choćbym miał życie dać.

Luboń w krwawą twarz syna dał bezlitośny policzek... W tejże chwili poczuł na dłoni ciepłą tę krew własnego dziecięcia i wzdrygnął się. Hoża, obejmując brata rękami, płakała... Stary z gniewu drżał i rzucił się, babka pięściami ciągle wnukowi groziła i powtarzała:

— Sobaka!

Włast stał na nogach, chwiejąc się, milczący, z głową spuszczoną.

— Będiesz posłusznym — wołał Luboń — lub zginiysz, psie niewierny!

— Czyn, co ci się podoba ze mną — odparł Włast. — Jestem w mocy twojej...

W pierwszej chwili Luboń z gniewu chciał zawołać na pachotków i sieć nieszczęśliwego, już belkocząc, poczynął dawać rozkazy, gdy Hoża do nóg mu się rzuciła; popechnął ją zrazu, ale mu się uczepliła mocno. Krzyk i płacz rozlegał się po dworze, ludzie, pobudzeni, zbiegli pod okna do sieni, i stali, patrząc a nie rozumiejąc, co to znaczyło. Niewiasty łamały ręce i płakały. Jarmierz stał w progu.

Opamiętał się stary w gniewie.

— Związać go!... — krzyknął. — Na strych w świrniu posadzić i nie puszczać... suchy dać chleb i wodę... niech mrze głodem.

Jarmierz, chcąc ocalić Własta, odezwał się, że w świrniu strych był zajęty.

— Do jamy z nim! do jamy! — zawołał Luboń. — Łyka mi daj... związać go... sprzedam jak niewolnika, ubiję jak psa...

Naprawdę córka błagała jeszcze, zwracając się to do ojca, to do Własta, aby uległ woli jego. Włast

mleczal, ojciec zapalał się gniewem coraz większym. Jarmierz wreszcie, lękając się, aby stary nie porwał się znowu do dziecka, wołał już spełnić polecenie i przyniósł lyka.

— Do jamy z nim... — powtórzył Luboń.

Jama ta była wygrzebaną w ziemi i służyła na schowanie w zimie, często za więzienie w lecie. Spuszczano do niej winowajców, a wnijście zawałano drzwiami, na których kładziono kamienie.

Włast szedł posłuszny. Hoża, zakrywszy sobie oczy, upadła na ziemię. Milczenie było w izbie, tylko oddech wzburzonej piersi Lubonia i mruczenie starej je przerywało.

— Będiesz posłusznym?... — krzyknął stary, widząc już syna w progu.

— Ojczel!... nie mogę... Bogu posłusznym być muszę...

To mówiąc, zwrócił się do Jarmierza i rzekł mu spokojnie:

— Prowadź mnie.

Ta odwaga i stałość słabego napozór człowieka, któremu się urągano, iż męstwa nie miał, dziwne uczyniła wrażenie na wszystkich. Stara Dobrogniewa wściekała się, Hoża płakała; Luboń stał drżący z gniewu. Jarmierz był przerażony.

— Prowadź do jamy! — krzyknął stary.

Włast ruszył się posłuszny; nie mówiąc słowa, przeszli się i znaleźli się w podwórku.

— Poddajcie się ojcu... jamy wy nie wytrzymacie długo... — szepnął Jarmierz. — Poddajcie się! co czynicie?...

— Prowadź mnie — rzekł Włast — niech się stanie wola jego, śmierci się nie lękam.

W progu zjawił się jeszcze posłuszny ojciec, krzycząc na Jarmierza:

— Do jamy!

Nie było już ratunku. W jębi dziedzińca znajdowała się tu studzienka wilgotna. Jarmierz odwalił drzwi i litość chwyciła go za serce; puścił sznur, który trzymał w ręku.

— Uciekaj — szepnął.

— Dokąd! — odparł Włast. — Czyni, co ci kazano... Uciekać nie mogę i nie chcę...

Trzeba więc było spełnić nakaz surowego ojca. Jarmierz wskazał jamę i pomógł Włastowi się w nią spuścić. Sam siadł nad nią, i podparty na rękach, został tak na straży, nie wiedząc, co począć z sobą.

Luboń tymczasem rozpędzał czeladź, która się była zgromadziła, rozkazując jej iść precz na barłogi... W trwodze rozpierzchło się wszystko i znikło.

Głuche milczenie nastało we dworze. W świetlicy stara stała, ręce złożony przed ogniem, a Hoża płakała, leżąc na ziemi.

Noc była późna, pierwsze kury piał zaczynały. Stary ojciec, zamiast iść na posłanie, siadł na przyźbie przed dworem, sparł głowę na rękach i poostał tak do rana, dysząc gniewem.

Brzask dnia znalazł go siedzącym tam jeszcze. Jarmierz leżał na ziemi nad jamą i tam go sen ujął nad ranem. We dworze było cicho i ciemno. U zgasłego ogniska drzemała stara Dobrogniewa, mrucząc przez sen niespokojnie. Hoża, zwiłszy się na ławę, z głową na stole, usnęła.

Dzień się robić zaczynał i parobcy wstawali do pojenia koni, gdy Luboń ruszył się z przyźby, poszedł nad jamę, nogą budząc śpiącego Jarmierza, kazał mu drzwiami otworzyć przyrzucić i poszedł.

Gdy, zakładając drzwi, Jarmierz spojrzał w dół, chcąc słowo pociechy rzucić biednemu, w głębi zobaczył go i modlącego się spokojnie. Powoli zasunął drzwi i odszedł zadumany.

Dzień cały bez zmiany, spuszczało tylko chleb i wodę Włast. Jarmierz chciał przemówić do niego, ale zdala stojąca kładziela Dobrogniewa pogroziła mu. Luboń nie wychodził ani na łowy, ani wyszedł w pole, w chacie przesiedział dzień cały nieruchomy prawie, a gdy mu jedzenie przyniesiono, pochylił je od siebie. Wodę pił tylko.

Nad wieczór przywłókl się do wrót starzec z gęsłą na plecach.

Był to gość częsty we dworze Luboniów, znany całej okolicy śpiewak, wróżbit i znachor, który przez rok cały zwykł był obchodzić dwory i chaty, karmić się, spoczywać i płacić za gościnność śpiewem i wieszczbą. Zwano go Wargą.

Z siwą rozczochraną brodą, z rozwianym włossem, w szarej opończy, z kijem białym w ręku, z sakwami na plecach, stary Warga wchodził jak pan do każdego domu, siadał na najlepszym miejscu, kazał sobie podawać, co mu się podobało, lał czasem najmożniejszych, a słuchano go z pokorą i niemal trwogą. Uchodził za strasznego czarownika. Nawet podobno inni dziadowie wróżbici cześć mu jak głowie swej oddawali. Słowo jego ważyło wiele.

To też gdy trzeba było iść z ludem na wyprawę, a wojakom dodać serca, nikogo do wrózenia z ziemi, patyków i ognia nie wolano, tylko jego. Śmiały i silny, choć stary, nocami chodził jak we dnie, nie obawiając się niczego, ani zwierza, ani człowieka.

Wedle obyczaju swego, Warga, wejrzawszy w podwórze, wrota sobie otworzył śmiało, oczyma poszukał kogoś, do kogoby się odezwał, a nie spostrzegłszy żywej duszy, kroczył prosto ku dworowi. Tu znalazł Lubonia jak odrętwiałego na ławie.

— Co tobie, stary? — zawołał — choroba?

Gospodarz głowę podniósł, popatrzył oczyma obłąkanemi i nie nie odpowiadając, podparł się znowu na dloni.

U drzwi Warga kij postawił, sakwy rzucił na ławę i postąpił bliżej do niego, biorąc go za ramię.

— Co tobie, stary? mów!

— Nie mogę mówić! — szepnął Luboń.

Gęsłarz, bystre oczy długo w niego wlepiając, głową potrząsał, nareszcie na ławie naprzeciw niego przysiadł.

— Powiesz ty mi, co tobie jest? — mruknął.

Wtem Dobrogniewa z kądzielą wyszła z komory.

— Co wam? co się w waszym domu stało?...

Dobrogniewa rzucać głową poczęła.

— Syna miał, wnuka miałam... — straciliśmy go. Wrócił po dwunastu latach niewoli... psem, Niemcem, niewiarą... trzeba go było wczoraj zamknąć do jamy jak wściekłego.

Warga uderzył ręką po stole.

— Dwanaście lat go nie było! Oplakaliście, zapomnieliście... a co gorszego dziś?

— Niechby nie żył! — krzyknął Luboń.

— To go zamórz głodem... — rzekł Warga. — Z chrześcijanina ty pociechy mieć nie będziesz... darmo. Umieją oni człowieka przerobić, że się zaprze rodzonej matki i ojca... czarownicy te!... Skosztował on ich chleba, — naszego nie będzie jadł więcej...

Tu Warga zniżył głos.

— Co twoje dziecko jedno — rzekł. — Nam wszystkim oni nóż prędko przyłożą do gardła... Już kneź wacha się z chrześcijany, i jak inni, pójdzie z Niemcami, aby nam na kark jarzmo włożyć. Co im!... Jeździli do Czecha... tam mu żonę swatają... Biada nam!... biada nam!...

Luboń głowę podniósł.

— Stogniewa w drodze Mieszko udusił, że mu się sprzeciwił! Wydusi nas, jeśli o sobie nie pomyślemy... wydusi.

Warga westchnął; śmiały jego głos płaczliwym począł się stawać.

— A wy, baby bezsilne... ścierpicie to!... — zawołała nagle Dobrogniewa.

Warga poczał głową potrząsać.

— Do kądzieli, stara, — mruknął gniewnie — do kądzieli... precz... co wam do naszej sprawy.

Dobrogniewa, spuściwszy głowę, powoli, posłuszna, nie śmiejąc odpowiedzieć nic, odsunęła się do kąta, siadła na kądzieli i poczęła nic wyciągać. Warga sparł się oburącz na stół, i patrząc w oczy Lubonowi, potrząsał głową smutnie.

— Prawda to, że do Czech jeździli po kniehinie?—spytał Luboń. — Mieszko-by nas miał sprzedać za jedną dziewczkę?...

— Za dziewczkę nie—odezwał się Wargę. — Ale za to, by nas mógł z nimi gnębić... obrócić w niewolniki, jak Niemcy swoich... pójdzie reszta kmiecych swobód z bogami naszymi... pójdzie...

— Jeśli my się mu damy — mruknął Luboń.

Wargę przysunął się ku niemu, popatrzył na siedzącą zdala Dobrogniewę i zaczął mu coś szeptać do ucha. Z twarzy i oczów widać było, że to, co mówił, gorącem było i poruszało go mocno. Oczy to mu się świeciły, to pod zmarszczone chowały czoło, zaciskał dłonie, targał Lubonia za ramię, podnosił ręce, bił o stół niemi, rzucał się, śmiał i krzywił, a gdy wreszcie umilkł, Luboń wstał, jakby w niego nowe życie wstąpiło.

Była to pora wieczery; wniesiono misy, chleb, strawę i piwo, a Wargę, zgłodniały, rzucił się na nie chciwie. Luboń pił tylko, a szeptali ciągle.

Noc już była, gdy dał się słyszeć tętent, głosy u bramy, a wkrótce potem wszedł do izby opończą osłonięty mężczyzna, od progu naprzód wpatrując się, kogo zastanie. Dopiero, upewniwszy się, że Luboń sam był z Wargę, wsunął się i twarz odsłonił.

Był to Wojsław, koniuszy Mieszka, który zbiegł w las, gdy Stogniewa kneź pochwyił. Dawny Lubonia znajomy i powinowaty, przychodził widać żądać u niego przytułku.

Gospodarz, który o niczem nie wiedział, nawet o losie Stogniewa zasłyszal ledwie i sądził przybyłego Mieszkowym sługą, przyjął go po starej druźbie.

— Cóż mi tam niesiecie? — spytał. — Pewno was kneź posyła? byle nie po syna...

Wojsław strząsnął się, nie odpowiadając i usiadł na ławie milczący; popatrzył na Wargę. Stary włóczęga myśl jego zdawał się odgadywać.

— Co wy patrzycie mi w oczy, jakbyście Wa-

gi nie znali? Przy mnie śmiało mówić możecie, co serce poda do gęby.

Luboń ciekawie wpatrywał się w wybladłego i na twarzy zmienionego krewniaka.

— Coś ty nie swój jesteś? — rzekł.

— Nic nie wiecie? — zapytał Wojsław schrypłym głosem.

— Cóż mam wiedzieć, siedzę w domu...

— Gdzie syn twój? — zapytał Wojsław.

Na to pytanie zmarszczył się Luboń; od rana już postanowił był nie przyznawać się przed ludźmi do tego sromu, że dziecko mu nie chciało być posłusznem, do tej doli, że mu je chrześcijanie odebrali, cicho więc odparł:

— Synam wyprawil w swaty... żenię go...

— Doprawdy? — zapytał Wojsław. — Toście go zmusili chyba... Przecie go widziałem w Pradze, że z chrześcijańskimi wróżbitami w ich kontynie odprawiał tam jakieś obrzędy... a tym, co do nich należą, żenić się niewolno...

— Tak jest — dodał porywczo Luboń, — zmusilem go do porzucenia tej wiary niemieckiej... zagroziłem mu... musiał być posłusznym.

— Nie wam nie mówił o naszej podróży? — pytał dalej Wojsław.

— Nie pytałem go wiele... — odezwał się Luboń, jakby zbyć się chciał rozmowy. — Co tam z gołową takim rozhowy prowadzić?

Machnął ręką.

— Nie będziecie wy z syna mieli pociechy... — rzekł Wojsław — nie... Dobrze, że ja z jego przyczyny nie nałożył głową... a Stogniewa śmierci nikt nie winien, ino on. Widzieli go pacholkowie, jak w krzakach leżąc, podsłuchiwał nas na rozmowie i wydał przed kneziem...

— A cóżeście mówili? — spytał Luboń zdziwiony.

Wojsław z ławy powstał, poruszony mocno.

— Co mam klamać? Mieszko nas Niemcom sprzedaje. Do Pragi jeździł o naszą skórę się targować...

Jawna to rzecz. Starą dziewczkę mu daje Bolko i dobre wiano... swoją przyjaźń i cesarską łaskę... Myśmy to ze Stogniewem widzieli, a mieliśmy czekać, aż nam na kark włożą obręcz?...

Reszty się można było domyslać. Wojsław jej nie dopowiedział, i po chwili kończył:

— Gdyśmy nocą przyszli do niego, już nas, przez twojego syna ostrzeżony, czekał... Stogniewa zdusił jak chrząszcza... Jam życie uniósł... tułam się.

Milczenie nastąpiło długie... Wojsław przeszedł się po izbie. Warga pilno nań patrzył; Luboń stał zamyślony.

— Dacie mi przytułek?—zapytał Wojsław.

— Właśnie to go tu szukać!... — krzyknął Warga. — Człowiecze... pod bokiem knezia, gdzie cię każdej godziny może najrzeć i ludzie cię znają!... pójdziesz ze mną!... ja ci dam schronienie, w którym będziesz bezpieczny... Schowam cię do chramu, gdzie nikomu dostąpić nie wolno... Takich nam ludzi jak ty trzeba...

Odwrócony ku starcowi, Wojsław słuchał.

— Pójdziesz ze mną! — powtórzył Warga.

— Ja ci też w lesie na pasieczysku chatę dać mogę — rzekł Luboń.

— Bylem gdzie tego twojego syna, psia wiarę, nie spotkał — odezwał się Wojsław, — bo choć on was posłuchał i dziewczkę bierze, a ja mu nie ufam... Zdradzi on ją, i was, i mnie, gdy będzie mógł... a wiary tej, co gdy raz przyklepie do człowieka, trzyma się jak smoła, nie puści.

Zamyślony, z okiem wlepionem w ziemię, stary Luboń powtarzał ciągle pocichu:

— Stogniewa udusił!...

— Własnymi rękami — rzekł Wojsław, popijając cheiwe z kubka, który stał na stole. — Cekał na niego... schwycił za gardło... i krzyku mu nawet wydać nie dopuścił... Ciało potem zrzucić kazał z góry do Łaby i położył się znowu, jakby mysz nogą... Nikomu słowa nie rzekł. Dobrosławowi

hi-
1-

szłej z dzieciństwa, rozkwitłej jak napół otwarty pączek różany. Stogniewa miejsce zajmował Dobrosław, — dużo się jakichś obcych ludzi płatało po dworze, ale w pocztach straży i wojsku nie zmieniło się nic — kneź jeszcze dla swoich wojaków szczerzejszym był i widocznie ich sobie jedną. Parę razy zajrzał do kontyny i pogadał ze stróżami przy niej siedzącymi. Obiady do chramu, jak zdawna posyłano od dworu, po obyczaju odwiecznym. To też ci, co z nich korzystali, nie pozwalali mówić, ani posadzać Mieszka, ażeby miał wiarę odmienić.

Lecz były też oznaki inne, mniej widoczne, że się coś knuło pocichu. Z Czech kilku ludzi jakichś niewojenrego rzemiosła na dwór przybyło i siadło. Ci często do knezia się przekradali.

Nim na owe dożynki zwołano starszyznę, Mieszko, czy z naprawy Dobrosława, czy sam, jednego dnia o Własta się upomniał i wysłał za nim do Krasnejgóry.

Trzymano go ciągle w jame, ale o tem w domu nie wolno było mówić; przed obcymi Luboń kłamał, że syna osadził z młodą żoną, na ziemi, którą miał w lasach, o mil dziesiątek. Gdy komornik przybył od Mieszka, upominając się o Własta, stary mu też odparł, że syn gospodarzy na nowosiedlinach i że go ściągnąć niełatwo. Namyślił się jednak po daniu tej odpowiedzi i przybrawszy się, zaraz z komornikiem na dwór pański pojechał.

Gdy przybywszy chytry starzec — pokornie do nóg się kłamał Mieszkowi, spytał go wnet kneź:

— A Włast wasz kędy?

Stał przy tem Dobrosław i słuchał.

— Miłościwy panie — odezwał się Luboń, nie-dobrze udając wesolego. — Włastam ożenił i na gospodarstwo wyprawił, bom stary i pomocy potrzebuje.

Mieszko zdumiał się bardzo i popatrzał na Dobrosława, który mu wprzód jeszcze opowiedział o powołaniu jego i kapłaństwie. Wprowadził na dwór

żenie się duchownym wzbronionem nie było, ale Włast wdział był suknię mniszą, o czem Dobrosław wiedział dobrze, a zakony zawsze ślubowały bezżeństwo.

• Zdumienie na chwilę usta zamknęło wszystkim. Luboń poczuł, że mu niebardzo wierzą.

— Miłościwy panie — rzekł — przed wami nie godzi, nie ukrywać. Syn mi powrócił przez Niemców zepsuty i na ich przekłątą wiarę przeciągnięty, nie chciał ani żony, ani gospodarstwa. Lecz zmusiłem go, aby mi był posłuszny, a dałem młodyć śliczną, przy której zapomni o czem innem.

— I ożeniliście go? — pochwycił Dobrosław, widocznie zdumiony razem i przełękły, — ożenił się dobrowolnie?

— Trochę mi się opierał — odezwał się Luboń. — Ale przecież ojciec i mam władzę; zresztą niewiasta go do rozumu przywiedzie.

Stary się rozśmiał dziwnie; Dobrosław zmilczał, Mieszko też nie odezwał się zaraz, ale chmurno na starego Lubonia popatrzał.

— Dawnoż się to stało? — spytał.

— Zaraz po powrocie, gdyście go, miłościwy panie, odesłali do mnie. Nie dałem mu długo się rozmyślać.

Mieszko, który zwykle na Lubonia był łaskaw bardzo, tym razem nie okazywał mu wcale życzliwości swej, posępnie zbył go kilku słowy — i odprawił.

Co kneź myślał, z tego się nikomu nie zwykł był zwierzać, ale Dobrosław, któremu się zdało, że na wiarę i gorliwość Własta mógł rachować, rażony był, zasmucony i razem przybity. Nie mógł pojąć, by pobożny młodzian, co zdawał się na męczeństwo gotowym, tak łatwo uległ pokusie. Chciałby go był zobaczyć, — lecz na to nie widział sposobu.

Mieszko, który chciał starego Lubonia wraz z in-

nymi na zjazd do grodu wezwać, po krótkiej rozmowie z nim, nie rzekł mu już nic. Luboń, wiedząc, że innych powołano, poczuł to mocno, lecz zmilczał i do domu odjechał.

Dzień naznaczony do zjazdu nadszedł wreszcie. W wigilję już był Sydbor z ludźmi na grodzie i wojska zebrano dosyć. Przygotowania na przyjęcie kilkudziesięciu znaczniejszych kmieciów, Leszków, wadyków, ziemian, wcześniej były uczynione. Umiał Mieszko przyjmować po królewsku i pokazać moc swoją.

Dnia tego od rana podwórcę, miasteczko, pole pod wałami pełne było pocztów Sydbora i innych dowódców. Ludu liczone na kilka tysięcy, jakby się na wyprawę zbierano. Dla tych woły zarzynano i pieczono i kadzie z piwem stały od rana.

Na kneziowskim dworze występowało tak, jakby najdostojniejszych spodziewano się gości. Izba wielka na dole przyrządzona była na przyjęcie wspaniale, wszystkie ławy suknem szkarłatnem pokrywane, na stołach dzbany srebrne, na ścianach zbroje i tarcze odpolerowane świeżo, zapach smółki rozchodził się wszędzie. W podwórce pieczono zwierzynę i barany, niewiasty warzyły kasze różne z miodem i młkiem, beczki z napojami stały w pogotowiu, by z nich stągwie napełniać było łatwo. Sam kneź od rana suknie włożył paradne i miecz przypasał złocisty, a czapkę wdział czarnym połyskującą włosem z północy przywiezionego zwierzęcia, za którą dał niewolnika. Twarz też na ten dzień rad był ułożyć wesolą, ale, mimo starania, marszczki na niej widać było.

Zawezasu się panowie ściagać poczęli z pocztami piękniemi, bo każdy był rad przed kneziem wystąpić możnie i szludnie. Więc Jaksy, Kaniowy, Grzymałowie, Rolici, Godziembowie, każdy w kilkanaście lub kilkadziesiąt koni; kolpaki piękne, suknie zawiesziste; miecze kowane, na niektórych zbroje nie-

mieckie; stawili się u progów dworu, gdzie ich dwór i służba witała, a do izby wiodła.

Kneź siedział na podwyższeniu i łaskawie wszystkich przyjmował twarzą jak mógł wesolą. A był to pan, który, gdy chciał, umiał się srogim, ale i łaskawym okazać; więc dnia tego, z kolei witając ziemiany, każdego wiedział, o co spytać, czem mu pochwlebić, aby dobrej myśli był. Tu też cześnicy stali i stolnik z kubkami i dzbany, a na stole jadło dy-miło. Sadzał kneź podle i wesoło rozmawiał.

Gdy około południa zjechali się wszyscy wezwani, izba niemal była pełną i panował w niej gwar a ochota wielka. Miód rowiażywał języki.

I Dobrosław, i brat pański Sydbor, i inna mnoga starszyzna, urzędnicy dworscy nalewali a przymuszali pić i jeść, bo taki był zawsze obyczaj gościnności słowiańskiej, iż przymusem ujmowano wstrze-mięźliwych przez grzeczność gości.

Gdy więc tu zawzięło się mocno na ochotę i we-sele, Mieszko wstał, jako dobry pan mieszając się między swych ziemian. Czy z umysłu, czy trafunkiem, kilku do siebie najstarszych ściągnawszy, o wojnie począł mówić naprzód, i rozmawiając z nimi, wywłócił ich do bliższej komory, której okna w podwórze wychodziły.

Tu też ławy były dokoła i stolica dla knezia. Sama się zebrała starszyzna, sędziwe głowy: dwóch braci Jaksów, Czarny i Biały, Rolita z obciętą ręką bez palców, bo mu je w potyczce Niemiec odsiekl, Kaniowczyk, którego zwano Leszczycem, Grzymała Laskonogi i Godziemba zwan Krzywogębą, choć pod wąsami nie mu widać nie było. Byli to najmożniejsi Leszkowie i kmiecie polańscy.

— Wojnie końca niema—mówił kneź do nich,—Niemcy się zmagają, z Czechami przymierze uczynili. Ugrów przepędzili do ich łożysk, teraz nam całą siłą na karki siedą.

— Słyszeliśmy, miłościwy panie — odezwał się Jaksa Czarny, — żeście do czeskich kneziów jeździli, azaliż i my z nimi pokoju mieć nie będziemy?

Milczenie się stało wielkie.

— Bylby pokój i przymierze—odezwał się, głos znizywszy, Mieszko.—Ale cóż? chrześcijanami są i z nami trzymać nie mogą.

Wszyscy posępnie usta zamknęli.

— Dziś, czy jutro — odezwał się wolno, cedząc wyrazy kneź — nowa wiara wnijdzie i do nas. Weszła ona już, wchodzi codziennie, opierać się jej trudno — pokójby nam przyniosła.

— Przebaczenie, miłościwy kneziu — począł Krzywogębą, z dalekiego końca, na którym usiadł,—przebaczenie. Pokój-by może ona przyniosła od margrafów, gdybyśmy im nogami dali się podeptać, ale doma-by nie było pokoju. Nasze serca przyrosły do bogów naszych i obyczaju; lud prosty i władcy zarówno, jedno wierzą i trzymają. Gdyby starszyzna poszła w jedną a lud w drugą stronę,—mielibyśmy wojnę nietylko w domu, ale i w izbie, i na ławie, i na posłaniu naszym.

Szmer cichy zdawał się potwierdzać te słowa.

— A nie także samo było w Czechach, gdy ratując się, wiarę nową przyjmowali—rzekł Mieszko.—Dziś przecie już nie czuć i nie widać tam, aby się kto burzył i opierał. Ludowi po lasach zostawić trzeba czas, a starszym poczynać,—od nich poszło tam coraz głębiej, i...

Spojrzał Mieszko po starszyźnie, zasępionej mocno i posmutniałej.

— Nikomu—dodał, zmieniając mowę—niewesoło się ze skóry odzierać, rozstawać z tem, co ojcom i dziadom służyło. Ale nóż na gardle mamy. Niemcy coraz głębiej idą i zawojują nasze ziemie. Od ujścia Łaby pod Odrę wszystko to nasze: codziennie kawalek wydrą nam, jakby żywego mięsa. damyż sobie najlepsze ziemie i lud zabierać? Po dobrej woli nie pod-

dali się Lutyki, Obodryty, Wilki, Pomorcy, to im chramy popalono i połamano i poszli w niewolę.

— Bić się trzeba! bić się! — wtrącił Laskonogi, — bić dzień i noc, napadać i mścić!

— Siła stokroć od naszej większa, nie zmożemy ich — przerwał Mieszko, — a i swoi z nimi idą. Co począć?

Na to pytanie długo nie było odpowiedzi. Jaksa Biały, który dotąd milczał, ruszył się, ponad głową rękę podnosząc.

— Siedzę od serbskiej granicy — odezwał się, — patrzę na niemieckie roboty, zdrajcą nie byłem i nie będę; ale Niemca zlego nie zmożemy siłą, ino chytrością. Ściga nas jako pogan, udajmy, że chrześcijanami być chcemy, abyśmy wypoczęli i stali z nim narówni. Niema co czynić, ino to, niema co poczynać, tylko Czecha chytręgo naśladować. Wówczas wilk ten, krwi naszej chciwy, Gero i Wigmany i wszystkie złe duchy ich odstąpić będą musieli, przymierze uczynić, aby ich w nie jak w matnię zaplatać...

Śmiało i żywo wypowiedziawszy, spuścił głowę Biały i zamilkł... Mieszko po kolanach swych dłońmi uderzył...

— Jakso mój — zawołał — złote mówisz słowa... Złote słowa twoje. Rozumu się u ludzi i z cudzego doświadczenia uczyć trzeba... Nie wszystko żelazo robi i siła... chytry zwycięża... a Obry pijane od Krasnopanków giną!

Inni coś mruzczyli, nie oburzając się.

— Jedno powiem wam — odezwał się Mieszko, — choć mnie o słowo trudno, języka nie mam, jako drudzy — jedno rzekę — co bądź poczynąć będę, co zrobię i gdzie pójdę, niechaj was serce nie boli — nie gwoli złemu uczynię. — ale gwoli temu, aby nam i plemieniowi było dobrze... Szerokie ziemie nam należą... Czech? — Czech nam Chrobąty wziął. Czech nam Szlązko zajął... hen! dalej po Wiśle, za Wisłą,

nasz to język, ziemia nasza, po morze do Łaby... na Odrę... wszystko to nasze... wszystko weźmiemy, rozumem wprzód ważąc, a potem miecza i krwi nie żałując... Cesarz na zachodzie... na wschodzie my być powinni cesarstwem. Nie ja — syn — wnuk może... ale to musi być! to będzie!

Wstał mówiąc to; słowa zdawały mu się mimowoli rwać z ust, aż nagle, jakby się opamiętał, że za dużo rzekł, zamilkł.

Jaksa Biały, a za nim drudzy wstali z ław, ręce popodnosili do góry i — mimowoli wyrwało się im z ust.

— Tak będzie! tak będzie!!

Jaksa dodał:

— Miłościwy panie! nie pytaj — czyń! — Tyś pan, tyś kneź, masz siłę, masz wolę — niech gawiedź mruczy! ty idź i czyń...

— Idźcież ze mną i za mną!

Uderzył się w piersi.

— Pójdziemy! — zawołali głośno wszyscy.

We drzwiach komory na okrzyk ten zjawiono się kilku z pierwszej izby; ci, nie wiedząc nawet, dla czego wołano i co chciano, okrzyk powtórzyli w progu, od progu dostał się za stół... Powstawali ziemianie, wołając:

— Mieszko żyw i zdrów niech będzie! na długie lata! na długie lata...

Czarne oczy knezia zapalały; stał drżący jakimś zapalem, odwagą, nadzieją. Trwało to chwilę — pokłonił się ręką od ust, dziękując — i siadł...

Tak krótka ale stanowcza skończyła się narada i nastąpiło ucztowanie...

Znowu stolnicy i cześnicy szli nalewać i zachęcać i, mimo przytomności knezia, wrzawa i śmiechy rozległy się w izbie.

Toż samo działo się w dziedzińcu i na całym grodzie. Młodzież biegła z oszczepami, ścigała się końmi, pasowała na gołe dłonie... strzelała z łuków i rzuciła kamienie... Podochoćeni wojacy, komor-

nicy, dwór, pacholowie dokazywali pod oczyma starszyzny, która też podweselona, nie myślała powszechnego zakłócać wesela.

Dopiero około gaju świętego, bo do tego nikt się zbliżyć nie śmiał, panowała cisza i spokój. Na skraju jego pod drzewy widać było kilku starców, stojących gromadą w milczeniu i zdala przypatrujących się ciekawie temu, co około dworu się działo. Zwykła straż chodziła u ścian kontyny... W progu jej siedział znajomy nam Warga z rozwianą brodą, na rękę podparty, słuchając dolatujących doń okrzyków i dumiał. Kilku podobnych mu dziadów z białymi kijami przechadzało się po gaju.

Warga zdawał się tu czekać na kogoś. Obracał się czasem ku dworowi napróżno, podglądał pod galezie... nikt nie przychodził...

Nad wieczór goście się zwolna rozjeżdżać zaczęli, ludzie znużeni kładli się po szopach, na grodzie uspokajało się, kiedy niekiedy tylko okrzyk lub śmiech doleciał zdaleka... Zmierzchało już, gdy około gaju ukazał się niepewnym krokiem, bojaźliwie krążący człowiek, niepocześnie odziany. Poznać w nim jednak było można kogoś z mniejszych sług dworu, tego dnia w barwę jednostajną przybranych... Ostrożnie wsunął się między drzewa, obejrzał i podbiegł ku kontynie... Na widok jego Warga wstał z progu, zbliżył się doń, odciągnął w drugą stronę i u pnia starego dębu się zatrzymał.

— Słyszalesz co? mów—rzekł.

— Wszyscy ziemianie z nim za jedno trzymają odezwał się zadyszany sługa. — Co tylko zechce, to zrobi...

— Kto był? lecz! — spytał Warga, pochylając się ku małemu człowiekowi, aby odpowiedź lepiej usłyszeć.

Sługa wyliczać począł, przypominając sobie, pomagając na palcach i powtarzając.

Warga pytał, pomagając mu... odbierając to prze-

czące, to potwierdzające odpowiedzi; lecz gdy przyszło do powtórzenia tego, co mówiono i nad czem obradowano... sługa nie umiał zdać sprawy z podsłuchów. Jedno wiedział napewno, iż Mieszkowi wszyscy posłuszeństwo ślepe ślubowali. Warga głowę na piersi spuścił, na kiju sparł i milczał... Ręką odprawił sługę i przywołał nazad.

— Był Luboń? — spytał.

— Nie było go... Parę dni temu ślano za nim. —

Kneź mówił z nim krótko i odprawił.

Odszedł nareszcie donosiciel, a Warga, podniósłszy opone, wsunął się do ciemnej kontyny... Na lawie u wnijścia siedziało dwóch, na pozór uspiomych, ludzi. Spostrzegłszy Wargę, ruszyli się.

— Teraz idźcie—rzekł,—wiecie dokąd, i po których dworach... nie zapomnijcie o Luboniu... pojutrze na uroczysku Lelowem... jak świt...

— Pojutrze na uroczysku Lelowem, jak świt! — powtórzyli machinalnie dwaj starzy, — a Warga jeszcze raz toż samo im wtórował:

— Pojutrze na uroczysku Lelowem jak świt...

Podniosła się ostrożnie opona świątyni; Warga wyszedł, oglądając się, a za nim dwaj jego posłowie... każdy w inną kierując się stronę.

Uroczysko Lelowe położone było wśród lasów na pół drogi do Gniezna. Odwieczny dąb spróchniały, omszony, przyschły już, zajmował środek łąki, która wierzch wzgórza okrywała niską, a gęstą trawą leśną. Tu i owdzie jakby kołem, wsiadłe w ziemię leżały glazy szare, opasując go wieńcem. Niektóre z nich ukryły się już prawie w niej, inne sterczały jeszcze nad powierzchnią. Pomiędzy nimi a olbrzymim dębem mnóstwo glinianych małych miseczek stało w nieładzie, przyprószonych gałęzmi, poprzysypywanych ziemią. Między nimi gdzieś leżał wywrócony dzbanuszek i potłuczone małe bliźniaki.

Z jednej strony popiół zgasłego ogniska szeroko kołem znaczył miejsce, w którym spoczywano.

Na dębie wisiały płachty, deszczem wymyte, zczerniałe od wilgoci. Okrywały one część pnia i gałęzi. Te, które wiatr pozrucił, walały się na ziemi. Sam dąb miał, rzec można, jakąś postawę własną, która go od innych różniła... Niezmiernej grubości od dołu, okryty szczyt i garbami, dziwnie poorany spływającą wodą i piorunami, co weń biły, — podnosił się do góry jakby w męczarniach wijąc i dzieląc na kilka potwornie grubych konarów... Te także nie rosły prosto i bujno; i one łamały się dziwnie, to strzelając do góry, to spadając ku dołowi, to podnosząc znowu zwycięsko... niby pasując się z jakąś niewidzialną siłą. Całe drzewo zdawało się wiekami wyrosłe w niewysłowionych, powolnych, tajemnych męczarniach... Czyniło ono wrażenie potęgi wiekowej, stworzonej na walkę, zwycięskiej, lecz noszącej na sobie widome znamiona przeżytych bojów i męki... Dalej majestatycznie dźwigały się wysoko ponad stary las gałęzie, jedne zielone i gęsto liśćmi okryte, drugie obnażone, strupieszale, zjedzone przez mchy, rozpadając się próchnem...

Spojrzawszy na tego milczącego, nieruchomego, wkułtego w ziemię szeroko, jak szponami niezmierzniemi, — olbrzyma, mimowolnie przejmowało poszanowanie jakieś i groza. Był on świadkiem tysiącoletnich może dziejów, burz, ciszy, przemian na ziemi... Cały świat swój miał stary pan puszczy; z jego soków żywiły się mchy, na ich trupach rosły trawy, w dziuplach tkwiły leśne kwiatki, schronione od zimy na i sloty. Grzyby i pleśnie ssaly mu nogi; na jednej gałęzi wiał się chmiel dziki, oplatając się z rozpaczliwą jakąś chciwością. Wyżej pomiędzy gałęzmi słały gniazda ptaki, w wiecznym boju z sobą. Na każdej z nich tulił się inny lasu mieszkaniec...

Dąb, jak uroczysko, zwał się Lelowym. Miejsce było poświęcone, tajemne, cudowne; szli tu chorzy zawieszając chusty, z którymi zdejmowali bóle swoje, niewiasty, prosząc Lela o potomstwo, chciwi wróżby, przemiany, pociechy...

O brzasku trzeciego dnia, jeszcze dąb okryty był poranną rosą jesienną, lśniąca, jakby już mróz niosła z sobą, gdy z głębi lasu pierwszy przywłócił się Warga. Obejrzał się dokoła, rozszluchał i siadł na jednym z kamieni. W lesie słychać było dzięcioła, który kuł drzewo i zdala krakanie wron, ulatujących nad lasem.

Głos ich nieprzyjemnie rozbudził starca, któremu się usta krzywiły. Podniósł głowę; ponad nią leciało stado czarne, zniżając się, jakby chciało usiąść na starym dębie, zakręciło się nad nim i puściło dalej, krzycząc długo.

Z krzewów wyszedł stary Luboń, odziany w prostą sukmanę, z twarzą posępną. Pozdrowili się po cichu. Nim mieli czas zacząć rozmowę, ze wszech stron zjawiać się zaczęli, jakby z ziemi wyrastający starzy ludzie, w tak prostej ubogiej odzieży jak Luboń.

Szli milczący i stawali kołem u kamieni pod dębem, na swych kijach pospierani. Luboń ich naliczył wkrótce kilkunastu. Starsi zaczęli siadać na ziemi, niektórzy z zanadru wyjąwszy mieszki, przed sobą je stawili. Milczenie panowało uroczyste. Na wszystkich tych powiedlonych twarzach jeden wyraz smutku i gniewu się piętnował.

Gdy starcy zajmowali miejsce obok Wargi, innych kilku butniejszych twarzy, choć odzianych w sukmany, przysunęło się do Lubonia. Widocznem już było, że z dwu jakichś żywiołów miało się składać to zebranie.

Dzień był mglisty, ale słońce zaczynało z za gęstych opon wyzierać; promień jego zaświecił na górnych dębu gałęziach. Wietrzyk je poruszył i drzewo jakby obudzone, zaszumiało poważnie. Nie drgnęła jednak żadna z jego gałęzi, liście tylko drżały i kołysały się. Kilka ptaków wypędzonych z gniazd uleciało w powietrze.

Wtem siedzący za dębem starcy zaczęli nucić pieśń cichą. Wyrazy jej nie dochodziły do uszów tych, co stali na przedzie; nuta była tęskna, żalowa.

a głosy szły jakby z piersi rozbitych,—ponure i stłumione. Po każdej zwrotce pojedynczy głos powtarzał coś o Lelu i zdawał wzywać bóstwa pomocy.

Warga nie śpiewał: słuchał zadumany i czoło marszczył. Śpiew też trwał bardzo krótko i obumarał z ostatnim wykrzyknikiem. Westchnienia słyhać tylko było.

Okolo Lubonia zgromadzili się ziemianie, za nimi kółem stali i siedzieli wrózbici, gęslarze i ludzie od kontyn i chraków: jedni spoglądali na drugich, jakby się pytali: Co począć? Wtem z gąszczy Wojśław się zjawił, spojrzął na zgromadzonych i wystąpił przed nich.

— Co będziecie czynili? — spytał półgłosem. — Na naszą starą wiarę idzie zguba z góry... wytepią ją... Żadna się kontyna nie ostanie... żaden kamień święty... żadnej uroczystości po staremu obchodzić nie będzie wolno... żadnemu gęslarzowi śpiewać, żadnemu staremu powrócić,—popędzą nas jak bydło w niewolę... Co czynić? co czynić?...

Warga nań patrzył.

— W jaki sposób jeden człowiek może tyle narodu zmusić? — zapytał. — Jak nagniem karku, jarzmo włożą...

— Nie jeden—odparł Wojśław,—jest ich wielu... a broń mają w ręku i siłę... Porywać się na nich?—wyginiemy i z nami wiara nasza.

— Głupi się tylko rwie, gdy nie pora—odezwał się Warga. — Milczeć trzeba, przysiąść, czekać... Znajdzie się chwila, gdy albo knezie się z sobą zajedzą, albo wróg ich przydusi. Czekać trzeba!...

— A tymczasem kontyny wywróć! — rzekł Wojśław.

— Albo drzewa niema, by drugie wystawić? — począł Warga. — Niech lepiej ściany giną, niż ludzie. Przyjdzie pora, gdy będzie siła... Pójdziemy w lasy na uroczyska, będziemy po nocach święta obchodzili i ofiary składali... Puszcze nas nie zdradzą... czekać trzeba...

— Inaczej mówiliście niedawno... — odezwał się Luboń.

— Bom nie wiedział, co się dzieje... Kneź ma dużo zbrojnego ludu... Czechy mu w pomoc przyjdą, a i Niemcy... Naco ma się krew przelewać, kiedy wiarę potajemnie chować można!...

Wojśław ręką zamachnął w powietrzu.

— Tak tchórze gadają! — rzekł. — Ulegniemy dziś, jutro nie pora będzie... Za rok, za dwa w każdej chacie znajdzie się chrześcijanin... Dosyć ich jest i tak... ale dziś się oni tają przed nami, jutro my będziemy musieli przed nimi... Zguba i zatracenie...

Warga wstał z ziemi z oczyma zaognionymi.

— Wyście mnie nazwali tchórzem, a ja was nazwę gębaczem... — rzekł. — Słowa nie kupić... a o ręce trudno...

— A po osadach, po chałupach, po dworach nie możecie iść i ludzi ściągać? — zawołał Wojśław. — Nie możecie zebrać tysięcy i z nimi prosto na gród iść a śmiało rzec: nie chcemy nowej wiary! nie chcemy odstąpić od ojców i obyczaju!...

— Pójdziecie z nami? — spytał Warga.

— O jednego człowieka nie idzie — przerwał Wojśław, — jak tysiące będą, znajdę się i ja... Starzy poglądali po sobie.

Odezwał się któryś mrukliwie:

— Nie te to czasy, gdy na wiece ojcowie zwoływali i ogniste palono wici! Popatrzcie u chraków,—mało kto idzie, mało kto pyta... Nowa wiara ciśnie się wszędzie, a my ze starą... w puszcze i lasy chyba!...

— Wojaki kneziowskie żadnej wiary nie mają — wtrącił inny. — Na święto idą dla piwa, dla miodu i dziewcząt, a żaden starej pieśni nie umie!

— Nie, nie... — przerwał drugi, — nie, Drohoto, nie! Wy koło grodów się kręcicie i nad granicą, gdzie śmiecie spływa... Pójdziecie w lasy, w głąb, hen, dalej, za Wartą ku Wiśle... tam nasze bogi stoja całe i lud czołem im bije, ofiary niesie, pieś-

ni nie zabył, obyczaj chowa.. A trzeba będzie stać zań, pójdzie wszystek...

Rozśmiał się Drohota a Wargę niedowierzająco ramionami ruszył. Pomiędzy starcami jedni trzymali z nimi, drudzy z Czarnym Buranem.

Wojśław podniósł głos.

— Niech ino kneź zobaczy, że lud stoi przy swych bogach, niech głos posłysz, nie będzie śmiał...

— Co nie będzie śmiał? — przerwał Wargę. — Silniejszy on od was i chytrzejszy. Inna moja rada... zmilczeć i ugiąć się... a wiernie swego trzymać i czekać... przyjdzie pora. Albo to czas teraz?

— A kiedy będzie czas? — zapytał Wojśław.

— Gdy my wam powiemy!... — odezwał się Wargę. — Co wy znacie, dworacy? co wy wiecie, Wojśławie? Chowaliście się na dworze, nie znacie narodu. Mocny on może być, gdy przecierpi, gdy za boleje, gdy mu do serca ściągną dłoń. Dziś my jej jeszcze nie poculi... darmo wołać... Zbierze się kupa pijanych, zahuczy, — rozpędzą ją i strach padnie na wieki na wszystkich... Tegoby jemu trzeba, żeby mocniejszym się stał, — ale my tego uczynić nie damy!...

Drohota powtórzył:

— Nie damy!...

Inni starcy, nie sprzeciwiając się, zamilkli.

Wargę widocznie ich zmógł i przekonał.

— Wywróć kontyny? — jest w lasach miejsca dosyć! Każą się klaniać nowemu Bogu? — pokłonim się... Było ich dosyć... niech będzie jeden więcej!... Dla tego naszych starych nie opuścim... Nasza dola czaść się, cierpieć i czekać... przyjdzie nasz czas, przyjdzie nasza godzina... wybija na wojnie starszyznę, dwory zostaną puste...

Wargę nie dokończył. Luboń ze swymi poglądali po sobie, nie mówiąc nic.

— Pocóż nas i wołać było? — odezwał się gniewnie Wojśław. — Nie mamy tu czego słuchać. Że cierpieć trzeba, tośmy wiedzieli i bez was...

Uśmiechnął się Wargę.

— Jeszcze my się boimy stracha, co nie przyszedł... nie trzebaż go uprzedzać, zobaczymy, gdy on się zjawi... zobaczymy. A zebrać się i radzić było trzeba, bo niech tu dziś wiedzą, że groza idzie i od zimy nagotują kużuchy... Potośmy się zeszli.

Usiadł stary na swoim kamieniu, a inni mrużeniem dawali poznać, że z nim trzymali.

Wtem Czarny Buran podniósł rękę i rzekł:

— Ja jedno powiem... O kim wiadomo nam, że chrześcijaninem jest, choć tajnie... zabić go... pójdzie groza do drugich... Niech jeden ginie, aby my nie poginęli wszyscy...

— Dwory im podpalić! — dodał inny — Dobrosława naprzód...

— A Ligoń? i ten nie lepszy!...

— A Zreba?...

Inni wymieniać poczęli różne nazwiska; Wargę się nie przeciwil i milczał.

— Czyńcie z tem, jak chcecie! — dodał obojętnie.

Niektórzy starcy uśmiechali się już, jakby im ta zemsta smakowała. Luboń zbladł, wspomniawszy na syna, i milczał.

Gwar się wszczął między gromadą i bezładne rzucanie słowami, gdy dziwnie zaszumiała dąbrowa i zdawało się słycać było jakby łomot gałęzi a konia chód. Wszyscy zamilkli, przysłuchując się, chociaż myśleli, iż spóźniony może jeden z ziemian przybywa. Wojśław stał za Luboniem, wpatrując się w tę stronę lasu, z której szedł głos; przechylił się ku ziemi, aby popod gałęzi dojrzeć coś lepiej i nagle, jakby przerażony, skuliwszy się wpół, rzucił w krzaki. Ucieczka ta przestraszyła i drugich, ale uchodzić nie była pora, bo za starym Lelem już konia i jeźdźca widać było.

Luboń, który stał na widoku, pierwszy zobaczył i poznał Mieszka.

Kneź jechał sam jeden, z twarzą dumną i spokojną; ubrany jak do łowów, z rogami na sznurze.

uwieszonym przez ramię; z sulicą w rękę, łukiem na plecach.

Zobaczywszy starców i ziemian zebranych u dębu, nie okazał wcale zdumienia; konia trochę strzymał, stał i patrzył.

Wróżbici i gęslarze ośłupieli z trwogi i przerażenia. Niektórzy z ziemian cofali się w las, inni stali, jak w ziemię wryci. Ze starych niektórzy, nawykli do poszanowania, zwolna podnosić się zaczęli.

Mieszko stał i oczyma mierzył wszystkich, dostrzegł zdala Lubonia, poznawał i innych wróżbitów, których przy grodzie widywał. Po chwili namysłu, zwolna z konia zsiadł, wziął cugle i do oniemiałych zbliżył się z twarzą wcale niegniewną, ze wzrokiem jasnym. Ci, ku którym podchodził, zapomniawszy o odgrózkach, chylili mu się do kolan i pokłony bili.

— Cóż to za wiec u was, gęslarze? — zapytał. — I czemuście się to tak głęboko w lasy z nim skryli? albowiem gajów świętych niema [?] chrnach?

— Miłościwy panie — odezwał się chytrzejszy z innych Warga, nisko się kłaniając, — u nas to obyczaj stary u dębu za urodzaje bogom dziękować i wróżyć, co zboże da i co zima przyniesie. My tu na tem uroczysku schodzili się co roku.

— A no, wróżcie i śpiewajcie... niech i ja posłucham a popatrzę, a z mądrości się waszej co nauczę... — rzekł Mieszko, spokojnie rozglądając się po starcach.

I słowa te kończąc, obejrzał się, aby sięść. Kłoda omszona leżała poza kołem wróżbitów, — przysiadł na niej. Milczenie panowało między starymi. Warga, który się tak zręcznie wytłómaczył, szepnął Drohocie:

— Wróżcie...

— No... co nam ta zima obiecuje? — rzekł kneź, — mówcie...

Drohota zawezwany, musiał wedle zwyczaju postąpić; przywołał Wargę i Burana, usiedli na ziemi i końcami kijów swych białych w milczeniu ziemię odgarniać zaczęli, szukając, jakieby w niej znalazły się znaki.

Ziemia leśna, wilgotna, nie miała w sobie nic zrazu, oprócz przegniłych liści. Drohota kopał głębiej i dobył kostkę jakiegoś zwierzęcia.

Warga, on i wszyscy głowami potrześli znacząco.

— Kość... — rzekł Drohota — kość znaczy śmierć i zezęgnięcie.

— Komu? — zapytał kneź.

Milczeli, obracając głowami. Drohota począł kopać dalej; dobyli węgla kawalek.

— Węgiel czarny, stos i zgłiszczę — śmierć!

— Śmierć! — rzekł Warga.

— Komu? — powtórzył Mieszko.

Mówić nie śmieli, poglądali po sobie.

— Śmierć wrogom naszym! Niemcowi!... — zawołał kneź!

Warga, pokręciwszy głową, począł grzebać głębiej jeszcze... czarny robak okazał się wśród posypanych ziemi i zwolna wsunawszy w jej szczelinę, zniknął.

— Wróżcie śmiało — odezwał się Mieszko, — jeśli znacie przyszłość.

— Śmierć i zniszczenie złemu — począł Warga.

— Wrogowi — szepnął Mieszko.

— I tym, co z wrogiem trzymać będą — rzekł Buran ponuro. — Robak, co pełźnie, znaczy nieprzyjaciela, co się skrada... Uszedł nam w jamę, — zły to znak!

Warga grzebał kijem po swej stronie.

— Wróżcie — odezwał się wśród milczenia Mieszko. — Wkrótce nam na Wigmana iść będzie trzeba, przeciw Geronowi... dobrze wiedzieć, co nas czeka...

— Rzućmy losy! — rzekł Drohota.

— Rzućcie — potwierdził, wstając i zlizując się, Mieszko.

Drohota z torby dobył siedm kawałków drzewa, rozłupanych na poly, tak, że wierzchnia ich część czarną korą była okryta, a wewnętrzna bielala; zebrał je w garść, począł coś mruczeć i cisnął na ziemię.

Wszyscy się pochylili, spoglądając ciekawie; drzewo padło tak, że sześć kawałków czarnych było, a jeden tylko biały.

Milczeli starcy.

— Czarno nam jutro wróży! — odezwał się Warga.

— Rzucimy raz drugi — zawołał Drohota, zbierając patyki po ziemi i wznosząc je powtórnie z szepem jakimś i zaklęciem.

W milczeniu oczy wszystkich zwróciły się na padające drzewa, wszystkie czarnym bokiem leżały...

Spojrzeni po sobie starcy i nic nie rzekli, Drohota na trzecią wróżbę zbierał kawałki.

Mieszko, stojąc z twarzą spokojną, spoglądał na nich z góry.

Po raz ostatni ciśnięte patyki tak jak pierwszym razem, ledwie jednym białym upadły.

— Czarne jutro nasze! czarne! miłościwy panie... — westchnął Drohota.

— Czarne... — wtórował Warga.

— Czarne!... — chórem szeptali wszyscy. — Trzeba ofary bogom nieść, aby odwróciły gniew i groźbę... Krwi bogowie pragną...

— Pójdziemy jej Niemcom utoczyć — odezwał się kneź głośno, — ta im smaczniejszą będzie, niż gdybyśmy kozła zarzneli... Niech tylko idą za mną wszyscy, gdzie im wskażę, niech się biją rażno a mężnie, a wróżba się na wrogów obróci...

To rzekłszy i spojrzawszy naokół po milezących dziadach, dodał:

— Niech każdy sprawia, co do niego należy, ja się będę bił, — wy objaty pięściami i śpiewajcie... A nauczcie młodych, aby za wodzem szli posłuszni.

Tem Niemcy silni, że słuchać umieją! tem my słabi, że zgody u nas i posłuchu niema... Ale i tych ja nauczę.

Rzekł i zwolna koniowi cugle ściągawszy, skoczył nań, popatrzywszy jeszcze na wylekłych wróżbitów; ujął róg w rękę, trzy razy zatrąbił i w gąszcz wjechał napowrót.

Luboń i wszyscy w głuchem milczeniu nieruchomi pozostali długo i odetchnęli dopiero, gdy kneź zniknął im z oczów.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

W BIAŁYM

Księgozbiór:

№ 454

I.

Włast już drugi miesiąc modlił się i cierpiał na dnie jamy wilgotnej. Jarmierz i siostra, mimo wiedzy ojca i jego najsurowszego zakazu, mimo pilnego oka nielitościwej babki, przynosili mu jedzenie, skradali się na rozmowę, prosili go i błagali, aby ojcu był posłusznym. Odpowiadał im, że tego uczynić nie może. Im dłużej pozostawał w tym dole, tem więcej, zamiast słabnąć na duchu, dziwnym sposobem rozgrzewał się i stawał silniejszym. Nie miał już nic do stracenia, klęcząc, cichym głosem nucił pieśni kościelne, które mu z dawnych czasów na pamięć przychodziły i lzy mu płynęły z oczów. W tej ciemnej jamie, na ścianie z dwóch kawałków drewna lykiem związanym zrobiwszy sobie krzyż i umocowawszy go, większą część dnia Włast spędził przed nim na rozmyślaniu i modłach.

Hoża i Jarmierz, nieraz uchyliwszy wrota, ciekawie wpatrywali się w niego, przejęci trwogą jakąś na widok tej wytrwałości i męstwa.

Parę razy przyszedł stary Luboń i kazawszy sobie odwalić wrota, lajał syna, zmuszał, aby wole jego spełnił. Z pokorą wielką Włast podnosił oczy ku niemu i odpowiadał, że uczynić tego nie może. Z przekleństwem na ustach odchodził stary. W gniewem długim, wrzał często godzinami, aż do...

Nawykł do posłuszeństwa, nie chciał ustąpić; a jednak wspomnienie tego dziecka, straconego, oplakanego, odzyskanego cudownie i dziś skazanego jak niewolnik na kaźnię okrutną, łamało mu serce. Po nocach lzy mu zalewały oczy, ale gniew je osuszał. Ustąpiłby może wreszcie i syna precz odegnął, lecz z jednej strony obawiał się, aby go nie skarżył przed Mieszkim, z drugiej podżęgała go stara Dobrogniewa, upierająca się przy tem, iż wkońcu Włast wyćieńczony poddać się musi.

Tymczasem biegły dni i tygodnie, a Włast w tej ciemnicy, trwając na modlitwie i w samotności, nawykł niemal do życia pustelniczego i zgadzał się z wolą Bożą. Odzież zbrukana i przejęta wilgocią, mało go już od chłodu broniła, padała nawet kawałami; barłóg, na który garść słomy liłościwa ręka siostry rzuciła, stał się na proch i stęchl przejęty wodą, która się ze ścian sączyła. Włast się nie skarżył, a gdy Jarmierz ubolewał nad nim, odpowiadał pogodnie, że miło mu jest cierpieć dla Boga, którego wyznawał, i że ten Bóg zsyłał mu pociechę serca.

Słyszając to, Jarmierz stawał zdumiony i przelękły; nie mógł pojąć tej siły, która się takim bólem nie wyczerpywała.

Hoża po kilkakroć do nóg padała ojcu, prosząc za bratem daremnie; zawsze podejrzliwa stara, która ją szpiegowwała, nadbiegła ze swą kądzielą w porę, aby ją oderwać od nóg ojcowskich, a Lubonia nowym gniewem zapalić.

Ten więzień w domu, choć do niego nikomu się zbliżyć nie było wolno, choć wspomnieć się go nie godziło, truł jednak spokój i szczęście całej rodziny. Hoża chodziła zapłakana, Jarmierz chmurny, Luboń chwilami wściekły, a stara Dobrogniewa nikomu nie dawała.

Chciał kto obcy, kłamać było potrzeba i udawać, że się nie boi, a lękać się zawsze, aby się ten ułan nie pofarżował...

Jarmierz myślał o jakimś ratunku i nie widział żadnego. Chciał dopomóc do uwolnienia Włastowi, lecz zdrada-by się wydała i stary Luboń nigdyby mu jej nie przebaczył, a on w oczy Hożej patrzył i myślał, że mu ją wkońcu dadzą.

Złożyło się jednak inaczej wcale, niż rachował; ukrywający się ciągle Wojśław często do Lubonia zaglądał i narady z nim miewał. Chłop był urodziwy i na dworze pańskim wychowany; on i Hoża spoglądali na siebie mile. Czy przemówili kiedy, czy się ułożyli, czy Hożej naprzykrzyło się w domu ze starą Dobrogniewą, która ją, kochając, męczyła, z ojcem, którego przemocy się lękała, któż to zgadnie?... dość że jednego poranku Hożej nie stało.

W domu zawrzało straszliwie, pogoń poszła na wsze strony; tyle się tylko dopytano, że Wojśław ją porwał i w lasy z nią uszedł. Jarmierz zaklinał się, że go ubije.

Straszniejszą jeszcze pustką stał się dwór w Krasnejgórze. Dobrogniewa położyła się trzeciego dnia i zapowiedziała, że jej życie obrzydło. Napoił z gniewu, wpół z dobrowolnego głodu, w gorączce jakiejś, mającąc, otoczona babami, co ją napróżno ratować usiłowały, w kilka dni stara skołała...

Luboń pozostał sam, zdala poglądając na tę jamę, w którą syna wrzucił, nie chcąc nawet zbliżyć się do niej. Na parobków i służbę wywierał złość coraz wzrastającą.

Jarmierz nie mający już nic do zyskania i nie do stracenia, co dnia się więcej litował nad Włastem. Jednej nocy poszedł tajemnie odchylić wrota, zbudził go i poczał naglić, aby uciekał.

— Weźmiemy dwa konie... ubieży w lasy... mnie tu nie nie trzyma...

Włast mu dziękował.

— Jarmierzu, druhu mój! — mówił doń. — Nie godzi mi się uchodzić od męczeństwa, którem Bóg mój mnie dotknął... Mam zasługę cierpiąc, stracił uciekając...

Jarmierz tego zrozumieć nie mógł. Chwilami zdało mu się, że biedny Włast chyba oszaleć musiał. Drugiej nocy i następnej nalegał nań, nie przestając namawiać do ucieczki.

Tymczasem Włast, choć mocen na duchu, coraz upadać począł na ciele. Zimnica go od wilgoci napadła i co drugi dzień leżał, trzęsąc się, a potem nieprzytomny w gorączce, w której zwykle naprzemiany śpiewał i płakał.

W takim stanie Jarmierz wyniósł go nareszcie wychudłego, osłabłego z jamy na ramionach, złożył w szopie, okrył, napoił ciepłym miodem, i gdy sen go pokrzepił, zmusił niemal tem, że ojciec na nim mścić się będzie, do ucieczki.

Włast był jednak tak osłabły, że choć go Jarmierz przytrzymywał, na koniu długo usiedzieć nie mógł i po godzinie jazdy, gdy już dzień był jasny, musieli w gąszczach stanąć, bo biednego więźnia znowu położyć było potrzeba. Zaledwie legł, Włast zasnął.

Nie wiedział dalej, co z nim poczynąć Jarmierz, lecz domyślał się, że na dworze pańskim znaleźć może jakiś ratunek.

Nie widząc w tem żadnego niebezpieczeństwa, na losy się zresztą zdając, porzucił chorego uśpionego, a sam przez las popędził do grodu nad Cybinę.

Za stróża przy Właście został stary pies, który poszedł za Jarmierzem; zwano go Kudłą. Temu kazał siedzieć przy koniu i chorym, a pies zrozumiałwszy to—pozostał i położył się w nogach Włastowi.

Jarmierz, nie zważając już na to, że pochwyconym być mógł, jechał na gród.

Pierwszą, co mu się tu nastręczyła, była Srokicha. Była ona też w tem przekonaniu, że Włast z młodą żoną mieszkał na nowosiedlinach; załamała ręce i padła na ziemię, gdy jej chłopak powiedział, że stał... i że go w lesie zostawił.

Widywała ona tego gołąbka swojego z Dobrosławem, doradziła do niego iść. Sama przodem poszła się dobijać.

Dobrosław zrazu nie mógł zrozumieć nic, wierzył bowiem w to, że Luboń zmusił go do odstępstwa. Stara zwołała Jarmierza, odkryło się wszystko i Dobrosław pobiegł naprzód do knezia, a wprędce potem siadł na konia i popędził w las.

Zastali Własta uśpionego jeszcze, osłabłego tak, że mowę był utracił, psa u nóg jego i ciszę wśród lasu. Kląkł Dobrosław nad nim, obejmując biednego, a docuciwszy się, inaczej go do grodu wieźć nie mógł, jak między końmi na rozwieszonych opończach.

Teraz dopiero długie męczarnie, które wytrwał nieszczęśliwy, wywarły swój skutek. — Wprawdzie życia isierka tłała w nim i blada twarz męczennika uśmiechała się łagodnie, lecz siły były wyczerpane.

Gdy na Krasnejgórze Luboń swą czeladź, posądzoną o współnictwo, sieć kazał i sam w pogoń potem leciał na oślep, w stronę zupełnie przeciwną, Dobrosław z Jarmierzem bezpiecznie dojechali na zamek i złożyli w izdebce u wrót na dworcu kniehini Górki chorego, którego Srokicha pilnować i leczyć się obowiązywała. Jarmierz też został przy nim.

Stara знаła się na ziołach i szczęściem, z opisu domyśliwszy się zimnicy, gorzkich mu nagotowała.

Gdy Dobrosław przyszedł oznajmić Mieszkowi o tem, co się stało, kneź wysłuchał go jak zwykle, nie dając żadnej oznaki ani zdumienia, ani oburzenia. Kazał Własta wziąć na gród i wieczorem, namyśliwszy się, wysłał komornika po Lubonia.

Ale tego w domu nie było: biegł po okolicy, szukając śladów, nie przyznając się do niczego więcej, tylko do ucieczki Jarmierza.

Trzeciego dnia dopiero wrócił stary złamany i zrozpaczony. Na progu spotkał go rozkaz, żeby

się do knezia stawiał natychmiast. Sił miał niewiele, lecz rad nieład, jechać musiał.

Dano znać Mieszkowi o przybyciu Lubonia; wyszedł doń z twarzą pogodną i pozdrowił go napozór laskawie.

— Coście to pewnie na szczęście syna waszego patrzeć jeździli? — spytał. — A no, jak się mu tam dzieje?

Stary zabelkotal.

— Miłościwy panie — odparł głosem ochrypłym — wiele mnie nędzy spotkało... Zmarła matka, córkę mi porwano bez wieści, a oto sługa, pies niewierny, uszedł, okradłszy mnie, pewno kędyś do Niemców...

— Czasby ci z nowosiedlin syna do domu z niewiastką sprowadzić — odparł Mieszko; mielibyście pociechę.

Lubon zmilkł; dławil go gniew.

— Ja waszego Własta polubiłem. Choć do wojny się nie zdał, ale rozumny człek do rady... i milczeć umie... Żoną się on już nacieszył, poszlizie poń... bo mi go potrzeba... do Czech go wyprowadź...

Lubon się zmieszał, spuścił głowę, opadły mu ręce. Szukał w myśli sposobu, jakimby wyszedł z kłamstwa.

Mieszko stał ze swym zwykłym dumnym uśmiechem.

— Co, wam to nie po myśli? — spytał.

— Miłościwy panie, co mam kłamać dłużej. Nie-
szczęście się stało — niema syna.

Stary zakrył sobie twarz rękami, ale wprędce odsłoniwszy ją, dodał:

— Choćbym go miał — zgubiony on dla mnie... Niemcy go ochrzczili... na swoją wiarę. Znać go nie chcę...

— Wyrzekacie go się? — spytał Mieszko.

— Niech, jeśli żyje, do tych idzie, których więcej słucha, niż ojca. — Bodaż, zezwał.

Kneź popatrzał nań z uwagą...

Lubon — rzekł — z dzieckiem macie prawo czy-

nić, co chcecie. A to u nas teraz chrześcijany się mnożą co dzień... trzeba nam to cierpieć — nie damy rady... Boga mają śnać silnego, bo nasze mu się obronić nie mogą...

Wymówiwszy te słowa, kneź — głową skinął i wyszedł...

Lubon, który dłużej tu nie myślał pozostać, wysunął się ze dworu, nie wiedząc jak na koń wsiadł i dojechał do Krasnego dworu.

Nigdy pono niewiasta, do dziecka przywiązana, nie była w przykrzejszem położeniu, nad starą, prostą, pocziwą, ale do swojej wiary przywiązana Srokichę.

Jarmierz, który patrzył na męczeństwo, cierpliwość i stałość Własta, był już nawpół jego przykładem nawrócony. Zaczynał czuć, że ten Bóg, co dawał taką siłę, musiał być potężnym... Przed starą więc piastunką nie utulił powodu, dla którego Włast uległ takiemu prześladowaniu.

Srokicha przeraziła się tem... nie straciła serca dla swojego gołąbka, ale myślała jak ojciec, że go należało do dawnych bogów nawrócić... Pomiędzy ludem straszliwe chodziły wieści o tej wierze nowej, pełnej surowości, umartwień, poddającej człowieka najstraszniejszej niewoli... Srokicha płakała rzewnie nad swym wychowankiem, ale krzątała się około niego skutecznie...

Napój, jadło, powietrze, spoczynek — może dziełniej od jej leków poskutkowały. Włast trzeciego dnia mógł już uklęknąć i modlić się, a pierwszym jego ruchem było dziękczynienie Bogu i rzewna modlitwa.

Jarmierz i stara mamka, ujrawszy go zatopionego w tym zachwycie łzawym, od którego oderwać go nie mogli, przerażeni byli... Srokicha utrzymywała, że Niemcy urok na chłopca rzucili i że go od-
czyścić potrzeba. W duchu postanowiła, sama nie-
zując się tak bardzo biegłą w tej sztuce, postarać

się o najmądrzejszą babę, aby czar i uroki odegnała...

Gdy Włast powoli do zdrowia przychodzić zaczął, i ciągle będąc z Jarmierzem, wszystek czas swój obracał na nauczanie go i nawracanie, Luboń, wróciwszy do domu z gniewem i bólem, zaniemógł i legł złożony chorobą.

Natychmiast posłano po baby, aby mu radziły... Lecz stary i nie przyjmować nie chciał i życie miał już w obrzydzeniu; przystępu prawie nikomu nie dając do siebie, leżał to senny, to nieprzytomny.

W domu tymczasem działo się, co się zwykle wśród grozą trzymanej służby dzieje, gdy swobodę uzyskuje... szalała czeladź, puściwszy sobie cugle...

Rozeszła się wieść po sąsiedztwie o chorobie starego, ale nikt się nie chciał wdawać w nieswoje. Stary dogorywał otoczony babami, które rozpędzić się nie dając, nakadzały go, kropiły, zamawiały chorobę napróżno... Wreszcie ktoś z sąsiadów dał znać na gród, że w Krasnejgórce, na bezpieczeństwa dworze, parobcy rwą całe mienie i dwór niemal roznoszą...

Włast już wstawać poczynił, gdy Srokicha z tem wpadła...

Nie o mienie szło synowi, ale o obowiązki dziecięcia. Czuł się niemal winnym tego nieszczęścia, które rodzica spotkało i zerwał się na gwałt powracać do Lubonia. Napróżno i Dobrosław i Jarmierz błagali go i strzymywali, chciał, wyrwawszy się, iść pieszo: dano mu konie. Jarmierz zrazu nie śmiał mu towarzyszyć, potem zawstydzony męstwem jego, powiedział, że go nie opuści. Siedli więc na konie i pośpieszyli do Krasnejgóry...

Już zdala, dojeżdżając do dworu, można było mieć wyobrażenie, co się tam dziać musiało. Stary leżał dogorywając, a czeladź z dziewczętami w łasku pode dworem płasy wyprawiała, i śmiechy a śpiewy pijane rozlegały się dokoła... W podwórzu poroztwierane wrota, ślady spustoszenia i łupieży, we

drzwiach kupa starych bab, gwarzących nad kadzią piwa i miskami kaszy i klusek... Wszyscy niemal napół pijani, spotykali przybywających...

Jarmierz został w podwórku, aby natychmiast ład jakiś starać się zaprowadzić, a Włast wszedł do izby...

Na nizkiem posłaniu leżał stary, wychudły, z osłupiałemi oczyma, z obnażoną piersią, dysząc z trudnością... Oddech chrapliwy i ciężki słychać było z daleka... Gdy Włast wszedł, zdawał się już nie wiedzieć nic i nie poznawać go; leżał, jęcząc, nieruchomy... Syn przykląkł przy nim, zlekka ujął rękę i pocałował... Luboń drgnął, oczy stojące nieruchomie poruszyły się, usta otwarły, spojrzał, i pierwszym znakiem oprzytomnienia było, że dłoń wyrwać usiłował...

Słabym głosem zawołał pić — Włast znalazł kubek i z troskliwością dziecięcia, przychylił napój do spiekłych ust chorego, który chciwie pić zaczął.

Orzeźwiło go to na chwilę, — oczyma powiódł po ścianach i zatrzymał je na synu długo. Zdawał się zdumiony. Zamknął powieki, otworzył je powtórnie i przymrużył jeszcze...

— Włast! — rzekł pocichu — upiór!

— Syn twój, ojciec mój.

Luboń nie odpowiedział nic, oczy mu się przymknęły — usypiał...

Całą noc Włast przesiedział tak u łóża, służąc ojcu, który tylko wody żądał i więcej nie mówił nic... Usypiał, przebudzał się i znowu sen go morzył.

Nadedniem sił mu trochę przybyło: dojrzał siedzącego u nóg syna i mruknął:

— Włast!

— Jestem — ojciec mój...

Starzec niedowierzająco powtórzył raz jeszcze pytanie, usłyszał tę samą odpowiedź i począł się w niego wpatrywać.

— Gdzie byłeś? — zapytał Luboń.

— Leżałem chory, na grodzie...

— I wróciłeś tu?

Włast ukląkł.

— Aby cię prosić o przebaczenie za nieposłuszeństwo... ojciec mój, jam musiał posłusznym być Bogu...

— Bogu! Bogu!—zamruczał Luboń, jakby myśli zbierał; po chwili rzekł osłabłym głosem:

— Mocny Bóg! wielki Bóg!

— Ojciec mój, i dobry to jest Bóg i laskawy...

Starzec się zadumał; widać było, że pokora i łagodność syna złamały go wreszcie... Lzy mu się z powiek potoczyły i oschły na spalonych policzkach...

Długo znowu trwało milczenie; Włast, choć słaby, służył ojcu z troskliwością niezmierną...

Duma poganina nie pozwalała mu powiedzieć dziecku własnemu ani że czuł się winnym, ni, że mu przebaczał, lecz nie okazywał gniewu, gdy Włast, pocichu mówiąc, starał się go pokrzepiać i natchnąć nadzieją; słuchał go z chciwą ciekawością. Słowo miłością natchnione działało.

Włast, jako chrześcijanin, nie mógł się zbliżyć do chorego ojca, nie myśląc o jego nawróceniu. Zdało się to niepodobieństwem, lecz Luboń o tym dawniej nienawistnym Bogu chrześcijan słuchał teraz cierpliwie. Pogodził go z nim ten syn pokorny i miłosierny.

Tymczasem życie uchodziło ze złamanego starca... myśl się stawała jaśniejszą, odzyskiwał przytomność, ale siły tracił. Napoju przyjmować już nie mógł, oddech się stawał cięższym, usta zaniemiały, oczy tylko świadczyły, że duch pozostał w ciele... W tych godzinach ostatnich Włast o Bogu swym mówić mu zaczął, malując żywymi wyrazami Jego potęgę i laskawość, i cuda jakie czynił, i życie wieczne, które dawał...

Starzec nie spuszczał z niego oczów, a gdy Włast zebrałszy się na odwagę, zapytał go, czy

chciałby wiarę przyjąć — odpowiedział mu skinieniem głowy.

Z niewysłowioną radością Włast pokropił chorego wodą, chrzcząc go w imię Boga jedynego, któremu dziękował za to, że pierwszym owocem apostołstwa był — najbliższy mu krwią rodzic jego. Odmówił potem modlitwę, której konający słuchał z wyteżoną uwagą; był to Ojciec nasz słowiański... Z ostatniem Amen, jak do snu zamknęły się powieki Lubonia i ręka, którą syn trzymał w dłoniach, stygnąć zaczęła...

Włast z piersi własnej zdjął krzyżyk i położył go umarłemu w rękach, które stężały. Objąwszy ten znak Zbawienia, klęknął potem i modlić się zaczął.

Na modlitwie zastał go Jarmierz, który w zburzonym domu w ciągu tego czasu ład na nowo zaprowadził i czeladź grozą do posłuszeństwa przymusił.

Szło teraz o pogrzebanie zwłok starca chrześcijańskim obrzędem. Naówczas już obyczaj palenia zwłok, chociaż się utrzymywał, nie był obowiązującym. Wielu przykładem sąsiednich chrześcijan, woleli mniej kosztownie grzebać zwłoki. Składano je wszakże na uroczyskach, zgłiszczach i polach wśród lasów, gdzie dawniej były żalniki...

Włast nie mógł pogrzebu uczynić uroczystym, boby musiał zachować przy nim stare obrzędy pogańskie; poświęcił więc część lasku za domem jako "rolę Bożą" dla przyszłych chrześcijan, i tam w cichości, jednego Dobrosława tylko uprosiwszy, przy modlitwie, którą sam odprawił, pogrzebał zwłoki ojca. Działo się to potajemnie z obawą, i nie bez przeczucia dalszych następstw, jakie ściągnąć miało to postępowanie, które ludzie sobie inaczej tłómaczyć mogli.

Wistocie wszystek tłum, który rachował na stygę, ucztę i przyjęcie, zawiedziony w nadziei, począł wrota, że syn, mszcząc się na ojcu, jak psa go ności...

pocichu rzucił gdzieś w dół, nie uczyniwszy ofiary i nie sprawiwszy tryzny.

Od czeladzi dworskiej począwszy, szemrali wszyscy, na Własta patrząc mściwie, a przyjaciele starego Lębonia odwracali się od niego, znać go nie chcąc i odgrażając się.

Cześć tej niechęci spadła także na Jarmierza, który Włastowi był posłusznym i okazywał uszanowanie.

Nazajutrz po cichym tym pogrzebie pusto i smutno było na dworze w Krasnejgórze... Jarmierz chodził z głową zwieszoną i źle jakoś wróżył o przyszłości... Czelaź wprawdzie musiała być posłuszną, lecz posępni oczyma patrzyła na nowego pana, którego między sobą palcami, jako zdrajcę i odstępcę wskazywali. Nie strwożyło to Własta, który postanowił w miejscu pozostać, i nie bardzo się tając z wiarą nową, starać się o jej rozszerzenie.

II.

Niepokój szerzył się po kraju, chociaż nie go jeszcze nie usprawiedliwiał. Po lasach i osadach powtarzano sobie cicho, że Mieszko starą wiarę chce zagubić, — a kneź nie czynił nic przeciwko niej jawnie.

Wszystko po dawnemu zostało; kontyny, chramy, kamienie, słupy z głowami bożyszczy, ofiarne ołtarze stały nienaruszone. Gęślarze z pieśniami, jak przedtem chodzili, i uroczystości odbywały się, jak lud odprawiać je nawykł był od wieków. Nie zagrożano nikomu, nie zakazywano, — a jednak strach jakiś owładnął wszystkimi. Spoglądano na gród nad Cybiną z trwogą i niepokojem.

Na dworze zjawili się ludzie jacyś nieznani, podejrzeni, którzy się z kneziem zamykali, naradzali, przychodzili i znikali znowu... Mieszko zaczął się bać, czy

Zameczek Gozberta sterczał na samej granicy. Było to gniazdo, z którego drapieżna garść wypadała za Łabę, łupy doń znosząc i jeńców.

Jeżeli stary rabuś i żołnierz nie był w pochodzie, wesołe życie pędził na swym gródku. Wybaczano mu wiele, bo pogańskiej krwi na obmycie swoich grzechów nie szczędził. On i jego pacholki dokazywali straszliwie, znęcali się okrutnie, rozpustowali ohydnie, lecz zwało się to nawracaniem: człowiek dziczał w takich zapasach, a codziennie narażając życie, płacił sobie za to, używając go bez miary.

Dla tych wojaków wyuzdanych duchowieństwo też było powolnem i musiało ich rozgrzeszać, bo powstrzymać od grzechu nie było podobna. Stary Gozbert był dwa razy żonatym, ale mu obie jego małżonki pomarły, miał dwu synów, wychowywanych na następców jego rzemiosła, dwór u niego płci obojej i skarbiec dobrze naładowany. Na zamczku też, gdy był w domu, niczego sobie nie żałowano... Z postrzyżonymi głowy, wychudły i wynędzniały niewolnik słowiański służył tej butnej czeredzie, która go niemal na równi ze zwierzętą stawiała.

Choć posiwiali w ciągłych bojach, Gozbert trzymał się jeszcze prosto i siłę zachował dawniejszą; ocieżał tylko nieco od otyłości, którą obżarstwo i opilstwo sprowadziło.

Burg Gozbertów na cyplu między dwiema rzekami wystawiony, szczupły dosyć, ale uchodzący za niezwyciężony, zwał się po słowiańsku Uściem; Niemiec go przerobił na Adlerburg. Dokoła tego gródka, wyczerpiwszy osadę u stóp wzgórza rozciągniętą, z samych Niemców złożoną, pustynia była szeroka. Niktbyto w sąsiedztwie Gozberta i jego halastry nie wytrwał, nie mogąc ani mienia, ani życia, ani dzieci, ni służby pewnym.

Pacholkom pańskim tak czasu pokoju, jak czasu wojny, wszystko było wolno. Nie poszanowali własności nieczyjej, ani żadnego prawa... Sam si...

pociel i nie i jego synowie Dodo i Berto, z trudnością mogli ich w karbach utrzymać.

Bywały wypadki, że dla przykładu i wieszania ścinać musiano, dawszy się tylko wypowiedzieć, aby na tamtym świecie rachunek znaleźli skończony. Trafiało się, że ci apostołowie po drodze rabowali przez omyłkę kościoły, i w klasztorach nie szanowali klauzury zakonnej. Gdy publiczna pokuta w kościele, i bosy pochód ze stryczkiem na szyi nie pomógł raz i drugi, musiano wkońcu uciec się do miecza...

Gozbertowi ludzie sławni byli na okolicę, a w bitwach dobrze zbrojni i wdrożeni, okrutną rzeź sprawiali; jednakże woleli zawsze napadać na bezbronne osady, w których swobodniej mogli dokazywać.

Pomimo rodzaju życia, jaki wiódł sam pan i jego ludzie, on i oni nadzwyczaj byli pobożni. W tych czasach, im kto więcej grzeszył, tem czuł się do większej obowiązany gorliwości i surowości względem drugich i siebie. Gozbert też dla duchownych był z poszanowaniem wielkiem, a święta, posty i kościelne uroczystości z nadzwyczajną surowością sam obchodził i dopilnowywał, by je wszyscy szanowali. Nieraz w wigilję dnia najstraszniejszej rzezi i rozpusty, rano wszyscy spowiadali się pobożnie, słuchali mszy i dopiero wzięwszy błogosławieństwo, szli na łupieże i mordęstwo...

Wierząc w to poszanowanie Gozberta dla duchownych, Włast jechał wprost do niego, ubezpieczała go znajomość, kapłańska szata, a wreszcie to, że konie i ludzie, jakich miał z sobą, niepozorni byli, i chciwości obudzać nie mogli...

Podróż do Adlerburga nużąca była i długa, bo musieli wymijać osady, często kryć się, aby dać przejść oddziałom, kraj przebiegającym, wlec się więc nocami i rankami, niż dniami. Jesień też zaczynała być słotna, strumienie wzbierały, drogi się stały błotniste, a na brody nęgie rachować było

O kilka mil od burgu, zbliżając się ku Łabie, znaleźli się wśród kraju opustoszonego, w którym tylko stare zgłiszczą wiosek, porosłe chwastami, o dawnem ich istnieniu świadczyły. Gdzieniedzie mogła zielona i pogańskie cmentarzysko pamiątką lepszych czasów pozostały. Teraz ludzi tu już widać nie było. Zdaleka gniazdo Gozbertowe niebardzo było pokazne; ledwie małe wieżyczki przysadziste i nieforemne sterczały nad nim, a wyżej jeszcze za niemi gruby stółb odwieczny bez dachu. Wzgórze było łyse, w murach też zieloności żadnej nie dostrzegło oko... ściany dokoła obejmowały i zasłaniały budowy, tak, że dachów nie widać prawie było nad niemi.

Rankiem wyjechawszy z lasów, przed południem zbliżyli się ku burgowi, u którego stóp pokazała się nędzna miejscina, prawie cała z drewnianych domków złożona. Ponad nią wyżej nieco wznosił się kościelny dach śpiczasty z krzyżykiem. Na drodze krytej, wiodącej do zamku, widać było zwijających się ludzi konnych i pieszych, co Włastowi czyniło nadzieję, że Gozberta zastanie spoczywającego w gnieździe. Byli jeszcze o staj kilkoro od wzgórza, gdy trzech konnych puściło się ku nim ze psami. Byli to Dodo i Berto synowie pańscy, swawolący sobie i dokazujący z końmi, których wzięła ciekawość do trzech do orszaku przybywających nieznanych ludzi.

Dodo, który był jednego wieku z Włastem i pamiętał go jeszcze z tych czasów, gdy się nad nim jak nad niewolnikiem znęcał, poznał zaraz dawnego towarzysza i wielkim go przywitał okrzykiem.

Włast zsiadł z konia, chcąc sobie pańskiego syna ująć grzecznością, lecz Dodo przypomniał w nim duchownego i z poszanowaniem pewnem zbliżył się do niego...

— Jakże się tu zabląkałeś, ojeze Matjo? — zapytał zawsze śmiejący się, gruby już i otyły niemal jak ojciec młody Dodo... Czy cię twoi poganie precz wygnali?

— Jeszcze nie, miłościwy gracie — odparł Włast —

pociel
i ni

na
bon
i oc

któr
war

no
dzil
szlo
lecz
któr
cę v
stan
z wi

Przybyłem z dobrej woli wam i miłościwemu ojcu waszemu, grafowi Gozbertowi się pokłonić...

— Jedźcież ze mną, rad wam pewnie będzie. Właśnie u nas dnia jutrzejszego w kościele nabożeństwo; duchownych kilku sprowadzono na nie, zdacie się i wy ze Mszą Świętą — rzekł Dodo... — Ojciec teraz z panami duchownymi obiaduje wesoło, chociaż to dzień postny; — ale przy rybach miód i wino potrzebne!...

Dodo i Berto, konie swe powściągnawszy, jechali tak rozmawiając na zamek razem z Włastem, ale dostawszy się na stromą drogę, wiodącą do bramy, nie wytrzymali wolnego kroku i rzuciwszy podróżnych na zmęczonych wierzchowcach, sami wewał, na wyprzódki puścili się na górę... Nierychło po nich, gdy już pozsiadali, Włast wdrapał się do pierwszych wrót, które na podwórzec, stajniami i szopami otoczony, prowadziły.

Zewnętrzny ten dziedziniec, pelen koni, wozów, stosów drzewa i wszelkiego łomu, kup gnoju, trzody chlewnej i ptactwa, pastuchów i posługaczy, nie bardzo dobrze o zamku uprzedzał. Przedarłszy się z trudnością, wśród tej ciasnoty i wrzawy, ryku i krzyku, dostali się do bramy i mostu zwodzonego, który do właściwego wnętrza burgo prowadził. Tu stała straż zbrojna, więcej dla zwyczaju niż z potrzeby, a w pobocznych sieniach leżeli poroździwani pacholkiwie, spoczywając...

Drugi podwórzec lepiej wyglądał: otoczony był budowlami murowanymi dokoła i zakończony w głębi wysokim stolbem, który stanowił w razie oblężenia ostatnią obronę i schronienie. I tu jednak gospodarstwo Gozbertowe widać było, bo około studni w pośrodku rozlegały się śmiechy i głosy pacholków, swobodnie się wylegających...

Na prawo i lewo wązkie drzwi wiodły do komnat pańskich, których rozporządzenie z dawniejszych czasów dobrze Włastowi znanem było. Tu zsiadłszy z konia i kilka słów Salinowi szepnąwszy, Włast

udał się w prawo, aby starego grafa pozdrowić... Poprzedzili go już z oznajmieniem dwaj synowie...

Na pierwszym piętrze, na które wiodły wązkie i ciemne wschody, w niezbyt obszernej salce, której strop z olbrzymich poczerniałych, rzeźbionych belek był złożony, za stołem zastawionym cynowymi kubkami i dzbanami, siedział właśnie stary graf, otoczony gośćmi swoimi. Obiad był już skończony, a kości od ryb pozostałe na miskach świadczyły, iż post był ściśle zachowany... a po twarzy Gozberta zarumienionej silnie, poznać też było można, iż do dzbanka zaglądał.

Z prawej strony siedział w czarnej sukni duchowny z włosem siwym i twarzą poważną a surową, za nim drugi młodszy od niego, w którego oczach polyskiwały rozum i życie jeszcze walką niewyczerpane... Oba mieli na piersi na łańcuchach krzyże złociste... Opodał nieco młodzieńczy w sukni także kapłańskiej, z twarzyczą jeszcze zaledwie rozkwitłą, z oczyma spuszczonej skromnie, pokornie, małe miejsce zajmował, jakby jak najmniej chciał być widocznym...

Po lewej ręce Gozberta, rozparty butnie, napół leżąc na stole, w kaftanie skórzanym, z ogromnym wąsem, z włosem czarnym najeżonym, z dumą na czole i w oczach, siedział rycerz, jakby tylko co ze zbroi rozdziany, spoglądając po towarzyszach swych z lekceważeniem. Za nim jeszcze, podobna mu, ale pokorniejsza postać wojaka, tulila się w cieniu pod ścianą... Dwaj synowie grafa stali, tylko co powróciwszy, przy ojcu.

Przez ciasne okna z zabudowanego podwórza światło mało co wpadało do izby, która wyglądała smutnie. W głębi jej niezgrabny, szeroki, nadzwyczajnych rozmiarów komin, od jesiennego chłodu nałożonym ogniem obraniał. Pod jego kapturem kilku rycerzy pomieścić się mogło wygodnie... Para kłód suchych dogorywała w jego głębi...

Na jednej ze ścian komnaty widać było olbrzy-

mi krucyfiks drewniany, odziany do kolan białą koszulą, którego włosy rzeźbiarz, zwątpiwszy o dłucie, zastąpił ludzkiemi... Straszna ta postać, nieforemnie wycięta, wistocie bolesne czyniła wrażenie. Na innych ścianach pomalowane były, z niewielkim kunstem jaskrawe kwiaty i liście, wśród których zaledwie dostrzedz się dawały ludzkie jakieś postacie... Pod ścianami stały ciężkie ławy stare, z dębu wyciosane i skrzynie do siedzenia zamezyste. Na nich porzucone płaszcze, pozdejmowane świeżo stroje, odpasane miecze się wały... Kilka psów leżało i chodziło, szukając napróżno po podłodze zwykle im rzuconych kości.

Przez otwarte do drugiej izby drzwi dostrzedz było można stojące na czterech słupkach z podnieniem drewnianem łóżko i sypialnię grafa Gozberta... Ciężkie powietrze, przesycone wonią piwa, wina korzeniami zaprawnego i jadła stanowiło atmosferę izby tej, na zamku najobszerniejszej i najozdobniejszej pono.

Mieszkańcy zamkowi bowiem więcej w polu niż tu przebywali, a gdy się schronili dla spoczynku, wszystko im było dobrem...

Gdy Włast przystąpił z pokornym ukłonem do grafa, stary zwrócił się ku niemu swą czerwoną twarzą i uśmiechnął, potem miejsce około duchownych wskazując mu na ławie, zawołał.

— Będiesz, ojcze Matja, między swoimi... siadaj, a jeżeliś głodny, każ sobie co dać—boć się jeszcze może znajdzie, a nim co będzie—napij się... Naczezo to zdrowo... po jedzeniu zdrowo, wśród jedzenia zdrowo, i nigdy nie szkodzi!

To mówiąc, nalał w kubek ze dzbanka i prawie gwałtem weisnął go Włastowi, który, szepnąwszy cicho, że pije za zdrowie i pomyślność grafa, poszedł zabrać najniższe miejsce za młodym duchownym...

Oczy dwóch dostojników, siedzących wyżej u stołu, ciekawie się ku niemu zwróciły... Pokornie siadłszy, miał czas spocząć i rozpatrzeć się, gdyż rozpar-

ty na stole wojak, który na chwilę przerwał był jakieś opowiadanie, natychmiast począł ciągnąć je dalej. Głos jego z głębi szerokich piersi, jak z więzienia wychodzący, brzmiał dziwnie ostro i zdawał się przejęty goryczą jakąś i boleścią. Twarz też wyrażała i dumę i zniechęcenie razem...

III.

Rozmowa między gośćmi grafa Gozberta, gospodarzem i duchownymi toczyła się dalej nieprzerwana przybyciem Własta, który, ustronne miejsce zajmawszy, cicho się jej przysłuchiwał.

Odbijało się w niej to, co podówczas najmocniej Niemców zajmowało: szczęście i wielkie wyniesienie się Sasów, losy Ottona i wspomnienie ojca jego, Henryka.

Rozparty rycerz z twarzą dumną zdawał się lepiej od innych uwiadomiony o wszystkich przygodach cesarskiego domu, do którego krwią i powinowactwem należał, choć wnosząc z mowy i szyderskich przycinków, niebardzo mu był życzliwym.

— Wy może i nie słyszeliście mówił sparty na stole—o pierwszej żonie króla Henryka, bo świętobliwa Matylda pamięć tamtej zatarła, ale ludzie wiedzą i pamiętają piękną Hateburgę! Niezawsze nasz cesarski ród tak był Kościolowi posłuszny i świętobliwy, jak teraz. Było to wówczas, gdy się Henryk wstawił podbiciem Głomaczów i zawojowaniem ich ziemi nad Łabą... W Merseburgu na starym mieście żył niejaki Erwin, do którego ono prawie całe należało... Miał tylko dwie córki, z których jedna Hateburga, słynna z piękności, owdowiawszy młodo... zakonną zasłoną się przyodziała... Przecież, gdy urodziwy Henryk się do niej zgłosił, wołała go za męża wziąć, niż ślubu dotrzymać. Gdy się o tem prze-

wielebny Zygmunt, biskup halbersztadzki, dowiedział, pozwał nieprawych małżonków przed synod i klątwą im zagroził... Ledwie się Henryk wyprosił u cesarza, że sprawę do jego przybycia odłożono. Zwlekła się ona, a tymczasem Henrykowi się Tammo narodził. Żyli z piękną Hateburgą, póki Henryk młodziej i ponętniejszej Matyldy nie poznał. Dopiero, gdy go ta ujęła za serce równie wdziękami jak bogactwy, przypomniał sobie pan, że ono pierwsze jego małżeństwo grzesznem było i nieprawem; więc starszą Hateburgę rzuciwszy, ku młodej przysłał Matyldzie, która jest matką dziś panującego Ottona.

— Nie jest to żadną tajemnicą — odezwał się starszy z duchownych poważnie — boć ludzka rzecz błędzić... a kto się choć późno poprawi, zawsze lepiej, niżby w grzechu pozostał... Świątobliwej zaś pani Matyldy...

— Skłaniam i ja przed tą panią głowę — odparł Wigman; — ale gdy sławią cnoty Henryka, czemubym i lekkości jego nie miał przypomnieć?

— Lekkości ludzkie — rzekł duchowny — lepiej milczeniem przysłaniać, aby drugich do pełnienia ich nie ośmielały.

— Dostojny ojciec — odezwał się Wigman — ani milczenie pomoże, ni gadanie zaszkodzi, ludzie ludźmi będą i krewkami... A nasz dzisiejszy cesarz jest li wolen także od wszelkiego zarzutu?

Na to ze śmiechem rzucone pytanie zamilkli wszyscy; gospodarz spojrział na cesarskiego powinowatego i mruknął:

— A cóż mu zarzucicie?

— Alboż nie zachciało mu się wdowy po Longobardzkim Ludwiku, którą sobie Berengary przeznaczał, na sam ogłos o jej piękności?... albo mu jej skrycie i podstępnie nie odmówił?

— Jako odmówił? — przerwał Gozbert. — Berengary Adelaidę posadził do więzienia, głodem i muserem męczył ją, chcąc sobie pozyskać. Litością zdjęty pan nasz... po drodze do Rzymu wstąpił, by ją oswo-

bodzić a gdy mu sprzyjała, czemu się z nią nie miał połączyć?...

— Jak ojciec, tak syn — zawołał Wigman szydersko — szczególny do wdów pięknych — a bogatych smak mieli... O mało potem nie przypłacił za piękną Adelaidę drogo, boć mu się syn własny zbuntował, bojąc się, aby z nowego małżeństwa dzieci nie odebrały mu części dziedzictwa...

— Czemuż o tem nie mówicie raczej — odezwał się duchowny — jako ten pan nasz wielki, bohater-ski, mężny, jakiemu równego cnotą i odwagą nie mieliśmy, potrafił zmódcz zbuntowanego syna, zwyciężyć Berengarego i złamać wszystkich nieprzyjaciół swych, a precz odzecz Ugrów, państwa granice rozszerzyć i nad Rzymem, stolicą świata, zapanowawszy, cesarską uwieńczyć się koroną...

— Mój ojciec — zawołał Wigman — póki człek żyje, awa ta nieskończona... Miłościwy cesarz dwa razy do Rzymu chodzić musiał robić porządek, jednych ze stolicy apostolskiej zrzucać, a drugich na niej sadzać... Kto wie, co jeszcze będzie?

— Niech nas Bóg uchwowa, by gorzej lub inaczej być miało! — zawołał graf Gozbert.

Wigman się uśmiechnął chytrze.

— Tu jeszcze na wschodniej granicy dużo do roboty zostało — rzekł. — Czeski Bolko wprowadzie nam Ugrów pomógł, ale to była jego sprawa tak do brze jak nasza, a kto wie, z kim jutro trzymać może?... Nie przysięgłbym, czy z Ugami na nas on nie pójdzie... Ze Słowiany też, ilu ich jest, roboty dosyć na długo...

Gozbert się uśmiechnął.

— Nie boimy się ich, nie boimy! — Jakeśmy Bolka czeskiego wzięli, tak z pomocą Bożą i Mieszka polskiego zmożemy...

Wigman się rozśmiał.

— Cny grafie, gospodarzu mój — rzekł — nie godzi się to, abym ja, chleb wasz jedząc, wam ościami oczy wykalal... ale ci Słowianie, Polanie, Wilki, Mil-

żyńcy i jak oni się tam zowią, to dla nas dobra rzecz... Są oni jak staw, w którym się ryba rodzi. Gdy Geronowi lub wam na stół szczupaka potrzeba, siadziecie na konie i jedziecie na rybołówkę napewno... Trzeba wam niewiast, nabierzecie ich sobie do wyboru; trzeba parobków, — i tych dostarczą lasy i osady... tak samo bydła, owiec i miodu, i wszelkiego lupu...

Gozbert się cierpko uśmiechał, a Wigman mówił dalej:

— Mnie się widzi, miłościwy grafie, że gdyby ze Słowiany i Polanami pokój nastał, gdyby się oni pochrzcili i przyszli z pokojem, uczyniliby wam krzywdę niemałą...

— Dalby to Bóg — przerwał starszy z duchownych — aby wiarę świętą przyjęli...

— Ale cóżby naówczas robił Gero na granicy wschodniej, co by poczynił cny Gozbert, nie mając nic do roboty?... a naostatek może i takiemu jak ja, odrąconemu od pańskiego oblicza, Wigmanowi oni Słowianie na co się przydali...

Gozbert popił z kubka, węża pokręcając zadumany.

— Co się tyczy Słowian wszystkich — rzekł, — nie troskajcie się; do przyjęcia wiary przez nich daleko... W Czechach, gdzie się na gwałt kościoły budują, po lasach tak ofiary sprawiają, jak dawniej, lud stoi przy swoich drewnianych bożyszczach i niełacno je porzuci...

Włast, który milczał dotąd, nie mógł się powstrzymać, by nie rzec cicho.

— Da Bóg, że się to odmieni...

Spojrzeni nań duchowni i Gozbert, a z pogardą zdala oczyma zmierzyl go Wigman, lekce go sobie ważąc widocznie.

— A jakże się to ma zmienić?... — zapytał Gozbert.

— Nie jest to już tajemnicą żadną, że knez Mieszko żeni się z córką Bolka czeskiego, Dubrawą

ścielny i dwa lichtarze... ludzie jedni zabierali do skarbcza zdobycz, a knez brata, schyłego przed nim, po ramieniu klepał, drudzy z gromadą niewolnika powoli odciągnęli ku szopom dla wypoczynku.

Kneziowie oba weszli do dworu; służba, komornicy, gawiedź pozostała, rozwiadując się o wyprawie, śmiejąc się i pokrzykując wesoło.

Włast, którego widok niewolnika przejął litością, jako chrześcijanina i kapłana, jako długi czas w Niemczech i z Niemcami żyć nawykłego... stał osłupiały, myśląc, co by mógł począć, aby starca, którego znał, mógł z niewoli srogiej wydobyć.

Przychodziło mu na myśl rzucić się do nóg kneziowi, gdy doń przypuszczony zostanie, i prosić go o darowanie staruszka, który, bezsilnym będąc, mało na co mógł się komu przydać.

Stał tak jeszcze zamyślony, gdy poczuł, że go ktoś za rękaw pociągnął. Obejrzał się i zobaczył za sobą staruszkę, obwiniętą płachtami białymi, która coś pocichu szeptała mu do ucha... Nie mógł jej zrazu ani zrozumieć, ani się domyśleć, czegoby od niego chcieć mogła. Stara odwiodła go na stronę i odezwała się:

— Wy to jesteście Luboniów syn, coście dwadzieścia lat przebyli w niemieckiej niewoli?...

— Tak — rzekł Włast, — ja nim jestem.

Stara popatrzała nań długo...

— A pamiętacie wy Srokichę?

Włast, któremu się wspomnienia młodości zatarły w pamięci, zaledwie to imię mógł przypomnieć.

— Tak nazywali u nas, w Krasnejgórze, począł niewiastę, co mnie po śmierci matki swoją pierś karmiła.

Staruszka objęła mu kolana, a potem prędko podniosła oczy i zażawione razem i rozpromienione.

— Gołąbku mój! dziecko moje! Toć to ja jestem Srokichą... Ojciec twój darował mnie do dworu kneziowi, bom umiała leczyć i zamawiać. Dali mnie

do kniehini, do Górki... siedzę przy niej, biedną dziewczynę zabawiając, jak umiem. Gołąbku mój! dziecko moje! A cóż to z ciebie niewola zrobiła... Jam myślała, karmiąc ciebie, że jak dębeczak wyrośniesz, a tyś jak leszczyna wiotki i wątły.

Włast przypatrywał się staruszce — z rozrzewnieniem; powoli na myśl przychodziły mu lata młode, które zawsze urok wielki mają. Łza mu się kręciła w oku. Chciałby był czemś obdarzyć staruszkę, mamkę swoją, lecz nie miał nic. Nie widać też było po niej ubóstwa i potrzeby; odzież miała dostatnią, płótno białe i cienkie, a ręce niezapracowane okazywały, że wczasu używała.

— Gołąbku mój — powtórzyła cicho Srokicha — chodź ze mną, ja cię kniehini mojej pokażę... bo ty tak jak dziecko moje, krew w tobie żupanów i władków, ale i mleko też moje płynie...

Ocierала łzy stara i pragnąc i nie śmiejąc głaszać swojego wychowanka, który się jej smutnie uśmiechał.

— Chodź! — dodała. — Kniehini dobra pani, piękna pani, miłosierna. Sama jedna, męża nie ma, nudno jej w świecie, bawić ją trzeba to śpiewami, to gadkami — niechajże się pobawi, słuchając o twojej niewoli. Ja cię do niej zaprowadzę.

Włast stał niebardzo rad zaproszeniu, ale starej nie śmiał się opierać; myślał przytem, że jako chrześcijanin i kapłan, winien był zbliżyć się do ludzi, aby choć próbować nawrócenia.

Stara, wiodąc go za sobą, przeszła część podwórza aż do drugiego dworu kniehini; otworzyła sobie wrotka boczne i niemi Własta wpuściwszy, zaraz je za nim zasunęła.

W podwórku niewielkiem cicho było i zielono. Całe ono jakby ogródek bujno zarosły stanowiło. W pośrodku była stara lipa rozłożysta, po rogach w plecionych z łoziny kłatkach świegotały zamknięte ptaszki. Małenka sarenka chodziła, gryząc trawę, swobodna, a gdy ujrzała wchodzącą Srokichę, stanęła.

nabożeństwa, starszy z kapłanów wstał, prosząc, aby ich do zamkowej prowadzono kaplicy.

Syn grafa Gozberta, Dodo, wzięwszy ze ściany klucze, począł iść, wiodąc ich za sobą. Włast też im towarzyszył.

Zeszli z pierwszego piętra znowu w podwórze zamkowe i dostawszy się aż do końca jego pod stolb, gdy Dodo drzwi mocne dębowe otworzył, znaleźli się w niskiej i ciemnej izdebce za kaplicę służącej. Z głębi oświecało ją jedno okno, naprzeciw którego ołtarz stał skromny, a przy ścianach ławy i siedzenia dębowe. Taż sama prostota jak w mieszkaniu, panowała w domku Bożym, który świeczniki miał drewniane tylko i wszystek niemal sprząt takiż. Chrystus też podobny wiszący na krzyżu, okryty kożuszką, z włosami na głowie, ścianę jedną zajmował.

Najstarszy z duchownych rozpoczął nieszpory, a inni mu odpowiadali. Nabożeństwu temu jednak z zamkowej gawiedzi nikt nie był przytomnym, nawet młody graf Dodo do ojca powrócił.

Już słońce było nad zachodem, gdy wszyscy czterej kapłani, z kaplicy wyszedłszy, a przykrząc sobie snąc towarzystwem dumnego Wigmana i zadusz-nem izby powietrzem, na ławie kamiennej w podwórzu naprzeciw studni usiedli dla rozmowy.

Włast szczególnie obudzał ciekawość ich i radzi byli dowiedzieć się o losach jego a przygodach.

On też tajemnia się przed nimi przyczyny nie miał na zapytania odpowiadając, całą im swojego żywota historię opowiedział. Naostatek, gdy przyszło do podróży i jej celu, rozgrzany nadzieją uczynienia czegoś dla kraju, powstał Włast z ławy i złożywszy ręce, jał mówić do starszych kapłanów.

— Ojcowie a panowie moi, do was zwracam teraz mowę moją serdeczną: ażali nie lepiej i nie zgodniej z nauką Zbawiciela kraj nasz nawrócić, niż burzyć go i niszczyć?... Pragniemy wiary i wołamy apostołów... Z niebezpieczeństwem życia dostałem

jeszcze i maluczkiej, pasterza tu znajdę. Dajcie mi go...

Wysłuchawszy tej mowy, starszy mu odparł, że sam podobne apostołstwo między świeżo ledwie nawróconymi poganymi mając w Mysznach, choćby przagnął, oddalić się nie może. Zarazem jednak ku towarzyszowi średnich lat, śmiałego oblicza i pogodnej twarzy się obrócił.

— Ojcie Jordanie — rzekł — językaście Słowian i obyczaju a zabobonów ich świadomi... Ażali wam, miasto spokojnej plebanii, wojownicze pasterstwo, gdzie nieustannie wilki odganiać trzeba, się nie uśmiecha?

Milczał ks. Jordan i zadumał się.

— Więcbym miał moje owieczki opuścić na polu, a szukać obcych i nieznanych? — zapytał po chwili z uśmiechem.

— Mój ojcie — odparł Włast — owieczki też wasze już drogę z pola do owczarni znają i pasterz dla nich się rychlej znajdzie, niż dla tych naszych zdziczałych, które wilcy chwytają na pustyni...

Wprawdzie kneź nasz Mieszko ani sam chrztu jeszcze nie przyjął, ani mógł ludowi wiarę nową ogłosić. Cierpliwy to jest pan i rozumny, a choć w nim stary poganin się odzywa, i walczy z rodzącym się neofitą, w Bogu nadzieję mamy, iż zwyciężym ostatni... Przez niewiastę przyszedł grzech na świat — dodał Włast — ale też przez niewiastę przyszło na świat Odkupienie i przez niewiasty wszędzie, jak owe, co balsam niosły, wchodzić będzie wiara między narody... I nam ją przyniesie Dubrańka, pani wielkiego męstwa, która się nie lęka rnie ochrzczonego podać kneziowi, aby go do chrztu przywiodła.

Ks. Jordan, wysłuchawszy mówiącego Własta, ujął go rękami obiema i dał mu pocałunek bratowski, wołając:

— A wieluż was tam jest takich, jak wy... o

Wstydem zapłonęło oblicze młodego duchownego, spuścił oczy i dodał:

— Ojcie mój, takich jak ja znajdzie się pewnie wielu, a lepszych życzę i spodziewam się... Nabierzcie tylko ochoty do apostołstwa i jedźcie ze mną... jedźcie ze mną...

To mówiąc, ukląkł i za nogi go uściśnął, a powstawszy, mówił dalej:

— Ojcie mój! Niewymowną miłością kocham tych moich braci, zostających w ciemnościach, ten kraj mój odcięty od świata, który wy dzikim zowiecie i pogańskim. Tak... czci on bałwany i światła nie zna, bo mu go nie ukazano... ale, wiercie mi, żadne plemię może tak usposobionem nie było do poznania i umiłowania prawdziwego Boga... Pradziadowie nasi znali też tylko jedno bóstwo najwyższe, wszechmogące, zabobon natworzył duchy pomniejszych; ojcowie nie znali wielożęnstwa... niewiasty nasze niepokalaną sławiły się czystością, mężowie gościnnością dla swoich zarówno jak dla obcych... Gdy słowo Boże padnie na tę rolę żyzną, wierząc mi, zrodzi ono owoce złote...

— Tak, mój synu — odparł starszy duchowny. — Chcę wierzyć, że cię nie zaślepiła miłość ku swoim, — lecz rola ta żyzna chwastem od wieków zarosła, i krwią ją polewać trzeba...

— A cóż czynili apostołowie po odejściu Chrystusa Pana? ażali im nie polecono nawracać narody i nieść światło w najodleglejsze świata konce? — rzekł Włast.

Tak rozmawiając a ożywiając się, nieznacznie wyszli z podwórca i przeszedszy bramę, w której straż stała, znaleźli się prawie sami, nie wiedząc jak, w pierwszym podwórzu zewnętrznym, w którym większy jeszcze ruch i wrzawa panowała niż z rana. Tłum zamkowy cisnął się do bramy pierwszej, w którą właśnie kupa ludzi zbrojnych, wracająca snąc z wyprawy jakiejś, wjeżdżała... Okrzykami witano tych bohaterów licho zbrojnych w ładajskie blachy

kawalki, oszarpanych, obłoconych, pokrwawionych i pijanych...

Konie, na których jechali ludzie grafa Gozberta, ledwie się na nogach trzymały i robiły bokami, obciążone przez jeźdźców i sakwy łupami wyladowane. Na czele gromadki jechał wielce do pana swego podobny, otyły brzuchacz osiwały w tych wyprawach i rozbestwiony niemi, z brodą szarą, umazany na rękach krwią, z wargami sinemi i oczyma czerwonymi... Ujawszy się w bok, spoglądał dumnie poza siebie na jadących pacholków. Ci dookoła opasywali razem z trzodą pomieszanych ludzi, po większej części rannych, sińcami okrytych, z głowy odkrytymi, z rękami w tył powiązanymi. Pomiedzy nimi szły i kobiety młode, prawie nagie, z włosami rozpuszczonemi, zapłakane, niosące dzieci na rękach lub tulące twarze i piersi ze wstydu...

Mało było starców — niewiele dzieci... Te, których płacz im dokuczał, Niemcy po drodze, o drzewa im głowy roztrzaskując, poporzucali... okropny widok przedstawiała ta gromada jeńców, a jednak serca chrześcijan tych nie poruszały się litością, śmiano się i radowano dziko z tej niewoli pogan... których nie wyżej od bydła ceniono...

Rycerze grafa Gozberta, stojący na zamku, zbiegali się wszyscy przypatrzeć niewolnikom, szukając między nimi, na kimby się zwierzęco znęcać mogli. Oprócz ludzi prowadził ów Moryc, dowódca oddziału, stado owiec tłustych i kilkadziesiąt sztuk bydła... witanych okrzykami przez załogę...

Hałas i wrzawa w dziedzińcu i wesele było tak wielkie, że siedzący dotąd z Wigmanem u stołu Gozbert, któremu syn doniósł o powrocie Moryca, wyszedł się też pocieszyć widokiem łowów szczęśliwych.

Były one wistocie pomyślniejsze jeszcze, niż się na oko zdawało...

W liczbie jeńców, których Moryc wiodł za sobą, był skrepowany dwakroć powrozami sławny wódz

Słowian, Samo, który napadał oddawna niemieckie osady i nielitościwie je plądrował. Nie miał on litości nad Niemcami i od nich się też jej nie spodziewał...

Nie ujęliby oni Samona, gdyby nie zdrada. Inny Wend, imieniem Zmieję, który się z nim zadarł, naprowadził nań Niemców i śpiącego dał im w ręce. Samo się bronił wściekle, ale jeden cóż mógł przeciw dwudziestu?... — Przeszyty kilku strzałami, z głową roztrzaskaną, pokaleczony, związany nareszcie, włókł się tu milczący, wiedząc, iż na śmierć idzie... W sercach innych ludzi byłby obudził politowanie, tak mężnie i dumnie niósł niedolę swoją.

Człowiek był żubrzej siły i rozrostu, ogromny, ponurego wejrzenia i twarzy spalonej. W tej chwili spływająca po niej krew nie dozwalała rysów dopatrzyć, białka oczów tylko świeciły na twarzy oblanej czerniałą posoką. Ani jęk, ani słowo nie wyrwało się z ust jego... oczu prawie nie raczył zwrócić na katów. Patrzył w ziemię i na tych, co szli razem z nim, w niewolę pędzeni. Smagano go bieżm, dzieci rzucali kamieniami, — nie drgnął nawet... Urągano mu, — nie słuchał.

Właśc, któremu ten człowiek przypominał tylu podobnych braci, spojrzał nań z politowaniem. Towarzysze jego duchowni patrzali ze zgrozą. W tłumie opowiadano o tem, co Samo wyrządził Niemcom.

W tej chwili wyszedł graf Gozbert, a Moryc, zsiadłszy z konia, do nóg mu się pokłonił, wskazując zdobywcę, którą był dumny...

Grat poklepał go po ramieniu.

— Samona waszej miłości przywiodłem! zawołał dowódca. — Mogę się pochwalić tą zdobyczą. Dziewcząt młodych jest ze sześć, niewiast kilka młodszych, ludzi do roboty zdatnych tylko braliśmy, starców pozabijano. Dzieci kilkoro dla księdza przyprowadziłem, aby je pochrzcili. Małych bardzo nie było co żywić, bo kto by tam chował te gadziny

Graf Gozbert opatrywał łupy... rad był widocznie...

— Cóż z Samonem wasza miłość uczynić każe?—zapytał Moryc.

— Powiesić i to zaraz! — odparł graf krótko. — Jutro święto jest... nie warto go psuć taką robotą.

— Powiesić pod ręce, aby się męczył dłużej — dodał Moryc—bo jużci tak krótką, łagodną śmiercią tego zwierza pozbyć się nie godzi... zasłużył na to, aby się z nim pobawiono... Naszym wydzierał wnętrzności...

— Zróbcie z nim, co chcecie—mruknął graf—byle do jutra było skończonem... Jutrzejszy dzień cały chcę poświęcić nabożeństwu...

Obszedłszy dokoła owo stado ludzi i zwierząt, z którego widoku się radował, Gozbert jeszcze raz oświadczył swe zadowolenie dówódcy, obiecał mu nagrodę i poszepnął coś do ucha... a sam ku pierwszemu podwórcu się zawrócił.

We wrotach stali duchowni, oprócz może ks. Jordana i Własta, spoglądający zimnem okiem na męczarnie nieszczęśliwych jeńców, którzy już na ziemię padli, odrętwieli znużeniem... Depcząc po nich, chodzili pacholki, i wybierali a dzielili ich, gdzie który miał być zapędzony... Jęków ni skarg słyhać nie było... dzieci tylko płakały...

Uprowadzając noc i spełniając rozkazy grafa, Moryc kazał wywlec Samona za mury, upatrzawszy miejsce, gdzie być miał powieszony... Samo spędzony wstał i wleczony sznurami, wyszedł, znikając z oczów przytomnym...

Mrok padał, gdy duchownych wezwano na wieczerzę do grafa... Zastali tu zastawiony stół rybami i mleczymem ponalewane dzbany, a Wigmana przed ogniem wyciągniętego na ławie... Wszyscy jak z rana pozajmowali miejsca swoje. Starszy kapłan odmówił Benedyktu... i poczęła się biesiada zrazu mileżąca... Pierwsi do misy sięgnęli Wigma

i grafowie, potem duchowni, naostatek szary koniec, Włast i młody kleryk, przy nim siedzący...

Rozmowa nie była jak z rana poważną; Gozbert, unikając tego, nastroił ją wesoło, a choć miał u stołu kapłanów, nie wahał się dopuścić żartów cynicznych. Wigman wszakże nie dał się niemi rozbudzić z odrętwienia, jakie go napadło, mówił mało, zdawał się drzemającym i pograżonym. Zamknął się cały w sobie, jak gdyby osnuwał coś potajemnie.

Gdy Gozbert doń mówił, zdawał się nie słuchać.

Tak, mimo usiłowań gospodarza, wieczerza dosyć upłynęła smutnie... Wigman tylko, gdy się psy pod stołem gryźć zaczęły o skorupy od jaja, ości od ryby i resztki jadła, które im rzucano... ozwał się, jak sam do siebie:

— I pies ma pamięć krzywdy a pragnienie zemsty... jakżeby człowiek miał ją zapomnieć?

A gdy na mówiącego patrzano, dodał:

— Bylem raz u krewniaka mojego, Arnolda, który nad Bawaryą miał władzę; siedzieliśmy u stołu z wielu innymi, gdy do człowieka jednego nagle poskoczył pies, ugryzł go i uciekł. A że nikomu innemu nic złego nie uczynił, zdziwiło to nad miarę wszystkich... I postrzegliśmy, że człowiek ów drżał cały pomieszany; gdy go naglić poczęto, ozwał się głośno:

— Pies ten wiedział, co uczynił — pana jego, spotkawszy śpiącego w lesie, ubilem...

Naówczas próżno obronić się go starał, dziś mnie obwinia i zemstę wywiera... i widzę to, że tu lub na przyszłym sądzie wszelki winowajca nie uniknie kary *).

Wychylił potem kubek i dodał jeszcze:

— A Wigman, choćby psem miał zostać, pomści się i ukąsi...

Nierad tej mowie, Gozbert popatrzał groźnie na Wigmana, ale dumny krewniak cesarski, nie zważa-

*) Ditmar.

jąc na to bynajmniej, zamyślił się znowu i tak do końca wieczery, na gospodarza już ani patrząc, ani doń mówiąc słowa, pozostał.

W milczeniu pijących porzucili duchowni, i przed północą, dla jutrzejszych mszy, udali się na spoczynek...

Gdy Włast izby swej górnej, w której mu posłano wraz z klerykiem, okno otworzył, ujrzał w świetle księżycy, na belce z muru wystającej, zawieszone ciało Samona, którego głowa, opadła na piersi, koniec męczarni zdawała się zwiastować... Okropny ten widok łączył mu na powieki wycisnął...

Na jedno oka mgnienie, błysnęła mu wątpliwość—czy chrześcijaństwo ci prawdziwymi są synami Bożymi?—i wnet, jako grzech, odpychając ją, padł na kolana, aby się modlić.

IV.

W kilka dni później Włast powracał już ze swej wycieczki—uspokojony tem, iż nie jechał sam.

Obok niego po prawej ręce, w milczeniu odma-
wiając pacierze kapłańskie, ks. Jordan rozpatrywał się po kraju, w którego granice już wkroczyli...

Ten sam to był kapłan, którego Opatrzność mu nastręczyła na Adlerburgu, u grafa Gozberta.

Z niemalą trudnością udało mu się go nakłonić. Nie miał nic, czemby go mógł pociągnąć i zachęcić, nie ofiarował mu nic oprócz apostołstwa, widoku walki a może męczeństwa.

Lecz obok poczwarnych istot, które walki te rodziły, religia chrześcijańska, ilekroć padła na serca czyste, na umysły wielkie, na wybranych—tworzyła z nich ludzi poświęcenia i świętych.

Ks. Jordan był kapłanem już z apostołstwem obeznanym, od młodości w tej pracy zahartowanym. Opowiadał on Ewangelię i po dzikich zakątkach

kędy się promień światła nie wcisnął nigdy jeszcze, i tym możnym nawpół nawróconym, co światło czyste obracali na swój użytek, czyniąc z niego przewrotnego sługę... Wiedział już, jak mówić było potrzeba do tych, co nigdy nie słyszeli, i do tych, co słyszane źle zrozumieli.

Maż był cierpliwości niezmordowanej i niewyczerpanej, mocy ducha niezmniejszonej—pełen przytem wewnętrznego wesela i spokoju...

Wielka prostota i dobroć łączyły się w nim z rozumem jasnym... Wiedział on, że oddając się na usługi Mieszkowi i krajowi do dawnej wiary przywiązanemu, będzie miał wiele trudności do zwyciężenia, nie nagłych a przechodzących, ale powracających i upartych. Uśmiechało mu się jednak być pasterzem trzody nowej i przez siebie samego stworzonej. A po drodze, nim na gród przybyć mieli, starał się zawczasu objaśnić o ludziach i związku tego, co go tam oczekiwało.

Mieszka rad był odgadnąć, a o tem właśnie Włast mu najmniej umiał powiedzieć. Domyślali się go ci, co żyli z nim,—nikt powiedzieć nie mógł, by go znał.

Od granicy już Włast, któremu jego kraj najpiękniejszym się w świecie wydawał, ukazywał go ks. Jordanowi, wychwalając.

Kapłan znajdował go smutnym...

Przerażała go niezmierna ilość kamieni, słupów Tryglowowi i Światowidowi poświęconych, źródeł, miejsc ofiarnych, dębów i gajów, w których ślady objat i obrzędów pogańskich napotykali. Świadczyły one o przywiązaniu ludu do swej wiary, przepowiadały niezmierną pracę, jaka tu apostołów czekała.

Lecz Włast szeptał, że gdy wszystkie te miejsca jak w Czechach, poznaczone zostaną krzyżami i niejako ochrzczone, będą służyć ku opamiętaniu i nawracaniu...

Ks. Jordan musiał zrzucić swą suknię duchowną, wdziać odzież używaną w kraju, a że języka był

świadom, mógł uchodzić za krajowca. Już w drodze rozmawiał z Włastem i Sulinem, starał się swoją serbszczyznę nałamywać na język polański, mniej wówczas daleko od niej różny, niż później się wyrobił...

Powierzchnowość nawet przyszłego pasterza, choć wojskową i rycerską nie była, nie raziła niczem nadzwyczajnem, a odznaczała się powagą, pozwalającą go brać za zamożnego władzykę.

W ciągu drogi im dłużej obcował z nim Włast, im poznawał go bliżej, tem się więcej rozmiłował w nim, a przekonywał, iż go nie trafia ślepy, ale Opatrzność wybrała sama na trudny obowiązek pierwszego apostoła—i pasterza.

Ponieważ oba drogą znużeni byli, a mało zbaczając, mogli się wprzód dostać do Krasnejgóry, niż nad Cybinę, Włast postanowił naprzód do siebie zawieźć ks. Jordana, dać mu tam spocząć, i dopiero drugiego albo trzeciego dnia wybrać się z nim na dwór książęcy.

Przyjął tę myśl podróżny, rad będąc, że lepiej pozna kraj, i już zdążali ku Krasnejgórze, o której Włast myślał nie bez tęsknoty i miłości. Wyrzucał sobie nawet to przywiązanie zbyt uczucie do miejsc, w których przeżył dzieciństwo, prawie je grzesznem uważając.

Droga wiodła lasami, już potrosze z liści jesienią ogolconemi. Z niecierpliwością pewną Włast wyglądał dworu i cieszył się, że pocziwego Jarmierza zobaczy... Wjechali wreszcie w ten gaj, który dwór z boku osłaniał. Włast nie mógł pojąć, dlaczego dworu widać nie było... gdy nagle pobladł i konia wstrzymał, takie go opanowało wzruszenie. Całej siły ducha użyć musiał, aby się zdobyć na wyrazy.

— Bądź wola Twoja!

Stary dwór w Krasnejgórze był zgłiszczem tylko. Sterczały z niego pozostałe niedopalone belki... ogniska kamienne, obalone ściany. Z budowli nie pozos-

stało nic. Pogorzelisko straszny widok przedstawiało... Kilku ludzi błakało się około niego, a dopiero teraz ujrzał Włast Jarmierza leżącego na ziemi w opalonej odzieży...

Pożar nie musiał być dawny, gdyż, choć wygasło wszystko, gdzieś węgla dymyły jeszcze. Za dworem, ze spalonych szop wypędzone stały trzody, a przy nich siedzieli ludzie, spoglądając ku miejscu, przez które przeszło zniszczenie.

Włast skoczył z konia, a Jarmierz podniósł się z ziemi powoli, podchodząc ku niemu z załamanymi rękami. Zbliżył się też i ks. Jordan...

— Mój Jarmierzu, jakże się to stało? Co było przyczyną? — odezwał się Włast, widząc niemego sługę, któremu rozpacz nie dozwalała ust otworzyć.

Jarmierz obejrzał się ostrożnie.

— Nie wiem... nie wiem... — rzekł trwożliwie — w nocy ogień się wziął z czterech rogów zagrody — i nie było ratunku. Ocaliliśmy, co się wynieść dało.

Włast nie śmiał spytać o kaplicę... Jarmierz wskazał mu tylko leżące na kupie sprzęty, zapasy, odzież i broń, między którymi i najdroższy kielich ofiarny się znajdował.

W lasku na prędce sklecony szalas dozwolił spocząć przynajmniej, bo noc nadchodząca do grodu przybycie utrudniała. Resztką zapasów starczyła dla niewymagającego ks. Jordana i gospodarza. Siedzieli milczący, spoglądając na spalony dom rodzicielski, którego ruina Włastowi z oczów lzy wyciskała.

Jarmierz upokorzony był i znękany tem, że pod jego opieką zostawione domostwo taki los spotkał. Pocichu zaczął opowiadać, że przed wieczorem dnia tego widziano kilku w okolicy kręcących się dzia-dów, Wargę i dwóch jego towarzyszy, że przed parobkami od kilku dni odgrazano się puścić z dymem dwór, w którym chrześcijanie się schadzali i swoje składali ofiary. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż mściwa ręka podłożyła ogień, a pa-

robey, podmówieni, ratować nie chcieli, wcześniej jakos swoje mienie wyniósłszy.

Włast wrędcę oplakał swą stratę, i złożył ją jako jedną więcej ofiarę dla wiary, którą przyjął... należało myśleć o odbudowaniu.

Jarmierz, już nie czekając przybycia pana, wysłał z siekierami do lasu... Lecz też sama ręka nie mogła rzucić żagwi i zniszczyć nowego domostwa?

Na to nie zważając, Włast budować rozkazał, postanowiwszy w duchu pierwszą izbę dokończoną poświęcić jako kaplicę Bogu — i uczynić ją domem modlitwy.

Smutny był nocleg ten pod szalasem, na modlitwie w części i na cichej rozmowie z Jarmierzem spędzony. Od niego dowiedział się Włast, że gdy płomień buchnęło i gdy od niego nad całą okolicą rozgorzała luna, którą i nad Cybiną widać było, przypadli komornicy wysłani od Mieszka na zwiady, i pomagali do ratunku. Kneź więc zawiadomionym był o stracie, jaka spotkała Włast.

Nad rankiem, odprawivszy pacierze, dwaj duchowni ruszyli z tych zgłiszczów ku Poznaniowi i stanęli na grodzie właśnie, gdy Sydbór i Mieszko ludzi nowozacienych opatrywali i liczli. Wszystko się tu zdawało przysposabiać, jak do wojny...

Ruch był na zamku wielki. Przyciągały oddziały jedne nieuzbrojone jeszcze, drugie z dowódcami odchodziły. Broń dobywano ze skarbców, liczono się z jej zapasami w Gnieźnie nad Cybiną, po innych gródkach Mieszkowych.

Zdala już bystre oko pańskie poznało przybywającego Własta i mały orszak jego, policzyło snąc ludzi i postrzegło nieznajomego w tej kupce. Zaledwie z koni zsiąść czas mieli, gdy Mieszko nadszedł z twarzą jak zawsze spokojną i wesołą. Nie spojrzał nawet na ks. Jordana, jak gdyby go widzieć nie chciał, i ożwał się zdala do syna Lubonia:

— Dobrze się stało, że starego dworu pozbyli-

ście się — napół był już spróchniały. Musicie już wiedzieć o tem.

— Tak, miłościwy panie.

— Nie frasujcie się, stanie nowy... idźcież do Dobrosława...

Skinął ręką, a sam do Sydbora powrócił; ks. Jordan, pilno mu się przypatrujący, nie rzekł słowa poszedł ze swym przewodnikiem. Dobrosław też, najrzawszy ich, spieszył naprzeciw i zabrał z sobą do izby, gdzie się swobodniej rozmówić mogli.

Gdy weszli do niej, a drzwi się za nimi zamknęły, Dobrosław rękę ks. Jordana ucałował i posadził na pierwszym miejscu, a sam zwrócił się do Własta z ubolewaniem.

— Kneziowscy ludzie — rzekł cicho — wysłani stąd na lunę, w powrocie z Krasnejgóry pochwycili w lesie dwu dziadów, którzy się podłożeniem ognia przechwalali. Przyciągnięto ich tu na gród i posadzono do ciemnicy... a knez, choć się waha i wzdraga, pono dla przykładu da ich obwiesić obu... Lecz, że lud ich szanuje a narodu drażnić nie chce... nie wie sam jeszcze jak postąpi... Obawiają się, aby z ich przyczyny krew się nie lała.

Włast, posłyszawszy to, natychmiast pobiegł, do nóg kneziowi padł, prosząc o przebaczenie dla dziadów.

Mieszko się zdziwił mocno.

— Oni ci przecie szkodę wyrządzili i zemsta ci się należy?

— Miłościwy panie — odezwał się Włast — chrześcijanie zemsty nie znają... nauka nasza nieprzyjaciółom nakazuje przebaczać i kochać ich... Błagam was...

Mieszko rad był może, iż się od narażenia narodowi w chwili tej uwolni, więc gdy Włast prośby powtarzał, ręką skinął i rzekł mu:

— Czyńże z nimi, co sam chcesz...

Nie tracąc chwili, Włast poszedł do ciemnicy, w której Wargę i towarzysza jego zamknęto. Gdy

mu wrota do tego lochu w wałach wygrzebanego otworzono, ujrzał leżących na ziemi dwu dziadów, którzy go wzrokiem dzikim powitali milczący.

Warga go poznał i nie wątpił, że wydany na pomstę Włastowi, dozna strasznego losu. Nie ruszył się więc nawet, na wszystko będąc gotowym.

Włast się zbliżył.

— Za cóżecie pod moje domostwo ogień podłożyli? — zapytał.

Starcy dwaj popatrzyli długo na siebie, jakby się oczyma radzili, co odpowiedzieć mają. Po chwili Warga zamruczał:

— Co się pytasz? rób swoje...

— Nic wam złego nie uczynilem — odezwał się Włast. — Słupi jesteście i nie wiecie, co robicie, ani za co mnie prześladowacie... Wy uczyniliście mi krzywdę — dodał — ja wam za nią płacę dobrem i wyprosiłem u knezia, że mam prawo wypuścić was na wolę... Idźcie i uchodźcie... a pomnijcie, że ta wiara, co uczy dobrem płacić za złe, lepszą jest...

Warga, słuchając z pewnym rodzajem zgardy, uśmiechał się, a gdy Włast dokończył, ruszył się wnet, biorąc za kij i dając znaki towarzyszowi, by za nim pośpieszał.

— Wasza wiara — mruknął — głupia jest... bo ty mnie puszczasz wolno, a ja z ciebie się śmieję i co w sercu mam, to zachowam...

Nie spojrzawszy na Własta, wychodził już z lochu, potem zwrócił się ode drzwi.

— Nie śmiecie Wardze nic uczynić — zawołał — nie śmiecie! wiecie że on silny... i że za niego mścić się będą, dlatego puszczacie wolno... Nie bójcie się, drugi raz w ręce wam nie popadniemy, a dostaniecie się wy w nasze...

Dokończył śmiechem dzikim i poszedł.

Włast stał, zawrzał w nim gniew na chwilę, ale ożowy chrześcijanin był wiernym nauczycielowi i kła-

— Nie zadawać nie chciał, zniósł więc to urąganie, pogroźki, przewycięził się i dał ujść obu dzi-

dom, którzy natychmiast pobiegli ukryć się mu z przed oczów, znajomymi sobie drożynami przemykając się ku gajowi i świątyni.

Nauka, jaką im Włast dać chciał, była straconą, ale on w sumieniu swojemu spokojnym pozostał.

Gdy Dobrosław oznajmił Mieszkowi o towarzyszu, którego z sobą Włast przywiózł, kneź nie mu nie odpowiedział. Zdało się, jakby znowu ulegając jakiemuś wpływowi czy obawie, cofnął swe postanowienie wcześniejsze, nie zapytał więcej o niego i zostawił Dobrosławowi wolę rozporządzenia się i działania, jak chciał.

Ks. Jordan więc za poradą jego został z nim razem, oczekując zręczności, by mógł przemawiać, nauczać i kierować. Na oko nic żadnej nie zwiastowało zmiany, z Czech tylko zapowiadano przybycie kniehiny Dubrawki, ale i to pokryte było jakąś tajemnicą. Kneź mało mówny, na zapytanie odpowiadał niejasno. Na zamku wszystko było w gotowości.

Jednego poranku Włastowi kazano jechać do Pragi, dodano mu tych samych ludzi, którzy towarzyszyli w pierwszej wycieczce, a gdy o cel podróży zapytał, Mieszko mu rzekł:

— Pokłońcie się ode mnie...

Rad, że się do chrześcijańskiego kraju dostanie, Włast był posłusznym, pożegnał ks. Jordana i pojechał.

Na zamku znowu wiodło się to samo stare życie bez zmiany, tylko nowy apostoł, któremu bezczynność dolegała, nie pytając nikogo, — z kijem w rękę począł szukać owieczek.

Często po całych dniach go na grodzie nie było, a gdy Dobrosław niespokojny, już miał wysłać szukać go, wracał nagle wesół i rozpromieniony, zapewniając go, że Opatrzność Boska nad nim czuwa i nie mu się złego stać nie może. Niezmiernie prędko rozpatrzył się ks. Jordan w kraju i jego stosunkach, a zetknawszy się z kilku ochrzczonymi dawniej, przez

nich, jak po nici, trafił do innych, i tam, gdzie siane ziarno zejść mogło.

Okolo niego potajemnie skupiać się zaczęli wszyscy dotąd rozpierzchli, nabierając otuchy.

Mieszko widywał go i o nic nigdy nie pytał, udając, iż o niczem nie wie. X

Jednego dnia z nim i Dobrosławem poszedł, wiodąc ich do gaju i świątyni, jakby to miejsce chciał im ukazać, ale nie rzekł nic. W kilka dni radził obu z Sydborem jechać do Gniezna i obejrzeć Lechową górę a ostrów na jeziorze, gdzie stały świątynie pogańskie.

Wśród tego spokoju, który usypiał pogan, tłumaczących go sobie jak Wargę, obawą, nagle, jednego dnia, Mieszko nadzwyczajnie począł czynić przygotowania.

Dwóchset ludzi co najdorodniejszych dobrano z przybocznego orszaku i wydano dla nich odzież paradną, oręż drogi i konie ze stad najpiękniejsze. Ze skarbcza podobywano naczynia najdroższe i przeniesiono do izb na dole, gdzie biesiady się odbywały. Mieszko ostatnią swą ulubienicę z wianem bogatem odprawił do rodziny, stara Różana została w niewieścim dworcu sama jedna i płakała z obawy, aby i jej, nie mającej już tu co czynić, nie oddalono.

Mieszko kazał ją przywołać do siebie; weszła smutna, choć zawsze strojna, i niżej, niż zwykle, do nóg mu się skłoniła.

— Masz wiedzieć — rzekł kneź, — że żonę biorę z wielkiego domu, kniehinę sławną... Jak strzegłaś tamtych, tak i tej służyć będziesz, nad jej dworem mając dozór... Pilnujże, byś na jej łaski zasłużyła... a rozkazy spełniała.

Różana pokłoniła się raz jeszcze, chcąc coś powiedzieć, bo do mówienia zawsze niepomierną miała ochotę, lecz Mieszko nakazał milczenie i poszedł niewieści dwór i izby oglądać.

Stały komnaty puste, smutne, ale z przepychem i przygotowane na przyjęcie gościa wielkiego.

aby czego tylko kniehini zapragnąć mogła, znalazło się pod ręką. Cienkie tkaniny, kobierce wschodnie, złote i srebrne naczynia, misy, nalewki, dzbany, świeczniki świeciły porozstawiane wszędzie. Śpiżarnie pełne były lakoci, piwnice napojów, a kwiaty, na jakie się jesień zdobyć mogła, i wonne zioła, porozrzucano wszędzie.

Gdzie dawniej wrzawa niespokojnych niewiast po całych dniach się rozlegała, teraz cicho już było, jak w grobie. Jedną z najpokazniejszych izb w głębi dworca kneź kazał zostawić pustą, nie mówiąc o jej przeznaczeniu.

Tegoż wieczora Mieszko poszedł do siostry.

Domyślano się tam zawczasu, co się na zamku gotowało, a Górka niebardzo była może rada nowej pani i nowemu porządkowi, nie wiedząc, jak się zgodzi z nieznaną bratową. Podejrzliwym okiem spoglądała na brata i przy niej a go z należnem poszanowaniem, ale milcząc.

Kneź usiadł zadumany i począł się jej przypatrywać.

— Nie jużci też, Górka... zamążpójscie na myśl nie przychodzi? — zapytał nagle.

Siostra się zarumieniła mocno, bo po wiek wieków żadna niezamężna dziewczyna nigdy się przyznawać nie zwykła, by sobie stan zmienić życzyła. Zawsze się to uważa za nieprzyzwoite pożądać czepta. I Górka też z dumą pańską odpowiedziała bratu po chwili namysłu:

— Miłościwy panie, być może, iż wam się mnie pozbyć chce z domu, alem ja nie zatęskniła w nim nigdy...

— A przecie — ozwał się kneź — tak tu wiecznie nie możesz pozostać. Szkodaby krasy i młodości... Ale to moja rzecz męża wyszukać, wiano dać i sprawić wesele...

Górka się zarumieniła mocniej jeszcze; kneź spojrział z ukosa.

— Nie — rzekł — zmień...

dzie godnym pięknej, jak ty kniehnin... Ty wiesz, że ja Bolkową córkę biorę, abym jedną nogą w Czechach stał, czekając, póki dwiema nie będę mógł stąpić... Ona chrześcijanka idzie za mnie... ty też chrześcijanką zostać musisz, a poniesiesz z sobą tę wiarę do Ugrów, którym rękę podamy, aby Czechów trzymać zawsze grozą i nie dać się im uciskać... Dziki to naród, wojowniczy i straszny... Musieli się na nich wszyscy Niemcy zebrać do kupy nad Lechnią, aby zwyciężyć... a w domu oni niezwyciężeni... Tobie tam panować przystało i królować...

Górka nie odpowiedziała nic, bo niewieście naówczas, choćby rodu pańskiego, swojej woli mieć się nie godziło. Mieszko mówił nawpół do niej, wpół do siebie, uśmiechając się myśli swej.

— Nie obawiaj się, brat ci krzywdy uczynić nie da, a jeśli z domu jego wyjdiesz, nie pożałujesz zmiany... Od tej wiary nowej, którą Niemcy swoją zowią, nie obronimy się już... Zewsząd nas ogarnia... panuje wszędzie... wojować z nią nie można... ale przyjąwszy ją, nią wojować będziemy choćby z cesarzem.

W sprawie wiary Górka nie miała pono tak samo woli, jak w sprawie własnego losu; słuchała, wiedząc, że uczynić będzie musiała, co każą. Westchnęła tylko, bo ją straszono surowością chrześcijaństwa.

— Wiara to straszna!... — wymówiła pocichu.

Brat nie odpowiedział długo.

— Gdyby wistocie taką była, czyżby ją tyle ludzi mogło wyznawać?... — rzekł po namyśle.

Zamyślił się i westchnął, może mu na pamięć przyszły dawne gody i swoboda, lecz nie rzekł nic.

Siostrę pogłaskał po twarzy i z wolna wysunął się z dworu.

Nazajutrz rano świetnie przybrany dwór, starszyzna, stolnicy, cześnicy, służba, pacholki, ryccerstwo, Sydbór, który przywdział zbroję świętą, naostatek Mieszko sam w płaszczu bramowanym złotem, wyjeżdżali z grodu nad Cybiną. Nikt nie wiedział, dokąd i na jak długo. Na zamku gotowano się na przyjęcie mnogich gości.

Kogo? domyslać się tylko było można. Mieszko nie miał zwyczaju tłumaczyć się nikomu.

Dobrosław został w grodzie, mając dozór nad przygotowaniami.

Tegoż samego dnia ks. Jordan potajemnie wyszedł zamknąć się w izbie, przy dworcu przysłej kniehninie zostawionej. On i Dobrosław przez cały dzień nosili tam naczynia i szaty, nie wzywając nikogo do pomocy i nie biorąc z sobą ludzi.

W izbie tej, której okno zewnątrz napół przysłonięte było, tak że zajrzeć do niej nikt nie mógł, ks. Jordan urządził kaplicę, z tą radością i przejęciem, jakiego może doznawać kapłan, pierwszy ołtarz stawiając w kraju pozbawionym prawdziwej wiary. Lice jego promieniało, trzęsły się ręce, gdy sam zaścielał ten stół ofiarny białymi ręczniki, ustawiał na nim świeczniki, ubierał go i przyozdabiał, gdy błogosławił, modląc się i krzyż na nim wznosił, przed którym on i Dobrosław odmówili przyjętą modlitwę.

Pierwsza kaplica zamkowa nie wyglądała wspólnie; był to ołtarz jakby obozowy tego wojska, które tu za wiarę walczyć miało. Gromadka, co się u stóp jego zbierać mogła, szczupłą jeszcze była i izba ta aż nadto dla niej starczyła.

Tu w obecności jednego Dobrosława pierwszą mszę odprawił przyszły pasterz owczarni rozpierzchłej i zmuszonej ukrywać się długo jeszcze.

Mieszko o swoim nawróceniu nie mówił nic; Dobrosław kilka razy rzucił pytania i nie otrzymał odpowiedzi.

Orszak, który z kneziem na czele wyruszył z zamku na Cybinie, pociągnął ku granicy zwykłą drogą. Jesienna pogoda powolnemu pochodowi sprzyjała. Dni wyrachowane być musiały.

Wieczorem położono się w lesie u samej rubieży na uroczysku, które się zwało Zawite. Rozbito namioty, postawiono szalasy, rozpalono ognie, wysłano dokoła strażę i noc upłynęła cała niemal na czuwaniu.

Nazajutrz kazał kneź obóz zwinąć, lecz z miejsca nie ruszył.

Słońce ku południowi wybiło się ponad mgły i świeciło letnim blaskiem, gdy rogi słyszeć się dały zdala i straż nadbiegła, oznajmując o zbliżającym się orszaku czeskim.

Siadł Mieszko na koń, a dwór jego cały ustawił się w porządku.

Zdala już widać było okazały orszak, który kniehinie prowadził. Towarzyszył jej wedle obyczaju brat, mnoga liczba panów i dworu ojcowskiego, poczet wojskowy i nieporachowany sznur wozów, które szły jedne za drugimi, strzeżone przez zbrojnych ludzi. Oddział pancernych zamykał w końcu wspinały ten pochód, któremu przygrywali na trąbach i rogach gędźbiarze.

Kniehini jechała obok brata na pięknym koniu, w suknię złocistą przybrana, w płaszczu na ramiona zarzuconym, złotemi blaszkami naszywanym.

Na widok Mieszka zarumieniała się męska jej twarz i oczy śmiało nań spojrzały. Nie było to trwożliwe dziewczę, ale towarzyszka pańska i niewiasta, czująca się królową.

Bolko, młodszy, o kilka kroków ją wyprzedził, witając Mieszka, poczem oba z koni zsiadłszy, szli do Dubrawki, która też z wierchowca się spuściwszy, lekkim ukłonem pozdrowiła męża swojego. Ale Mieszko inaczej ją chciał witąć... i śmiejąc się, objawszy wół, całe pogańskim obyczajem, zarumienioną

w twarz pocałował. Podano sobie ręce. Wesele malowało się na licach.

— Jesteście, miłościwa pani—odezwał się Mieszko—już na mojej, a razem na swej ziemi, gdzie ja gospodarzem... Przysłało tę dobrą godzinę uczcić dobrą myślą...

To mówiąc, skinął na stolników swych i rękę jedną Dubrawce, drugą podawszy Bolkowi, powiódł ich pod dęby nade drogą, gdzie rozesłane było sukno i naczynia stały z jadłem i napojami. Dla obu też orszaków beczki były w pogotowiu. Tymczasem gędźbiarze grali wesoło na trąbach i rogach, a lica się śmiały wszystkim.

Dwa dwory, czeski i polski, po raz pierwszy zbliżały się ku sobie przyjacielsko, podając sobie dłonie i próbując języka, który obu posługiwał zarówno, prawie będąc jednakim.

Z kniehiną mnogi lud jechał, niewiasty, usługi, dworacy, duchowni, panowie... lecz na przyjęcie było w pogotowiu wszystko i starczyłoby dla liczniejszej jeszcze drużyny.

Wmieszany w ten dwór stał Włast w towarzystwie kilku duchownych, między którymi surowa twarz i uboga suknia ojca Prokopa zwracały oczy Mieszkowego orszaku. Dziwnie wydawał się im ten człowiek stary, w odzieży prostej, w obuwiu wyszarzanem, z głową postrzyżoną, podobny do żebraka, a śmiało obracający się wśród świetnego orszaku panów, który mu okazywał uszanowanie.

Nie biadosowano tu długo, gdy oba kneziowie, powstawszy, dali znak dalszego pochodu. Przyprawdzono konie i Mieszko stanął na swoim obok Dubrawki, której lice nie zdradzało najmniejszej obawy, uśmiechając się, owszem, weselem i ciekawością.

Od granicy poczynął się ten kraj nieochrzczony jeszcze, pełen jawnych oznak pogańskiego bałwochwalstwa, na którego widok lica duchownych pochmurniały. Dubrawka jednak nie uległa się stoją-

cych na rozdrożach balwanów i zdawała się na nie uwagi nie zwracać. Wesołemi żarty skracano podróż, którą z nadzwyczajnym odbywano pośpiechem.

Gdy na drugim przystanku spocząć koniom było potrzeba, Mieszko, ujrawszy Własta, zawołał go ku sobie i łaskawie pozdrowił.

— Weź kilku ludzi i lepsze konie — rzekł, — pojedźcie przodem o nas oznajmić, aby wszystko było w pogotowiu.

Tak więc, choć znużony drogą, Włast musiał natychmiast, nie spoczywając, przodować orszakowi.

Ostrożność ta była zbyt czuła, gdyż na grodzie dzień i noc stał lud mnogi, gotów na przyjęcie kniehiny, i starszyzna, żupanowie, władcy, kniezie już byli zgromadzeni. Oni i orszaki ich napelniały nie tylko gród, ale zalegały pola nad Cybiną i Wartą. Mnogie też tłumy ciekawych z uczuciami różnemi zbiegły się patrzeć na przybywającą panią.

Roilo się dokoła ludem, nad drogą wszędzie stały szeregami ciżby niezliczone w oczekiwaniu na to widowisko, którego następstwa napelniały trwogą... Z tą panią nową jechała wiara nowa, rozpoczynało się życie jakieś nowe, którego przeczucia niepokoiły.

Niewiasty płakały, mężowie stali sparci na kijach, zadumani... Starcy przebiegali tłumy z pieśnią żalosną. Czuli wszyscy, iż dzień ten zapowiadał życie odmienne. Jakże nikt nie śnił naówczas, wiedzieli tylko, że ze starem rozbrat wziąć było potrzeba, a z niem zrosło się wszystko, co najdroższem było.

Pośrodkiem tych gromad milczących, które mogły mniej śmiać, niż Dubrawka niewiastę przejąć trwogą, przesuwali się orszak Mieszków i czesey rycerze a panowie.

Już o mil kilka od Poznania drogi były nabite ludem, ale zarazem poczty wojenne stały na nich, siłę Mieszkową ukazując obcym.

Nie ustępowały one Czechom pokażnością, a

urodą, ani orężem. Minęły te czasy, gdy Polanie nasiekiwanemi pałkami i smolonemi oszczepami walczyć musieli, mało mając kruszcu i oręża. Za Ziemomysła już zdobyto i zakupiono dosyć zbroi i mieczów też nie brakło... Żelaza miano obficie i łatwiej nabywać je było w nadmorskich miastach handlowych. Wojny z Niemcami dostarczały go także.

Skarbiec Mieszków nie ustępował najzasobniejszemu, i nie wyczerpywał się, ale powiększał... Na Czechach wprawdzie widać było oglądę, jaką im ścisłejsze z cesarstwem i zachodem stosunki przyniosły, ale w wojsku Mieszka więcej było starego słowiańskiego ducha i resztek tego tajemniczego świata, który też w sobie miał wyrobione długimi wiekami życie...

Wśród wrzawy trąb, rogów, okrzyków i śpiewów wjeżdżała na nową swoją stolicę Dubrawka, tak niewzruszonym umysłem i ciekawemi oczyma mierząc ją, jak owego wieczora nad Weltawą nieznanomego jej jeszcze przybysza, który za męża był dla niej przeznaczony.

Z okna swojego dworca oczyma zazdrośnemi, może i zażawionemi przypatrywała się Górka tej nowej pani... przeciw której wyjść nie śmiała.

U drzwi dworu zsiadłszy, Mieszko podał rękę żonie i wprowadził ją do wielkiej izby biesiadnej. Tu stali panowie jego, poważne starce z siwemi brodą i dorodni mężowie, pokłonami witając panią, z góry spoglądającą na nowych poddanych swoich...

Skromny dworzec drewniany ubogo się musiał wydać kniehinie, do murowanych ścian nawykłej: nie było tu nic, coby chrześcijaństwo przypominało, lecz drewniana chata Mieszka świeciła nagromadzonemi bogactwami, które nawet panów czeskich zdziwiły...

Stoły się uginały pod ciężarem kowanych sreber... wystawionych więcej na pokaz i zdumienie, niż z potrzeby...

Przyjawszy cześć i powitanie dworu, który wykrzykiwał wesoło, Dubrawka zwróciła się do Mieszka.

— Panie miłościwy — rzekła, — nie uczuję się ja tu żoną twą, ani gospodynią, dopóki nas duchowny nie pobłogosławi...

Mieszko trochę się zmarszczył...

— Kniehini moja — rzekł — obejrzyjcie się po komnatach i podwórzach — policzcie tych ludzi, co nas otaczają... to są, jak ja, poganie wszyscy... Gdybym ja dziś waszemu się Bogu pokłonił, kto wie, co by mnie czekało jutro... Dajcie mi czas... a pracujcie ze mną.

— Lecz żyć z wami nie mogę inaczej — odpowiedziała Dubrawka — Niech ślub zostanie potajemnym, a przecie on dopełnić się musi.

Przystąpił Bolko z naleganiem. Mieszko stał jakby w niepewności, co miał począć. Nie położono mu wprzód warunków tego, ani się spodziewał, by uledeć musiał, a dnia tego zasmucać nie chciał własną. Nie rzekł nic; obrócił się, patrząc po przytomnych, czy oczyma znak dał komu, czy szepnął słowo... nikt nie dopatrzył, — lecz wnet odezwał się do Bolka i Dubrawki, — iż im dworcy swe i izby wszystkie, i komnaty dla żony zgotowane chce okazać... Szli więc zwolna... Mieszko wiodąc kniehinę, Bolko jeszcze jako stał we zbroi i rynsztunku podróżnym, Dobrosław jako przełożony nad dworem.

Czescy i polscy panowie zostali, stojąc w biesiadnej izbie i czekając na powrót pana. Trzy złotogłowem okryte krzesła u osobnego stołu zgotowane dla nich były...

Przez izby i podniesienia Mieszko z pierwszego dworu skierował się ku mieszkaniom królowej. Tu już niewieście towarzyszki, służbę pani i jej dworaków przyjmowała Rożana, która się bogaciej i wykwintniej, niż kiedykolwiek przybrała.

Dubrawka przeszła szereg izb, komór, składów, pełnych bogactw, nie spoglądając prawie na nie... Ostatnie drzwi stały zamknięte przed nimi... W chwili, gdy się do nich zbliżyli, jakby czarodziejską siłą otwarły się ze wnętrza i za nimi dała się widzieć

światłami płonąca kaplica... U ołtarza bogato obwieszono go stał ks. Jordan, mając przy sobie ojca Matję i ojca Prokopa.

Mieszko szedł widocznie chmurny i prawie gniewny, lecz milczący i posłuszny!...

Dubrawce oczy się śmiały...

Wnet za nimi zatrzaśły się drzwi i w obliczu kilku tylko świadków ks. Jordan pokropił naprzód wodą chrztu knezia milczącego a potem szybko obrzęd ślubu dopełnił.

W tych obrzędach musiano ze względu na szczególne położenie, na ważność ich, odstąpić od wielu warunków, zapomnieć o wielu ceremoniach, dopuścić się umyślnie zaniedbań... Szło o to, aby chrześcijańska przysięga związała przyszłych małżonków... Drżącym głosem pobłogosławił im ks. Jordan... i związał dłonie...

Dubrawka dopomagała małżonkowi, aby wykonał to, co dla ważności obrzędu koniecznym było. Na twarzy Mieszka malował się niepokój ciągły i zniecierpliwienie, które trwało dopóki nie wyszli z kaplicy, i nie wrócili do oglądania komnat, z drugiej strony dworca położonych.

Z twarzą weselszą jeszcze Dubrawka z mężem i bratem wróciła do biesiadnej izby... aby zasiąść w wianku dziewiczym, którego, jak mówiła, nigdy zrzucać nie chciała, na przygotowanym siedzeniu obok męża i brata...

Polańscy panowie mogli się teraz przypatrzeć kniehini, którą każdy ciekawy był nie tylko zobaczyć, lecz odgadnąć. Nie zdawało się to trudnem. Na pierwsze wejście Dubrawka, nadto będąc dumną, by się ukrywała z czemkolwiek, wydawała się z wesołem usposobieniem, z odwagą i męskim niemal charakterem. Mieszko przy niej zdął się daleko do odgadnięcia trudniejszym. Śmiała się ochoczo i głośno, wyzywała żarty i oświadczała wręcz, że zabawy i piasy lubiła bardzo...

Polańskim panom, nawykłym do bojaźliwych nie-

wolnie zahukanych, kniehini wydała się jakby nową całe istotą. Dla dzikich nieco ludzi miała urok ta śmiałość czeskiej niewiasty... stojącej odrazu niemal na równi z mężczyznami, okiem, mową i odwagą...

Mieszko śmiał się z nią razem, łagodnie i dobrotliwie, zdawał niemal uległym, przecież kniehini czuła w duszy, że niełatwo go pokonać i podbić potrafi.

Instynkt mógł ją tego nauczyć.

Śmiałość i samowola, z jaką się Dubrawka ciągle okazywała jawnie, słabego człowieka byłyby uczyniły niepewnym siebie i chmurnym. Mieszko brał to lekko, wtórował śmiechowi i wesołości, jakby je w dziecku spotykał.

Pod koniec uczty, przeciągającej się długo, goście, wedle zwyczaju, zaczęli nowo-zaślubionym składać podarki... i u nóg młodej pani zebrała się góra cała osobliwszych rzeczy, które o zamożności starych rodów świadczyły...

Dziękował Mieszko śmiało i wymownie — jakby stara znajoma, dziękowała młoda pani. Dziwowali się jej wszyscy, że tak odrazu przystała do ludzi, do domu, do nowej ziemi i nowych poddanych. Mieszko też poglądał niekiedy z ciekawością na ożywioną jej twarz i jasne oczy, w których najmniejszego wahania się i niepewności widać nie było...

Po uczcie, która się przeciągała, nastąpiły płasy tany, ale kniehini, choć im poklaskiwała, okazując, że nie są jej obojętne, tego dnia nie chciała iść z drugimi i pozostała przy mężu. Wkrótce też Bolko ją odprowadził do dworca, a Mieszko znikł także, zostawując Sydbora w zastępstwie swem, by gości uraczał, nie dając im się oddalić.

Weselne ucztowanie musiało trwać dni kilka bez przerwy w każdym domu, tem bardziej w książęcym...

Nazajutrz też od rana stoły były pozostawiane wewnątrz dworca, i po dworcach karmiono pocztę wojenne polskie i czeskie, które się zabawiały wy-

ścigami, rzucaniem pocisków i strzelaniem... Jak poprzedzającego tak tego dnia tłumy ludu okrywały wały, przypatrując się widowisku i biesiadzie...

Szczęściem, surowy dozór zapobiegł, by wśród tego rozochocenia, chrześcijanie z poganami, Polacy z Czechami nie poważnili się o lada co. Czeski dwór, czując wyższość swoją, lekce czasem sobie cenił i prześmiewał Polan, a w tych niecierpliwa krew wrzała, i hamować było trzeba nieustannie, aby z małej sprzeczki duża bójka nie urosła. Chodziła też starszyzna, naglądając i łagodząc natychmiast, gdziekolwiek głośniejszy krzyk usłyszała lub zaognione postrzegła lica.

Ludzie z pocztów kneziowskich i do dworu należący, już przygotowani i oswojeni z wielu nawykami chrześcijańskimi, godzili się z niemi, słuchali opowiadań i poufale przestawiali. Wewnątrz grodu wesoło szło i ochoczo, lecz gromady, które stały zdala na wałach, wpatrując się w igrzyska te, i kupa starców, wyglądających ze świętego gaju, groźną i smutną miała postawę.

Ojciec Prokop, nawykły do swobodnego obracania się w Czechach, wiedząc, że i tu już wiara miała opiekę i obronę, wcale nie czuł potrzeby zachowywania pewnych ostrożności i ukrywania się z sobą. Zaraz też drugiego dnia, z innym duchownym, wybrał się, zasłyszawszy coś widać o zakładaniu kościoła, aby miejsce nań przeznaczone obejrzeć.

Jak wszędzie, tak i tu duchowieństwo na poświęconych czi bałwanom uroczyiskach, na posadach świątyni i słupów, stawiało kościoły i krzyże, i tu więc gaj i świątynia zdała się przyszej pierwszej katedry polańskiej miejscem koniecznem. Ojciec Prokop ze spokojem i odwagą, niepostrzeżony wyszedłszy ze dworca, przesunął się przez tłumy na podwórcach zebrane i posunął ku gajowi...

Przystęp do niego dla obcych był wzbronionym; jakby na straży stała tu kupka dziadów i wróżbi-

tów, którą pominawszy, kapłan wszedł pod drzewa, kierując się wprost do kontyny.

Lecz zaledwie kilkanaście postąpił kroków, gdy straż na znak jakiś dany jej przez jednego ze starszych, pobiegła za nim. Zdala patrzący na to Dobrosław, ujrawszy z podniesionemi kijami, lecących z wściekłością za ojcem Prokopem, miotających przekleństwa i rozjadłych, natychmiast pobiegł na ratunek. Nim miał czas dojść na miejsce, już starcy pochwytili byli kapłana i targając go, bijąc, ciągnęli z sobą ku chramowi...

Ojciec Prokop ani mógł się bronić przeciw rozjuszonej zgrai, — podarto na nim suknie... niesiono go niemal na rękach, gdy dał się słyszeć krzyk napród Dobrosława, a wnet on sam napadł na zuchwałych wróżbitów. Wściekłość ich była tak wielka, że nawet Dobrosławowi z trudnością przyszło wyrwać im z rąk czeskiego księdza.

Nie śmiał zaś wołać na pomoc ludzi, ani zająścia tego czynić widoczniejszem, bo łatwo i lud z wałów i pijani wojacy mogli się wmieszać a powszechny zamęt i bójkę wywołać.

Ułękli się wreszcie i uspokoiili owi stróże świątyni, i ojciec Prokop, choć oszarpany i potłuczony, mógł się z pomocą obrońcy ze szpon zajadłych starców oswobodzić.

Co najprędzej wyciągnął go z sobą z gaju Dobrosław, tłómacząc mu, że jeszcze tu żadnych środków do wprowadzenia publicznego wiary przedsięwziąć nie było czasu i że póki sam kneź ich nie obmyśli, dawne zwyczaje pozostać muszą w swej sile...

Tak szczęśliwie wypadek, który mógł grozić zamieszaniem, przeszedł prawie niepostrzeżony i ojciec Prokop wrócił do dworca, mało co wzruszony niebezpieczeństwem własnem, lecz niespokojny o przyszłość swej kniehini i kraju, tak nieprzygotowanego do nawrócenia.

Na dworcu tymczasem i sama kniehini i towarzyski jej wyprawiały wesole pląsy, nuciły śpiewy...

a polańscy panowie podziwiali te niewiasty, jakim podobnych nie widzieli. Dubrawka zyskiwała sobie serca uprzejmością swą i niecierpliwa równie jak ojciec Prokop, nie wahała się coraz rzucić słowo o nowej wierze.

Dziwnie się to apostołowanie wśród zabawy mogło wydawać, lecz młoda pani przejęta była swem posłannictwem i w środkach spełnienia nie przebiegała; panowie też czescy naśladowali ją w tem porywcem apostołowaniu, i pod koniec dnia spochmurniały twarze, między Czechami a Polanami zaczynało się dawać czuć oziębienie, rozdział jakiś, coraz widoczniejszy. Mieszko zdala patrzył, milczał, nie mówił nic, ale chmurniejszym był...

Trzeciego dnia nie ustawały stoły pańskie i zabawa, lecz nie szła ona jak zrazu. Poprzedzającego dnia bójek na grodzie było kilka, lud warczał jakoś na przybyszów...

Czwartego rana sam na sam naradzał się kneź z Sydborem i Dobrosławem, gdy śpiewając, z wesołą twarzą i pańskiem wejrzeniem weszła Dubrawka. Na widok jej Mieszko też przybrał pogodniejsze oblicze, a oczyma swoim towarzyszom wskazał, aby ich samych zostawili.

— Mieszku — ozwała się, widząc ich ustępujących Dubrawka — weseliliśmy się ochoczo trzy dni całe, czas przystępować do dzieła!

Mieszko popatrzał trochę zdumiony...

— Duchowni czekają... niema co zwlekać, i nawracanie a chrzest rozpoczynać należy.

Piękna kniehini moja! — rzekł Mieszko. — Jeśli niewiasty twojego dworu zechcecie nawracać — czyńcie to, proszę, ale co do mojego narodu — zostawcie mnie staranie. Jedyne to sposob byłby, żeby nie nie uczylić lub głową nałożyć, gdybyśmy się porwali nagle i nie przygotowawszy!...

To mówiąc, wstał, pocałował żonę, śmiejąc się i rzekł do niej:

— To moja sprawa...

— Z rozkazu knezia ludzi gromada naszła wielka — odezwał się Jarmierz. — Jam z moimi patrzył tylko z założonemi rękami...

Dworzec nowy pobudowany był podobnie do starego, lecz wyższy od niego, okazańszy i obszerniejszy. W miejscu komory, w której zmarł Luboń i gdzie była kaplica... staraniem Dobrosława stanął nowy ołtarz ze wszelkim do służby Bożej przyborem.

Tu naprzód, na kolana padłszy, Włast, zalany łzami, modlił się długo...

Wstał jeszcze poruszony i przejęty cały, gdy w progu ujrzał postać niewieściami. Nie mógł on poznać jej zrazu, bo osłonioną miała twarz i głowę czepcem zamężnych niewiast... Dopiero zbliżywszy się do niej, gdy mu się do kolan kłaniała, ujrzał w niej siostrę swą, Hożę.

— A skądże ty tutaj? — zapytał — jakim sposobem?

Hoża poczęła od rzewnego płaczu... zaszła się, tuląc twarz w chustach, i nie mogła mówić długo...

— Gdzie mąż twój? — zapytał Włast...

Po nowych łzach i płaczu domyśleć się mógł brat, iż jakiś los nieszczęśliwy spotkać musiał Wojsławę; nie chciał już naglić o odpowiedź, bo Hoża coraz nowemi zalewała się łzami.

Jarmierz, który za nią stał, szepnął mu na ucho, że dziesiętnicy Mieszkowi długo się za Wojsławem z jego rozkazu uganiiali, wreszcie nocą go napadli w chacie leśnej, związanego wzięli na gród, a tam nazajutrz Mieszko obwiesić go kazał...

Hoża, oplakując męża, nie wiedząc, co począć ze swem sieroctwem i wdowieństwem, pieszo przywlekała się do rodzicielskiego domu, w którym musiała szukać przytułku...

Upewnił ją Włast, że może pozostać i mieszkać u rodzica, pocieszając zasmuconą. Zdziwiło go wydać brat, który go widywał...

ani o sprawiedliwości, domierzonej nad Wojsławem, nie wspomniał nigdy.

Pan był milezacy i zamknięty.

Tak, w nowo odbudowanym dworze, pierwszy wieczór spędził Włast, którego siostra po staremu usługiwać chciała... Nie dopuścił jednak tego rozkazał jej usiąść razem do stołu, przy którym i Jarmierz zajął miejsce... Radowała się sercem jego myślą, że Opatrzność zesłała mu siostrę, aby, jak ojciec, nawróconą została. Zdawało mu się też, że i Jarmierza, już przygotowanego, łatwo do przyjęcia nowej wiary skłonić potrafi...

Ale pierwszego tego wieczora, kiedy z niecierpliwych ust wyrwały mu się słowa wyrazy natężone, przekonać się mógł jak daleko stało pojęcie tych biednych ludzi, w nieświadomości wychowywanych, wykamionych z ciemności przed chrześcijańskimi wyobrażeniami...

Hoża uprzedzie słuchała go chętnie, lecz więcej ją zdumiewało to, co mówił, niż przekonywało.

Włast postanowił cierpliwie, powolnie, wytrwale poświęcić się zyskaniu tych dusz... W myśli jego było połączenie siostry z Jarmierzem i oddanie im po ojcu majątności. Sam on dla siebie nie pociągał nic, chciał wymówić sobie tylko kaplicę i w tym domu pierwszych chrześcijan gromadzić.

Bliskość zamku, położenie w lesie i na ustroniu czyniło miejsce dogodnym... Zdawało mu się, że ci co z dymem raz dwór puścili, drugi już raz ważyć się nań i porwać nie będą śmieli.

Najpiękniejszymi marzeniami kolysany, po długiej wieczornej u domowego ołtarza modlitwie, Włast legł spocząć, nazajutrz dodnia chcąc powrócić do zamku, w którym spodziewał się zastać więcej ciszy i spokoju... Rano przy drzwiach zamkniętych odprawiając tu pierwszą Ofiarę za duszę ojca, po modlitwie na grobie jego, pożegnawszy czule swoją matkę, która przybyła przez Jarmierza, Włast...

na duchu spokojny i szczęśliwy na zamku nad Cybiną powracał...

Zawiódł się tylko, sądząc, że w pokoju panował, teraz bowiem, po przyjęciu Czechów, następowało huczne ich pożegnanie.

VI.

Po odprawieniu poczęstnem Czechów, obdarzonych sowicie, których Mieszko wkrótce do granicy odesłał, — cisza znowu na zamek wróciła, i na pozór nic się w nim nie zmieniło.

Nie poruszano ani chłamu w Gnieźnie na górze Lecha, ani starej na grodzie nad Cybiną świątyni — kapłani chrześcijańscy nie odprawiali jawnie obrzędów nowej wiary, żadnymi oznakami nie objawiała się ona na zewnątrz.

Ks. Jordan odprawiał pocichu mszę świętą w zamkowej kaplicy, ale Dubrawka z trudnością mogła na nią nęża przyciągnąć. Nowo i dawniej nawróceni gromadzili się pocichu na Krasnejgórze. Gdy następowały dnie, które Kościół zwykł uroczysie obchodzić, — drogami różnemi zewsząd ściągali ludzie do dworu Luboniów i zbierali się w małej kapliczce. Często króć przebywali tu po dwa i trzy dni, przyjmowani przez Włastę, spędzając większą część godzin na nabożeństwie.

Śpiewy dawały się, choć coraz śmielej i choć się na pozór jeszcze ukrywano, z każdym dniem sw w wyznawcach Chrystusowych odwaga rosła. Dodało jej to, co się działo na zamku kneziowskim, szukał nikomu tajem nie było.

Jarmierz z obawy naparęci jakiej pilno około dworu stróżował, wpuszczał do zagrody tylko małych ludzi. Zdawało się też, że w dworze wolał być samotny, niż w towarzystwie.

trzymali, cofali się w głąb lasów i ukrywać starło. Można było sądzić, że stracili odwagę do dalszych wystąpień.

Około dworu czasem się niepostrzeżenie snuli różni ludzie; nie zwracano na nich uwagi, gdyż się zdawało, że trzymali a parobcy i czeladź, mająca stosunki podejrzanę, zresztą się ukrywała z niemi.

Jarmierz był już ochrzczony, gorliwie uczył się obowiązków chrześcijanina; Hoża też, nie opierając się woli brata, słuchała go i zdawała się nauki brać do serca.

Na zamku, choć Mieszko na pozór nie czynił nic, robiło się bardzo wiele. Ks. Jordan był duszą wszystkiego; choć Niemiec pochodzeniem, był prawdziwym chrześcijaninem i przywiązał się dawno do Słowian, teraz do Polan, których stał się bratem serdecznym. Pan Bóg go stworzył do tego posłannictwa, dając mu anielską cierpliwość, wesele, a przytomność ducha, nieopuszczające go nigdy.

Na grodzie zbierały się ciągle kupy wojska, wśród którego ks. Jordan prawie nieustannie się krzątał. Dawał się spoufalać z sobą, zyskiwał ludzi przysługami i datkami, a potem na proste umysły umiał działać bardzo prostymi środkami. Toż samo, na inny tylko sposób, Dobrosław robił u dworu.

Nie upłynął tydzień, ażeby w kaplicy książęcej nie ochrzczono kogoś potajemnie — a każdy neofita stawał się natychmiast narzędziem do nawracania towarzyszy.

Z władków i żupanów kilkunastu już dało się skłonić do przyjęcia chrztu i ci w domach swych tygodniami ugaszczali ks. Jordana. Wiara chrześcijańska miała dla nich, oprócz tego uroku, jaki jej tylko był właściwym — jaką potęgę wyższości, siły, którą z sobą niosła, mającej kraj podnieść, odrodzić i postawić go na stopniu równym innym.

Możniejsi wiedzieli, jak stały naówczas chrześcijańskie narody, zamożnością, obfitością wszystkiego, umiejętnością życia w pokoju i wojnie. Przykład

szka, połączonego z żoną chrześcijanką, gotowna do przyjęcia uroczystego tej wiary (z czego nie bina lynniono tajemnicy) skłaniał możniejszych do naśladowania.

Dubrawka otwarcie ich do tego namawiała i nagliła o pościech.

Chociaż wszystko na pozór jakaś osłaniała tajemnica, lud, który stał przy swych starych bogach, — wróżbici i gęslarze, — starszyzna, ofiarnicy wiedzieli dobrze, co się po dworach działo, co na zamku gotowano w milczeniu. Obawiając się jawny stawić opór, zbiegali starowiercy w głębie lasów, knowali i przemysłali nad zemstą, grozili nią, ale na nic się porywać nie śmieli. Starszyzna czekać kazała pomysłniejszej doby, wojny lub zawikłania. Szukanowoda a znaleźć go było trudno.

Mieszko był milczący i nieczynny, — lecz znali go — był im strasznym. Wiedzano, że to, co go otacza, dwór, wojsko, urzędnicy będą mu ślepo posłuszni. Nie było zresztą pozoru do poruszenia ludu, bo jawnie kneź nie uczynił przeciwko staremu obyczajowi.

Z każdym dniem tymczasem rosło a mnożyło się chrześcijaństwo, — najmniej jednak między ludem, który trzymał się tego, do czego nawykł od wieków.

Na oko więc spokój był największy, ale kneź wiedział przez swych ludzi, że po lasach wrzało i opór się przysposabiał. Dlatego może, chcąc być pewniejszym zwycięstwa, zwlekał kroki stanowcze... W ciszy uroczystej przysposabiało się to dzieło, które o przyszłości narodu stanowić miało.

Wśród tego niewidomego trudu, ucierano się u granicy z Geronem i jego namiestnikami, Mieszko wychodził sam, wysyłał Sydbora — walczył ze szczególnym różnem.

Nadechodzili święta Wielkanocne.

Ks. Jordana wielkie ponosił utrapienie z kneziem do postu go nie mogąc nałamać, w czem mu i Dubrawka mało pomogła. Mieszko weale ich słuchał.

nie chciał, mięso na stół przynosić kazał, żonę do jedzenia zmuszał i lekce sobie to ważył. Miał się już ów czterdziestodniowy post ku końcowi, gdy jednego dnia nagle zapowiedziano podróż jakąś.

Dubrawka, śmiejąc się, spytała go, czyliby od tej nakazanej wstrzemięźliwości uciekał. Rozciągała się ona bowiem, jak widzimy z opowiadań Ditmara, nietylko do użycia mięsa, ale do wszelkich innych przyjemności cielesnych, od których się czasu postu powściągać musiano.

Mieszko jakoś na te przestrogi i namowy był głuchym dotąd i pytanie Dubrawki zbył dwuznacznym głowy ruszeniem.

Badala go, dokąd jechał, — ale śmiechem i milczeniem odpowiadał; próbowała się dowiedzieć, czy zabawi długo. Rzekł obojętnie, że tego naprzód obrachować nie może.

Podróż ta zapowiadała coś tajemniczego, niezwykajnego. Książę wyruszał zwykle w liczny pochód, teraz zaledwie kilkunastu wyznaczył ludzi. Między innymi, co było najdziwniejsza, i ks. Jordana miał mu towarzyszyć. Suknie i konie, z których baczna Dubrawka odgadnąć coś chciała, wybrane były tak, jakby kneź się ze swem dostojenstwem niebardzo chciał objawiać. Orszak też ani zbyt lichym być miał, ani nadto okazałym...

Trwoga jakaś ogarnęła żonę. Znajac męstwo męża, mogła się obawiać, że się zuchwale z garścią tą gdzieś rzucić może. Próbowala się dowiedzieć od ks. Jordana o cel wycieczki, lecz kapłan jej słowem swem zaręczył, że nie zna go, nie wie o niczem, a wezwany, posłusznym być musi.

Jednej nocy, dobrze przed ranem, nim się reszta dworu przebudziła, kneź siadł na koniu i z tą szczupłą garstką zniknął z grodu. Nie wiedzano nawet, w którą stronę udał się strone.

Stara Różana, która usiłowała sobie zaskarbić łaski nowej pani, tegoż dnia szepnęła jej pocichu, iż od szalnego się dowiedziała, jakoby Mieszko

na du-
biną

w podróż szaty i zbroje pobrał na krój niemiecki — a ludzi też kazał tak poodziwiać, aby niełatwo poznać można, do kogo należeli. Zdawało się więc to dowodzić, że się udać musiał do Niemiec, co i towarzystwo ks. Jordana potwierdzało.

Wiedziała Dubrawka o tem, że sąsiadując a nieustannie mając do czynienia z Niemcami, Mieszko od dzieciństwa języka ich dobrze się wyuczył; mógł więc przekraść się niepostrzeżony. Ale myśl tej wyprawy trwogą napelniała serce Dubrawki; bo z twarzą mógł go łatwo poznać niejedyn nieprzyjaciół, co go widział zblizka na polu bitwy, lub przy zjazdach i umowach na granicy.

Wistocie, Mieszko, nikomu się nie zwierzywszy z tego, dążył ku granicy niemieckiej do Sasów.

Na pół drogi zjechał się z nim Chotek, nawrócony, dawniej wódz Lutyków, z którym stosunki były częste, choć tajemne; Mieszko połączył się z nim, przybrał imię Wrotka knezia, krewniaka jego, i w podwojonym orszaku wkroczyli na niemieckie ziemie.

Nie lękał się od nikogo zdrady, gdyż najmniejszej po sobie nie okazując obawy, — jechał jako sprzymierzeniec cesarski, przerynając się ku Quedlinburgowi, gdzie zwykłym swym obyczajem cesarz Otto święta miał przepędzać.

Znając dotąd tylko z posłuchów kraje niemieckie, Mieszko po raz pierwszy mógł się im przypatrzyć zblizka i przekonać o wielkiej różnicy między niemi a ziemiami słowiańskimi.

Przejeżdżali miasta, osady, mijali zamki, świadczące o urządzeniu kraju zupełnie różnem, i na pozór tak silnem — że wojna nigdy go całkiem spustoszyć nie mogła... Ludzie tu trzymali się spójnie i karnie, wszędzie nad sobą mając władzę surową.

Podróż szła powoli a w drodze było się czemu przypatrywać. Kościoły i klasztory, stojące po wszystkich znaczniejszych osadach, wyglądały wspaniale; dwa razy ks. Jordan zapukał do wrót gościnnych

opactw i monasterów, i zgromadzeniom tym a kunstom, które one uprawiały, Mieszko się przyglądał ze zdumieniem. W owej epoce przepisywanie ozdobne rękopisów, malowanie, rzeźba, złotnictwo, szczególnie dla potrzeb kościoła i klasztorów, były w rękach zakonników. Oni kuli sprzęty ze srebra, złota i bronzu, i okrywali je świetnymi barwami. Duchowieństwo świeckie i zakonne nietylko w tem, we wszystkim przodowało.

Tryb życia i porządek był tu całę inny. Siła, która wcale nie istniała u Słowian, — bo tam kapłanami byli naczelnicy rodzin, starszyzna, kneziowie, wróżbici; siła osobnego stanu kapłańskiego, występująca obok i na równi z władzą świecką, podpierająca ją, kierująca nią razem, tu się objawiała Mieszkowi, jako nowa i nieznana.

W obecnej chwili cesarska potęga Ottona była tak wielką, że sobie przywłaszczała zwierzchnictwo i nad duchowieństwem; właśnie był cesarz zrzucił Jana XII, a Leona VIII na stolicy osadził, zapewniając dla swych następców prawo ustanawiania Głowy Kościoła, — a jednak cesarz ten sam ulegać musiał duchowieństwu i w niczem sprzeciwiać mu się nie mógł. Otaczało go ono czcią, — ale stało na straży prawa i sumienia, wskazywało drogi, broniło fałszywych, groziło karami, rzucało anathemy...

Była to siła nieznana słowiańskiemu panu; a tej poddać się i on musiał. Stała ona ponad wszystkim, — cesarz kłonił przed nią głowę.

Po drodze ustępować musieli z drogi orszakom biskupów, świetniejszym, niż świeckich hrabiów i książąt, potężnie zbrojnym, ciągnącym z bogatymi dwory, okazałością i powagą — a choć edykta zakazywały zbroi i helmu duchownym (wyrzucano ich używanie Janowi XIII), wielu prałatów jechało przy mieczach i we zbroi.

Ks. Jordan opowiadał ciągle, ile to ziem i osad należało do kościołów, ile szlachty wpisało się w ich księgi i poddaństwo. On mu był tłumaczem wi-

n
b zagadkowych rzeczy, które poganinowi, na pierwszy rzut oka, zrozumieć było trudno. Uderzały one silnie człowieka nieobeznane z tym światem nowym, z jego hierarchią i porządkami, ale Mieszko umiał tak pokrywać swe zdziwienie, iż się z niem nie wydawał wcale...

Nie unikali spotkań i znajomości; Chotek, towarzyszący Mieszkowi, znał tu wodzów i grałów wielu, przed którymi pokornym był sługą, choć w duszy ich nienawidził, — wdawano się więc w rozmowy, i ciekawych spraw nasłuchać się było można.

Kneź, z którego twarzy biła buta nieposkromiona, jak mógł pokornego Lutyka udawał... Ten i ów pytał ich, po co i z czem jechali; — Mieszko mruczał, że z pokłonem i ciekawością jedzie, aby tak możnego władcę, jak cesarz Otto, zobaczyć. Nikogo to nie dziwiło, ciągnęli również, jak widziano, posłowie od Ugrów, Bulgarów, Duńczyków i Greków.

Było to w wielkim tygodniu; wiosna acz wczesna, niestała była i przemienna, deszcz i śnieg ze słońcem walczyły, drogi kałużami stały, rzeczki były wezbrane i podróż uprzykrzona szła powoli. A gdy ku Quedlinburgowi się zbliżali, coraz było tłumnie na gościńcach.

Wzgórzystsza coraz okolica, piękna dla oka, jeszcze się w zieloną trawę nie była całkiem przybrała, łąki już tylko młodą trawą się okryły... Tu oczów od najrozmaitszych widowisk oderwać było trudno; tłumami płynęły ku miastu poczty książąt, grałów, markgrałów, biskupów i wszelkiego ludu. Wśród nich spotykały się i słowiańskie książątka zawojowane, ciągnące z żalami i prośbami do cesarza. Konne te poczty, zbrojne różnie, każdy odziany inaczej, mówiące językami najrozmaitszemi, spoglądały na siebie ciekawie, często niebardzo przyjaźnie, szydersko nawet i wzgardliwie. Grekom śmiesznie wydawały się obcisłe frankijskie stroje, Bulgarom słowiańskie okrycia głów, a tym, co z odkrytymi włosami

mi jechali, czapki Włochów zdawały się próżnym ciężarem.

Mieszko, choć pańsko wyglądał z lica, z małym swym, niepokątnym orszakiem, ginał w tej powodzi. Było mu to może na rękę, gdyż więcej pragnął widzieć, niżeli być widzianym. Wiodło mu się też bardzo szczęśliwie, i nie zwracał oczów na siebie, aż o pół dnia drogi do miejsca, ku któremu dążyli, — całe niespodzianie, a bez niczyjej winy, o mało zdradzonym nie został...

Z rana, spuszczając się z góry, natrafili na liczny i okazały poczet, który z dała ciekawość knezia obudził. Dla dognania go puszczone konie klusem, i w chwili, gdy się mijać mieli, obróciwszy się, Mieszko poznał na przedzie jadącego szwagra swojego, młodego Bolka czeskiego. On też przez niego postrzeżonym został i poznanym; nie pozostało mu więc nic, jeno zatrzymawszy konia, przyznać się do potajemnej wycieczki pod cudzem imieniem.

— Spodziewam się — rzekł Mieszko, — że ani wy, ani ludzie wasi nie zechcecie wydać, kim jestem. Jadę, abym się przypatrzył oczyma własnemi temu, o czem mi ludzie opowiadali, — ale nie chcę, aby o mnie wiedziano.

Bolko nietylko zgodził się na to chętnie, ale dla bezpieczeństwa większego, zaprosił, aby się Mieszko z nim połączył, by jadąc w jego orszaku, mniej jeszcze oczów zwracał na siebie. Tak się też stało i skromnie w poczet Czechów się wmieszawszy z ludźmi swoimi, chętnie zgodził się kneź na podrzędne stanowisko, Bolkowi dając pierwszeństwo.

Chociaż w tym roku napływ na dwór cesarski mniejszym był może, niż w innych latach, zawsze jeszcze był dość znacznym, aby dać pojęcie o potędze cesarza Ottona. W murach miasta, na zamku, cesarz zaledwie i najbliżsi go z rodziny i dworu, a najdostojniejsi z duchowieństwa, arcybiskupi, książęta Kolonii, Trewiru, Moguncyi pomieścić się mogli,

reszta gospody sobie pod namiotami w polu szukać musiała nad obu ramionami Budy.

Poczty pańskie, niemal wszystkie dokoła, na równinie i stokach wzgórzy otaczających rozkładały się obozami, a namioty różnobarwne, szalasy i budy wielką już przestrzeń zajmowały... Gdzieniegdzie ponad nimi powiewały małe chorągiewki z przeróżnymi znakami.

Wśród ciżby wojskowej i ciurów tłum najróżnorodniejszych handlarzy, kupców, kuglarzy i posługaczy roił się, wykrzykując i nawołując. Bliżej bramy miasta, przy wozach okrytych, kupcy z Wenecyi i Amalfi dobijali się do wnijsia dla sprzedaży... Na tysiące liczyć było można poczty panów, które już Bolka i Mieszka poprzedziły, tak że chcąc sobie dogodnie i niezbyt odległe znaleźć miejsce na obozowisko, musieli długo szukać, dobierać, a potem się o nie prawie z orężem w rękę dobijać jeszcze.

Z samego miasta mocnymi mury i wieżami obwarowanego, widoczniejszymi były, niż pałac cesarski, klasztory i kościoły, niedawno jeszcze z wielką wspinalością wzniesione a obwarowane. Cesarskiej krwi niewiasty pobożne pierwszemi tu były opactwa przeoryszami; w zamkowym kościele sascy panowie wystawili grób dla siebie; tu spoczął Henryk, ojciec Ottona, i matka jego. Kopuły i krzyże kościelne wysoko panowały nad grodem.

Zaledwie spoczawszy na wytkniętem obozowisku, które Bolko znamięniem swem na włócznie osadzonem naznaczyć kazał, wdziawszy suknie i przypasawszy miecze, Bolko i Mieszko razem poszli do kościoła. Na nieszpornem nabożeństwie najłatwiej mogli ujrzyć pobożnego pana, którego oba oglądać byli ciekawi.

Z niemi i za niemi szedł tłum mnogi z obozu ku kościołom, wśród którego różne narodowości rozpoznąć lub domyślać się mogli.

Prostota strojów frankijskich mieszała się z grecką, ze wschodu; przywieziona wykwiutnością, krótkie

oponcze niemieckie ocierały o płaszcze dalmackie faldziste; szli giermkowie dwubarwni, których odzież napoły była żółta i niebieska, obok rycerzy zbrojnych jakoby do wojny z dzidami w rękę, tarczami, nożami u pasa i mieczami. Jedni z długimi włosy i odkrytymi głowy, drudzy w skórzanych, blachami obciążanych hełmach, inni w słomianych kapeluszar' i czapkach futrzanych... Wprawniejsze oko mogło rozeznąć Sasów, Bawarczyków, Franków i Szwabów, Włochów i Duńczyków, Greków i Ugrów w dziwnych strojach przybranych bogato. Fryzyskie płaszcze, greckie okrycia, jedwab i wełna składały się na ubiory pstre i jaskrawe, a błyskotkami nawieszane. Dawna prostota Franków już ustępowała obyczajowi nowemu. Przepych dworu saskiego i byzancekiego odbijał się w hołdownikach Ottona, który Rzym i Włochy zagarnawszy, z nich miłość wystawności i błyskotek przyniósł z sobą.

Do kościoła zaledwie się już mogli docisnąć. Mieszko po raz pierwszy oglądał zblizka budowę z takim kunsztem i okazałością, jakby nie ludzką ręką wzniesioną. Kamienne jej wyniosłe ściany, sklepienia wiszące w powietrzu, ozdoby, oświecenie, bogactwo ołtarzów, choć teraz nawpół zasłanymi żalobnymi okrytych, szaty duchownych, naczynia ofiarne, postacie Ukrzyżowanego, gołęb zlocisty nad ołtarzem, zdający się ulatywać w powietrzu, skrzydlate anioły, olbrzymie posągi, przejmujące grozą, surowe i straszne, odgłos śpiewów pełnych boleści, uroczysty spokój świątyni i pokora wszystkich w niej znajdujących się, uczyniły wrażenie jakiejś trwogi i niepokoju na mieszkańcach i panu krajów, żyjących w pierwotnych wieków prostocie.

Trony — cesarski i biskupi, stojące naprzeciw siebie, zwróciły naprzód jego oczy. Na jednym z nich siedział w czapce ze zlocistem kołem i przepaską kamieniami sadzoną mąż surowej twarzy, z brodą ciemną, nieostrzyżoną, z pochylonem czołem, zamysłony i smutny. Twarz to była rycerza i pana, czło-

wieka nawykłego walczyć z losem i przelamywać, co stało na drodze, poorana marszczkami, fałdami, porznięta, ogorzała, zmęczona.

Domyśleć się było można w nim ojca, co musiał walczyć z synem, z bratem, papieżem, z cesarzem byzantyjskim, z Saraceny i Ugrami, ze Słowiany i własnym narodem, który zwyciężył wszystkich i teraz spoczywał w swej sile, marząc o połączeniu dwóch koron cesarskich na jednej skroni, przez Teofanię dla syna wyswataną. Odziany płaszczem purpurowym, obszytym klejnotami, spiętym klamrą iskrzącą na piersi, w przepasanej kosztownym pasem od miecza tunice, w szkarłatnem obuwiu, Otto siedział na tronie złotym, którego dwie lwie paszczki z pod fałdów płaszcza wyglądały. Zamyślony słuchał pieśni, która się lała powoli jak krew z rany. Nie rozumiejąc słów jej, czuć było jęk, jakby konających z rozpacz...

Tuż przy tronie, na stopniach aż do dołu i posadzki, ustawieni byli, jak posągi nieruchome, cesarscy urzędnicy, wedle dostojęństwa, dzierżący miecze, laski, tarcze pańskie i godła władzy... Z odkrytymi głowami, ze wzrokiem spuszczonego, obwieszani łańcuchami, okryci płaszczami bogatymi... czuwalili na straży przy panu.

Naprzeciw, na drugim tronie, niższym, ale również wspaniałym jak cesarski, pod baldachimem także siedział starzec z brodą siwą, z głową okrytą czapką podróżną złocistą, od której dwa końce sztywne spadały, w płaszczu bogatym, ze złotą laską pasterską w ręku. Otaczał go równie prawie liczny orszak duchowieństwa, przyklękającego przed nim, przynoszącego mu światło i kadzidło... podtrzymującego księgi w złotych okładzinach, rękami ich gołymi dotknąć nie śmiejąc.

Przed nimi obu i nad nimi wznosił się ołtarz, a wśród niego na prostym krzyżu z ledwie ociosanego drzewa umęczony Zbawiciel, ranami okryty,

konający, odarty, w cierniowej koronie, królował wyżej purpury i złota, w majestacie boleści.

Mieszko, duchem poganin jeszcze, nie rozumiał tego Boga, ale drżał przed nim...

Niżej stał tłum ogromny: w żelazo okuci rycerze, cali w luskowych kaftanach, niektórzy z tarczami kragłemi, po których Duńczyków poznać było można; inni z owalnemi rzymskimi, inni ogromnemi puklerzami gockimi, z mieczami u nasadzanych pasów złotych, w blachach, w okryciach jasnych, w strojach najrozmaitszych, Longobardowie, Włochy, Skandynawy, Grecy, Dalmaci, Bulgarowie, Francuzi...

Na każdej z tych twarzy czarnych, białych, śniadych, czerwonych, żółtych, napiętnowanej pochodzeniem odmiennem, inny charakter. Inne tryskało uczucie i myśl, to rozbudzona, to napół uspiona, to w pieluchach dziecięcych drzemiąca...

Wszystkie te sprzeczności, niesforności, zapamiętania w milczącej czei łączyła jedność wiary i jedna karna podległość władzy.

Potęga tego Boga i pana chrześcijan, który w jego imieniu sprawiał rządy nad światem, nigdzie się wyraźniej odmalować nie mogła, jak tu i w tej chwili. Na skinienie tych dwu tronów w najodleglejsze krańce ziemi gotowe były biedz te hufce zbrojne.

Mógłże Mieszko walczyć z tą siłą, jak fale wczesnego morza, wylewające się na ziemię?

Stał on wpatrzony, zamyślony, a w głowie jego przesuwano się zarazem wspomnienie o wszystkich ziemiach jednej mowy, rozdzielonych, rozproszonych, rozbitych, które on mógł w Imię samej Bożej potęgi zjednoczyć.

Mieszko, czy Bolko, ktokolwiekby miał rozum i siłę, nie miałaby państwa od granic Byzancjum aż po rubieżę Ottona?

Upokorzenie, uczucie słabości, jakiego doznał na chwilę, ustąpiło dumie pewnej i nadziei. Sasę ksią-

17
— 78 —
żeta w swem gnieździe nad Łabą byliż dawniej potężniejsi od niego?...

Ażeby dorosnąć do tej potęgi, potrzeba było tylko siłę tych dwu tronów uspić, sprzymierzyć się z nią, pokłonić jej, cierpieć, milczeć, unżyć się, by się podnieść a może dopiero w spadku pokoleniom zostawić owoc tego upokorzenia i ofiary.

Gdy w chórze brzmiały żałobne pieśni kościelne, Mieszko stał, myśląc o sobie, o przeszłości rodu i narodu swojego, okiem trwożliwym badał tę twarz cesarską, niepojętą dlań, bo widział na niej teraz pokorę tylko i smutek. Tak pokornym musiał on być, aby pozyskać siłę...

Ściśnięci wśród mnóstwa napelniającego świątynię, stali aż do końca długich modłów i śpiewów. Umilkły one wreszcie i cesarz, przykleknawszy, ruszył ze swojego tronu, przeprowadzany przez biskupa i duchowieństwo. Niesiono przed nim światło i kadzono mu, jak bóstwu. Szeregiem przed nim postępowali dźwierzący miecze, tarcze, laski, rozgarniający tłum, strzegący, aby się suknia pańska nie otarła, ciżbę poślednią. W tym orszaku szedł Billing saski i Otto król syn cesarski, i Luitgarda, i książęta bawarscy, i mnodzy inni.

We drzwiach świątyni znikalo powoli widzenie, kościół ciemniał, mrok i cisza zalegała go, lampy płonęły tylko u grobu Chrystusa...

Bolko i Mieszko stali długo, przypatrując się odpływającym tłumom, które po ulicach miasta, w podwórcach pałacu i drzwiach domostw znikaly.

I im pora była odechodzić do obozu, gdyż do oblicza cesarskiego nawet zdaleka nie przystępował, kto chciał. Poszli więc w milczeniu, nie mówiąc nawet do siebie, i dostawszy się do bramy, znaleźli się na obozowisku. Tu, paliły się latarnie, gdzieś gdzieś pobrzekiwała muzyka i mimo żaloby odzywały się śpiewki, konie rżały, a okolica przypominała przeddzień bitwy, gdy się wojsko położyło napół, wpuł czuwa, aby nazajutrz do boju gotowem było.

Mieszko uściskawszy szwagra, nie mówiąc słowa o tem, co widział, pod swoim namiotem legł na spoczynek.

VII.

Pierwszego dnia Wielkiej Nocy cesarz Otto, po nabożeństwie, dawał posłuchanie zdala przybyłym posłom, panom i książętom. Bolkowi czeskiemu ten dzień tam do złożenia holdu był wyznaczony.

Każdy z książąt szedł z pocztem swoim, który w pierwszej izbie zwykle pozostawał. Przystęp do cesarza nie był łatwym; otaczał go dwór wielki, ogarniali proszący, skarżący się, domagający posiłków i pomocy, przybyli z daleka. Wielu odsyłał pan do swych kanclerzy, pisarzy i starszyny licznej nad miarę, z niektórymi wymieniał słowo dobre, innych całkiem przypuścić nie dozwolił. Stali ci, co gniew na siebie ściągnęli, po trzy dni w podwórcach, a wkońcu czasem wyniesiono im odpowiedź, aby na rok następny, przybyli. *)

Cesarz dla Bolka jako świeżego sprzymierzeńca, mając w pamięci Ugrów może i Lehowe pole, łaskawszym się okazał. Wpuszczono go dla pokłonu, a Mieszko wmieszawszy się między poczet szwagra, zdala się tylko przypatrzeć mógł majestatowi cesarskiemu. Otto siedział na złoćistym krześle, okrytem poduszkami szkarłatnemi, w jedwabnej sukni lekkiej, perlami obszywanej. Poza nim stał dwór cały w łańcuchach, szkarłatach, drogich futrach i pasach lamieniami sadzonych. Niedaleko tronu srebrny stół złoćisty, na którym widać było wryty wizerunek Młoticy Byzancyum, zastawiony kubki i naczyniami złoćistemi, okryty tuwialniami szytymi, błyszczał, jak ołtarz kościelny. Obok starego Ottona stał syn w złoćowiu i jedwabiach, sparty na wielkim mieczu,

*) Diltmar.

którego pochwa iskrzyła się od szmaragdów i rubinów. Bogactwa zdawały się nagromadzone umyślnie dokoła, aby olśnić tych, co cesarzowi pokłonić się przychodzili. Wszystko, na co ówczesna sztuka grecka, handel wschodu, zręczność Włochów i Galów zdobyć się mogła, otaczało cesarza. Szkarłaty, o które się tak dobijał Luitprand dla Ottona, jak o rękę Teofanii dla syna jego, rozlegały się wszędzie. Podłogę wyścielały kobierce, ściany okrywały szyte ręką królowej Matyldy, córki Luitgardy i Matyldy opony wzorzyste.

Wszystko to jednak najmniej Mieszka zdumiewało; w swym skarbcu, w drewnianym dworze nad Cybiną, miał tyleż drogiego kruszcu, co Otto. Zazdrościł mu nie złota i jedwabiu, ale powagi i siły, zjednoczonych ludów, podbitych narodów, szerokich granic i mnogości holdowników. Zdala patrzył na cesarza, na syna, jakby badał myśl ich i ducha...

Bolka przyjął Otto laskawie, o ojca starego zapytał; o Ugrów, których posłowie przybyli, zagadnął... skinał i odprowadził.

Tegoż dnia wezwano Bolka z poczem jego przedniejszym do pańskiego stołu, i mieli cześć obiadować z niemieckimi książętami, poglądającymi na chrzczone Słowian jak na stworzenia, co ledwie ludźmi nazwać się mogły. Mieszko słuchał, jak się na niego odgrażano i jak mu wrożono zagładę. Napróżno Bolko oznajmił, iż wkrótce wiara chrześcijańska ogłoszoną zostanie u Polan, szydzono z tego i naśmiewano się.

Któryś z markgrafów ozwał się, że jeden tylko Gero chrzci skutecznie Słowian, przypominając tę ucztę, na którą zaprosiwszy kilkudziesięciu wodzów słowiańskich, markgraf ich wszystkich w pień wyrzynał.

Już ku końcowi utrapionej biesiady przyszło im być świadkami niespodzianego wcale wypadku.

W podwórzu wrzawliwe zaczęły się odzywać głosy; najwięcej jeden górujący zuchwale nad innem

Poskoczyła więc pośpiesznie służba cesarska, aby uśmierzyć wrzawę, gdyż Ottona brwi groźnie się marszczyć zaczynały. W drugiej komnacie, do której drzwi były odsłonięte, siedział cesarz u srebrnego stołu, z córkami i synem. Dano mu znać, iż gwałtownie i natarczywie dobijał się przypuszczenia Wigman, graf Lunenburgski.

Był to krewniak cesarski, którego Włast spotkał na zamku grafa Gozberta, niespokojny duch, któremu zdało się może, że jak Ludolf i Thankmar, potrafi zmusić Ottona do dania mu jakiej marchii nad granicą lub księstwa wewnątrz Niemiec.

Znano go wszakże zbyt dobrze, aby mu zaufać miano. Wigman miał sobie poruczone zlecenia i dowództwa, a nigdy z żadnej sprawy nie wyszedł inaczej, jak z waśnią i bójką. Dostę było imienia Wigmana, by cesarzowi popsuć biesiadę i myśl wesołą, wysłał natychmiast przeciw niemu podkomorzego, czekać mu w podwórzu rozkazując.

Wigmanowi, który się mianował jakimś siostrzeńcem Ottonowym, w podwórzu między gawiedzią, wystawionemu na pośmiewisko, stać się nie chciało. Odparł więc hardo, że czekać będzie, ale nie z pacholkami, tylko w cesarskich komnatach i wszedł gwałtem prawie do pierwszej z nich, gdzie właśnie między innymi książętami i grafami Bolko z Mieszkiem siedzieli. A że niejeden już raz kneź się z nim oko w oko w bitwach spotykał i dobrze się znali, uląkł się przeto Mieszko, aby nie był przezeń wskazany, i podparłszy się na stole, twarz sobie w części zasłonił.

Gdyby Wigman go publicznie po imieniu nazwał, a podstępne przybycie na dwór cesarski odkryło się, Mieszkowi groziło niebezpieczeństwo, bo nie będąc jeszcze sprzymierzeńcem Ottona, za szpiega wypatrującego mógłby być wzięty.

Szczęściem dla niego, Wigman wszedł jeszcze cały oburzony i gniewny za doznane przyjęcie obelżywe i niewiele widział, co się wokoło niego działo.

1020. opowiadanie... 82

Stanąwszy naprzeciwko drzwi i stołu cesarskiego, wlepił oczy w Ottona i już ich z niego nie spuścił. Cesarz zaś, który i widział go pewnie i słyszał, i przez podkomorzego był o nim zawiadomiony, choć siedział naprzeciw, ani nań spojrzął, ani okazał, że się oń troszczy. Śmiał się i rozmawiał, umyślnie niby objawiając, że go to nic nie obchodzi, a przeciągnął siedzenie u stołu, aby zuchwałego człowieka upokorzyć.

Wigman, któremu pewnie stało na to, aby wystąpił przed cesarzem, jak dla niego przystało, ubrał się ubogo, odarto, niemal brudno, we zbroję porwaną, w chodaki poszarpane, miecz na ladajakim pasku... aby okazał, jak krewniaka w nędzy opuszczono. Lecz mimo to duma biła mu z zaszepionej twarzy i strój jeszcze wybitniej podnosił butę człowieka, który się równym krwią z Ottonem sądził.

Wszyscy książęta, siedząc u stołu, widząc na co się tu zanoszą, radzi byli doczekać końca sprawy, a spodziewać się było można, że cesarz publicznie, doznawszy hałaśliwej napaści, która jego dostojęństwu uwłaczała, zechce ją powetować tak, aby wszyscy byli świadkami upokorzenia dumnego panka.

Gdy się to przedłużało, Mieszko ciągle twarz musiał odwracać i ukrywać, aby przypadkiem w oko nie wpaść nieprzyjacielowi.

Naostatek, gdy zdjęto z przed cesarza misy srebrne i obrusy szyte, a uczta była skończona, wyszedł podkomorzy cesarski, dając znak, ażeby się Wigman przybliżył.

Jakby od niechcenia zwolna zaczął iść Wigman, niby pyszniąc się swą odartą odzieżą i we drzwiach naprzeciwko Ottona stanąwszy, ledwie głowę przed nim skłonił.

Dopiero teraz cesarz z groźnem obliczem, zmierzyszy go oczyma, potarł gęstą i długą brodę i stłumionym głosem zapytał go, czego chce.

— Czego ja chcę, miłościwy panie — ochryplym i gniwnym tonem ozwał się Wigman. — łatwo to od-

gadnąć, spojrzawszy na mnie i przypomniawszy, kto jestem. Wszyscy, nawet ci, co wojowali z cesarzem i miecz na niego podnieśli, wyposażeni są, a Wigman nie ma nic... Czas, ażeby się to skończyło.

Otto słuchał, nie patrząc nań.

— I Wigman — rzekł — wyposażony był przez cesarza... a wypłacił mu się nieposłuszeństwem i zdradą... niechże cierpi...

— Cesarskiemu domowi nie przynosi to zaszczytu — mruknął Wigman — gdy się krew jego wala, nie mając przytulku... i jak płatny ciura służyć musi...

— Gdy krew zła, to ją z żyły puszcza — odparł Otto.

Wigman się cynicznie rozśmiał.

— Nie przyszedłem prosić o łaskę, ale o sprawiedliwość... — rzekł. — Na to was Bóg posadził na tej stolicy, abyście ją sprawiali...

— I pełnię ją — odparł Otto groźnie — z większem miłosierdziem, niż surowością... Jeżeli zaprawdę zgrzeszył, to chyba łaskawością względem tych, którzy się nigdy opamiętać i nigdy poprawić nie umieją, nawet gdy się im daje czas do pokuty.

— Spójrzcież na mnie — zaczął, podnosząc głos, Wigman, — spójrzcie, a może wyrozumiecie, iż mam słuszość przychodzić tu z żalem i skargą. Przystałoż mi tem być, czemeście mnie uczynili?

To mówiąc i śmiejąc się szydersko, pokazał na poszarpaną odzież i zbroję.

— Nie myśmy z was uczynili takiego nędzarza, ale wy sami — zawołał cesarz. — Zamiast siedzieć na waszem hrabstwie, kumaliście się ze wszystkimi buntownikami, próbowaliście zbierać Słowian przeciw nam, wskazywaliście im drogę, chodziliście z nimi...

— Tak samo syn rodzony wasz chodził przeciw ojcu, gdy mu się niesprawiedliwość stała... Prawda, szukałem obrony u Słowian, nie mogąc sprawiedliwości znaleźć u ciebie.

— Idźże i dziś do nich, niech ci pomogą! — odparł popędliwie Otto, wskazując ku drzwiom.

Wigman stał, patrząc dumnie i szydersko.

— To ostatnie cesarskie słowo? — zapytał.

— Proście Boga, aby ono było ostatniem — zawołał Otto, — bo po niem mogłoby z ust moich wyjść jeszcze inne, któreby na wieki sprawę między mną a tobą rozstrzygnęło.

Wigman, posłyszawszy to, nie zmienił postawy, nie uląkł się i nie ruszył.

— Dobrze jest — rzekł ponuro — iż tego wyroku, groźby i przyjęcia licznych mam świadków. Nie powiedzą ludzie, że Wigman się nie upokorzył przed swym panem, nie prosił... i że został odepchnięty.

Cesarz odwrócił twarz; syn i córki stały w milczeniu, nieco się cofnawszy, widocznie strwożeni. Świadkowie w pierwszej izbie mimowolnie z zajęciem oczekiwali końca tej rozprawy, która mogła się rozstrzygnąć więzieniem lub wygnaniem. Otto wszakże ścierpiał tę dumę krewniaka, a gdy ten stał ciągle nieruchomy, dodał:

— Jedźcie, gdzie wam nakazano być, pod rozkazy Gerona, czyńcie, co on poleci... a po upływie roku, gdy nic wam do zarzucenia nie będzie, zobaczemy, co wam sprawić będziemy mogli.

— Pod rozkazy Gerona? ja? pod jego zwierzchnictwo?... — krzyknął Wigman. — Jabym to ścierpiał, aby mi jeden taki prosty człek przewodził? aby mnie upokarzał i wysługiwał się?..

Cesarz nie chciał już odpowiadać; Wigman, zczekawszy i widząc, że zmiany wyprosić nie potrafi, ruszył się nareszcie.

— Niech więc się stanie, co przeznaczono — rzekł. — Nie z ręki waszej, miłościwy panie, ale z ręki Boga przyjmuję na co mnie skazujecie... będę wiedział, co mam czynić. A jakiegokolwiek następstwa z tego wynikną, niech spadną na tego, co je wywołał... Wigman jest nędznym, ubogim wojakiem, niemającym przyjaciela ani sprzymierzeńca — dodał — ale Bóg wielki... znajdą się może co go poratują i siłę mu dadzą...

Ta odgródka rozniewała Ottona, który się zwrócił do swojego dworu.

— Dziękuj Bogu, zuchwały czlecze — zawołał — iż dnia Zmartwychwstania Pańskiego, dnia tryumfu i wesela nie chcę surowością pokalać... Oddał się natychmiast.

Otto ukazał powtórnie na drzwi.

Zaczynali się ruszać przybocznicy jego i Wigman, zapewne obawiając się, aby zuchwalszy który ręką na nim nie położył, z twarzą gniewem zmienioną, cofać się począł. Milczenie straszne w obu komnatach towarzyszyło temu powolnemu pochodowi. Jakby obawiając się napaści, Wigman na mieczu położył dłoń i niema wątpliwości, że gdyby był naówczas kto przystąpił doń, bezkarnie-by mu to nie uszło.

Cesarz zdala śledził oczyma każdy krok zuchwałego krewniaka, który nareszcie zwolna i jakby umyślnie mierzyl kroki, doszedł do progu pierwszej komnaty, stąd jeszcze groźny wzrok odwrócił na cesarza, popatrzył nań wyzywająco i tak samo, nie spiesząc, aby nie okazać bojaźni, wyszedł z pałacu.

Jakkolwiek cesarz moc swą i powagę okazał, nieprzyjemne po sobie wrażenie zostawiło to spotkanie.

Nikt nie śmiał słowa rzec, ani podnieść oczów. Jeden z podkomorzich wyrzał za odchodzącym i śledził go w dziedzińcu. Tu Wigman dosiadł konia i w towarzystwie dwóch tylko ludzi, z których jeden wziął tarczę jego, drugi ogromny miecz jednosieczny bez pochwy, z podwórka zamkowego wyjechał.

Łacno się było domyśleć po tem rozstaniu z cesarzem, że Wigman, który już podobnego używał środka, uda się do Słowian i burzyć będzie na granicach plemiona, które najmniejszą nadzieją polechtać się dawały i nakłonić do buntu. Otto wszakże dosyć był teraz mocen na granicy, dzięki Geronowi i przymierzowi z Czechami, by się warchola jak Wig-

man, nie lękać, mogąc raczej spodziewać, iż Słowianie sami wkońcu go pochwyć i wydadzą lub zamordują. Nie kazano go więc zatrzymać, ani go się starano ułagodzić i przejednać, puszczając wolno na losy, jakie go spotkać mogły.

Mieszko w czasie tej rozmowy przysłuchiwał się jej z nadzwyczajną uwagą, pierwszy raz słysząc cesarza; z głosu i mowy usiłował go odgadnąć. Posłużył mu Wigman więcej do poznania Ottona, niż cały pobyt w Quedlinburgu.

Dnia tego przed wieczorem jeszcze, na podwórzach młodzież rodzaj gonitwy rycerskiej odprawiała, której sam cesarz z wysokiego ganku się przypatrywał, poczem z duchownymi i panami przybocznymi na radę poszedł i na niej do późna pozostał. Niemniej jednak podkomorzowie i stolnicy, przy ciągle zastawionych stołach, gości cesarskich przyjmowali. Tak upłynęły na nabożeństwach, turniejach, biesiadach, radach i posłuchaniach dni następne, w czasie których ośmielony tem, iż go nikt nie poznawał, Mieszko korzystał z pobytu, aby się całemu porządkowi dworu cesarskiego i jego wspólnościom przypatrzeć. Ciągłe w orszaku Bolka, jako jego powinowaty, skromnie się zachowując, sądził Mieszko, iż nań wcale oczów nie zwracano i nikt o nim wiedzieć nie mógł. Nieodstępnym będąc przy Bolku, jego o wydanie tajemnicy wcale posądzać nie myślał, ani się go obawiał.

Nadeszły wreszcie dni ostatnie, gdy cesarz, jak zwykle, zaledwie święta odprawivszy, w podróż się nazad do Włoch wybierał, których posiadanie więcej go może obchodziło, niż sprawy niemieckie. Dlatego tu gotów był ułagodzić, jednać i uspokajać, ażeby tam całą siłę módz obrócić.

Ostatniego dnia uroczyste żegnali przybyli cesarza i każdy, wedle stopnia i stanu swojego był obdarzony. Dary te składały się z kosztownych naczyń, pasów i mieczów rycerskich dla przedniejszych osób, bogatych futer i płaszczów jedwabnych, a dla po-

śledniejszych z sukien wełnianych, futer zwykłych i odzieży rozmaitej. Wymagał tego i obyczaj i część cesarza, aby nikt stąd nie odszedł z próżnemi rękami. Na to ostatnie posłuchanie dopuszczano każdy poczet i każdego z książąt i panów osobno, aby rycerz mógł ustnie wypowiedzieć im, czego nadal po nich wymagał. Niektórym z nich dawał zlecenia poufne, które na osobności powierzone być musiały. Przyszła tedy kolej na Bolka, a temu też bacność na Ugrów poleconą być miała, i szedł on do cesarza, gdy Mieszko, który podarku chciał uwłaczającego sobie uniknąć, zażądał, aby mu dał zostać.

Działo się to w obecności podkomorzego cesarskiego i Mieszko na ucho się zwierzał z żądaniem swemu szwagrowi, który nie wiedział, co począć, gdy urzędnik, snąc się domyślając może, o co szło, wyraził życzenie cesarza, by Bolko swoich towarzyszków poprowadził, nie odpuszczając. Nie chcąc podejrzenia wzbudzić jakiegoś, Mieszko, przodem puściwszy Sławnika, szedł, starając się jak najmniej być na widoku.

Otto przyjmował wszystkich, siedząc na krześle tronowem, takim, jakie wprzód stało w kościele. Miał na sobie płaszcz purpurowy i sandały szkarłatne ze złotem. Gdy wchodzący poklonili mu się, a Bolko przystąpił naprzód, wielce to zmieszało Mieszka, iż Otto zamiast na Czechów zwrócić uwagę, pilno mu się przypatrywać zaczął. Kilku słowy potem pozdrowić kazawszy starego Bolesława, podać kazał cesarz kubek złoty, roboty misternej, sadzony perłami i kamieniami, i poprosił, by na pamiątkę go przyjął. Innym też dostały się szuby i płaszcze, i Mieszko już się bezpiecznym sądził, gdy cesarz znowu nań pilno bardzo wzrok skierował. Szepnął coś do ucha podskarbiemu swojemu, a ten mu przyniósł miecz z pasem nadzwyczaj wytwornej roboty a ceny wysokiej. Poglądali wszyscy zdziwieni, komu go cesarz chciał dać, gdyż już nikogo tak do-

stojnego nie było, aby tak drogocenna rzecz dostać mu się mogła.

Ujawszy miecz w rękę, Otto skinął ku Mieszko-
wi i odezwał się z uśmiechem:

— Nie znam was, miły kneziu... nie wiem na-
wet, kto jesteście... Dosyć mi tego, że ze sprzymie-
rzeńcem moim i dobrym przyjacielem przybywacie...
Chciałbym, abyście i wy też byli mi przyjaznym,
przyjmijcie ten miecz z życzeniem, abyście go nigdy
przeciwko mnie nie podnieśli, a raczej z nim w po-
moc mi przyszlizli w potrzebie, tak ja gotów będę
was wesprzeć, gdybyście żądali...

Mieszko nie mógł nie przyjąć cesarskiego daru,
lecz zarazem uląkł się mocno, domyślając, iż był po-
znany lub zdradzonym. Na twarzy Ottona malo-
wało się raczej zadowolenie i radość, niż gniew
i podejrzenie. Bolko pobladł w obawie, by nie zo-
stał posądzonym o wydanie tajemnicy. Nastąpiło
krótkie milczenie, a cesarz dodał jeszcze, uśmiecha-
jąc się.

— Na mieczu tym krzyż jest wryty... niech
wam przypomni, iż on jedynie jest znamię zwycię-
stwa... i że tam, gdzie on nie panuje, ani pokój
ni szczęście panować nigdy nie mogą.

Wszyscy zatem jeszcze raz się pokłoniwszy cesa-
rzowi, odchodzili, a Mieszko, który miecz swój niósł,
nie mogąc go ani przypasać, ani ukryć, ściągnął na
siebie oczy całego dworu. Oczywiście było rzeczą,
iż Otto w nim poznał, lub był nawiądomionym o księ-
ciu poląskim. Inni domyślali się jeszcze więcej
i inaczej niż było. Szeptano, spoglądając ciekawie
na obdarzonego.

Zaledwie w podwórze wyszli, gdy Bolko się zwró-
cił do szwagra, poprzysięgając mu, iż nie zdradził
on, ani żaden z jego ludzi, ale inny ktoś chyba po-
znać i ukazać go musiał. Mieszko łatwo temu uwie-
rzył, chociaż niepojętem się to zdawało, a podaru-
nek miecza tak bogatego omyłką żadną być nie
mógł.

Tem prędzej teraz, obawiając się, aby wieść
o nim się nie rozeszła, Mieszko chciał odjeżdżać; po-
słano po ks. Jordana, który przez cały ten czas
u księży przy kościele św. Wiperta bawił. Padło
nań podejrzenie najmocniejsze, że on przed duchow-
nymi mógł się wydać z tajemnicą, a jeden z nich
do cesarza ją zaniósł. Ks. Jordan jednak nie przy-
znawał się do tego.

Natychmiast obóz związać poczęto i do drogi się
sposobić. Inni też goście wyjeżdżali, każdy w swą
stronę, kupcy z bud i szalasów towary na wozy pa-
kowali, ruszając dalej w głąb kraju. Okolice miasta
ludna i życia pełna, co godzina puścierając się sta-
wała. Cesarz wkrótce Quedlinburg miał opuścić i woj-
sko towarzyszące mu już stało w pogotowiu.

Nie wszyscy równie wesoło opuszczali gród ce-
sarski; wielu jak Wigman groźbami odprawionych
zostało, inni, czego chcieli nie dopięli, duchowień-
stwo tylko całe, pobożnością i dobroczynnością pana
wzruszone, opiewało chwałę jego.

Część drogi mając razem ze szwagrem odbywać,
Bolko starał się wyrozumieć z niego, jakie dwór ce-
sarski i potęga jego uczyniła na nim wrażenie, nie
potrafił jednak dobrać zeń nic jasnego. Mieszko
uśmiechał się, dobrej był myśli, rad z podróży, po-
takiwał bratu, ale tego co czuł, nie wydawał.

Rozstali się ku granicy już, tam gdzie się wprzó-
dy spotkali i Mieszko z małym orszakiem swoim pu-
ścił się ku Poznaniowi. Następnego dnia o Wigma-
nie dostał języka Chotek, który towarzyszył knezio-
wi, jakoby z Wolinami się związał i coś na pogra-
niczu zamierzał, przeciwko Polanom, albo nawet
Ottonowi, lub obojgu razem. Tem też śpieszniej ku
domowi dążyć było potrzeba. Chotek wyprawiony
został, aby miał oko na swoich i w razie potrzeby
z Mieszkiem się łączył.

Domyślano się, że Wigman, cesarzowi się chcąc
zasłużyć, rzucił się do podbojów za Odrę, albo—bo
i to być mogło,—obrócił się przeciw niemu, ze Sło-

wian sobie groźny zastęp tworząc, by go zastraszył i wyjednał sobie, czego pragnął. Na jednej i drugiej stronie widywano już tego człowieka, który się łatwo przerzucał, gdzie widział korzyść swą lub rozgłos mógł zyskać.

Jeszcze z nim trzymali nieraz nadgraniczni markgrafowie, gdy już na nich wiązał się z nieprzyjaciół. Dla Słowian taki człowiek jak on, był pożądanym sprzymierzeńcem, gdyż wojować umiał, odwagę miał, Niemców znał dobrze, a nigdy nieuspokojonego ducha, ciągle coś knuł nowego, nie spoczywając na chwilę.

Tak jak był nocą i niemal pokryjomu z grodu swojego zniknął Mieszko, jednej znowu wiosennej nocy, gdy go się nie spodziewano, zjawił się tu po cichu i poszedł Dubrawkę powitać.

Nie powiedział jej, kędy był, przywiózł tylko pozdrowienie od brata i podarek, co do myślenia dawało, że w Czechach mógł bawić, bo Dubrawka o podróży Bolka nie wiedziała.

Tegoż samego dnia posłano do Sydbora do Gniezna, aby wojska miał w pogotowiu i na dany znak ściągnął z niemi.

Na zamku ruch się wszczął wielki, posłańcy i szpiegi wyprawiono na granicę, ludzi zewsząd spędzano i w przyborach tych do wojny, na czatach stojąc niemal, Mieszko pogodniejszej doczekał się wiosny.

VIII.

Chodzące po kraju groźne wieści, które przez gadatliwy dwór Dubrawki mogły być puszczane, kazały się co chwila spodziewać obalenia świątyń pogańskich i powołania ludu do chrztu, tak jak się to w Czechach stało... Niemal codziennie i co godzina wyczekiwano rozkazu, któremu się jawnie opierać

nie było sposobu... Mieszko miał z sobą i przy sobie najdzielniejszą młodzież, ludzi do boju wyciągniętych i zupełnie sobie oddanych, a z tymi tłum walczyć nie czuł się na siłach.

W szeregach ich znajdowało się już wielu chrześcijan, liczba ich rosła, starszyzna nawracała się jawnie, cała ludność, bliższa Poznania i Gniezna, powoli już się dzieliła na dwa obozy, stroniąc od siebie i tając przed sobą. Chrześcijanie coraz śmielszymi się stawali, bałwochwalcy coraz bojaźliwsi. Nie w jednej rodzinie ojciec tał się przed synem, brat przed bratem...

Duszą oporu byli starcy, dziadowie, wróżbici, śpiewacy, stróże przy chramach i lud zamieszkały w głębi kraju... Apostołowie jeszcze tam nie byli, loszli, i żadnej nie czując zmiany, ani z góry nakazu, pochlebiali sobie mieszkańcy osad odleglejszych, że Mieszko nie będzie miał odwagi rzucić się na starą swą wiarę...

Przedłużone milczenie, obojętność pozorna knezia rozmaicie go sobie tłumaczyć dozwalały. Było i takich wielu, którzy sądzili, że Mieszko uwodzi chrześcijan, aby im tem większą zadał klęskę... Starzy Warga wedle potrzeby, raz przeciwko niemu jątrzył, to znowu w nim kazał pokładać nadzieję.

Przybycie Dubrawki zrazu zdawało się zwiastować chwilę stanowczą, lecz gdy miesiące upływały, a nic nie przedsiębrano i kontyny stały całe, różnie myśleć poczęto. Warga i jego towarzysze, co się starali lud jątrzyć i do oporu przygotowywać, gdy nie było dłużej powodu żadnego do wystąpienia, stracili wpływ i zaufanie. Wzdychano z nimi, pojonono ich, ale nie wiązano się słowem żadnem. Na zbiorowiskach w dniu uroczyste, gdzie się dawniej tłumy zbierały, teraz coraz puciej było.

Wypadek niespodziany na nowo ostygłe te uczucia przywiązania do dawnych obyczajów rozbudził. O mil dwie od Warty i Cybiny, w głąb kraju, w lasach, było jedno z miejsc najwięcej czczonych

19
tego opowiadania 22
i jak świątynia szanowanych. Uroczysko zwało się Białem, rzeczka, co je przebiegała, Białką lub Świętą. Wody jej w chorobach miały cudowną siłę leczącą, gaj, otaczający wzgórze, za poświęcony i nietykalny się uważał. W pośrodku jego wznosiła się oddawna wystawiona nieforemna postać jakiegoś bóstwa, które Białem nazywano. Ogromny kamień służył mu za podstawę, a balwan był z drzewa sękowatego niezgrabnie i grubo wyciosany i przedstawiał niby tułub z głową czapką okrytą; bez rąk, bez nóg, z wyrościami, które piersi uwydatniały. Obok Biela, żłobkowato wyrobione, dwa inne, jak misy kamienne, przeznaczone były na składanie w nich ofiar... Poza gajem przy dwóch dębach w szałasie mieszkał zawsze wróżbit stary, który przybywającym pielgrzymom rady dawał, wskazywał, jak i gdzie wody świętej użyć mieli, wróżył im z ziemi i ognia i żywił się z ich datków...

Jednego dnia przybywające zdala niewiasty znalazły starego Złogę w szałasie niby uśpionym, a wistocie umarłym... Nie nie okazywało, ażeby ktoś na nim gwałt popełnił. Złoga był niezmiernie stary, najstarsi gospodarze przypominali go sobie niemłodym już i siwym. Nie było więc nic dziwnego, że nareszcie usunąć się musiał, gdy się siły wyczerpały.

Dano znać do najbliższej osady o śmierci Złogi; zebrali się pokrewni jego do palenia ciała i pogrzebu, zbiegło się dosyć dziadów i bab, szło o zajęcie miejsca po nim, które było lakome.

Wszczęły się o to spory, bo wielu rościło do tego prawa, nikt nie chciał współzawodnika dopuścić, odgrążali się jedni i drudzy, a skończyło się na tem, iż szałas zburzono, i na Białem nie było nikogo. Miało się to rozstrzygać na jakimś wiecu na kupale, tymczasem Biel został bez stróża sam jeden...

Jednego dnia przybyły baby z zimnicą do strumienia i przestraszyły się, ujrzawszy, że balwan został obalony, kamienie poroztaczane, a ręka złośli-

wa, co tego dokonała, podłożyła suchych gałęzi pod kłodę i napół ją spaliła.

Ponieważ Biel powszechnie był czczony i za bóstwo opiekuńcze okolicy uważany, lament i płacz, narzekanie i oburzenie wstrząsnęło całą ludnością. Wszyscy biegli oglądać spustoszone uroczysko, łamali ręce, płakali.

Naturalnie, nikogo o takie porwanie się na stary posąg posądzać nawet nie było można, tylko chrześcijan. Obejrzano się po okolicy, zaczęto dowiadywać o przejeżdżających w tych dniach, o widzianych w bliskości, ale śladu winowajcy nie było.

Warga, który nadbiegł na miejsce, skorzystał z rozdrażnienia i począł namawiać do wystąpienia nocą, w umówiony dzień przeciw wszystkim dworom i chatom, które posądzono o odstępstwo. Dwory miały być popalone, chrześcijanie zamordowani.

— Gdy się to stanie — mówił — Mieszko zadrży i nie będzie śmiał się porywać!

W pierwszej chwili wszyscy mu potakiwali; gniew i pragnienie zemsty było wielkie; lecz drugiego dnia jakiś dziad wpadł na myśl inną, i zdaniem wielu, rozumniejszą jeszcze.

— Dobrze — rzekł — niechaj tak będzie, ale wprzód popробować trzeba. Pójdziemy wszyscy, choćby w tysiąc ludzi, na skargę do Mieszka, że nam się stała krzywda, która nieszczeście, grad, pioruny, głód na okolicę sprowadzi, zobaczymy, co powie.

Warga śmiał się, — ale inni jakoś przystali. — Uchwalono gromadą iść z podarkiem i skargą do miłościwego pana. Nim się jednak ludzie zmówili i zebrali drugiego dnia dano znać z okolicy na Dąbrowach, że słup kamienny, który tam też stał od niepamiętnych czasów, nocą ręka jakaś zuchwała obaliła, a staczając się z pagórka, bóg na kawały się rozpadł.

Ludzie na nowo zapalili się gniewem i od Biela pobiegli na Dąbrowę płakać nad okrucami zwałonego słupa. Tu znaleziono ślady koni kilku pod

dębami i dowody, że ludzi musiało być wielu, boby też temu jeden nie podolał. Warga wołał o zemstę i wskazywał dwory podejrzane, ale ludzie uparli się gromadami iść do knezia.

Upieczono kolacze, przygotowano szyte ręczniki, kury i jaja, bo bez ofiary jakiegokolwiek nie szło się naówczas ani z prośbą, ani z żalem, ani o sprawiedliwość. Gromady zwołały się na dzień oznaczony, kilku starszych wystąpiło na czele i wszyscy pociągali nad Cybinę.

Pochód ten w porządku odbył się powoli; po drodze łączyli się z nim, dla powiększenia tłumu, ludzie dobrej woli. Nie tajono się wcale z czem szli, i Mieszko, na pół dnia prawie wprzód uwiadomiony był o wszystkim. Wierni mu przyszedli dać znać zawczasu—nie odpowiedział nic. Na grodzie nikt nawet się nie ruszył.

Gromada, przed wałami się ustawivszy, wyznaczyła, kto mówić miał i w milczeniu ciągnęła przed dworzec pański, a przybywszy tu, stanęła w porządku i milczeniu uroczystem. Mieszko, który widział wszystko z za okiennicy, wysłał stolnika swego spytać, czego chcieli?

Temu opowiedzieli starsi, jak się rzecz miała. Kazano czekać. Naostatek Mieszko wyszedł, a starszyzna przysłała i podarki złożyć, i do kolan mu upaść.

Kneź miał jakoś oblicze wesole.

Mówić zaczęto, a jak to zwykle bywa, prawiono szeroko, poprawiał jeden drugiego, przerywał, powtarzano szczegóły, powieść przeciągnęła się bardzo długo. Siedząc na ławie w przedsieniu, Mieszko słuchał z uwagą.

Gdy się wkońcu przebrało opowiadania i jedni drugich zaczęli skłaniać do milczenia, aby też posłuchać, co pan zawyrokuje, zapytał kneź, kto był sprawcą tego.

Na to pytanie długo odpowiedzi zabrakło. Ten i ów zbierał się na nią, ale wistocie nikt nie znał

sprawcy, ani się go domyślał. Obwinać chrześcijan nie było powodu ni dowodu. Mruczano, potrząsano ramionami, a Mieszko powtarzał pytanie—kto to uczynił? Starszy i śmielszy, ubogi kmieć Drzewica, ozwał się wreszcie:

— Miłościwy panie, gdybyśmy wiedzieli, kto winien, samibyśmy go karali, bo za nasze bogi ujać się musimy. Wy, miłościwy kneziu, wiecie wszystko, każcie śledzić i ukarzyć—pomóżcie nam...

— Słuchaj, Drzewico—odparł Mieszko—a mocne to były bogi?

Gromada wołać zaczęła, że pioruny i grad, i pómór na bydło, i głód mogły zesłać.

— Za cóż na was mścić się mają, kiedyście wy niewinni?—rzekł Mieszko.—A jeżeli potęgę i siłę mają, to się same nią obronią i pomszczą.

Wszczęł się szmer, bo niedobrze rozumiano jeszcze. Mieszko powtórzył toż samo. Naostatek dodał, że winowajcy niema, sprawiedliwości więc być nie może, a bogom trzeba zostawić pomstę za siebie. Mają pioruny,—zabijają winnego.

Wtem z ciżby, rozpychając ją, wybił się gwałtem Warga z włosem rozczochranym, zapalony, jak w gorączce. Zaledwie się skłoniwszy kneziowi, krzyknął podniesionym głosem:

— Co tu szukać winnego? albo to my nie wiemy, kto przeciw nam i bogom starym powstaje? Palcami pokazać łatwo tych, co niemiecką wiarę do nas prowadzą! Namnożyło się tego nasienia, jest go dosyć wszędzie! Nie kto winien, tylko oni: ich karać, gubić i wypędzić! My sobie krzywdy wyrządzić nie damy, a nie uzyskamy sprawiedliwości, sami ją zrobimy.

Mieszko się popatrzał na mówiącego i skinął na swoich komorników, aby go wzięli. Tłum oniemiał.

— Ja cię znam, stary—rzekł,—tyś raz już dwór na Krasnejgórze podpalil. Puszczono cię na wolność,—teraz sprawiedliwość chcesz sobie sam znów mierzyć. Sprawiedliwość należy do mnie...

Gdy komornicy zabrali się go z tłumu wziąć, zamruczała gromada. Starsi prosić zaczęli za Wargę, on sam zmilkł blade. Mieszko kazał go puścić, ale tak groźnie nań spojrzał, że dziad, słowa nie rzekłszy, znikł gdzieś w tłumie.

— Sprawiedliwości wam nie dam, bo niema nad kim jej spełnić — dokończył kneź. — Bogi są mocne, obronią się same. Było u nas z wieków wieka tak, że każdy czcił boga, jakiego chciał, i nikt mu nie nie mówił. Przynieśli jedni Tryglawa, drudzy Radegasta, trzeci Światowida, inni Wołosa, stawili ich i klaniali się im. Od Redarów, od Wilków, od Lutyków, od Wolinów, od Dulebów przynoszono bóstwa, — nikt się temu nie przeciwiał. Tak ma być i nadal. Niech ci, co chrześcijańskiego Boga wyznają, cześć go w spokoju, a kto się na nich dopuści gwałtu — tego ukarzę ja!

Rzekłszy to, wstał Mieszko, popatrzył na milezącą gromadę i skinieniem ręki ją odprawił.

Pokłoniła się starszyzna i w głębokiem milczeniu odchodzić zaczęła.

Warga tak się ukrywać umiał i tak go zasłanianie, że dopóki za wały nie wyszli, widać go wcale nie było. Lękał się, aby go jeszcze nie wzięto.

Próba więc nie powiodła się wcale. Długi czas szli wszyscy z głowy pospuszczanemi, milczący, smutni, pogrążeni; — nikt słowa odezwać się nie śmiał. Opodał od zamku zmęczeniu, położyli się na łące nad Wartą.

Tu dopiero powoli usta się rozwiązywać zaczęły do narzekania i utyskiwania. Śmielsi szemrali, drudzy, z obawą patrząc na nich, milczeli, bojąc się niemal słuchać. Warga długo siedział ponury i gniewny.

— U nich sprawiedliwości prosić! — zawołał w końcu — u nich! kiedy tam pełen dwór chrześcijan i oni, nie kto przewodzi. Co tu pytać? po co prosić? Nie było nic u nas, póki Lubonia syn nie wrócił zakazony niemiecką wiarą! Spaliliśmy mu dwór... tak! nie dosyć. Jego z nim spalić trzeba. Przez niego

weszło wszystko. Do niego się oni schodzą, z nim radzą... Ale drugi raz nie wezmą mnie już... bo mnie tu nie będzie.

Nikt na tę pogrozkę nie odpowiedział, a Warga też nie zdawał się dbać wiele o to, mrucał sam do siebie mówiąc, z oczyma wlepionemi w ziemię, miotał się, krzychał to głośnie, to ciszej i długo nie mógł się uspokoić.

Z nikogo jednak nie wywołał potakiwania, nikt mu się w pomoc nie ofiarował; owszem, Drzewica się odezwał, że kneź miał słuszość, że nikt nikomu nigdy nie bronił boga sobie wybierać jakiego chciał, — że chrześcijanie oddawna się pokazywali tu i owdzie, a nikt ich nie prześladował i za ojca kneziowego i za dziada.

Drudzy też, dla milego spokoju może, staremu choć głowami potakiwali; Warga zmilkł i długo siedział zadumany, wstał potem, nie obejrzawszy się na nikogo, nie rzekłszy nic i poszedł przez pole bez drogi, gdzie go oczy nieśli. Nikt go nie zawrócił i nie strzymał. Niektórzy gorliwsi byli tego zdania, że i Biela i słup na Dąbrowach należało postawić na nowo. Na to się godzili wszyscy i gorąco zaraz rozebrali między siebie robotę.

Tegoż wieczora wiedziano o tem na Krasnejgórze, przybiegł ktoś z grodu i doniósł o skardze gromady, o danej jej odpowiedzi, a nawet o Wargi odgroźkach. Jarmierz nie powiedział nic Wlastowi, ale strażę około dworu ustawił i przez całą noc czuwać im kazał.

Mieszko tymczasem, zamiast ociągania się i obawy, tegoż dnia pilnie zajął się przygotowaniami do publicznego przyjęcia chrześcijańskiej wiary...

Wysłano do Czech po kilku duchownych w pomoc ks. Jordanowi, żądając też od Bolka, aby dał ludzi, coby z kamienia budować umieli kościoły, wedle obyczaju chrześcijańskiego, i wszelkiego rzemieślnika do przygotowania sprzętu, jaki był do ofiarowania nowych świątyn potrzebny.

Znowu w tę podróż musiał być wyprawionym Włast, który służył chętnie we wszystkim, co nawrócenie zupełne przyspieszyć mogło. Tymczasem, nie objawiając na co, wozic kazano kamień na zamki w Gnieźnie i Poznaniu.

Wielkie przygotowania działy się po grodach, choć o ich celu nie ogłaszano ludowi... Ks. Jordan tylko chodził, przysposabiając, kogo mógł do przyjęcia chrztu, zarazem objawiając o wielkich darach, jakie kneź miał dla chętnych czynić... Białe szaty z płótna i sukna szyto secinami na zamku u Górki i Dubrawki i składano je stosami.

Jordan, opowiadając ewangelię, zwiastował zarazem, że ona wszystkich uczyni braćmi w Chrystusie, połączy i porówna, że kneź stanie się dla nowonawróconych ojcem a zarazem i bratem.

Pomimo wzburzenia umysłów, jakie obalenie Bieła i słupa na Dąbrowach wywołało, — nie było prawie nocy, aby gdzieś posąg na rozdrożu lub uroczysku nie upadł i nie został zniszczony. Zdawało się, że je niewidzialna jakaś ręka wywraca, bo nigdzie sprawcy ani nawet śladu dojść było podobna...

Czekano kary bogów napróżno — nie bronili się już stare bogi.

Resztę ich, które stały po domach i zapadłych kątach, chowali pobożni i kryć się zaczęli z nimi.

Warga, który usiłował do czynnego i rozpaczliwego skłonić oporu, zaledwie nieznaczną garstkę wokół siebie zgromadził i ukrywać się z nią musiał. Smutek padł na kraj cały...

Nigdy bez bólu nawet do lepszego stanu nie przechodzi człowiek, a stokroć trudniejszym jest odrodzenie się społeczeństwa, które, zwichnięte w biegu, niełatwo odzyskuje ruch bezpieczny i stały. Chwile przesilenia i gorączki są zawsze dobą nieładu i rozprężenia. Żli korzystają ze swobody, jaką daje nieposzanowanie praw, które się wałą, uwalniając zarazem od poszanowania tych, których znieszczenie nie mogą. Toż co zawsze i wszędzie, ob-

wiało się u Polan teraz, ale silna dłoń Mieszka nie dopuściła, by zamęt ten wyrodził się w całkowite starganie wszystkich węzłów.

Gdy się to gotowało z wolna, bo pośpiech w wykonaniu codziennych się okazywał trudniejszym, gdy przygotowania olbrzymie być musiały, Mieszko odłożył znowu uroczyste ogłoszenie wiary do następnego roku. Trzeba było tymczasem zwiększyć gromadkę przysposobionych do chrztu i z myślą nowego znamienia pogodzić kraj, który swych dawnych bogów oplakiwał.

Gdy się to działo, Mieszko szukał sposobności do jakiegoś wystąpienia, któreby mu przymierze konieczne z cesarzem Ottonem ułatwiło... Los mu je nastęrczył...

Już w Quedlinburgu mogli się wszyscy domyślać, że dumny Wigman, odpawiony niemal z pogardą przez cesarza, szukać będzie sposobności wojowania przeciwko niemu. Miano nań oko, ale znikł pomiędzy słowiańskimi książkami, u nich szukając schronienia.

Wszczął się był spór o pograniczne posiadłości między obodryckim wodzem Mstiwujem a Zeliborem wagirskim. Oba oni już zawojowani, radzi nieraździ, zależeli od saskiego markgraфа Hermana.

Spór miał rozstrzygać Herman i Zelibora uznawszy winnym napaści i gwałtu, skazał go na wydziedziczenie i odebranie mu władzy. Zelibor, nie myśląc się poddać, powołał Wigmana do siebie. Oba więc porwali się do broni.

Zaledwie to się stało i nim przysposobić się mogli, Mstiwój z Hermanem naszli na osadę i gród Zelibora, wzięli je prawie bez oporu, a oba wodze ucieczką ratować się musieli. Do tych waśni Mieszko się mieszać nie myślał wcale, lecz pilno się im przypatrywał, mając tam ludzi zawsze i dostając łatwo języka.

Zbiegły Wigman siedział teraz u Wolińców nad Odrą, a że spokojnie wytrwać nie mógł, z nimi

razem napadał już kilkakroć na ziemię Mieszkowe... Teraz więc był czas, broniąc własnych posiadłości, razem cesarzowi uczynić przysługę i uwolnić go od niespokojnego krewniaka.

Włast, jadąc do Pragi, zaniósł tam także do Bolka prośbę, aby parę hufców zbrojnych dobrze w pomoc Mieszkowi przybywało...

I gdy z jednej strony chrztem się zajmować zdawali wszyscy, kneź, któremu dolegał spoczynek, gotował się do wystąpienia przeciwko Wigmanowi.

Jednego wieczora powracający Włast przywiódł z sobą i gromadkę duchownych i kupkę rzemieślników a kunsztmistrzów i dwa świetne piękne oddziały czeskiej jazdy. Wszystko się z zamku wyroiło, ujrzawszy ten dosyć mnogi lud, napływający do grodu.

Wybiegła i Dubrawka, z niezmierną radością witając swych Czechów, szczególnie duchownych, co jej do przysposobienia wielkiego dzieła pomocą być mieli.

Ona wistocie duszą jego była i przynaglała, aby co rychłej spełnić się mogło. Dając jej czynić, co chciała, Mieszko zawsze jeszcze milczał i zwlekał.

Teraz chwila już zdawała się być bliską.

Na powitanie Czechów wyszedł i Mieszko sam, dowódców dwu oddziałów zapraszając na dworzec, razem z duchownymi.

Resztę przybyłych wnet rozmieszczono na grodzie, gdzie dla nich wszystko było przygotowanym. Omyliła się wszakże Dubrawka, sądząc, że poezy czeskie przybyły, aby uroczystości wielkiej więcej dodać świetności. Kilka dni pozwolono im spoczywać. Rzemieślnikom natychmiast wyznaczono pomoc, schronienie i usługę, a Mieszko, rozporządziwszy wszystkim i księży zdawszy ks. Jordanowi, sam zaczął się przysposabiać do wycieczki jakiejś.

Wszystka piechota, a tej było najwięcej jeszcze, wyruszyła cicho na granicę ku Odrze, drugiego dnia ujrano Czechów występujących w tę stronę, trze-

ciego rana sam kneź, pożegnawszy żonę, siadł na konia i wraz z Sydborem ruszał w pole...

Już trudno było cierpliwej Dubrawce na nową tę patrzeć zwłokę, napół ze łzami, wpół gniewna, gdy Mieszko miecz ów cesarski przypasywać kazał, zapytała go, co by to znaczyć miało.

— Kniagini ty moja—odezwał się Mieszko spokojnie. — Dajcie mi moimi sprawy rozporządzać wedle myśli mojej... Ja wrzeciona nie tykam, ani was prąść myślę uczyć, dopuścież mi wojować, jako wiem i umiem.

— Ale pocóż nową rozpoczynać wojnę, wprzód dy nie uczyniwszy w domu co najpilniejsza, aby na nią Boże mieć błogosławieństwo—przerwała Dubrawka.

I na to pytanie rozśmiał się nieco Mieszko—ręką tylko w powietrzu zamachnąwszy, jakby mieczem...

— Na wszystko będzie pora, miłościwa a niecierpliwa pani moja—rzekł.—Ludzie się tymczasem lepiej przysposobią, oswoją i obejdą z tem, co ich czeka... Księża jeszcze wiele z moimi i ze mną mieć będą do czynienia, nim nas na chrześcijan przemienią. Gdy ujrzę, że czas po temu, nie zwlekę... a teraz w pole trzeba na łowy... i bywajcie mi zdrową, miłościwa pani.

Miłościwa pani smutnie przyjęła rozkazy, lecz nauczyła się już w pożyciu z mężem, iż go powolnie tylko przekonać i skłaniać było można. Trwał przy swoim twardo i niełatwo obrócić się dawał, gdy powziął postanowienie.

Wyciągnął więc i tym razem w pole, nie rzekłszy nawet dokąd, a na zamku zostali apostołowie pod kierunkiem ks. Jordana pracujący, w Krasnej-górze zaś Włast na swą rękę zwołujący do winnicy...

A pod grodem w chałupach siedzieli sprowadzeni rzemieślnicy, kując srebro, lejąc śpiżę, wyrzynając drzewo, ucząc obrabiać kamienie a palić wapno...

Przy nich już parobcy tutejsi, przypatrując się im, otwierali oczy i sposobili ręce do roboty, która dla nich miała urok nowości...

Od pługa i miecza,—do młota i dłuta, przejście łatwem nie było.

IX.

W obozie nad Odrą jednego wieczora cesarski krewniak, nie tak jakeśmy go widzieli w Quedlinburgu odarty i opuszczony, ale we zbroi lśniacej, na koniu dzielnym, w hełmie skórzanym, łuskami żelaznemi naszywanym, z kitą czerwoną, w płaszczu niebieskim na ramionach, opatrywał szeregi nowych swych przyjaciół.

Sam jeden tu był wśród tego ludu, do którego i on nie przysławał, i orszak, co go otaczał, jakby cudzy przy nim wyglądał. Dziwnie zaprawdę wydawał się ten niemiecki rycerz, przygodami osobliwemi ze dworu najświetniejszego w Europie wygnany pomiędzy lud napół surowy i do innego należącego świata. Między tym wodzem a jego ludźmi trudno było powinowactwa dopatrzyć.

Ziemko i Hłaska, dwaj naczelnicy Wolińców, jechali przy zbrojnym Niemcu, przyodziani także niby z niemiecka, ale dziwacznie, mieli oba po kawalku zbroi... Ziemko na głowie skózaną czapkę, na krzyż żelaznemi opasaną prętami, mieczyk u boku, pióro u tego hełmu, jaskrawy płaszczyk na ramionach, ale na nogach po staremu chodaki sznurowane wytarte, i spodnie z grubego płótna. Nie lepiej wyglądał Hłaska, który też między Niemcami bywał i przyodziałyby się był rad, aby wstydu Wigmanowi nie czynił. Krótki tulubek frankijski, paskiem obszyty miał czerwony, pod szyją spiżowe spięcie, na ramionach stare kolce mosiężne, wszystko to z sobą nie-dobrze szło, ale Hłaska uczynił, co mógł.

Dwaj Wolińcy, w rozpacz, dla wybicia si

z jarzma niemieckiego, Niemca się chwycili. Zdawało się im, że ten cesarski krewny, a sławiony rycerz, najlepiej mógł ich poprowadzić. Nim jednak na Niemców napaść mieli, chcieli na Polanach spróbować i łupem się opatrzywszy, a jak im się zdało, pobiwszy może — większą siłą występować dla wyswobodzenia na markgrałów.

Na Mieszku próba tylko uczynioną być miała.

Wigman się zabawiał z Wolińcami, Ziemko i Hłaska, w oczy mu patrząc, jak wyroczeni go słuchali...

Świetne mieli nadzieje... Naprzód Polan zwojować i albo ich zmóć a złupić, lub z sobą na markgrafa pociągnąć. Zdawało się to łatwem—urok niemieckiego wodza oślepiał biednych Słowian, a stare właśnie graniczne kazały zapominać, że mieli walczyć z pobratymcami.

Pycha Wigmana, który się bezmiernie wśród tych prostodusznych ludzi czynił wielkim a pewnym siebie, wiarę w nich wlewała... Czynił ten wódz nowy z nimi, co chciał, ufali mu jako zbawcy a przyszłej wielkości swej założycielowi...

Niemiecki comes tymczasem, objeżdżając szeregi tego ludu, dziwnie jakoś nań poglądał. Nie było to wojsko—ale tłum męzny i bitny, ochoczy do walki a niesforny.

Na kilka oddziałów podzieleni Wolińce leżeli obozem nad rzeczką, na wysokim brzegu, a było ich tak sporo, że jak okiem zajrzeć w dolinę, łąka ludźmi była usłana. Starszyzna tylko miała parę namiotów szarych, na tykach rozpiętych. Dla Wigmana na wzgórzu paradniejszy ustawiono; reszta pod golem niebem i w małych szałasach koczowała przy ogniskach.

Niewiele jazdy i to dosyć niepokaznej udało się Ziemkowi zgromadzić. Na małych konikach siedzieli więksi stosunkowo od nich wojownicy w prostych sukmanach, z łukami na plecach, z młotami i siekierami u siodel, z dzidami różnych rozmiarów

104
w dłoni. Z twarzy tych ludzi, którym włosy długie i gęste sterczały z za nakrycia głowy po większej części, widać było dzikie i nieustraszone męstwo — lecz nie to, co się powodować umie i łączyć spójnie w gromadę, ale rachujące samo na siebie tylko i nie dające ni pokierować sobą, ni powstrzymać.

Jak konie rwały się i wierzgały a kasały, w kupie ustać nie mogąc, ludzie ucierali się, lajali i przechwalali głośno.

Po niemieckich pocztach milczących i posłusznych, ta butna ciżba Wigmanowi osobliwą wydać się musiała. Poglądał na nią oczyma zdumionemi, a Ziemko i Hłaska, jadąc tuż, w jego oczach usiłovali czytać, co myślał o ich drużynie, której sił i męstwa byli pewni.

Comes liczył tylko, ilu ich było, bo na nie innego, jak na lik, snać rachować nie mógł.

To Ziemko, to Hłaska, po bokach jadąc, zagadywali go, wskazując na swych ludzi; rycerz niemiecki tylko głową potrząsał i ramionami ruszał.

Tak przepatrzywszy jednych, u których żelaznego okrycia ledwie można było gdzie dopatrzeć, ruszyli ku pieszemu ludowi, którego daleko więcej było. Kazano leżącym i spoczywającym wstawać a zbijać się w rzędy, aby i tych okazać, czem byli.

Dosyć nieochoczo ruszył się tłum, mruczając, i wstali jak dęby ogromni, szerokich ramion, niezbyt odziani, napół bosi wojacy, u których oszczepów i pałek więcej było, niż innej broni. Zato niemal wszyscy mieli tarcze, tak jak i Polanie, z desek cienkich drewnianych pospajane, dwa i trzy razy obcignięte skórą, gdzieniegdzie gwoździemi nabijane i sztabkami.

Z gwarem na nogi wstając, Wolińcy stawali kupami, każdy chwyciwszy broń, jaką miał.

Wigman pomyślał w duchu, iż gdyby oręż a wprawa nie nie ważyła, straszneby były te gromady ludzi silnych, nielekających się śmierci, chciwych boju dla niego samego, dla krwi i gorączki, jaką walka

105
daje. I znów z konia Niemiec liczył sobie tych ludzi, na mnogości ich pokładając nadzieję.

Lecz na Mieszkę, który niewiele może lepszego miał żołnierza, zdawało się to dostatecznem, gdy taki wódz prowadził.

Dwaj wodzowie jak najlepszą mieli otuchę; czy ją Wigman podzielał, odgadnąć było trudno. Objęchawszy szeregi, zawrócił nazad ku wzgórkowi i namiotowi. Naglili go Ziemko i Hłaska, aby im co rzekł; powiedział im, że lud piękny...

Czegoś mu na duszy tęskno było, popatrzywszy gdzie, z kim był, i komu miał dowodzić. Przed namiotem zsiadli z koni, jeszcze raz pytać go zaczęli; odpowiedział im mało, pozdrowił dumnie ręką i wszedł, opłótek uchyliwszy, do wnętrza.

Jeden stary jak pan sługa, Niemiec Hatton, czekał tu na niego. Ten jeden nie opuścił go i nie zdradził, a choć miał wstręt iść przeciw cesarzowi z poganami razem wojować, Wigmana nie rzucił. Był to człowiek przykuty do comesa, który, porzucając go, nie wiedziałby zaprawdę co uczynić z sobą. Mały, krępy, posiwiasty pacholek, stworzenie milczące i posłuszne, stworzone było, aby przy kimś wisiało. Los mu nastęrczył Wigmana. Z nim i świetnie przeżył lata, i teraz gorzkiemi truł się dniami.

Gdy Wigman pod namiot wszedł, zerwał się stary Hatton, aby mu zbroję zdjąć, i wnet począł swą usługę. Milczący comes dawał mu czynić z sobą, co chciał, był zadumany i ponury.

— Hattonie! co mówisz na to? — począł ponuro Niemiec. — Z Quedlinburga do obozu Wolińców? z gościny u tego Ottona do Ziemka? he? dobrześmy padli?...

Hatton ramionami ruszył. Milczał długo.

— Miłościwy grafie — rzekł wkońcu — a nie lepsze to, jak los Eryka, Bakki, Hermana, Wiryna i Ezeryna?...

— Pewnie... ależ ci omal Hilliwarda biskupa nie

zabili, przeto ich Otto w Quedlinburgu pościnać kazał... a ja?... ja tylko swojego bronilem gardła...

Hatton mruczał.

— Mów, ty mruku, głośniej, chceszli, bym cię zrozumiał!—krzyknął Wigman.

— Broniliście, miłościwy panie, gardła, nie trzeba było pleców żałować...—odparł giermek.

— Krzyże mam twarde! to nieszczęście moje...—zawołał Wigman — w żyłach moich krew Ottonów płynie!...

Hatton skinął głową potakująco. Rozpinał mu kaftan łuską wyszywany, pod którym drugi skórzanym widać było. (Noszono ich po kilka na sobie).

— U nich... u nas... — mówił dalej Wigman — wszystko pod humor i od fantazyi... Gdybym na Ottona dobrego trafił, dobrzeby mi było; los mój chciał, abym na złego padł...

— Pamiętasz Hattonie—dodał—Gintera ratysbońskiego biskupa? I co mu dało biskupią dostojność?...

Hatton mierzając głową potakiwał.

— Otto szedł rano na mszę w Ratysbonie do klasztoru świętego Emmerama. Po drodze powiedział sobie: Stolek biskupi wakuje... komu go dać? komu?... niechaj los wybiera... Pierwszy duchowny, którego spotkam, biskupem będzie... U furty klasztoru ubogi Ginter mu otwiera... Co mi dasz za biskupią infule?—pyta Otton. — Miłościwy panie — śmiejąc się odparł biedny księżyna, — nie mam nic swojego oprócz podartych na nogach chodaków... I został biskupem...—dorzucił Wigman.— Tak samo ja w dobrą godzinę mogłem być saskim księciem w miejsce Hermana...

Hatton ostatni kawał zbroi odczepiał i znowu mruczał coś niezrozumiale.

— A coby ci po tem przyszło, miłościwy panie—rzekł chmurno.— Albo w łaskach będący Herman nie wywołał na się gniewu cesarskiego za to, że go w Magdeburgu przy biciu w dzwony i oświeconym kościele przyjmowano, że śmiał tam spać

w łóżku cesarskiem i u cesarskiego siedzieć stołu? Albo go nie wyklął biskup Bruno, tego szczęśliwego Hermana, któremu zazdrościcie...

— Wolalbym być jednak wykłętym przez Brunona — zawołał Wigman, — niż odepchniętym przez cesarza... Ale łaska familii niestała rzecz... Wolalbym być jego bękartem, niż krewniakiem...

Hatton rękami poruszył, jakby zaprzeczał tym rozpaczliwym oświadczeniom!

— Pewnie — potwierdził Wigman, wzdychając. — Alboż nie wiesz, że bękarta swojego z niewolnicy, ze Słowianki, z prostej dziewczki narodzonego, Wilhelma, uczynił Otto arcybiskupem mogunckim?... Jego synom, jego córkom, jego nieprawemu potomstwu wszystko było wolno... a nam, biednym, milczeć tylko i cierpieć. Wilhelm został arcybiskupem, a wdowa po Konradzie frankońskim, choć Kononowi potajemnie ślubowała, wyparła się go i Burchard wystąpił w jej obronie, a rękę mu obciął, co za wysoko sięgała!...

Mówił tak Wigman z bólem wielkim, aż zamilkł wreszcie, głos coraz był smutniejszym i siła a duma w tej chwili zdawały się złamane. Gdy Hatton mu zbroję zdjął i odstąpił, Wigman, na stole ujrawszy krzyż, kląkł się modlić.

Z pokorą i skruchą załamał dłonie przed Chrystusem i na głos począł odmawiać modlitwy; Hatton, który w kącie stał, jakby mimowolnie też ręce złożył i za panem je powtarzał. Modlił się tak długo, a wśród szmeru modłów tych dolatywały dzikie okrzyki Wolińców z obozu, jakby szydziły z ich naбоżeństwa.

Wigman legł wreszcie na pościel przygotowaną, ale do snu mu było daleko — oczy miał otwarte, sparty na dłoni, dumal może o cesarzu, o sobie i dziwnych losach swoich.

Zaczynało zmierzchać, gdy dało się słyszeć sykanie przed namiotem. Hatton zerwał się i wyszedł; Wigman, głowę zwróciwszy, czekał.

Po chwili wprowadził giermek Ziemka. Szedł on pośpiesznie bardzo i z ożywioną twarzą i wzrokiem.

— O Mieszkę wieść przyniesiono—rzekł szybko.

— Rad jej będę... Gdzież on jest?

— Stoi o pół dnia drogi od nas, pewnie się niczego nie spodziewając... co poczniemy? Mamyli czekać na niego, czy następować?

Wigman powstał z łoża i siadł.

— Liczyż ma poczet z sobą?... gdzie się położył?...

Na to Ziemko odpowiedzieć nie umiał. Przywołano tego, który przyszedł z wieścią. Był to stary człek, o kiju, w koszuli, w sakwach przez plecy, boso, trochę przelekły, a bardzo niespokojny. Ziemko badać go począł. Widział on tylko piechotę w obozie, a zapytany, ręczył, że jej pewnie i połowy nie było tej, jaką Wolińcy mieli. Obóz był na łące, wśród zarośli i gajów, rozłożony bezpiecznie, jakby się sąsiedztwa niczyjego nie spodziewał.

Ziemko patrzył w oczy Niemcowi, który się wahał długo.

— Jeżeli swoim ufacie, czemuśmy naprzeciw nich iść nie mieli? — rzekł Wigman. — Zawsze ten przewagę ma, kto pierwszy naciera...

— Więc ruszmy jutro o świcie...

Comes ani zaprzeczał, ni zachęcał; położył się znów, skinąwszy głową i w myślach swych zatopił.

Nazajutrz jako dzień ruszyło się wszystko z obozowiska, ustawiać poczęło, siedli wodzowie na konie, Wigman, znowu opięty kaftanem luskowym, wyjechał z Hattonem, który małą tarczę i zapaśny miecz wioził za nim.

Dzień obiecywał się skwarny.

Oddziały wyruszyły powoli, każdy poprzedzany stanicą swą, na których orły, ptaki i potworne stworzenia grubo były wyrzeżane. Stanica Ziemka wystawiała wół biały.

Ruszając z noclegu, zanucili pieśń jakąś, dziwnie

brzmiającą w uszach Wigmana, który pocichu modlitwy odmawiał.

W obozie Mieszka on, Sydbor i dwaj czescy wodzowie stali od rana w pogotowiu. Wiedzano tu o Wigmanie i o Wolińcach, o ich sile, i kneź, rano wstawszy, Czechów jazdę z dwu stron na boki wyprawil, poleciwszy jej, by się dopiero na skinienie i hasło ruszyła.

Posadzone na wysokiej sośnie pacholę, czatowało, by dać znak, gdy się Wolińcy spodziewani ukażą. Równie prawie z hasłem przez chłopaka danem, zdała i śpiewy usłyszano. Mieszkowy lud niecierpliwy był, ale mu się ruszać nie kazano. Stać tak mieli, ażby na nich nadszedł nieprzyjaciół.

Gdy się w dali kupy owe ukazały, Mieszko i Sydbor skoczyli na koniach przodem, postali im na widoku trochę i puscili nazad śpiesznie, a nawet i ludziom, niby popłoszonym, zwolna się cofać nakazano.

Ujrawszy to, Wigman i Ziemko, którzy przodem szli, z okrzykiem gromadom swoim dali znak, aby się na nieprzyjaciela rzuciły.

Stał się w obozie Mieszka jakby zamęt i oddziały jego jedne po drugich za gajami znikać poczęły.

W pogoń się puscili Wolińcy, z okrzykiem coraz głośniejszym, z wrzawą i zapalem niezmiernym. Wigman na koniu przed nimi.

Mieszkowi ustępowali, lecz tak zwolna, że się dogonić dali... ustępowali głębiej między gaje, i jakby się ulekli Wolińców, nawet im nie stawili czoła.

Tem silniej nacierali Ziemko i Hłaska, tem gwałtowniej zagrzewać począł Wigman.

Już byli kilkoro staj od nieprzyjaciela, gdy na dany znak piechota Mieszkowa odwróciła się na Wolińców i do bitwy stanęła. Z obu stron rzucono się na siebie z porywcznością wielką.

Zastęp Wolińców bez porządku wysypał się, wyłał, rzucił na Polan; podniesiono tarcze i pałki wa-

lić o nie zaczęły. Świsnęły strzały... posypały się pociski...

W tej chwili, gdy jeszcze Wolińcy pewni byli prawie zwycięstwa, z lewej i prawej strony na tyłach, na odgłos trąbki Sydbora, wystąpiły ukryte w zaroślach dwa czeskiej jazdy oddziały.

Zatętniała ziemia pod kopytami i nim kupy niesforne wycofać się mogły, wzięte były z obu stron jak w kleszcze, między Mieszkową piechotę a konnicę Sławnika; już Czesi im siedzieli na karkach. Z drugiej strony oddział piechoty Sydbora, ludzie dobrani i wprawni do boju, kładł trupem Wolińców, zaczynających się rozsypywać i w ucieczce szukać ratunku.

Ziemko i Hłaska, widząc się w położeniu rozpaczliwym, poszli naprzód, aby ratować swoich, albo ginąć z nimi. Wigman z konia swego, na wzgórzu stojąc, już widział, że bitwa była przegrana.

Sily piesze Mieszka nie większe były może, niż Wolińców, lecz ujęte w porządniejsze szeregi, jazdy nie mieli prawie sprzymierzeńcy Wigmana, a czeska była wyborna i uzbrojona, jak niemiecka. Chwilę comes patrzył na tę rzeź, z której ratować się już nie było nadziei, wreszcie z pogardą i dumą zawrócił konia i wolnym krokiem ustępować począł. Jedynym ratunkiem była ucieczka...

Serce się krwawiło na myśl sromotnego uchodzenia przed nieprzyjacielem; Wigman nie śpieszył, gdy przypadłszy doń Hatton, zaklinać go zaczął, aby uchodził. Czas jeszcze było się cofnąć i ująć pogoni Czechów, zajętych rozpraszaniem gromady, która po gajach szukała bezpiecznego schronienia.

Wigman już konia miał uderzyć, gdy z naskroznemi oczyma, w porwanej sukni, z krwawą twarzą dopędził go Ziemko i za cugle konia pochwycił. Rozpacz malowała się na jego obliczu.

— Ha, — zawołał — dobrze wam było nas wprowadzić w zasadzkę, oddać na rzeź i zgubę, samemu będąc pewnym, że was dobry koń stąd wyniesie?

Wigman zecerwieniał się od tej wymówki, jak policzek mu ciśniętej; można było sądzić, że mieczem, który trzymał w ręku, przebije zuchwałego śmiałka. Powstrzymał się jednak, drgnął cały i z konia zeskoczył.

Z dobytym mieczem, nie odpowiadając słowa, poszedł, gdzie wrzała bitwa.

Koń rzucony, nie dając się pochwycić Hattonowi, który chciał cugle porwać, spłoszony krzykiem, rzucił się cwałem w pole.

Wigman w ciężkiej zbroi został pieszo. Około niego, łamiąc ręce i przeklinając dzień i godzinę nie-szczęśliwą, szedł Ziemko, ale na przekleństwa i wymówki jego nie odwracał się nawet Wigman. Obskoczyła ich wnet kupa Mieszkowej piechoty. Starszyzna Wolińców i Wigman z nią musieli się cofać, odcinając. Comes milczący szedł, nie okazując wściekłości, ale ilekroć się odwrócił, płatał straszliwie napastników. Od żelaznych łusk jego kaftana odskakiwały miecze, kruszyły się na nim oszczepy. Ziemko i Hłaska bronili się też z rozpaczą ludzi, którzy, wiedząc, że nie obronią życia, drogo je przynajmniej kazali opłacić wrogowi.

W dolinie wkrótce nie było już wojsk walczących z sobą, tylko kupki przeleżących, unoszących życie ludzi, które ścigali zwycięzcy. Tam, gdzie się starły pierwsze szeregi, leżały wałem trupy pobite i przez Czechów posiekane. W krzakach i zaroślach tulili się ranni. Zielona łąka strątowana, skrwawiona, potrząskanemi usypana pociskami, była jakby straszynym śmietnikiem grobowym. W prawo i lewo wśród lasów słychać było wycie i jęki. Uciekali jedni, gonili drudzy na wszystkie strony.

Jeden oddział z Sydborem puścił się ścigać Wigmana, o którym wiadano, że prowadził Wolińców. Mieszko nie chciał mu dać ująć i byłby go sam pędził, gdyby mu fałszywie innej kupki nie wskazano, w której się miał comes znajdować. Pogoń ta, rozpoczęta około południa, przeciągnęła się do wieczora.

Następowali Polanie na Wigmana i tych, co przy nim byli, ale go ująć, ani zabić nie mogli. Zmniejszała się gromada jego towarzyszków, wołano nań, aby się poddał, krew mu z ran ciekła, lecz krewniak cesarski z dumą swojego rodu ginąć wołał, niż temu tłumowi zdać oręż i życie na łaskę... Krok w krok szli za nim zmęczeni jak on, ale równie chciwi pochwylenia go, jak on ocalenia, napastnicy; lajano się wzajem po słowiańsku i niemiecku... i mrok padał, a końca tej walce upartej nie było. Wigmanowi udało się nieco oddalić od pogoni, pomogły mu gąszcze w lesie, zdawało się, że ująć potrafi. Ziemia już był zginął, Hłaska się odbił w pochodzie, został on sam, a z nim Hatton tylko, który go i tu nie chciał opuścić.

Nadeszła noc i ciemność...

Jeszcze na prawo i w lewo słyszeli przedzierających się tych, co ich ścigali, ale wkrótce ucichły głosy, i Wigman padł na ziemię napół żywy. Ostrza włóczni tkwiły w jego kaftanie i krew się z pod nich sączyła.

Z niecierpliwością wyrwać je począł Wigman, choć nowej przyczyniał boleści. Ranny Hatton przywłókł się, chcąc go ratować, lecz siły już sam nie miał, upadł u nóg jego i ducha wyzionął.

Wigman popatrzył nań, jakby na wiernego psa ubitego na łowach, w oku mu się zakręciła łza, rękę drżącą przyłożył do jego czoła. Oblane było potem, ale już zimne, stygło bardziej pod jego dłonią.

Został sam, ranny, z poszczerbionym mieczem, nie wiedząc, gdzie był i co miał począć z sobą. Umierać tak w lesie, na pustkowiu, czy usiłować się jeszcze ocalić? Dokoła cicho było, las tylko szumiał i czasem niezrozumiały krzyk ptaka, jakby czemś zbudzonego, przerywał głuche milczenie.

Wigman pozostał tak długo, patrząc na trupa sługi, rozciągniętego u nóg swoich, to na niebo, które gdzieś tam z między gałęzi świeciło gwiazdkami. Sam nie wiedział, jak długo tak leżał, aż gdy

powstać zapragnął, uczuł się złamanym i bezsilnym. Uśmiech wykrzywił mu usta białe; zmógł się na ostatki mocy i poruszył na mieczu. Powolnym krokiem począł się sunąć, nie wiedząc, dokąd go doprowadzi dalsza nocna ucieczka. Bojowe krzyki, hasła, nawoływania, — wszystko ucichło. Las tylko szumiał nad głową i wiatr czasami przerzywał się przez gałęzie, jakby duchy w polocie uderzały o nie.

Wigman już nie miał nadziei ocalenia życia, ale cześć swą rycerską ocalił, miecza się pozbył, z ran płynęła krew, lecz do niewoli się nie dostał... Chciał pomodlić się i skonać gdzieś spokojnie, chciał... sam już nie wiedział czego. Instynkt jakiś kazał mu szukać przytulku. Włókł się więc lasem, trzymając skraj jego, podpierając na skrwawionym mieczu, myśląc o Hattonie, którego ciało zostało bez chrześcijańskiego pogrzebu.

Myśliwy i wojak trochę, znał niebo i gwiazdy, bo się po nocach nieraz przez puszcę przedzierał. Na niebie wóz północny wskazywał mu zbliżanie się poranku, ku wschodowi biała luna, poprzedzająca dzień, się zarysowała. Nie wiedząc, dokąd, szedł dalej Wigman, niekiedy odpoczywając przy drzewach, gdy w dali na wybrzeżu lasu zdało mu się, że ujrzał zagrodę. Zbliżając się, rozpoznał wistocie wysokie ostrokoły, które ją otaczały, dach okryty dranicami, drewniany dymnik i żóraw studni.

Pragnienie go paliło.

Około chaty cisza panowała i nierychło, gdy się ku niej zbliżał, psy ujadać zaczęły. Głos ten był mu prawie miłym, zwiastował ludzi... mógł się znaleźć ktoś liतोściwy.

Wigman stanął u wrót zamkniętych, z których drugiej strony zebrane psy wrzawę nań ogromną podniosły. Skrzypnęły drzwi chaty i wyszedł człowiek. Dniało już, mógł więc dojrzeć tę postać olbrzymią, która się wniόcia dopraszała, milcząc.

Była to chata słowiańskiego ubożego ziemiani-na, jak wszystkie stojąca otworem dla każdego pro-

szącego o schronienie. Gościnność była u Słowian prawem, z którego i wroga nie wyjmowano.

Z siernięgą narzuconą na plecy wyszedł milczący gospodarz otworzyć wrota. Spojrzał na okrwawionego rycerza, poznał w nim Niemca i nie mówiąc, poprowadził za sobą. Psy, zdala idąc za nim, ujadły i wyły.

Slaniając się, przywłókł Wigman do wnętrza chaty, gdzie już od węgla w ognisku zapalono łuczywo; obejrzał się tylko i rzucił na ławę. Krew po nim ciekła, wyglądał straszno i gospodarz, ujrawszy go, ręce zalał.

Podparty na stole Niemiec spoczywał, ręką tylko wskazał, że ma pragnienie. Przyniesiono mu wody.

Gdy się to działo w chacie, a psy się jeszcze uspokoić nie mogły, na podwórku wrzawa powstała.

Wigman, usłyszawszy ją, słabą ręką porwał za miecz, który przy sobie postawił; chciał wstać, ale sił już nie miał.

Wtem w progu chaty pojawili się ścigający nie-dobitków po lesie Mieszkowi ludzie, kilku prostych ciurów. Od progu też dał się słyszeć krzyk radosny; mieli go nakoniec w ręku.

Z podniesionemi pałkami i oszczepami poczęli się cisnąć, otaczając Wigmana, który, miecz podniósłszy z za stołu, groził im jeszcze.

Naczelnik wołał, aby się poddał.

— Ja? wam?... nigdy!... niech tu przyjdzie wasz kneź sam, tylko jemu jednemu miecz oddam... a nie, bronić się będę do ostatniego tchu i kropli krwi... Precz, hałastro!...

Na chwilę wstrzymali się ludzie, lecz wnet poczęli znowu naciskać, i jeden z nich pałką się na Wigmana zamierzył, który oburącz miecz chwyciwszy i pałkę odbił i miecz zakręcił.

Ta rozpaczliwa obrona wstrzymała napaść. Nie było potrzeby nieszczęśliwego dobijać, kiedy cały krwią był okryty i chwiał się na nogach; poczęto szukać starszego i słać za Sydborem, który był blisko.

Mieszkowi żołnierze zostali tak w pewnem oddaleniu, szanując nieszczęście w człowieku, którego chwile były policzone.

Wigman słabł widocznie, lecz oczy mu jeszcze świeciły groźnie i twarzą zdawał się napastnikom uragać.

Trwało to chwilę, gdy Sydbor nadbiegł śpiesznie, przebił się przez kupkę ludzi i stanął naprzeciw Wigmana.

— Poddaj się, lub zginiesz!...

— Ktoś ty?—zapytał comes.

— Brat Mieszka.

Nastąpiło milczenie. Wigman popatrzył na swój miecz obłany krwią, chwycił go za ostrze i rękojeścią wyciągnął do Sydbora. Oczy mu znowu zapalały dziko i wargi się trzęsły.

— Oddaj ten miecz zwyciężonego Wigmana panu swojemu—rzekł—i powiedz mu, niech go odeśle przyjacielowi swojemu cesarzowi, Otto wdzięcznemu mu będzie za to... i wynagrodzi go pewnie.

Gdy Sydbor, wpatrując się w niego ciekawie, stał, miecz biorąc, Wigman szepnął:

— Dajże mi umrzeć spokojnie..

I jak stał za stołem, posunawszy się jeszcze, padł na kolana na ziemię, złożył ręce i głośno po nie-miecku modlić się zaczął.

W tej przedśmiertnej modlitwie było coś tak przejmującego, że ludzie wszyscy ustąpili się z drogą i poszanowaniem od niego. On nie widział już ich i nikogo, modlił się gorąco... Ze krwią razem płynęły mu łzy, a z ust dobywały się niezrozumiałe wyrazy i głębokie westchnienia; kilkakroć dłonią okrwawioną uderzył się w piersi, poczem czoło spart na skrzyżowanych dłoniach, zasłonił oczy, jak ci rzymscy gladyatorowie, co rzucali na twarz kraj szaty, aby się nie wydać z bólu wyrazem... nie widać było nic, tylko drżące dłonie i zbielełe czoło. Zsunął się powoli na ławę i skonał.

Tam, gdzie siedział i klęczał, stała kałuża krwi skrzeplej.

Sydbor i wszyscy świadkowie tej śmierci długo stali, wpatrując się w nieszczęśliwego. Dzień się robił coraz jaśniejszy i do chaty zaglądał już, gdy załętniło i kneź Mieszko z drużyną podjechał pod zagrodę. Wybiegł Sydbor, miecz Wigmana niosąc i winszując mu zwycięstwa.

Wolińcy byli na głowę pobici, poszli w rozsypkę i mnogim trupem usłali pobożowisko — najniebezpieczniejszy z nieprzyjaciół Wigman nie żył.

Mieszko wszedł spojrzeć tylko na trupa, zmierzyl oczyma tę dumną, nawet w chwili zgonu postać i nie rzekłszy słowa, chatę opuścił, nakazując pogrzeb przystojny nieprzyjacielowi.

Wkrótce około zagrody zbierać się zaczęły rozproszone oddziały, które przez noc całą ściagały uchodzących. Ziemko i Hłaska polegli oba, zwycięstwo było zupełne i na długo trwogą napelnić mogło nadodrzańców.

Czeši i Polany zebrali się tu znowu, znosząc łupy i obliczając straty, które bardzo szczupłe były. Zdobyczy nie wzięto wielkiej, oprócz silnego niewolnika i niewiele wartego uzbrojenia.

Odpocząwszy nieco, kneź zdał dowództwo Sydborowi, napowrót ciągnąc mu kazać do Poznania, a sam w kilkanaście koni tylko puścił się przodem, zabrawszy z sobą Wigmanów miecz, jako zwycięstwa swojego pamiątkę.

Tak skończył niespokojny ów warchoł, który z Geronem razem napadł naprzód Polan, potem na nich wiodł Wolińców, wojował za cesarza i przeciw niemu, ze Słowian i za Słowian... i nigdzie nie znalazłszy spokoju, musiał umrzeć, aby przestać mącić go drugim.

Naprzeciw zagrody słowiańskiej usypano mogile comesowi, na której krzyża nie było komu postawić.

Cesarz, dowiedziawszy się o tem z pogranicza, nie rzekł nic, żal mu go było może...

Nazajutrz w Regensburgu uroczyste za duszę grafa odprawiono nabożeństwo.

X.

Jak niegdyś ojciec Własta przyjmował na Krasnejgórce swych powinowatych i sąsiadów, gdy mu syn powrócił, tak teraz jesienią o. Matja na dzień Wszystkich Świętych zaprosił chrześcijan nawróconych do siebie, aby z nimi razem nabożeństwo i skromną odprawili biesiadę. Nie potrzebował się on tać ze swą wiarą, która codzień jawniej po całym kraju występowała, ustaly nawet nadzwyczajne ostrożności, gdyż nie zdawało się, ażeby gorliwsi bałwochwalstwa wyznawcy śmieli się porwać na chrześcijan, do których kniahini, znaczna część dworu jawnie, a kneź też, choć nie ogłaszając się z tem, należał.

Bałwochwalstwo ustępowało mileżące, strwożone, ale się tuliło uparte tam, gdzie je dosięgnąć było najtrudniej... w lasy i niedostępne uroczyska.

Tu, kto z nowych apostołów śmiał się puścić, niosąc krzyż i ewangelję, znajdował opór tak groźny, iż życie unosząc, uchodzić musiał. Gdy w pobliżu grodów już wszystkie na drogach bałwany, oznaki pogaństwa, poobalano — dalej w lasach strzeżone były pilnie i żadna ich ręka nie tknęła.

Gromady starców, bab, parobków w paki pozbieranych, obsiadały brzegi świętych strumieni, rozdzoła, dęby, i przystępu do nich broniły.

W lasach między Gnieznem a Poznaniem — na miejscu wywróconych bogów, kryjomo stawiano krzyże, ale nazajutrz znajdowano je polamane i polalone.

Nigdzie do tej walki nie występowano jawnie, a jednak nie ustawała ona, ciągnąc się nieprzerwanie... Chrześcijaństwo zyskiwało wyznawców — bałwochwalecy coraz się do rozpaczliwszej pobudzali obrony...

Dom Własta, do którego oprócz nowych chrześcijan, nikt prawie nie zaglądał, przybrał postać nową i miał wszystkie oznaki, jakie mieszkania chrześcijan na zachodzie odróżniały.

Znikły dawne uzbrojenia, rynsztunki, luki i tarcze, które Jarmierz pochował do komór. Ojciec Matja uczynił klasztor niemal ze swojego dworu. Sam teraz przywdział ciemną suknię, podobną do tych, które nosili synowie Św. Benedykta na Monte Cassino, u których czas jakiś przebywał — a izby przybrał jak cele klasztorne w wizerunki Zbawiciela, w bizantyskie obrazki Matki Jego, w krzyże i godła wiary swojej. U każdych drzwi wisiała przybita kropielnica... a kaplica, coraz nowemi zbogacana nabytkami, świeciła kosztownym sprzętem i bogatemi aparatami. Ołtarz umajały kwiaty, zmieniane codziennie. Przed nim ojciec Matja modlił się za duszę ojca i za nawrócenie kraju, którego miłość była dlań pobudką nieustannego apostołstwa.

On i ks. Jordan, kilku Czechów, którzy im pomagali, nauczali codziennie gromady tych, co już chrzest przyjąwszy, napół jeszcze bałwochwalcami pozostali. Wielu tu wiarę, jak szatę nową wdziewało obojętnie, a żyli starym obyczajem, usiłując z sobą pogodzić nieodżałowaną przeszłość z nieuniknioną przyszłością.

Choża już także z rąk brata przyjęła chrzest i zwała się Hanną. Jarmierz wziął imię Andrzeja, ślub połączył tę parę, którą Włast uczynił u siebie gospodarzami, lecz i z tymi najbliższymi też same miał ojciec Matja trudności co z obcymi. Powoli krzewiła się wiara, niełatwo przyswajano jej obowiązki.

Jesień już późna na uroczysty ten dzień Wszystkich Świętych obdarzyła niezwykłym ciepłem i po-

— Pokłonić się nam trzeba wprzód duchowi tego gospodarza, co tu pierwszy ze krwi naszej gościł.

I szedł potem, prowadząc żonę, a Sydbor, jakby domyśliwszy się, poprzedał ich przez izby i komory. I obeszli tak całą jedną połąć grodu aż do drzwi, które stały zaparte. Sydbor je otworzył...

Komora była niewielka, podobna do świetlicy w ubogiej chacie. Ława i stół w niej tylko!... Na przeciw wnijsia na ścianie, oponą bogatą, jak królewską szatą, wisiało coś osłoniętego.

Mieszko widocznie wzruszony, zdjął kołpak z głowy, a Sydbor na dany znak, przystąpiwszy do ściany, oponę zwolna odgarnął.

Spodziewała się może kniahini ujrzeć jakiegoś bogactwa, lub coś nadzwyczajnego... U ściany wisiała prosta szara siermięga, lipowe kurpie i kobiałka, a pod niemi stał ul pusty...

— Miłościwa pani — odezwał się Mieszko — Piastowa to pradiadowna kmiecia odzież, od której go wzięto na stolicę... Nam ją wnukom zostawił, abyśmy nasz początek i wyjście pomnieli.

To mówiąc, kneź ujął w ręce kraj starej szaty i pocałował ją, a za nim Sydbor; — Dubrawka stała nieco opodal.

— Nie zachowali my na Hradzynie Przemysłowego pluga, miły panie, ale Piastowa siermięga i ul na równi z nim w pamięci wnuków zostaną!

Sydbor zasłonę ściągnął, Mieszko wyszedł smutny. To wspomnienie przeszłości było dlań może wyrzutem w chwili, gdy mu się zdawało, że ją zdradził i że się jej wyrzekł. Zawahał się, czując chwilę stanowczą nadchodzącą.

Dubrawka zdawała się myśli jego odgadywać, i gdy dochodzili do izby, w której starszyzna czekała, zaledwie mruczając pocichu, — odezwała się do knezia...

— Szkoda, żeście z sobą do tej komory nie wzięli

ks. Jordana; — niechby ową siermięgę święconą wodą pokropił — a lżejby na sercu wam było...

Wchodzili już do izby, witani znowu pokłonami niskimi... a że mrok był, pacholeta wniesli pochodnie i ucztą się rozpoczęła.

Nie było niewiasty nad Dubrawkę miłszej, gdy gośćmi otoczona, wesele w nich i dobrą myśl dostrzegła. Naówczas śmiały się jej usta i oczy, i pobudzała drugich, wyzywała a ochoty dodawała. Nikt u niej nie widział czoła pochmurnego, ani ponurej twarzy, przez co i drudzy się też ożywiali i ośmielali.

Umiał kto pieśni, — kazała śpiewać; proszono ją, chętnie nuciła swoje czeskie stare, w których ludzie jakby zapomniane swoje własne znajdowali. Czyniły one takie wrażenie u Polan, — jak gdyby je kiedyś w dzieciństwie, czy na drugim świecie jakimś słyszeli... a teraz je dopiero sobie przypominali. Gdy nad Weltawą pieśń przezimowała ciężkie lata i z wiosną się obudziła — tu — nad Wartą i Wisłą, zmroził ją jakiś podmuch — czy wyzęgła wojna.

W wielkiej izbie wesoło było dziwnie... ale Mieszko siedział smutny... czy mu na oczach stała Piaśtowa siermięga, czy śmierć Wigmanowa — czy to, co jutro przyjść miało...

Przez otwarte okna coraz to się dawał słyszeć trzask jakiś dziwny, na który nikt może nie zważał, oprócz Mieszka. Ile razy doszedł uszu jego, kneź się wstrząsnął, popijał i wodził oczyma jakby przestraszonymi.

Gdy tu biesiadowano wesoło, w podwórzu działo się coś, na co ludzie, stojący na wałach dokoła, z przerażeniem patrzali.

Kupka obcych jakichś, którą kneź wysłał przodem, przystąpiła do starej kontyny. We drzwiach jej stało dwu dziadów na kijach opartych. Starszyzna jakiś odezwał się do nich:

— Idźcie sobie, starzy, nie macie tu już co robić, ni czego strzedz. Skarb wzięty na dworzec, a chramowi przysła ostatnia godzina.

Dwaj dziadowie słuchali, jakby nie rozumieli, spojrzeli potem po sobie, i milcząc, weszli do środka. Za zasłonami stał stary drewniany kłoc, podobny do jakiejś nieforemnej człowieczej postaci, obwieszony blachami i kawałkami zbroi. Z jednej strony przy-mocowana była dzida, z drugiej tarcza bogata. U nóg posagu stały ofiarne naczynia.

Dziadowie przyszli do stóp posagu i posiadali na ziemi.

Człowiek, który kazał im ustąpić, poszedł powoli za nimi.

— Ustąpić! — zawołał. — Rozkaz knezia! idźcie stąd, nie macie tu już nic do roboty!

Starcy ze spuszczonej głowy nie odezwali się ani słowa. Ten, co ich chciał wygnać stąd, poczekawszy nieco, zniecierpliwiony, jednego z nich za ramię chwycił i szarpnął. Dziad się pochylił, starał oprzeć, obalił, podniósł i siadł znowu. Łajanie, groźby, nic nie pomagało.

Musiał wyjść i zawołać ludzi, którzy, do starych się zbliżywszy, gdy inaczej wyprzeć ich stąd nie było podobna, musieli za bary pochwycić i mimo oporu wyrzucić za drzwi kontyny. Lecz zaledwie wypchnięci, oba wrócili i pokładli się przy posagu, wyciągnięto ich raz jeszcze i związanych zaprowadzono gdzieś na dworzec.

Na wałach jak mur stali ludzie milczący: patrzali mimo ciemnej nocy i ktoby mógł usłyszeć głosy, co stamtąd płynąc, z wrzawą biesiadną się mieszały, rozeznalby w nich jęki i płacze, ale ciche i stłumione...

Co się działo wewnątrz kontyny, nie widział nikt; wynoszono z niej, wytaczano, zabierano sprzętu resztę. Słychać było, jak się darły zasłony i stanęły nagie słupy, a na przestrzał pod dachem szopa pusta. Wtem głucho uderzenia siekier dały się słyszeć, a każde z nich odezwało się w sercach tych, co na wałach stali. I były siekiery długo, pękły, a czarny dach chramu, zdało się, że się wali.

chylił, chwiał — potem odskoczyli ludzie, cała stara budowla z trzaskiem wielkim runęła na ziemię. Głośniejszy jeszcze od niego był jęk, który przebiegł po wałach: świat się to walił stary! Ludzie oczy pozakrywali i płakali.

Ze dworca, mimo łomu tego i wrzawy, nikt nie wyszedł; pacholkiwie z zewnątrz zasuwali okiennice. Została kupa rumowiska, w której gdzieś jeszcze coś chrupnęło, obsunęło się głębiej i zapadło.

Ludzie długo nie przystępowali do tej ruiny; dopiero gdy starszy wskazał, rozpoczęła się szybka robota. Chwymano i wyciągano belki, rozrąbano krokwie, wleczono słupy, oczyszczano miejsce, na którym stała kontyna. Parobcy zwołani dźwigali to i składali na kupę pod wałami, które gromady ludu zalegały. Nie ruszał się nikt zrazu, potem w mroku jak mrówki zaczęli się tłumem spuszczać ludzie z okopów i unosić te szczątki. Ledwie się to rozpoczęło, w mgnieniu oka posypali się z innych stron drudzy, i belki, słupy, resztki dachu, wszystko, co zostało, — znikło! Tysiące rąk podawało sobie te pokruszone części chramu, które gdzieś w ciemnościach nocy tonęły.

Tylko na wałach, w cichych gromadach ruch się wziął jakiś, pośpieszny, gorączkowy, nieustanny. Jedni na dół się spuszczały, drudzy pędzili do góry, mijając się w milczeniu. Straż i ci, co znosili drzewo, chcieli się opierać tej kradzieży. Tłum milczący nacisnął ich, otoczył, skupił się, objął tak, że z trudnością wyzwolić się potrafili. Z wałów stoczyli się ci niemi ludzie ku rumowisku i wprost z niego chwyтали, unosząc, co leżało jeszcze. Ci, którzy obalili chram, musieli milczący i bezczynni pozostać na boku, nie śmiejąc się już ruszyć. Z rąk im wrywano drzewo; krzyżeć i wołać pomocy nie śmiali się, stąpali więc, czekając, aż rabunek się

zmniejszał w mgnieniu oka; najcięższe wały się gdzieś w ciemności i przepadały

w nich. Została kupka kamieni tylko i te potoczyły się ku wałom, tylko poruszona ziemia, węgle i trzaski okrywały plac i tłum z wałów odpływać począł.

Zdała widać było gdzieś niegdzie małe kupki, potem nikogo więcej. Stary chram zniknął bez śladu.

Gdy po długiej uczcie wyszła starszyzna z dworca, rozgrzana miodem i rozradowana przyjęciem, wszyscy stanęli i oniemieli na widok pustej przestrzeni, gdzie przed niewiele jeszcze godzinami stał chram stary. Spojrzeli po sobie długo, milcząc i cicho rozchodzić się zaczęli.

Po wałach czuwały zbrojne straże i wszystek lud wojenny gotowy był, jakby nazajutrz wybierano się na wyprawę. Noc przeszła na czuwaniu w grodzie i mieście; tylko Mieszko legł spać, nie troszcząc się o nic. Dodnia już był na nogach. Ze dworca wychodził on, Dubrawka, Sydbor i ks. Jordan w białej sukience, włożonej na czarną, którą zwykle nosił. Za nim chłopak dźwigał spiżowe naczynie z wodą.

Mieszko wyszedł z dworca, oczyma potoczył dokoła. Świątyni dawnej nie było ani szczątki, znikło nawet to, z czego była zbudowana. Noc, jakby cudem, uprzątnęła miejsce, zmiotła okruchy nawet, tylko świeżo ruszona ziemia znaczyła plac, gdzie niegdys stał chram Jessego.

Wolnym krokiem zbliżyli się wszyscy ku miejscu, które już ks. Jordan, przodem pośpieszając, kroił wodą święconą. Kneź się obejrzał dokoła: na grodzie nie było nikogo, prócz zbrojnych ludzi i dworu.

Obcy człek z odkrytą głową zbliżył się pokornie, w rękę trzymając miarę; za nim postępowało kilku pomocników. Razem z księdzem Jordanem poszli odmierzać plac i zakreślili na nim wielki krzyż, który białymi kółkami wytknięty, zdała być widoczny. Godło zbawienia leżało w rozmiarach olbrzymich na poświęconem miejscu, a Dubrawka, przeżegnawszy się, wskazała środek krzyża.

— Tu będzie mój grób! — rzekła.

Mieszko milczał.

Gdy odstąpili, wracając ku dworowi, do knezja zbliżył się jeden z jego komorników.

— Miłościwy panie — odezwał się cicho. — Dwaj starzy od chramu leżą powiązani, co zrobić każećcie z nimi? Wczoraj bronili przystępu, nie można było ich odegnąć.

Kneź myślał, zniżył głos, obejrzał się ku księdzu i żonie, jakby się lękał, aby go nie posłyszeli..

Weźmijcie ich na wóz, nakryjcie słomą, wywieźcie gdzie do lasu na uroczysko i wyrzućcie — rzekł i odwrócił się szybko; niewesoło mu z oczów patrzyło.

Dubrawka przysła i rękę położyła mu na ramieniu.

— Panie mój miłościwy! — radować się i cieszyć macie, boście wielkiego dokonali dzieła.

— Nie dokonaliśmy go jeszcze — szepnął Mieszko, — nie dokonali, a już boli; cóż będzie, gdy się spełni?

— Wówczas boleć przestanie — dodała Dubrawka śmiało, — a im prędzej to uczynicie, będzie lepiej.

Kneź swoim zwyczajem, nie odpowiadając nic, na Sydbora spojrział, który także stał pół wystraszony, pół smutny i weszli obaj do dworca.

Na owym rozpiętym krzyżu, który wodą pokropił święconą, klęczał ks. Jordan i modlił się. Nie obchodziło go to wcale, iż ludzie, poganie w wielkiej części, patrzali nań z podziwem i zabobonną trwogą. Ta modlitwa dziękczynna była potrzebna jego duszy, powstrzymać się od niej nie mógł. Z rękami zaciśniętymi, oczyma wlepionymi w ziemię, na której klęczał, modlił się płacząc, jakby chciał wszelkie nieszczęścia od tego poświęconego przez się miejsca odegnąć i sprowadzić nań błogosławieństwo Boże po wiek wieków.

Tymczasem obcy ludzie, co mierzyli i wytykali, jakby zagrzani jakimś zapalem, ruszyli się ku sto-

som przygotowanych kamieni; drudzy już z łopatami stali, gotowi kopać. Ks. Jordan klęczał jeszcze. Gdy wstał i pobłogosławił na cztery strony plac, dano znać i dokoła posypała się ziemia. Mieszko i Dubrawka już odjeżdżali, ks. Jordan z nimi, — Sydbor przeprowadzał brata.

XI.

Tak się przygotowywało wprowadzenie wiary chrześcijańskiej do kraju i Dubrawka co chwila się spodziewała, że nareszcie krzyż zatknięty zostanie na dachu pierwszego kościoła. Im bardziej jednak zbliżała się ta chwila, tem Mieszko dziwniej ociągał się i odkładał krok stanowczy. Ile razy wyruszył na łowy, spotkał w drodze lud, popatrzał na chmurne twarze, pomówił z ziemianami, którzy od wpływu dworu byli dalecy, wracał jakby niepewny i wahający się znowu, a gdy kniahini pytała go o ów zapowiedziany chrzest uroczysty, — nie odpowiedział jej nic.

Ks. Jordan, wzywany do narady, radził czekać i nie nalegać; — zdało mu się, że sama potrzeba zasłonięcia się od Niemiec i przymierza z cesarzem zmusi do chrztu i otwartego krzewienia wiary.

Wprawdzie nie ukrywano się z nią, opiekowano nawróconymi, odprawiano nabożeństwa, ale sam kneź nie był już ani poganinem, ani chrześcijaninem jeszcze. Wielu rzeczom się opierał, a bardzo wielu rozumieć i słuchać nie chciał. Samowola, do której nawykł przez całe życie, poddanie się prawu czyniła dlań nieznosnym. W duszy może nieraz lepiej rozumiał opór ludu, dla którego był pobłażającym, niż przymus, jaki nań wywierano.

Ks. Jordan był cierpliwy. Dubrawka, mimo postanowienia, coraz się więcej zżymała na męża; zwłaszcza, że z Czech szły ciągle zapytania o chrzest

i S. b uroczysty, o ogłoszenie chrześcijańskiej wiary głośnie i jawne, na które nie wiedziała już, co odpowiadać. Tymczasem jej staraniem nawróconą została Górka, a za nią poszedł niemal cały dwór jej, oprócz starej Srokichy, która uciekła naprzód na Krasnogórę do wychowanka, a tam znalazłszy wszystko do niepoznania zmienionem, płacząc, schroniła się gdzieś do lasu. Napróżno Włast usiłował ją wstrzymać, wyrwała mu się jednego ranka i więcej już nie powróciła.

Przez całą zimę trwało to naleganie ze strony kniahini i milczenie uparte samego pana. Dubrawka, niecierpliwa i żywa, z trudnością znosiła upór mężowski, nie mogąc nawet odgadnąć jego myśli. Nie przeciwil się nawracaniu, czasem karał tych, co chrześcijanom krzywdy wyrządzali, lecz niekiedy brocił naglonych do przyjęcia chrztu i nie podzielał wcale gorliwości córki Bolesława, która w tym pogańskim jeszcze świecie nieustannie myślała tylko, aby wszystko dawne obalić. Gdy Mieszko obojętnie jakoś czekał i przeciągał, jej wysłańcy pokryjomu obalali posągi, palili kontyny i po nocach zatykali krzyże—lecz napróżno.

Po nowym roku raz jeszcze kniahini poczęła prosić męża, aby dotrzymał słowa. Mieszko znowu zmlezał, a gdy naciskać zaczęła nań, wyszedł, nie nie przyrzekłszy.

Kneź był dobrym mężem, ale niewieście nie przyznawał prawa rozporządzania się w domu. Gdy go nagliła bardzo, miał zwyczaj żartobliwie odsyłać ją do wrzeczona i krosien.

Zima była ostra w tym roku, dzień po dniu jednak jeżdżono na łowy. Mieszko wyruszał często przededniem, bawił długo i ledwie wróciwszy, wybierał się znowu.

Raz, gdy z takich łowów wrócił na zamek późną nocą, a kilkoro sań przywiozło za nim zwierzynę, w komorze, do której wszedł, znalazł na sobie oczekującego Dobrosława.

Zaczął mu opowiadać o łowach i ostatnim dziku, którego ludzie żywcem wzięli, gdy spojrzawszy w twarz swojemu słudze, postrzegł na nim oznaki jakiegoś niepokoju. Nienawykły do milczenia, spytał zaraz,—czy się co we dworze nie stało?

Dobrosław zwlekał z odpowiedzią.

— Miłościwy kneziu—rzekł wreszcie—skinąwszy wprzód na komorników, aby odeszli—nasza kniahini wybiera się w drogę...

— Dokąd? kiedy?—spytał kneź.

— Przyjechał z Pragi poseł... nie wiem, co przywiózł z sobą, — każano wszystko do podróży spsobić...

Ponieważ noc była późna, Mieszko, nie pytając ani dowiadując się więcej, legł na spoczynek.

Nazajutrz raniej niż zwykle był na nogach. Wistocie w dworcu Dubrawki ładowano juki i skrzynie i wynoszono je w podwórze; widać było ludzi śpiesznie się uwijających i ruch niezwykle. Posłał Mieszko natychmiast po Różanę.

Zdaje się, że stara pani już się tego spodziewała, bo mimo rannej pory weszła ubrana starannie we wszystkie błyskotki, które lubiła.

— Co się u was dzieje?—zapytał kneź.

— A! miłościwy panie! miłościwy panie... — do nóg się kłaniając i przystępując blisko, jak do poufnego zwierzenia Różana—co się u nas dzieje?... tracę głowę! sama nie wiem... Zamęt... Wczoraj przybyli Czechy do miłościwej pani, mówiła z nimi długo na osobności. Nie mam tego zwyczaju, żebym posłuchiwała... nie wiem nawet, co mówili... Ale szep-tano długo, długo, a potem miłościwa pani wyszła i kazała wszystko swoje, co przywiozła z Pragi, ładować i wiązać wszystko... wszystko... Kneź może odgadnąć, co to znaczy? Ja stoję i patrzę... kniahini ma swoje niewiasty czeskie, którym się zwierza... na mnie ledwie rzuci okiem... Nigdy nic nie wiem!...

Różana załamała ręce.

Mieszko popatrzał na nią i skinieniem ją odprawił.

Czekał na to, aby mu Dubrawka sama przyszła wytłómaczyć, co znaczył ten wybór w drogę; godzina upłynęła jeszcze. Naostatek weszła Dubrawka, ale nie jak zwykle z twarzą wesołą i obliczem rozpromienionem — niespokojna, smutna i widocznie poruszona.

Mieszko ręką jej wskazał w podwórze, jakby zaptywał—co to jest?

Dubrawka patrzała nań.

— Posłałam do Pragi, aby po mnie ojcowscy ludzie przybyli... wrócę do rodzicielskiego domu. Dłużej tu nie mogę zostać...

Strzymała się nieco i ciągnęła dalej, patrząc na męża:

— Wstyd mi... widzicie, że noszę wianek dziewiczy na głowie, bo uroczystego chrztu i zaślubin nie było. Nie mogę powiedzieć, żem żoną twoją... Wobec chrześcijan córka Bolesława jest tylko twoją ulubienicą, jak te dawne Lilje i Luby... a córka Bolesława Lutego, wnuczka Przemysławów, nie może nią być i nie będzie! Wolę powrócić do domu, niż dłużej to cierpieć i sromać się przed moimi pogaństwem a takiego życia Pojadę do domu! — powtórzyła.

Stał Mieszko zdziwiony i niemy—Dubrawka prawie płakała... ale nie chciała dać poznać po sobie, że na lzy się jej zbierało.

— Nie pojedziecie!—odparł Mieszko.— Musieliby po was całe czeskie wojsko przysłać, inaczej ja nie puszcze!

— Ucieknę,—a tak w grzechu i wstydzie żyć nie będę!—dodała Dubrawka.

Kneź, ramionami ruszywszy, siadł na łożu i zadumał się.

— Słowo dałem i strzymam; — odezwał się. — Wiem co czynię.

— Miłościwy panie, i ja wiem, czego żądam... czekałam z pokorą... czas albo mnie nazwać żoną lub opuścić ze wstydem.

Wstał kneź z wolna, zadumał się — przystąpił do płaczącej i rzekł:

— Gdy pierwszy skowronek zaśpiewa, upadnie reszta chramów i w Gnieźnie krzyż zatknem. Gdy pierwszy skowronek zaśpiewa—powtórzył.

Dubrawka plasnęła w ręce i oczy jej zaświeciły...

— Na nowego Boga twojego, na Chrystusa, który wiarołomnych karze, przysięgnij mi — zawołała — i z szyi zdejmując krzyżyk, podała mu go: — przysięgnij!

— Przysięgam—rzekł Mieszko.

Dubrawka rzuciła mu się dziękować; kneź siadł chmurny, nie mówiąc więcej.

Od tego dnia rozpoczęły się jawne przygotowania do większej uroczystości.

Posłowie czescy, odprawieni nazad do Pragi, mieli jeszcze raz przybyć ze skowronkiem razem... wioząc ze sobą świątobliwego kapłana Bohowida, który chrzest uroczysty Mieszka miał dopełnić.

W Gnieźnie, nad częścią już wznoszącego się nowego kościoła, naprędce kazano dach ukończyć, aby w tej pierwszej świątyni odbyć się mógł obrzęd chrztu. Ks. Jordan, ojciec Matja i inni duchowni zbierali tymczasem przygotowujących się neofitów, ażeby razem z knieziem jak największa ich liczba do chrztu stanąć mogła.

Na zamek gnieźnieński wieziono białe szaty i wszystko, co do świetnej uroczystości tej było potrzebnem. W tym samym dniu po całej ziemi oznaki bałwochwalstwa, posągi, słupy, kamienie wywrócone i zniszczone być miały.

Na grodzie poznańskim, gdzie dawno już stary chram stał pustkami, obalono go jednego dnia, wobec wszystkich, nie znajdując żadnego oporu, bo dwór i wojsko już wcześniej całe prawie do przyjęcia chrztu było przygotowane.

Tegoż dnia poświęcił ks. Jordan pierwszy kamień kościoła, który miał się wzniesć na jego miejscu. Działo się to jawnie, bezkarnie, o starych wroźbi-

tach i gęslarzach słyhać nawet nie było; znikli gdzieś i nie pokazywali się więcej. Kraj był spokojny, lud milczący... księża przebiegali go bezpiecznie, ale u możniejszych tylko znajdowali gościnę i posłuch chętny — osadnicy ubożsi milcząc i obojętnie dawali im mówić, nie odpowiadając wcale; pomiędzy nimi nawrócenia były rzadkie.

Z pierwszym skowronkiem, po roztopach wiosennych przybyło czeskie poselstwo i Bohowid starszek, który dawne czasy pamiętał.

Dubrawka wyszła pieszo przeciwko niemu. Mieszko przyjął go ze czcią należną. Dwór, wojsko, co było chrześcijan i tych, którzy nimi zostać mieli, wszystko pierwszych dni marca pociągnęło do Gniezna.

Pochód był uroczysty, powolny i wspaniały, lecz drogi, któremi ciągnął — puste. Gdziekolwiek został jeszcze ślad pogaństwa, zatykano krzyże białe po drodze, które księża poświęcali.

Na wszystkich rozstajach, u źródeł, gdzie dawniej składano ofiary, wznoszono znamiona wiary. Nigdzie i nikt nie śmiał stanąć w obronie dawnych bogów. Na widok tego orszaku, któremu towarzyszyły czeskie poczty, — ludzie z pól uciekali i kryli się po lasach, gdzie milczenie szło za nim.

Na zamku w Gnieźnie wały i dworce pomieścić nie mogły natłoku. Tu zbiegło się wszystko, co pragnęło pod nową zaciągnąć się chorągiew, ziemiannę, władcy i żupanowie, wojsko całe, wreszcie namówieni i zjednani z ludu. Tym oddawna rozdawano szaty białe poszyte umyślnie, które kładli jako oznakę odrodzenia i oczyszczenia.

Gromadami stojących dokoła grodu kropili kapłani wodą i dawali imiona nowe. Dostojniejszych Czesi i Dubrawka we dworcu do chrztu trzymali. Naostatek przed świeżo wzniesionym ołtarzem z nowej jeszcze i nieskończonej świątyni, dla której relikwie z Pragi przywiózł Bohowid... Mieszko ochrzczonym został przez niego, i pobłogosławionym wraz

z Dubrawką... Sydbor i Górka przyjęli chrzest razem z nimi. Wspaniała uczta zakończyła ten dzień wielki, a nad dachem świątyni nowej jaśniał wysoko wzniesiony krzyż, który odtąd dziejom tej ziemi miał przyswiecać.

Zdawać się mogło obcym, patrzącym na ten spokój i ciszę, wśród których się odbył chrzest całego narodu, że nigdy może z większą uległością nie zmieniła się wiara od wieków wszczepiona na nową i nieznaną. Cieszyli się czescy kapłani i prorokowali przyszłość szczęśliwą, jeden Mieszko tylko wiedział, co znaczyło milczenie, to zaparcie tchu i zbieganie osadników w niedostępne lasy.

Ponieważ w głąb kraju dosięgnąć dla obalenia kontyn po lasach i bałwanów na polach a wzgórzach niełatwo było, nazajutrz zaraz wyznaczono oddziały zbrojne, które z duchownymi i przygotowanymi krzyżami wyruszyć miały, dotrzeć do znanych zakątków i tam wzniesić godła wiary.

Włast z chęcią ofiarował się do jednej z tych apostoelskich wycieczek za przewodnika. Pragnąc się na nią wybrać, natychmiast z Gniezna wyjechał do Krasnejgóry, dokąd po niego przybyć mieli ci, którym tu towarzyszyć kazano.

Przed wieczorem jeszcze, przebiegłszy całą przestrzeń, którą wczoraj pochód książęcy przybrał w krzyże nowe, ojciec Matja ze smutkiem mógł się przekonać, co znaczyło owo pokorne tłumów milczenie. Wszystkie krzyże leżały podruzgotane, popalone i zbezczeszczone; nie został żaden na swoim miejscu. Ludzie się nie pokazywali nigdzie.

Z bolesnem wrażeniem w duszy przybył Włast do dworu.

Wieczór był chłodny wiosenny; w progu domu zastał siedzących Hannę i Andrzeja.

Wyszli oboje na jego spotkanie, dowiadując się, co się w Gnieźnie odbyło i jak. Włast smutnie napół, wpół radośnie zaczął im opowiadać, jak świetnie chrzest się spełnił, jak mnogo ludu wdziało białe

le szaty, a jak podstępnie potem i sprośnie krzyże wystawione pozrzucano i zbezczeszczono w nocy.

— Ojcie mój — odezwał się nawykły tem imieniem go nazywać Jarmierz, — początek to dopiero... wszystkiego się jeszcze spodziewać można, i nie dziś tylko, ale przez długie lata... Kto wie, co nas wszystkich czeka...

Ojciec Matja chwycił go za rękę.

— A! nie!... — zawołał. — Teraz, gdy mamy prawo do tego, pojedziemy nauczać, objaśniać, nawracać. Ludziom się serca i oczy otworzyć muszą, tak jak się one wam otwarły na światło...

Jarmierz spuścił głowę i nie już nie odpowiedział.

Weszli do dworu, ojciec Matja naprzód do ołtarza śpieszył, aby się przy nim pomodlić. Hanna zastawiała skromną wieczerzę. Zasiadli do niej właśnie, gdy Jarmierz wstał jeszcze, aby pójść obejrzeć wkoło dwór i zobaczyć, gdzie byli parobcy i stróże.

Obchodził je tak zwykle co wieczora.

Tym razem dłużej go nie było z powrotem i Hanna poszła zobaczyć, gdzie się zabawiał tak długo.

Włast pozostał sam. Weszli nareszcie z powrotem, ale bledzi i strwożeni tak, że podniósłszy na nich oczy, brat spytał, co ich tak niepokoiło?

Jarmierz, odzyskawszy przytomność, zawołał tylko:

— Uciekaj!...

Nie zrozumiał tego zrazu Włast.

— Dwór otaczają ogromne gromady ludzi, które z lasu ciągną w milczeniu... Parobcy uszli wszyscy, niema nikogo do obrony... Uchodźcie trzeba, jeśli można...

Przeżegnawszy się, spokojnie ojciec Matja wstał z za stołu i wyszedł razem z Jarmierzem na podwórze.

Stąd już widać było od strony lasu i od pola jak mur w milczeniu stojące tłumy ludu, w którego pierwszych szeregach rozeznąć mogli starych dzia-

Ucieczka była już niepodobieństwem. Z tyłu, z przodu i po bokach, wszędzie opasywały ich te zastępy, o których zlej woli wątpić nie było można.

Włast uściśnął siostrę i Jarmierza.

— Uchodźcie — wyrzekł, — ratujcie się, wam przebaczą i nie uczynią nic... Mnie, co ma spotkać z woli Bożej, przyjmę jako nagrodę. Idźcie...

Hanna płakała. Jarmierz zaklął się, iż nie odstąpi brata.

Głuchy szmer, jakby warczenie dalekiej burzy, dochodziły ich uszów. Stali w przedsienu naprzeciwno wrót, na których oparty pokazał się Warga z rozczochranym włosiem. Zobaczywszy go, Jarmierz podbiegł ku niemu, lecz nim się zbliżył, starzec podniósł kij i krzyknął:

— Ubiję...

Pomimo groźby zbliżył się do niego nieustraszony człowiek.

— Czego chcecie? — zawołał.

— Przyszliśmy na wasze nabożeństwo! — zaryczał stary, — a że ciemno, my wam do niego poświęcimy...

To mówiąc, odstąpił od wrót.

Hanna jak obłąkana wpadła w głąb dworu, chcąc ratować brata i ciągnąć go z sobą. Na przestrzal przebiegli sieni domostwa. Z drugiej strony stał taki sam tłum gęsto zbity. Od lasu roilo się ciżbą. Jarmierz próbował się wydobyć przebojem, aby uciekłszy, sprowadzić pomoc, ludzie go pałkami wpędzili nazad na podwórze.

— Zniszczyć to gniazdo!...

— Z dymem ich puścić!...

Ojciec Matja postął chwilę, posłuchał, jeszcze raz uściśnął siostrę i poszedł do kaplicy. Tu klął przed ołtarzem, czekając śmierci. Jarmierz błagał jeszcze, próbując, ażali mu się wykupić lub wyprosić nie uda u ludzi, lecz odpychano go wszędzie, mówić nawet nie dając.

Niedługo potem z kilku stron dworu błysnął ogień i dym czuć było w powietrzu.

Podpalone dachy, popodkładane głównie pod ściany gorzały coraz większym płomieniem.

W chwili tej, gdy już żadnego nie było ratunku, Jarmierz przypomniał sobie jamę, w której niegdyś ojciec trzymał nieszczęśliwego Własta. Została ona przy odbudowaniu dworu pokryta dachem i mało komu była znana. Zdawało mu się, że do niej schroniwszy się, mogą ująć płomieni i śmierci, bo nawet gdyby lekki daszek zgorzawszy padł na nią, mogli się w wyżłobieniu pod ścianą przechować, pókiby tłuszcz nie odciągnęła, a ci, co na ich życie czyhali, sądzić mogli, że zginęli w płomieniach. Z tą myślą biegł do Własta.

Trudno było modlącego się oderwać od miejsca, na którym chciał zginąć, aby dać wierze swej świadectwo. Nareszcie zaklęcia i prośby wymogły na Właście, że się dał odciągnąć i uprowadzić.

Wszystko więc troje, niepostrzeżeni, bo lud nie napadł dworu, nie z niego tknąć nie chcąc, tylko żywcem spalić swe ofiary, spuścili się zwolna do tej kryjówki, tak Włastowi pamiętnej.

Los jego prowadził go znowu w to samo miejsce, na śmierć czy ocalenie... któż mógł przewidzieć?

Gdy Jarmierz, narzuciwszy mokrej słomy i mierzwy na wrota, zapuścił je na jamę, starając się ją ukryć przed oczyma napastników, — w ciemności i zamknięciu zrazu nie słyszeli, nie widzieli nic... wpadli jakby w grób...

Włast do modlitwy zachęcał. Klękli wszyscy, powtarzali za nim wyrazy, które wymawiał powoli.

Napróżno było nasłuchiwanie; głos żaden nie dochodził tutaj.

Zdawało się im, że wiek trwało to okropne milczenie śmierci, gdy nareszcie szelest jakiś i jakby szum dobiegł ich uszu.

Jarmierz poznał głos ognia, który się zbliżał. Gorzały dachy.

Ile razy, ciesząc się swem łatwem zwycięstwem, tłum ogromnym dzikim odezwał się krzykiem, echo jego głucho odbijało się pod ziemią. Gdy belki padać zaczęły z góry, — ziemia się kilkakroć wstrząsła. Zatętniało potem, jakby ciżba wpadła na pogorzelsko. Na wrota jamy, które tylko zgorzały, dach mógł ocalić, okrywając je, jeszcze się nie nie zważyło.

Powietrze robiło się duszne i ciężkie; Hanna z płaczu i trwogi mdlała, ale trwoga jej napowrót przytomność wracała. Włast się modlił. Jarmierz do wrót się przyczepiwszy, starał się śledzić postęp pożaru. Przez szpary przeciskało się światelko i dym wlokący po ziemi dusić zaczynał.

Śmierć szybką zmienili tylko na powolną męczarnię. Włast myślał o duszy już, nie o ocaleniu, rozgrzeszał siostrę, brata i modlił się za nich i za siebie.

Jak deszcz ognisty naprzód z dachu posypały się iskry, potem kilka krokwi przepalonych upadło na wrota, wreszcie część dachu, pod którą się znajdowały, runęła z łoskotem i przysypała je ognistymi węglami.

Śmierć zdawała się nieuchronną, gdyż oddychać już nie mieli czem... powietrza ubywało... gorąco dawało się czuć straszliwie...

Zdawało się słyhać było walenie się ostatnich belek i kawałów pokrycia, a każdemu runięciu towarzyszyły okrzyki.

Włast z czołem opartem o ziemię stracił wreszcie przytomność. Hanna leżała bez zmysłów.

Zrozpaczony Jarmierz barkami podniósł nieco wrota, aby wpuścić powietrza. Zamiast niego wpadł gryzący dym do jamy.

Trzymając tak ten ciężar nad sobą, Jarmierz mógł się przysłuchiwać.

Krzyki zdawały się oddalać.

Nie chciał zrazu uszom wierzyć... czekał jeszcze.

Głosu żadnego nie słyszał już, oprócz trzaskania dopalających się belek i szumiącego wiatru, w którym deszcz razem rześisty rozpoznać było można. Dym rozszedł się nieco, powietrze weszło do lochu, aby ocucić pomdlonych.

Jarmierz odważył się, odsunawszy nieco wrota, napół wydobyć z ukrycia. Noc była czarna, czerwona łuna pożaru świeciła tylko, nikogo dokoła nie dojrzał, pusto było i cicho...

Dwór cały leżał w węglach, gdzieniegdzie tlił słup, którego płomień deszcz przygaszał... Jarmierz wyskoczył całkiem nad loch i pełzając, starał się rozpatrzeć dokoła. Tłumy rozbiegły się po lasach, pewne, że zamknięci we dworze zginąć musieli w płomieniach.

Męczennicy cudem istotnym zostali ocaleni. Lecz mogliż się uważać już za bezpiecznych?

Na pogorzelisko łatwo ludzie powrócić mogli, uchodzić z niego do lasu groziło dostaniem się w ich ręce.

Wstawszy z ziemi, nie widząc nikogo dokoła, Jarmierz wahał się, czy ma wydobyć Włast i żonę, czy dłużej zostawić ich w tej kryjówce. Pełznąć, aby nie być postrzeżonym, jeśli by kto jeszcze stał na straży, dostał się do studni w podwórku, przy której znalazł wiadro wody pełne. Z niem nazad pośpieszył do Hanny i Własta. Ale ci już byli powrócili do życia, gdy wrota dopuściły świeże powietrze.

Włast odmawiał stojąc hymn dziękczynny ze złożonymi rękami, z głową podniesioną i wołał:

— Cud uczyniłeś, Panie, abys nawrócił niewiernych, abys zawstydził złych... Cud uczyniłeś, Panie, nie dla niegodnych cudu, ale dla wielkiego imienia Twojego...

I Hanna widziała w tem cud, i Jarmierz, który drżał z radości, chociaż na myśl o tych tłumach, gdzieś w pobliżu będących, nowa go trwoga ogarniała.

Nie wiedział jeszcze, co poczynąć, gdy z ogromnym tętentem i wrzawą przypadła gromada jezdnych i u pogorzeliska stanęła.

Nie wiedząc, kto przybywał, Jarmierz padł zrazu na ziemię, lecz wkrótce z mowy, która go dochodziła, poznał oddział ludzi z grodu nad Cybiną wysłany, gdy łuna pożar zwiastowała. Co prędzej więc powstawszy, począł biec ku nim. Na widok jego rzucili się, aby go pochwycić... i nierychło mógł się im dać poznać. Ludzie, zsiadłszy zaraz z koni, pomogli mu do wydobywania Własta i Hanny napół żywych, lecz ocalonych.

Deszcz ustawał, resztki stosu tego ofiarnego gorejąc oświecały rumowisko. Jakież było podziwienie Własta i wszystkich, gdy otoczony główniami gorejącymi dokoła, ujrzeli ołtarz kapliczny cały i na nim krzyż nieobalony, świecący zdaleka... Zaiste był to cud równie wielki, jak ocalenie tych ludzi, skazanych na śmierć w płomieniach.

Włast żadna siła powstrzymać nie mogła, aby nie pobiegł uklęknąć przed tym ołtarzem, do którego z sobą pociągnął siostrę i brata równie jak on tym cudem przejętych. Gromadka ludzi z zamku przybyłych, świeżo nawróconych, także klękała, zdjęta trwogą i modliła się razem z nimi.

Widok tego znamienia nowej wiary, ocalonego z płomieni, przejmował wszystkich, jako dowód potęgi nowego Boga.

Po skończonej modlitwie, ujawszy z ołtarza krzyż i resztę kościelnego sprzętu, okrytą węglami a niezgorzałą, Włast musiał razem z ludźmi, co go ocalili, udać się na zamek pod Cybiną.

Dniało już, gdy w las wjechali wszyscy. Włast na danym mu koniu przodem ze świecącym krzyżem w dłoni, za nim Jarmierz i Hanna.

Zaledwie stali parę oddaliwszy się od pogorzeliska, z przestachem i zdziwieniem postrzegli koczującą w lesie, na ziemi rozłożoną gromadę ludzi, któ-

ra się schroniła tu przed ulewą po pożarze, którego pilnowała.

Na widok jadących, popodnosili głowy; Wargę postrzegł pierwszy i poznał ocalonego Własta, z krzyżem w ręku. Stary wróżbita oniemiał z przerażenia. Był pewnym jego śmierci... strzeżono dokoła dworu, aby się nikt z niego wymknąć nie mógł. Jak na widok upiora wstającego z grobu, starzec krzyknął i dłońmi zakrywając sobie oczy, porwał się natychmiast z ziemi, pędem uciekając w las, za nim tłum co prędzej zaczął się zrywać i uciekać z wrzaskiem... Ludzie padali na ziemię przestraszeni. Orszak wiodący ojca Matję przeciągnął powoli w milczeniu i znikł na drodze do grodu.

XII.

EPILOG.

W roku 973, w lat kilka po opisanych wypadkach, cesarz Otto z cesarzową Adelaidą — opowiadają współczesne kroniki — z Włoch znowu dążąc na święta Wielkanocne do Quedlinburga, gdzie w niedawno założonym klasztorze córka jego księżną była — na Kwietnią niedzielę stanął w Magdeburgu.

Pan to był wielce pobożny, więc jak skoro ujrzał krzyże kościelne a posłyszał dzwony *) witające go wesółmi odgłosy, zsiadł z konia natychmiast.

Naprzeciw niego szło z zapalonymi świecami i pochodniami duchowieństwo, arcybiskup Geron i Adalbert, pralaci, zakonnicy, niosący relikwiarze, krzyże, obrazy i kadzielnice... Zatrzymawszy się, cesarz ucałował podaną mu ewangelię i relikwie — i przy odgłosie pieśni szedł dalej na czele duchowieństwa do

*) Dzwony w Magdeburgu wspomina już Ditmar. Były one zapewne kute z blach spizowych lub żelaznych.

kościola, w którym drogie, niedawno otrzymane relikwie św. Maurycego złożone były.

Nazajutrz, opisują ci kronikarze, cesarz niezmiernymi darami ubogacił kościół, biskupstwo, księży i samo miasto.

Miedzy innemi były tam księgi naówczas rzadkie, przedziwnie pisane i malowane, jakimi niewiele świątyni pochwilić się mogło.

W tym samym czasie Mieszko także w poczcie wspaniałym zdążył do Quedlinburga, dla powitania sprzymierzeńca swego cesarza, niosąc mu bogate dary.

Wśród orszaku książęcego, obudzającego po drodze podziw ludzi i zdumienie, szedł ogromny wielbłąd czerwona kapą okryty, przeznaczony w ofierze dla Ottona. Tym razem zmieniło się zupełnie położenie Mieszka, stosunki jego, siła i przeznaczenie. Pomiędzy nim a szwagrem Bolesławem panowała niechęć i wojna o Śląsk i Chrobacę, którą oba posiadać chcieli... Mieczysław pochlebiał sobie, że zawładnie Słowiańszczyzną całą, tą samą myślą żył Bolko... Oba szukali przymierza z cesarstwem dla tego tylko, aby móżdż całą siłę na zwiększenie państwa swojego obrócić — oba rozumieli to, że kraje jednej mowy musiały albo się znaleźć w jednym ręku, lub stać się łupem cesarskich markgrafów.

Lecz Otto starzał, myślą i sercem mieszkając za Alpami, — tu chciał czemkolwiekby okupionego pokon...

W tym roku zjazd do Quedlinburga był liczniejszy daleko, niż lat dawnych, przybywali posłowie upokorzonych Greków, co się niedawno z potęgą Ottona naśmiewali, posłał jego lekceważąc w Bizancjum, szli posłowie Benewentu, jechali wysłańcy Ghezy księcia Ugrów, Bulgarowie, Duńczycy i liczni kneziowie słowiańscy, na których czele Mieszko polubiłski i Bolko czeski.

Dwór Mieszków świetniejszym był nad wszystkie, a knez ochrzczony stał tuż na równi z najdo-

stojniejszymi dukami, kłaniał się jeszcze potędze cesarskiej, ale dlatego tylko, aby się od niej i wszelkiej innej wyzwolić. Na obliczu też jego widać było ufność w swą siłę i spokój,—które, choć się okrywały pokorą, tryskały z pod niej jak rumieniec z bladych policzków, gdy je duma grzeje lub gniew...

Przodem przed panem poszły do Quedlinburga obozy, ludzie i konie, zajęły miejsce najlepsze, a kneź znalazł namiot rozbity i dwór gotowy na przyjęcie. Tłumy skupiały się około wysoko nad ludzi i konie podnoszącego głowę potworną wielbłąda.

Zaledwie przybył Mieszko... przyszedł mu się pokłonić słowiańscy wodzowie... czuli w nim pana, a szanowali wojownika, który nigdy oręża nie składał i nieustannie był czynnym.

Gdy drugiego dnia świąt Wielkanocnych miał Mieszko otrzymać posłuchanie, jechał na nie z całym orszakiem swym, przypasawszy miecz niegdyś przez Ottona mu dany. Za nim strojni z włóczniami do turniejów wojownicy, pacholeta, niosący tarcze i miecze, konie powodne...

Na grzbiecie wielbłąda sznurami purpurowymi związane, suknem fryzyskiem okryte, jechały dary dla Ottona.

Kilka lat walk i życia posrebrzyły włosy i brodę cesarza, porały mu twarz, smutkiem jakimś, jakby przecuciem grobowym okryły czoło. Zdawał się przewidywać, że ciężkie berło, które w dłoni dźwigał, rychło mu śmierć wydrze.

Gdy z pokłonem wszedł Mieszko... Otto go jak znajomego powitał mile i do tronu, na którym siedział, ręką bliżej zawezwał.

—Wiele się zmieniło w krótkim czasie przeciągu—rzekł, patrząc nań.—Wyście, dzięki Bogu, i sami prawdziwą wiarę przyjęli, i kraj swój do Kościoła przyłączyli... szczęściło się wam z nieprzyjaciół, błogosławieństwa doświadczyliście mnogiego, a ufam, iż ono was nie odstąpi.

Tu westchnął.

—Nie bojujcie tu, a nie walczyć z sobą—ani z moimi... Wiele bez tego do czynienia macie. Pogan zostało mnogo, kościołów jest mało—duchowieństwa wam braknie... chrzcić i nawracać, a chrztem podbijać możecie ludów wiele. Wy, Bolko i markgrafowie idźcie razem na wytępienie pogaństwa.

Westchnął Otto,—a Mieszko odrzekł, iż rad był żyć ze wszystkimi w pokoju, ale swoich ziem, do których ma słuszne prawa, nikomu sobie wydrzeć nie dozwoli.

Nic na to nie rzekł Otto, a po chwili znowu pokoji z Czechami życzył. Mieszko zamilkł ostrożnie.

Święta to były pamiętne z wielu różnych obrzędów i wypadków.

Dnia 1 Kwietnia nagle zmarł Herman, książę saski, którego ciało cesarz uczcił, gdy je syn wyprowadzał do rodzinnego grobu do Lunenburga, którego niegdy Wigman pokonany przez Mieszka tak mu zazdrościł.

Za życia jeszcze Herman poważniejszy się z Brunonem, biskupem ferdeńskim, wyklętym był przez niego.

Gdy zwłoki prowadzono, syn Bernard zaklinał mściwego nieprzyjaciela, aby z nieboszczyka przynajmniej zdjął klątwę i dozwolił go w poświęconej ziemi pochować. Bruno był nieublaganym.

Mieszko obdarzony nawzajem przez cesarza, powrócił już był do domu, sposobiąc się do nowej walki z bratem żony, gdy cesarz, który na Wniebowstąpienie znajdował się w Merseburgu, wyjechał stąd we wtorek przed Zielonemi Świątkami, spoczął w Miminlewie. Tu siadł jeszcze wesół do stołu—rozmawiał z przybocznymi, ale w czasie niesporów nagle słabnąć począł... Pochwycono go i przeniesiono na łożo—otoczyło duchowieństwo, modląc się... Nazajutrz cesarz Otto nie żył. Następca już koronowany obejmował po nim rządy.

W tych samych stosunkach ostrożnego sprzymierzenia i warunkowej przyjaźni, która napadać na

granice i ścierać się często nie przeszkadzała, pozostał polański książę z Ottonem drugim. Sascy cesarze nadto marzli o Włochach i Rzymie, aby spokoju granic swych, choćby ofiarami nie okupywali. Czescy i polańscy książęta temu może byli winni, że gdzieindziej odwrócona potęga cesarstwa, im rosnać, skupiać się i zagarniać kraje słowiańskie pod panowanie swe dozwalała.

Spytacie może o losy ojca Matji, czyli Własta syna Lubonia? Mileczą o nich dzieje nasze. Pierwszy kapłan i apostoł nie dobijał się żadnego stanowiska w hierarchii kościelnej, ani sławy i rozgłosu pomiędzy ludźmi: — cicho przeszedł po świecie, kryjąc się z sobą i okrywając pokorą. Imienia jego nie wzmiankują kroniki, nie zapisują rocznikarze, nie znają martyrologi.

Całą majątność swoją rozległą oddawszy siostrze i jej mężowi, Włast wymówił sobie to miejsce, na którem stał dom ojcowski, aby na niem wystawić kościół... Miał myśl też zakonników z Monte Cassino, u których przebył lat parę, sprowadzić i klasztor im pobudować. Trudności, jakie naówczas przedstawiały podróże, zajęcia apostołskie u boku pierwszego biskupa poznańskiego Jordana, nie dozwoliły mu do Włoch się udać i dawnych braci tu sprowadzić.

Ks. Jordan, on, kapłani czescy i kilku Włochów wiele mieli u Polan do czynienia. Kraj mileczał i ścierpiał w pierwszej chwili narzuconą sobie wiarę, ale wytrwał tajemnie przy dawnej. Przez długie wieki pozostały jej ślady i szczątki w pieśniach, obrzędach, w kryjomo obchodzonych świętach i mnóstwie zwyczajów, które niezrozumiale już były pokoleniom następnym, ale im do serca przyrosły.

Mieszko i jego poddani, co się ochrzczili nawet, długo bardzo nie mogli nawyknąć do nowych obo-

wiązków. Dubrawka przez lat kilka nie zachowywała sama postu, aby zwolna do poszanowania go męża nakłonić. Później już przez żonę pokonany, Mieszko z surowością sobie zwyczajną, kazał nieszanującym postów — jak piszą, zęby wybijać...

Tak samo zakazywano śpiewać stare pieśni, zbierać się na Kupalę, nocne odbywać płasy i zabobonne gusła, zabraniano grzebać ciała po rozdrożach i uroczyskach, jak to dawniej bywało we zwyczaju z tryznami, objatami, stypami trwającymi po dni kilka. Ludzie przywiązani do odwiecznych tych obrzędów, uciekali w głąb lasów, kryli się, ale przez długie wieki pamięć wiary przechować umieli.

Nie było sposobu od tych strumieni, kamieni, słupów, dębów i gajów ich odzwyczaić, i duchowieństwo stawilo na nich krzyże. Z dawnych imion bóstw czynione świętych, dni uroczyste u pogan zastosowywano do obchodów i pamiątek kościelnych.

Tak te resztki wiekowej spuścizny zmieszały się, zlały, dziwnie częstokroć z legendami chrześcijańskimi.

Dzień 7 marca, który był naznaczonym do zbuznienia wszędzie, gdziekolwiek się znajdowały, resztek pogańskich bałwanów, na długo został pamiętnym. Długosz powiada, że w niektórych wioskach w Polsce, w czwartą niedzielę postu, zatykano na długich żerdziach (stanice dawne) wizerunki Dziewanny i Marzanny, a potem je rzucano i topiono w bagnach.

Pobożny ojciec Matja, przeżywszy panowanie Mieszka, które było jakby wstępną pieśnią bohaterkiego poematu Bolesława Wielkiego, pozostał przy kościele głównym w Poznaniu, skąd mu łatwiej było i swój nowo-założony odwiedzać.

Nieopodal od niego stał nowy dwór Hanny i Andrzeja w miejscu, które się pono nazwało później Głuszynem (tak jak bardzo być może, iż z Krasnejgóry Górczyn mógł powstać). Tu ojciec Matja przybywał błogosławić małym dziatkom siostry swej

ra
pili

pos

zer

By

aby

doi

mi

z z

dze

dzi

cy

na

ka

ja

św

ci

na

rz

go

cl

b

o

le

g

i w młodociane główki wpajać pierwsze, mające w nich się krzewić pojęcia. Tu on, otoczony tą gromadką, napół dzikich, ledwie odzianych, puszcanych swobodnie, wedle dawnego obyczaju dzieci, stawał się dla nich sam dzieckiem prawie i wedle nauki Chrystusa przywabiał je do siebie.

Wiele lat upłynęło od opisanych wypadków; po-
tęga Mies-ka wzrosła, państwo rozszerzyło granice, kościoły stawały liczne po całej ziemi Polan, przebiegali ją kapłani dla połowu dusz zbłąkanych. Ojciec Matja był wszędzie z nimi, gdziekolwiek groziło niebezpieczeństwo, były trudności do przełamania, a językiem rodzonym i sercem bohaterskiem przemówić było trzeba do ludu.

Z uśmiechem, gdy mu kto chciał wrazić obawę, mawiał, że się po dwu w życiu niebezpieczeństwach, z jakich go Bóg ocalił, już żadnego nie lęka. Znano go, i najzapaleńsi nawet starowiercy szanowali w nim nieustraszone męstwo i niezmożoną niczem cierpliwość a niewyczerpaną dobroczynność.

W ubogiej swej sukni czarnej, z kijem w rękę mógł bezpiecznie przebiegać najodleglejsze, najzapadłejsze kraju zakątki, gdzie się nikt inny dojść nie ważył.

W rękę przy lasce, na której się podpierał, miał zwykle siekierkę małą, nie dla obrony od napaści, ale by móżdż naprędce wyciosać krzyżyk i postawić go wszędzie, gdziekolwiek znalazł jakiś znak dawnego bałwochwaltwa. Nie zrażało go to, gdy drugi raz na to miejsce przychodząc, pierwszej swej pracy nie znalazł śladu. Siadał ciosać krzyż swój na nowo i wbijał go w tem samem miejscu. Czasem po dwa i trzy razy musiał podnosić to znamię, nim się ono nareszcie ostało. Zabobonny lud przypisywał cudowi to powracanie krzyża, a cudem była tylko święta cierpliwość nieznużonego apostoła.

W miejscu, gdzie był dwór i kaplica spalona, ojciec Matja pobudował mały kościółek, a tam gdzie była owa jama, w której naprzód ojciec go więził,

później czasu pożaru Jarmierz zdołał go ukrytego ocalić, wymurował sobie za życia grób, do którego często zaglądał.

Do tego kościoła chodził z Poznania pieszo, często w nim długie spędzając godziny. Stroił go, ubierał, z bogacił, opatrywał we wszystko, jak najulubieńsze dzieło swoje. Często, gdy go nie znajdowano w Poznaniu u Św. Jana Jerozolimskiego, wiadano, gdzie go szukać. Trwał na modlitwie w swoim kościółku, albo z miotłą w rękę oczyszczał go, obmywał i utrzymywał w nim porządek. Obcej ręce nie dawał się tu prawie dotknąć niczego.

Jednego wiosennego dnia około Wniebowstąpienia, gdy słowiki śpiewały najgłośniej a czeremchy rozkwitały wonią, napelniając powietrze, szukano na próżno ojca Matji w Poznaniu. Izdebka jego, którą zawsze zostawiał otworem, stała pustką, nie było go dni kilka. Ponieważ przy szczupłej liczbie ówczesnego duchowieństwa, był pilno biskupowi Jordanowi potrzebnym, wysłano za nim do siostry do Głuszyna, ale stąd wrócił posłany oznajmując, iż go tu także od kilku już tygodni nie widziano. Bardzo być mogło, iż wyszedł na jedną z pielgrzymek swych, które często pieszo odbywał. Lecz zbliżało się Wniebowstąpienie, a na wielkie uroczystości wracał zwykle do Poznania. W wigilję tego dnia, gdy po raz wtóry nadbiegł posłaniec do Głuszyna, trochę niespokojny Jarmierz z Hanną udali się do kościołka na Krasnejgórze, bo im przyszło na myśl a raczej przeczucie jakieś mieli, iż tam go znaleźć mogą.

Wistocie, zbliżywszy się do kościółka, znaleźli drzwi niezamknięte, a uchyliwszy je, spostrzegli brata krzyżem leżącego przed ołtarzem, na którym świece się dawno powypalały. Wszedłszy, pokłękli, zrazu oczekując, ażali modlitwy skończywszy, ojciec Matja nie wstanie ku nim.

Upłynął jednak czas dość długi, a modlący nie poruszył się wcale.

Gdy już zmierzchało, Hanna podeszła ku niemu

i pokłękawszy w rękę go chciała pocałować, aby dać znać o sobie.

Ręka była jak kamień zimna: ojciec Matja nie żył. Skończył życie wśród modlitwy, leżąc krzyżem właśnie na tym kamieniu, który pokrywał wnijście zamurowanego grobu.

Na krzyk bolesny Hanny nadbiegł Jarmierz, podniesiono ciało już zupełnie ostygle, bo nieboszczyk od dwóch pewno dni już żyć przestał. Na twarzy jego bladej panował wyraz słodkiego uszczęśliwienia, usta zamknięte uśmiechały się spokojem.

Wielki był żal wszystkich po człowieku pobożnym, cichym a tak potrzebnym Kościołowi kapłanie, którego nikt nie mógł zastąpić.

Dano zaraz znać do Poznania, naznaczono dzień pogrzebu i przy wielkim nacisku pobożnych, na trzeci dzień w prostej trumience, jak przykazał, złożono ciało jego w grobowcu pod ołtarzem.

Cóż dziwnego, że potem w kilkanaście, kilkadziesiąt lat nikt już imienia pobożnego kapłana nie pamiętał, że w sto lat nie było śladu kościoła i grobowca, a we dwieście miejsce zmieniło imię i rodzina wygasła. Tak wszystko na ziemi przemija i ginie...



961
833
961



